

SPOŁECZNE PROBLEMY ŚLĄSKICH MIAST

www.slaskgtl.pl

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE ŚLĄSKIEM

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

Nr 2 (231) • ROK XX • LUTY 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X



_____ **MAREK MIERZWIAK** – Walka o czarne złoto

— „Rozmowa na 20-lecie”: prof. **JULIAN GEMBALSKI**

_____ **JACEK KUREK** – Momenty czystej świętości

_____ Powroty, czyli renesans życia w mieście

– rozmowa z **ANDRZEJEM GRZYBOWSKIM** architektem i urbanistą

___ Poezja i proza: **ROMAN MACIUSZKIEWICZ, WITOLD TURANT**

_____ Kolekcja jubileuszowa „Śląska: **WERONIKA SIUPKA**



W Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach odprawiona została msza w intencji ofiar Tragedii Górnosląskiej 1945 roku. Uczestniczyli w niej przedstawiciele władz naszego regionu, m.in. marszałek Wojciech Saługa, przewodniczący Sejmiku Grzegorz Wolnik, wicewojewoda Piotr Spyra i prezydent Katowic Marcin Krupa. Liturgii przewodniczył i homilię wygłosił metropolita katowicki abp Wiktor Skworc. „Wreszcie o Tragedii Górnosląskiej mówimy; wreszcie możemy oficjalnie oddawać cześć naszym rodakom, którzy zginęli z dala od domu i o tych, którzy zginęli blisko; wreszcie możemy mówić o kobietach-ofiarach i o bezczeszczeniu ich ciał oraz o zabitych duchownych, którzy ponieśli śmierć w ich obronie. Wdzięczny jestem tym, którzy po roku 1989 przypominali te wydarzenia a w roku 2013 podjęli inicjatywę upamiętnienia w Doniecku faktu wywózki i jej ofiary; a dziś wyrażam uznanie i podziękowanie Sejmikowi Województwa Śląskiego za proklamowanie roku 2015 Rokiem Pamięci Ofiar Tragedii Górnosląskiej. To cenna „polityka historyczna” Sejmiku, która pamięcią wzmacnia i buduje tożsamość” – mówił w homilii arcybiskup Skworc. Po mszy św. złożono kwiaty przed tablicą upamiętniającą ofiary przymusowych wywózek i represji ze strony Armii Czerwonej i reżimu komunistycznego. Niedzielne uroczystości były jednym z elementów obchodów ogłoszonego przez Sejmik Województwa Śląskiego Roku Pamięci Ofiar Tragedii Górnosląskiej. Dzień wcześniej w Filharmonii Śląskiej odbył się koncert „Pro Memoriam”.



Fot. BP Tomasz Żak



Nagrodę im. Macieja Łukasiewicza za publikacje na temat współczesnej cywilizacji i kultury otrzymała Dagmara Drzazga (na zdjęciu – przy mikrofonie), autorka filmu dokumentalnego „Muzyka i cisza” TVP Kultura/TVP Katowice. W 22 edycji konkursu SDP wzięło udział ponad 300 publikacji. „Muzyka i cisza” opowiada o Janie Sztwiertni – niezwykle utalentowanym kompozytorze z Wisły. Artysta został zamęczony w Mauthausen Gusen podczas II wojny światowej. Laureatce, która również publikuje na łamach naszego pisma, najserdeczniej gratulujemy nagrody.

14 stycznia w auli Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* księdzu arcybiskupowi Szczepanowi Wesolemu, wielkiemu synowi śląskiej ziemi, delegatowi Prymasa Polski dla duszpasterstwa emigracji, niestrudzonemu opiekunowi i przewodnikowi duchowemu Polonii na całym świecie. Ceremonię zaszczytli swoją obecnością m. in. prymas Polski abp Wojciech Polak, metropolita katowicki abp Wiktor Skworc, prymas senior abp Józef Kowalczyk, katowicki arcybiskup senior Damian Zimoń, bp Wiesław Lechowicz, delegat Konferencji Episkopatu ds. duszpasterstwa emigracji, biskup diecezji cieszyńskiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego Paweł Anweiler, rektorzy śląskich uczelni, przedstawiciele władz samorządowych, korpusu dyplomatycznego, rodzina i przyjaciele arcybiskupa S. Wesolego. Na zdjęciu rektor UŚ prof. W. Baniś gratuluje arcybiskupowi S. Wesolemu.



Foto. Agnieszka Sikora

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

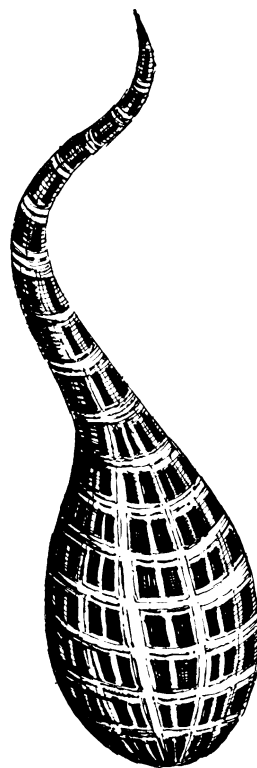
WITOLD TURANT

Być u siebie

Zamknięci w klatkach naszej codzienności
Śnimy o rzeczach nadzwyczajnych
Wjeżdżamy do Babilonu na gadających rybach,
Płyniemy pod żaglami po niebie.

Skuci łańcuchem przyzwyczajzeń
Wędrujemy po lądach nieznanych
Odkrywamy kontynenty uczuć
Przemierzamy bezdroża marzeń.

Syci wrażeń oczekujemy bezpiecznego
Powrotu do klatek i łańcuchów
Odnajdujemy rozkosz powtarzalności.
Dobrze jest być znów u siebie.



Rys. Wojtek Łuka

Witold Turant (ur. 1951 w Katowicach) – mieszka w Górkach Wielkich. Absolwent polonistyki Uniwersytetu Śląskiego. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, przez wiele lat związany z Radiem Katowice, a także z miesięcznikiem „Śląsk”. Autor zbiorów wierszy „Przespałem”, „Z Mezopotamii”, monodramu poetyckiego „Elżbietański Londyn” oraz tomu prozy „Przygoda na Tylnej Mariackiej” (opowiadania). Publikował eseje m.in. na łamach „Twórczości”, „Odry”, „Opcji” oraz „Integracji”. Dwa lata spędził na Bliskim Wschodzie (Irak). Przedmiotem szczególnego zainteresowania uczynił historię kultury europejskiej. Miłośnik piosenki francuskiej i folkloru celtyckiego. Cykl wierszy „St. Germain-En-Laye” to rezultat wielokrotnych wizyt w tej i innych miejscowościach podparyskich. Obecnie kończy pracę nad powieścią „Metapolis” a także prowadzi warsztaty dziennikarskie na Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT
Redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA
Zastępca redaktora naczelnego,
Sekretarz redakcji

KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

FELIKS NETZ
Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjaslask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

6. *Marek Mierzwia* WALKA O CZARNE ZŁOTO
8. *Krzysztof Czekaj* O ŚLĄSKIEJ SOCJOGRAFII MIEJSKIEJ UWAG KILKA
12. „Rozmowa na 20-lecie”. RENESANS MUZYKI ORGANOWEJ.
Rozmowa z prof. Julianem Gembalskim
16. *Henryk Szczepański* KATOWICE ZA DIEBLA
20. POWROTY, CZYLI RENESANS ŻYCIA W MIEŚCIE.
Rozmowa z dr. hab. Andrzejem Grzybowskiem, architektem i urbanistą, prof. WST w Katowicach
24. *Katarzyna Bereta* MIASTO. THE WALL
34. *Marek Kosma Cieśliński* TROPAMI JANA BANASIA
36. SZWAJCARSKIE BASTIARIUM I INNE UTWORY. Rozmowa z Aleksandrem Gabrysiem
38. *Karol Rafał Bula* KATOWICE KAROLOWI SZYMANOWSKIEMU
40. *Jerzy Machura* NAUKA WYCHODZI Z LASU
44. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński „DROBNA” RÓŻNICA ZDAŃ...
52. *Lukasz Karkoszka* DESIGN WKRAČZA W MIASTO
56. *Bogdan Widera* W OBIEKTYWIE WIELKIEJ DAMY
58. WOKÓŁ UCZNIA, SZKOŁY I REGIONU... Rozmowa z prof. Heleną Synowiec
61. *Jacek Kurek* MOMENTY CZYSTEJ ŚWIĘTOŚCI... (Bowie, Hadyna, Górecki, Śląsk)
64. *Jan F. Lewandowski* BOHATEROWIE NASZEGO KINA

FELIETONY

23. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański UDREĆZONY ŚWIAT?
42. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas CZUCHOWIE I MOJITO
43. Z MOICH GÓREK
Witold Turant WALKA KARNAWAŁU Z... KARNAWALEM
66. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek ŚWIĘTO SZKOŁY W „KARŁOWICZU”. PLYTA NA OTWARCIE.
KARNAWAŁ W „SILESII”
75. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek W DOLINIE STOBRAWY
83. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY
84. *Jarosław Starzyk* NAUKOWY TRAKTAT O ODKURZACZACH

PLASTYKA

48. *Wiesława Konopelska* METAFIZYCZNY ŚLĄSK ARKADIUSZA GOLI
49. DZIEWCZYNA Z DYWANEM. FOTOGRAFIE ARKADIUSZA GOLI
50. BOLESŁAW BARBACKI w Muzeum w Sosnowcu
51. *Witold Kociński* ARTYSTA TOTALNY
54. POGWARKI ARTYSTYCZNE HENRYKA BZDOKA
NIE CZUJĘ, ŚWIADOMIE, TAKIEGO OBCIĄŻENIA... Rozmowa z Józefem Michalskim
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”. WERONIKA SIUPKA

KSIAŻKI

69. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIAŻKACH
70. *Krzysztof Tarka* MIĘDZY NIEMCAMI A POLSKĄ
71. *Paulina Janota* ZMIERZCH ISTNIENIA
72. *Ryszard Bednarczyk* Z DUSZĄ NA UWIEŻI
72. *Ewa Wylęzek* WOLNE MEDIA O ŚLĄSKU
73. *Adriana Urgacz-Kuźniak* WITRAŻE W CIEMNOŚCI, CZYLI O PRZEDWCZESNEJ ŚMIERCI DZIECKA
73. *Krzyszyna Heska-Kwaśniewicz* OPOWIEŚĆ O WODZISŁAWSKO-RYDULTOWSKIM HARCERSTWIE

POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE
Witold Turant BYĆ U SIEBIE
26. *Witold Turant* WIERSZE Z CYKLU ST. GERMAIN-EN-LAYE
28. *Roman Maciuszkiewicz* FANTOMY (fragment)
32. *Katarzyna Bereta* JA, GUSTAW (fragment)

EKOLOGIA

46. *Jolanta Karmańska* POZWOŁMY ROSNĄĆ DRZEWOM!

STAŁE RUBRYKI

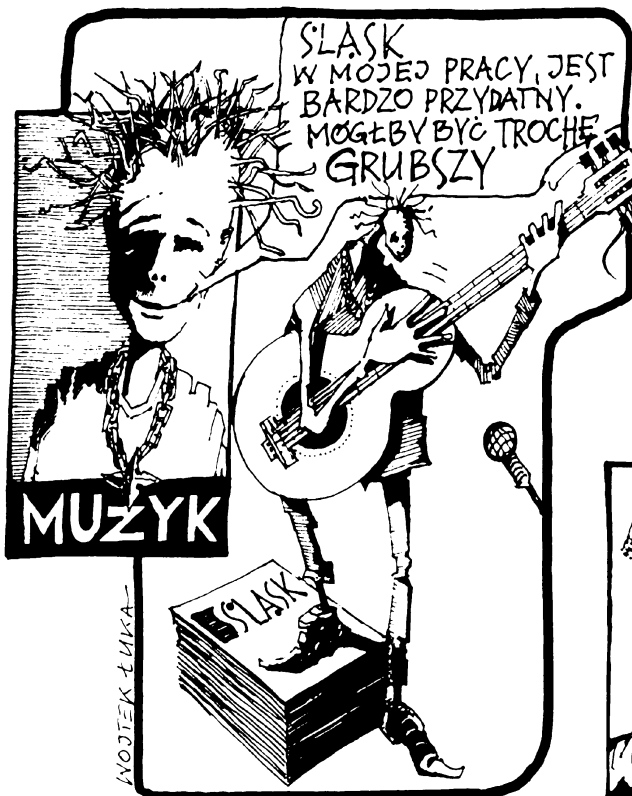
4. ŚLĄSKI MIESIĄC
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
Elżbieta Zacher ZOSTAWIĆ ŚLAD
68. OPOLSKIE
74. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Isabella Kula ZABYTKOWA SIEDZIBA W NOWEJ ODSŁONIE

NOTATNIKI KULTURALNE

76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
78. *Jan Picheta* BIELSKO
79. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
80. *Janusz Wójcik* OPOLE
81. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
82. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

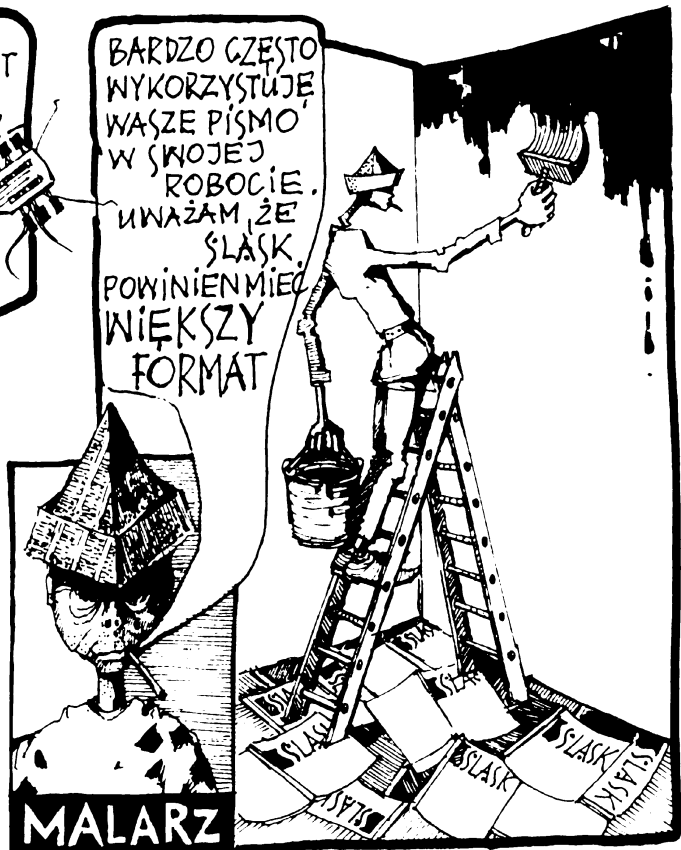
NA OKŁADCE:

Fotografia: Arkadiusz Gola



MUZYK

WOJTEK & ŁUKA



MALARZ



PODROZNIK

ŚLASK TOWARZY MI PRAKTYCZNIE PRZEZ CAŁY ROK ZABIERAM GO WSZĘDZIE! POWINIEN BYĆ TROCHE LŻEJSZY I MNIEJSZY.



NAUCZYCIELKA

NA ZAJĘCIACH Z UCZNIAMI, CZĘSTO I CHETNIE KORZYSTAM Z MIESIĘCZNIKA ŚLASK. WEDŁUG MNIENIE POWINIEN BYĆ TROCHE CIĘŻSZY.



REDAKTOR

ŚLASK SZUKAJCIE! PRENUMERACJIE! CZYTAJCIE!

OTO KILKA, WYBRANYCH PRZEZ REDAKCJĘ OPINII NASZYCH CZYTELNIKÓW. SAMI WIDZICIE, ŻE WARTO MIEĆ ŚLASK!

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numera

logiczna – zgazowywanie odpadów [tak samo jak dziwna jest nazwa: Centrum Badawczo-Rozwojowe]. Mieszkańcy boją się, że w ten sposób chce się przemycić budowę „zwykłej spalarni”, a nie czegoś postępowego.

■ RADA Powiatu Raciborskiego pracuje już drugi miesiąc, a tu okazuje się, że rady... właściwie nie ma. Bo wybory trzeba powtórzyć. A 12 radnych może stracić mandat. Sąd Okręgowy w Gliwicach, ośrodek zamiejscowy w Rybniku uznał za zasadne protesty wyborcze i unieważnił wybory do rady powiatu raciborskiego w komisjach obwodowych nr 19 i 20. A wszystko dlatego, że pomyłono tam karty do głosowania. Choć samo głosowanie przerwano, padło jednak te czterysta nieważnych głosów.

■ KARP poróżnił mieszkańców Kaniowa i Bestwiny, choć to jedna gmina jest. Większość obywateli Kaniowa jest niezadowolona z formuły wpisu hodowalnego tu od ponad 130 lat karpia na Listę Produktów Tradycyjnych, jaką prowadzi ministerstwo rolnictwa. Bo karp na tej liście figuruje nie jako królewski karp kaniowski, lecz bestwiński karp królewski. A przecież można było dodać do pierwszej wersji „z gminy Bestwina” – i wszyscy byliby zadowoleni.

■ PLAN naprawy [albo restrukturyzacji] Kompanii Węglowej, jaki 7 stycznia przedstawił rząd Ewy Kopacz wzbudził związkową ruchawkę i protesty w całym regionie. Na kopalniach przeznaczonych do odstrzału [rudzka Pokój, Bobrek-Centrum w Bytomiu, Brzeszcze i Sośnica-Makoszowy] zrobiło się gorąco. Doszło do blokad dróg, torów kolejowych (w Zabru do bitwy z policją). Związkowcy zaczęli domagać się rozmów z premier, która przyjechała do Katowic – i po długich negocjacjach w sobotę 17 stycz-

nia NOWOROCZNE przepowiednie lubią się spełnić – czasem zbyt szybko. Wojewoda śląski Piotr Litwa zapowiedział na lamach styczniowego „Dziennika Zachodniego”, iż rok 2015 będzie trudny szczególnie dla górnictwa. I się nie pomylił...

■ WIĘKSZOŚĆ śmiertelników początkiem stycznia bardziej martwiła się o dostęp do przychodni niż o stan polskiego górnictwa, bo okazało się, że nie wszyscy lekarze podpisali umowy z NFZ-tem. W rezultacie nawet ¼ pacjentów ze Śląska została pozbawiona dostępu do medycyny rodzinnej – a oznaczało to problemy z wypisaniem recept. A wszyscy – jak zwykle – i władza, i lekarze mieli usta pełne frazysów o „dobru pacjenta”. Już wiem panowie, gdzie wy macie to dobro...

■ PRĄD ze śmieci chcą produkować w Świętochłowicach, ale mieszkańcy boją się tego jakos. Dziwi ich nazwa, bardzo technologiczna

nia podpisano stosowne porozumienie. Każda ze stron odrzuciła swój sukces.

■ RADNI śląskiego sejmiku jednogłośnie – co warto podkreślić – przyjęli uchwałę sprzeciwiającą się likwidacji kopalń. Nie zgodzono się, z tym, by jedynym kierunkiem restrukturyzacji kopalń była ich likwidacja. „Reforma górnictwa musi być działaniem przemyślanym i nie może odbywać się bez uzgodnień i konsultacji” – zauważyli słusznie śląscy radni.

■ KATOWICKIE lotnisko w Pyrzowicach spada w rankingach. Zajmuje czwartą pozycję wśród portów lotniczych w Polsce pod względem obsłużonej liczby pasażerów. Pierwsze jest oczywiście warszawskie Okęcie (ponad 10 mln osób), za nim są Kraków i Gdańsk – w 2014 miały ponad 3 mln pasażerów. Pyrzowice, którym brakło ledwie kilku tysięcy zakładanej liczby 2,7 mln osób, goni Wrocław – z 2 mln pasażerów za ubiegły rok.

■ PRZEBUDOWA pszowskiego rynku trwa już dwa lata i dalej nie może się skończyć. Przypomina się w tym miejscu, o wiele większy – katowicki rynek, który też oddawany jest do użytku „po kawalku”, co trwa i trwa...

■ DLACZEGO śląskie eldorado, jakim dotąd była gmina Pawłowice popadło w dług? Przypomnijmy – komunikacja publiczna za złotówkę, najniższe opłaty za wywóz śmieci, najtańsza woda w województwie, darmowe przedszkola. Ano dlatego, że gmina ma do spłacenia aż 30-milionowy dług. To podatek od wyrobisk górniczych, jaki na skutek zmiany orzecznictwa sądów [czy to coś nowego?] Pawłowice oddać muszą Jastrzębskiej Spółce Węglowej, której kopalnia „Pniówek” fedruje pod gminą. Więc teraz tylko trzeba zacisnąć pas, pawłowiczanie...

■ DOKTOREM honoris causa Uniwersytetu Śląskiego został 14 stycznia katowiczanie abp Szczepan Wesoły. Takie samo wyróżnienie nadał mu Katolicki Uniwersytet Lubelski. Uczelnie nadają ten akademicki tytuł honorowy osobom szczególnie zasłużonym dla nauki i kultury. Abp Szczepan Wesoły to delegat prymasa ds. duszpasterstwa emigracji, wielki patriota i osobowość. W 1996 roku abp Wesołemu przyznano tytuł Honorowego Obywatela Katowic. Odznaczony jest też Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

■ NASZE szkoły idą do przodu. Miesięcznik „Perspektywy” opublikował najnowszy ogólnopolski ranking liceów i techników, po raz siedemnasty z kolei. I co się okazuje? Śląskie licea i technika wypadły lepiej niż przed rokiem. Numerem jeden wśród śląskich techników zostało Technikum nr 17 w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach (17. miejsce w Polsce, skok 23 miejsca), zaś wśród śląskich liceów V Liceum Ogólnokształcące w Bielsku-Białej (21. pozycja, skok z 55. miejsca).

■ PRZYBYWA w śląskim wielkopowierzchniowych centrów handlowych. Jest ich w tej chwili 41 sztuk, a budują się następne. Jaki mają wpływ na tkankę miejską wystarczy się przekonać samemu spacerując opustoszałymi ulicami śródmieścia Katowic (gdzie są te księgarnie, sklepy, restauracje?). Galerie handlowe stały się już dawno nowym, lepszym światem.

■ PAMIĘTNY Krzyż Papięski z katowickiego Muchowca (Jan Paweł II był tu w 1983 roku), który od 30 lat stoi na skoczowskiej Kaplicówce (upamiętniając papięską wizytę w 1995 roku) przechodzi właśnie remont. 22-metrowy, okazały symbol Skoczowa został zdemontowany przez 180-tonowy dźwig. Wymienić trzeba skorodowaną blachę. Po prostu.

■ KTO będzie patronem pyrzowickiego lotniska – Kiepora czy Kilar? Światowy Kongres Kresowian optuje za kandydaturą urodzonego we Lwowie, zamieszkałego w Katowicach, niedawno zmarłego światowej sławy kompozytora Wojciecha Kilara. Zaś nowo wybrany prezydent Sosnowca Arkadiusz Chęciński wymyślił, że lepszy będzie Jan Kiepora, światowej sławy śpiewak. I zwrócił się za apelem do wszystkich miast Zagłębia Dąbrowskiego o poparcie inicjatywy stosownymi uchwałami. Przecież to katowickie lotnisko w Pyrzowicach jest w istocie zagłębiowskie – argumentowano. Zanościło się na konflikt. Górnos Śląskie Towarzystwo Lotnicze nie jest jednak zainteresowane żadnym kandydatem na patrona pyrzowickiego airportu. Więc ferment okazał się niepotrzebny.

■ KONCEM stycznia zaogniła się sytuacja w Jastrzębskiej Spółce Węglowej, bo nielubiany przez związkowców prezes Jarosław Zagórowski wystąpił z planem oszczędnościowym. Przewidział zamrożenie płac, obcięcie deputatów, likwidację dopłat do urlopów, chorobowego... Nie przewidywał – choć kto to może wiedzieć – że spowoduje tym związkowców do protestów. W kolejce do poratowania jest także Katowicki Holding Węglowy, którego prezes, były wojewoda, Zygmunt Łukaszczyk, wprost mówił, że bez wsparcia państwa się nie obejdzie, bo spółka jest na minusie. Pani premier przyjeżdż i pani premier ratuj – wołają już nie tylko górnicy, ale i rolnicy. Kto następny?

■ PODWYZKA cen biletów do muzeów ma zwiększyć szacunek zwykłych śmiertelników do kultury. Tak raczy uważać senator Jarosław W. Lasecki, posiadacz zamku w Bobolicach. I podkreśla, że gdyby znacząco podnieść cenę biletu, wizyta w muzeum byłaby wydarzeniem dla zwiedzających. Nie wiem po jakiej planecie stąpa pan senator... Dobrze, że większość muzealników jest przeciwna tym planom. Pan na Bobolicach jest jednak uparty i zamierza przedstawić projekt podwyżek senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu. Boże chroń!

■ TRZYSTU więźniów byłego obozu koncentracyjnego KL Auschwitz-Birkenau i sporo delegacji z całego świata wzięło udział 27 stycznia w obchodach 70. rocznicy jego wyzwolenia. Szkoda, że uroczystą chwilę przysłoniła polityczna hucpa typu „kto bardziej wyzwolił obóz – Rosjanie czy Ukraińcy?”, a także epizod z niefortunnym uwięzieniem włoskiej ekipy telewizyjnej. Nieudana próba „wyjścia” Włochów późną nocą z terenu byłego obozu zakończyła się wielogodzinnym przesłuchaniem na policji i... niepotrzebnym ośmieszeniem Polski.

KRONIKARZ

Zarząd Górnos Śląskiego Towarzystwa
Literackiego
składa na ręce
Pana

prof. dr hab. DARIUSZA ROTTĄ
kondolencje i wyrazy szczerego
współczucia z powodu zgonu

Mamy

Tadeusz Sierny
Prezes zarządu GTL

Panu Profesorowi
DARIUSZOWI ROTTOWI
redaktorowi naczelnemu miesięcznika
„Śląsk”
wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

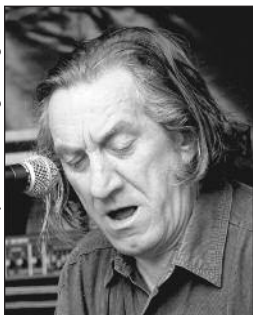
składa
zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk”

29 stycznia 2015 roku zmarł

JAN „KYKS” SKRZEK

charyzmatyczny muzyk i kompozytor bluesowy,
niezwykła postać kultury muzycznej Śląska,
autor wielu nagrań płytowych, wielokrotny uczestnik
finałowych koncertów „Rawa Blues Festival”,
związany m.in. ze Śląską Grupą Bluesową.

Rodzinie Zmarłego i wszystkim Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia
składa
zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk”



Fot. Piotr Frydecki, Wikipedia.pl



Bytom. Protest górników kopalni Bobrek



Katowice. Protestują górnicy z kopalni Sośnica – Makoszowy

Zdjęcia: Arkadiusz Lewywiłaniec



Bytom. Pikieta protest górników z kopalni Bobrek

Walka

o czarne złoto

MAREK MIERZWIAK

Węgiel, to nasze czarne złoto – jak go nazywano – był od wieków naszą chlubą, ale i przekleństwem. Trzeba było go wydobywać (były czasy, że bez opamiętania), ale też brał on sowitą zapłatę za to, że jest pod naszą ziemią. O ludzkim życiu myślano czasami na samym końcu.

Nie myślano jednak zbyt intensywnie no tym, co zrobić, aby pogodzić wydobywanie węgla z zapewnieniem bezpieczeństwa ludziom. Słowo „fedrować” zastępowało myślenie, bo bez fedrowania upadałyby kopalnie i rodziny górnicze pozostawałyby bez środków do życia. Sytuacja miała zmienić się radykalnie, gdy zaczęto myśleć, co zrobić, aby kopalnie były rentowne, a wydobywanie czarnego złota przynosiło zysk.

Stąd i reforma górnictwa Janusza Steinhoffa – wicepremiera w rządzie Jerzego Buzka. Tak dziś mówi o tamtym trudnym czasie:

– Górnictwo w latach 1997-2001 przechodziło twardą restrukturyzację. Robiliśmy to najszybciej na świecie – dwukrotnie szybciej od Margaret Thatcher. I o wiele taniej, a także przy zgodzie społecznej. Nie zlikwidowaliśmy też górnictwa, przeciwnie, stało się ono na dłuższy czas dochodową branżą.

Tylko że ta jedna reforma w tak olbrzymim sektorze gospodarki wiosny nie uczyniła. Kiedy nastał w górnictwie boom, gdy ceny węgla poszybowały w górę to nikt już nie myślał o reformach. Wszystko stanęło w miejscu, nikt nie myślał o reformowaniu, restrukturyzacji

branży. Działano w myśl znanej nam dobrze zasady – „jakoś to będzie”.

Ale w gospodarce rynkowej zdarzają się okresy koniunktury i dekonunktury. Ceny polskiego czarnego złota zaczęły spadać na rynkach światowych, elektrycznie i konsumenci węgla zaczęli go sprowadzać, bo był tańszy z Rosji i Australii. Branża górnicza zaczęła dostawać zadyszki w zastraszającym tempie, ale w dalszym ciągu nikt nie mówił o reformach, o restrukturyzacji, nie przyglądał się kosztom wydobycia, zatrudnieniu, pensjom i odprawom przesów i menedżerów kopalń, którzy zmieniali się jak w kalejdoskopie odchodząc może nie zawsze w chwałę, ale za to z milionowymi odprawami.

O kopalnie i pracujących tam górników nikt się nie upominał. Jednak tylko do czasu. Bo przecież było wiadomo, że prędzej czy później ta bomba z opóźnionym zapłonem eksploduje. Kompanii Węglowej, skupiającej czternaście kopalń, w oczu zajaśniało bankructwo. Cztery najbardziej nierentowne kopalnie trzeba byłoby zamknąć natychmiast. Takie informacje ukazały się w mediach. Dlatego górnicy zostali przez swoich związkowców postawieni w stan pogo-

towia strajkowego. Rząd zaczął wtedy mówić o restrukturyzacji tych kopalń, już nie o ich likwidacji, przez którą w tym momencie na bruku znalazłoby się kilka tysięcy górników.

Coś jednak trzeba było zrobić i to natychmiast. Dalsze pozorowane dyskusje, unikanie decyzji, odwlekanie sprawy – to nie było żadne wyjście z sytuacji. Przecież nie można było dłużej dopłacać do każdej wydobytej tony przeszło 50 zł. Tym bardziej że branża i tak nie miała przed sobą żadnych perspektyw. Do Sejmu miała trafić ustawa mówiąca o tym, że trzeba cztery kopalnie (Brzeszcze, Pokój, Bobrek–Centrum i Sośnica–Makoszowy) zrestrukturyzować. Bez takiej regulacji prawnej nie da się pomóc ani wymienionym kopalniom, ani Kompanii Węglowej. Nie będzie na to pieniędzy, bo nie wolno ze środków publicznych pomagać podmiotom gospodarczym, a środki z Unii są możliwe do pozyskania, ale tylko pod warunkiem podjęcia radykalnych kroków restrukturyzacyjnych i opracowania konkretnych programów naprawczych. Związki zawodowe i opozycja przez cały czas mówią jednak o zamknięciu tych kopalń i utracie pracy przez 3 tysiące górników.

– To nieprawda – argumentuje premier Ewa Kopacz – chcemy pomóc górnikom, chcemy ratować te kopalnie ale ta ustawa musi zostać uchwalona.

Przez media przechodzi fala pomówień i nieścisłych informacji. Górnicy strajkują pod ziemią, a na powierzchni popiera ich cała branża. Kopalnie stanęły, trwa mocowanie się, kto silniejszy, kto znajdzie więcej argumentów, kto się złamie, a kto podniesie rękę w geście chwały.

Przeprowadzone badania pokazują, że ponad 60 % Polaków popiera strajki i żądania górników. Ale też pojawiają się głosy ekonomistów, ale i tak zwanych „zwyčajnych ludzi” mówiące o tym, że trzeba radykalnych rozwiązań, że nie może najsilniejsza branża ciągle dyktować warunków tak rządowi jak i całej polskiej gospodarce. Podnoszono też argument, że gdyby zablokowały tory pielęgniarki byłyby pociągnięte do odpowiedzialności prawnej, tak samo by potraktowano na przykład drobnych sklepikarzy.

Argumentów demagogicznych pojawiło się sporo. Delegacja rządowa z premier Ewą Kopacz przyjechała na Śląsk. Padają zapewnienia, że nikt nie zostanie bez pracy, że przecież ponad tysiąc osób zatrudnionych w sektorze nabyło już uprawnienia emerytalne (dotyczy to w szczególności związkowców – rekordzista nabył te prawa 14 lat temu), że będą płatne urlopy dwu-trzytletnie przed wejściem w wiek emerytalny, że pozostali górnicy znajdą zatrudnienie w okolicznych kopalniach.

Te argumenty trafiają jednak w próżnię. Liderzy związkowi nie chcą się cofnąć nawet o pół kroku. Kopalnie mają dalej fedrować, a rząd (to znaczy: my

wszyscy płacący podatki) ma do nich do-
płacać. Związkowcy proponują nawet
większe wydobywanie przy takim samym
zatrudnieniu. Nie wspominają o tym, że
na hałdach zalegają setki ton węgla, któ-
rego nie można sprzedać. Po cóż więc
zwiększać jego urobek?

Demonstracje odbywają się w mia-
stach śląskich. Rodziny stoją pod zam-
kniętymi bramami strajkujących kop-
alni. Kobiety z płaczem mówią
do mikrofonów radiowych i telewizyj-
nych: „Z czego będziemy żyć, jak te kop-
alnie zostaną zamknięte?” W Brzesz-
czach kopalnia to największy zakład
produkcyjny. Zatrudnia ponad 2 tysiące
ludzi, bezrobocie sięga tu 11%. W By-
tomiu podobnie – kopalnia Bobrek-
-Centrum zatrudnia 3 tysiące osób,
a bezrobocie w mieście to ponad 9%.
Górnicy pytają jak żyć? Ludzie ciężkiej
pracy nie widzą przed sobą perspektyw,
chcą zatem strajkować do końca, choć-
by i do zalania kopalni.

– Zalejcie nas również, tak samo jak
naszą kopalnię – mówią.

Szef Solidarności Piotr Duda groził,
że zna nazwiska i adresy śląskich posłów.
Niech o tym pamiętają przed głosowa-
niem za uchwaleniem ustawy restruktury-
zacyjnej. Chce poderwać do strajku ge-
neralnego inne branże. Jego słowa,
szczególnie te skierowane do posłów ze
Śląska, budzą i grozę i niesmak.

Sejm w nocy uchwala głosami Platfor-
my i PSL stawę, o którą zabiegał rząd.
Pod ziemią strajkuje ponad 2 tysiące gór-
ników. Na powierzchni załogi pozosta-
łych kopalń. Następuje pat w rozmowach.
Zaczyna się mówić o sprzedaży kopalń
prywatnemu inwestorowi. Wówczas ko-

palnie powinny przynosić zyski, tak jak
to jest ze sprywatyzowaną 4 lata temu kop-
alnią „Silesia” w Czechowicach-Dziedzic-
ach. Tam najpierw zwolniono połowę
załogi, prawie 400 osób, aby po
procesie restrukturyzacyjnym,
po zmodernizowaniu kopalni, zacząć
przyjmować do pracy górników. Dziś tam
pracuje ich 1800, a wydobywanie
jest na poziomie miesięcznego, kiedy
chciano tę kopalnię zamknąć. Może po-
dobnie trzeba by było zrobić z czterema
kopalniami o które toczy się walka?

Negocjatorzy zaczynają powoli wy-
pracowywać wspólne stanowisko.
Wreszcie jest POROZUMIENIE. W ślą-
skim Urzędzie Wojewódzkim podpisali
je pełnomocnik rządu ds. restrukturyza-
cji górnictwa Wojciech Kowalczyk oraz
szef śląsko-dąbrowskiej Solidarności
Dominik Kolorz, w obecności premier
Ewy Kopacz, ministrów: Włodzimierza
Karpińskiego i Władysława Kosiniaka-
-Kamysza oraz licznego grona związ-
kowców i samorządowców śląskich.

Dominik Kolorz stwierdził tryumfal-
nie, że utrzymano miejsca pracy. „Utrzy-
maliśmy przy życiu zdecydowaną więk-
szość, a w zasadzie wszystkie kopalnie,
które miały być skazane na likwidację.
Teraz w rękach ludzi, zarządów spółek,
związków zawodowych będzie to, jak te
kopalnie i nowa kompania będą funkcyj-
nować. Na tę chwilę jestem święcie prze-
konany, że to porozumienie wejdzie
w życie i będzie dobrze skutkowało dla
Śląska i dla pracowników kopalń”.

Premier Ewa Kopacz podziękowała
za dobry, zdrowy kompromis. Dobry
i dla nas wszystkich Polaków i dla pol-
skiego górnictwa.

Szef „Solidarności” Piotr Duda uwa-
ża, że porozumienie między rządem
a górnikiem pokazało, że Śląsk, wszyst-
kie związki zawodowe oraz górnicy
dali premier i rządowi lekcję pokory. Tył-
ko że kompromis – jak mówił Ludwig
Erhard – to sztuka takiego podzielenia
ciastka, aby każdy myślał, że otrzymał
największy kawałek.

Czy to myślenie o wygranej przeloży
się na początku marca na konkretne usta-
lenia i reformy, gdy znacznie się mozol-
na praca nad uzdrowieniem polskiego
górnictwa? Czy rządzący wreszcie zro-
zumieją, że bez rozmów z ludźmi, nie
można podejmować strategicznych de-
cyzji o ich przyszłym życiu, nie można
likwidować ich miejsc pracy w zamian
nie proponując? Czy górnicy zdecy-
dują się na ustępstwa w imię poprawy
warunków pracy, i rentowności zakła-
dów? Czy liderzy związkowi, nie cieszą-
cy się ostatnio dobrą opinią, potrafią też
zrezygnować ze swoich przywilejów?
Czas pokaże co komu w duszy gra
i czy ważniejsze są związkowe ambicje,
czy też program naprawczy polskiego
górnictwa, które od lat boryka się z trud-
nościami przerastającymi tę branżę.
Czarne złoto ma przecież przynieść
nam pieniądze i dochody, ludziom za-
pewnić pracę, a nie ciągłe kłopoty tak
z jego wydobywaniem jak i sprzedażą.

Kiedy piszę te słowa strajkują górni-
cy Jastrzębskiej Spółki Węglowej.
Wspierają ich rolnicy, którzy też zapo-
wiadają strajk. W kolejce do protestów
czekają kolejarze, pocztowcy... Gorąca
zima nas jeszcze czeka.



Ruda Śląska. Protest górników kopalni Pokój

Foto: Arkadiusz Lawrynczyk

O śląskiej socjografii miejskiej uwag kilka

KRZYSZTOF CZEKAJ

W roku 2014 minęło dziesięć lat odkąd osiem subregionów, funkcjonując w obrębie województwa śląskiego, a szerzej w ramach państwa polskiego, dołączyło do Unii Europejskiej. Statystyki odnotowują, że w województwie śląskim znajduje swoje położenie 69 miast i miasteczek, z czego 19 to miasta na prawach powiatu, czyli powiaty grodzkie oraz 1518 miejscowości wiejskich.

Zmiany zachodzące w populacji mieszkańców miast województwa śląskiego dotyczą m.in. podziału zbiorowości mieszkańców poszczególnych miast i powiatów ziemskich zgodnie z trzema kategoriami wieku: przedprodukcyjnym do 17 roku życia, produkcyjnym (mężczyźni 18-64 lata, kobiety 18-59 lat) oraz poprodukcyjnym (mężczyźni 65 i więcej lat, kobiety 60 i więcej lat). Dane na ten temat zawiera tabela. Zestawienie tych danych jest najlepszym dowodem na starzenie się populacji miast regionu i wskazuje sytuację społeczną mieszkańców. W województwie śląskim, w roku 2004, ludność w wieku poprodukcyjnym stanowiła 15,5% całej populacji, a w wieku przedprodukcyjnym 19,5%, co oznaczało, że pozostałe 75,0% odnosiło się do ludności w wieku produkcyjnym. Wyniki analizy dla roku 2013 wskazują jak bardzo zeszarała się populacja mieszkańców województwa. Ludność w wieku przedprodukcyjnym, to 16,9%, podczas, gdy ludność w wieku poprodukcyjnym stanowiła 19,3% ogółu mieszkańców województwa śląskiego. A zatem, nieomal co piąty mieszkaniec naszego województwa jest osobą starszą, co wyraźnie zmienia strukturę ludności według wieku. Tak oto ze struktury pierwszego rodzaju – ludności demograficznie, jeszcze młodej (2004), zbiorowość zamieszkująca województwo śląskie, przeszła do trzeciego rodzaju struktury demograficznej – społeczeństwa regresywnego [starego] (2013).

Następny, wybrany dla przykładu wskaźnik ruchu naturalnego ludności, bardzo istotny dla charakterystyki miast województwa śląskiego, to współczynnik przyrostu naturalnego liczonego na 1000 ludności. Ten rodzaj współczynnika określa różnicę między urodzonymi i zgonami w przeliczeniu na 1000 mieszkańców. Współczynniki o wartości dodatniej określają populacje rozwijające się, a te ujemne są charakterystyczne dla zbiorowości o przewadze zgonów nad urodzonymi, czyli regresywnym modelem demograficznym. Współczynnik przyrostu naturalnego na 1000 ludności w województwie śląskim na przestrzeni dziesięciu analizowanych lat wahał się rozpoczynając od -1,2‰ w 2004 roku, poprzez 0,0‰ w 2010 roku i przybierając ponownie ujemną wartość -1,37‰ w 2013 roku.

Biegun starości w województwie śląskim należy do gmin, miast i powiatów miejskich Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie wskaźnik przyrostu naturalnego dla powiatu będzińskiego wynosi (-4,34‰), powiatu zawierciańskiego (-4,17‰), miasta Sosnowca (-3,70‰), oraz Dąbrowy Górniczej (-2,52‰). Na drugim biegunie tego kontinuum współczynnika przyrostu

naturalnego znajdują się takie gminy i powiaty grodzkie, jak: Żory (+4,01‰), pow. pszczyński (+3,88‰), pow. bieruńsko-lęczyński (+2,99‰), miasto Rybnik (+1,68‰), powiat bielski (+1,34‰). Niestety dodatkowym wzmocnieniem tego procesu starzenia się i zmniejszania populacji jest obserwacja innego wskaźnika naturalnego ruchu ludności a mianowicie wskaźnika salda migracyjnego w przeliczeniu na 1000 ludności. Dane dotyczące migracji związanej z napływem i odpływem ludności do i z miast województwa śląskiego w latach 2004 – 2013 pozwalają zaobserwować, że w latach 2004 – 2013 większa część miast regionu była obszarem emigracji niż imigracji, stąd jeszcze wyższy spadek zasobów ludzkich, niż tylko w oparciu o analizy wskaźników przyrostu naturalnego, wskazanych powyżej.

Według prognozy opracowanej w 2004 roku liczba ludności województwa śląskiego z 4 700 771 osób w 2004 roku powinna się zmniejszyć do 3 952 400 w 2030 roku.

W oparciu o dane dotyczące liczby ludności w 2010 roku przygotowano nowe prognozy sięgające 2035 roku. W województwie śląskim w roku 2010 roku zamieszkiwały 4 635 882 osoby. W oparciu o prognozę z 2010 roku liczba ludności województwa śląskiego powinna osiągnąć w 2035 roku 4 052 187 osób. Analiza danych obydwu prognoz pozwala dojść m.in. do wniosku, że dwa wskaźniki ruchu naturalnego ludności, tj. przyrost naturalny oraz saldo migracyjne odnośnie miast woj. śląskiego kształtują ich przyszłość, niestety, w niekorzystnym wariancie.

Reasumując należy stwierdzić, że kumulacja tych dwóch, już choćby istotnych przecież wskaźników ruchu naturalnego ludności wytyczają niestety negatywny scenariusz dla zbiorowości zamieszkującej większość miast województwa śląskiego w przyszłości i ewidentnie wskazują na potrzebę reorientacji polityki społecznej w postaci dokumentów programowych samorządu lokalnego.

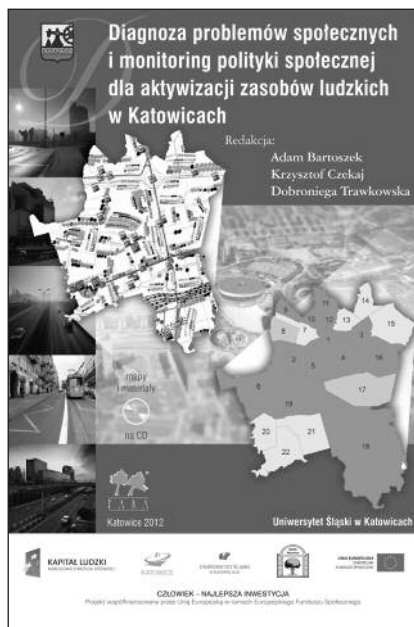
Wszystkie miasta, wymagają pilnie, pogłębionych diagnoz społecznych, w tym sytuacji demograficznej oraz zjawisk i problemów społecznych. Podstawą analizy i planowania rozwoju kapitału ludzkiego, społecznego i kulturowego jest profesjonalna diagnoza zasobów ludzkich (w tym demograficznych) określonych regionów, subregionów i społeczności lokalnych.¹ Szczególnego znaczenia nabiera ona w perspektywie uczestnictwa miast, powiatów i gmin miejsko-wiejskich oraz wiejskich, w szczególności tych z województwa śląskiego, w funkcjonowaniu w ramach Wspólnoty Europejskiej. Adam Podgórecki zaproponował określenie socjografii, pisząc o pięciu funkcjach socjologii.² Jako pierwszą funkcję socjologii Adam Podgórecki wskazał **diagnostykę społeczną**, którą określił następująco: **Diagnostyka społeczna zwana również socjografią**, zdążyła do zebrania danych w sposób intersubiektywnie sprawdzalny i systema-

tyczny, a przy tym subiektywnie rozumiany.³ Pisząc o potrzebie funkcji teoretycznej jako głównej funkcji nauki socjologicznej podkreśla jednak równoprawność funkcji diagnostycznej. Jako ostatnią piątą funkcję socjologii A. Podgórecki wskazał funkcję socjotechniczną, przez którą „rozumie się zespół ogólnych zaleceń dotyczących tego, jak przy uwzględnieniu istniejących ocen społecznych dokonywać świadomie przekształceń po to, aby osiągnąć zamierzone społecznie cele.”⁴ W ramach socjotechniki A. Podgórecki wyróżnił trzy zasadnicze podejścia: klasyczne, kliniczne i ekspermentalno-interwencyjne. W ramach klasycznego nazywanego też inżynierią społeczną, należy zestawić i dobrać rozmaite prawidłowości ogólne z zakresu socjologii i nauk pokrewnych, aby przekładać na język praktycznych dyrektyw technicznych. Jak zauważył A. Podgórecki „Przedstawienie recepty w postaci ogólnych dyrektyw stanowi swoiste przełożenie ogólnych i szczegółowych twierdzeń opisowych na język ocen utylitarnych, tj. zaleceń dotyczących działania. Klasyknej koncepcji socjotechniki nie interesuje to, czy zespół ów zostanie w praktyce wykorzystany czy też nie.”⁵ Drugie podejście zwane klinicznym nakazuje nie tylko przedłożyć opracowany zespół dyrektyw praktycznych ale także doprowadzić do udziału ich autorów w procesie nakłonienia zdecydowanych do ich zaakceptowania i wdrożenia. „Ekspermentalno-interwencyjna koncepcja socjotechniki uważa za swe zadanie nie tylko samo sformułowanie recept działania praktycznego, nie tylko odpowiednie oddziaływanie na „klienta” zamawiającego badania tak, aby przyjął on do realizacji przedstawione zalecenia – ale również samoistną interwencję w stosunku do rozmaitych grup społecznych, instytucji, organizacji itd., ze wskazaniem na potrzebę działania socjotechnicznego wraz z wykazaniem strat i korzyści, które z tego działania by wynikały, oraz pokazaniem, jakie oceny o charakterze zasadniczym zostaną w działaniu (lub w niedziałaniu) zaangażowane.”⁶

Historia socjografii pozwala wskazać europejskie ‘corner stones’ w rozwoju tego działu dyscypliny. Dla przykładu wymieni się tu nie tylko Brytyjczyków, ale też Austriaków, którzy doświadczając szerokiego spektrum zjawisk i problemów społecznych w swoich miastach w XIX i na początku XX wieku, nie wahał się sięgnąć do arsenału nauk społecznych po socjografię, celem uzyskania informacji, wskazań i dyrektyw doprowadzających do programów ich rozwiązywania. Na gruncie polskiej socjologii pojęcie socjografii pojawiło się w opracowaniu Pawła Rybickiego z 1938 roku *O socjograficznym badaniu Śląska*. Paweł Rybicki szczegółowo opisał ten nowy termin. Procesy szybkiej industrializacji i urbanizacji powinny, jego zdaniem, skupiać uwagę badaczy rzeczywistości społecznej. A grupą, która ‘szybko narasta’ jest miejski proletariat i ‘warstwa robotnicza.’ To właśnie rozwój tych dwóch kategorii wpłynął na potrzebę dokładnej informacji, badawczego ujęcia, „naukowego opisu tych nieciekawych żądzą z umiejętności ugrupowań” (Rybicki 1938: 10). Jest to ważne dla socjologii, polityki społecznej. Jak stwierdził dalej „Z tych potrzeb wyrastają opisy konkretnych ugrupowań społecznych, dokonywanych poza zasięgiem spekulacji i refleksji filozoficznej. (...) Opisy mają stać się zatem obok materiałów dawanych przez inne umiejętności nową kategorią materiału dla socjologii, a nawet nową osobną umiejętnością. (...) Pod mianem socjografii zbierają się opisy o naukowym charakterze, których przedmiotem jest życie społeczności ludzkich – życie teźniejsze, które bezpośrednio może być widziane i badane przez studiującego.”

(Rybicki 1938: 11) Rozprawa Pawła Rybickiego wytyczyła program studiów śląskich na wiele lat, choć zrealizowanych dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej. W pracy tej nie tylko przedstawił on swoje uwagi dotyczące badań socjograficznych ale wskazał główne priorytety badawcze odnośnie polskiej części Górnego Śląska. Podkreśla w niej potrzebę studiów rodzin określonych grup zawodowych tkwiących głęboko w klasie robotniczej, np., górników i hutników (Rybicki: 1938: 12 i nast.). Ten wrażliwy obserwator i badacz podkreśla konieczność tworzenia syntez z badań umiejętnie łączących fakty i stany subiektywne. Opis socjograficzny – jego zdaniem – „będzie też zapewne bliższy rzeczywistości wówczas, gdy przedstawi obraz grupy z uwydatnieniem pewnych związków między faktami i z pozostawieniem elementów racjonalnie nieskoordynowanych, aniżeli gdy ujmie wszystkie zjawiska w ramach prawideł ogólnych...” (Rybicki 1938: 23) W opisach socjograficznych u Rybickiego istotniejsze jednak są elementy o charakterze jakościowym a nie ilościowym. Im bardziej specyficzna badana grupa, tym bardziej indywidualny opis. Polska zostaje porównana do „laboratorium” (prawdopodobna analogia do Chicago?). Autor zwraca uwagę na kilka czynników, na które powinien zwracać każdy potencjalny badacz i Polski i Śląska w szczególności. Jednym z nich jest właśnie czynnik historyczny, a kolejne, to: stosunki ludnościowe, uprzemysłowienie i urbanizacja, struktura klasowa społeczeństwa, związek między narodowością i ludowością, stosunek do ludności napływowej, wpływ przemian na układ życia społecznego, ze szczególnym uwzględnieniem tradycji i obyczaju. Określając skutki uprzemysłowienia i urbanizacji Rybicki zwraca uwagę na zróżnicowanie struktury zawodowej, wzrost gęstości zaludnienia i rozwój osad przeobrażających się w miasta. Wskazuje na potrzebę studiów struktury społecznej w szczególności klasy robotniczej i to zarówno od strony środowisk rodzinnych jak i miejsc pracy w zakładach przemysłowych. (Rybicki 1938: 31-33)

Te dyrektywy zostały dopiero zrealizowane po drugiej wojnie światowej w dwóch fundamentalnych studiach, jedno autorstwa Wandy Mrozek pt. *Rodzina górnicza. Przekształcenia społeczne w górnośląskim środowisku górniczym* z 1965 roku, a drugie Franciszka Adamskiego *Hutnik i jego rodzina* z 1966 roku, które opublikowano w Górnośląskich Studiach Socjologicznych, ukazujących się pod redakcją Pawła Rybickiego. Wanda Mrozek w podsumowaniu do swojej monografii, stwierdziła, że trudno mówić o „jakimś jednolitym modelu rodziny górniczej, którego cechy w całości moglibyśmy odnaleźć w każdej poszczególnej rodzinie. (Mrozek 1965: 190) Autorka ta stwierdziła, że rodziny górnicze wykazują skłonność do obejmowania tylko dwóch pokoleń, zmniejszenia dzietności co miało wpłynąć na przyszłe skurczenie się lokalnych sieci pokrewieństw. Nie można też było porównać tych badań do innych w Polsce, bo po prostu ich jeszcze nie było, a monografia rodzin hutniczych Franciszka Adamskiego dopiero była w druku. W końcowych uwagach Wanda Mrozek stwierdziła: „Jest to niewątpliwie stadium dość zaawansowanej krystalizacji nowego modelu społecznego rodziny i omawianej grupy zawodowej. Na zanalizowanym etapie dostrzec można pewną tendencję ogólną: wyzbywanie się specyficznych odrębności, nabytych w przeszłości i upodobnianie się do bardziej uniwersalistycznego typu społecznego, charakteryzującego rodzinę i klasę robotniczą we współczesnym polskim społeczeństwie.” (Mrozek 1965:200).



Monografia Franciszka Adamskiego swym zakresem obejmowała nie tylko huty śląskie ale także hutę zlokalizowaną w Częstochowie, co jest o tyle ważne, że socjografia problemów społecznych na przełomie XX i XXI wieku w województwie śląskim, określane jako „Silesian Cities Series”, też dotyczyły tego miasta i to dwukrotnie. Wnioski monografii Franciszka Adamskiego korespondowały z wynikami Wandy Mrozek odnośnie górników. Autor ten zauważył, „że w badanej grupie mamy do czynienia nie z jednym typem rodziny, ale z rodziną oscylującą pomiędzy tradycyjnym modelem i innymi typami.” (Adamski 1966: 214)

Był to początek wieloaspektowych badań na obszarze województwa katowickiego a potem śląskiego. U schyłku wieku XX, najpierw w 1994 region górnośląski otrzymał opracowanie „Górny Śląsk 2005: scenariusz restrukturyzacji” autorstwa W. Błasiaka, T. Nawrockiego i M. S. Szczepańskiego, po czym w roku 1998, województwa śląskiego dotyczyło jedyne w swoim rodzaju opracowanie będące podsumowaniem wieloletnich studiów nad regionem i górnictwem węgla autorstwa Marka S. Szczepańskiego pod znamienym tytułem *Opel z górnictwem pióropuszem. Województwo katowickie i śląskie w procesie przemian* (Szczepański M., 1998 oraz wyd. III z 2002 roku). Autor w tej pracy podsumowywał własne badania w regionie (z lat 1989 – 1998), jak też dokonywał analiz wtórnych innych autorów i badaczy. Praca jest syntezą społeczeństwa województwa śląskiego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych oraz prognozą odnośnie nadchodzącego XXI wieku. Badania nad regionalizmem i rodzinami śląskim prowadził też Wojciech Świątkiewicz, że dla przykładu wspomni się tylko pracę z 1998 roku, pod jego redakcją *Regiony i regionalizmy w Polsce współczesnej*.⁷

Do tego nurtu i tradycji badawczej Pawła Rybickiego nawiązuje przygotowane profesjonalnie studium z 2006 roku, Tomasz Nawrockiego nad społecznością lokalną Murcek, obecnie wchodzących w obręb Katowic.⁸

Badania problemów społecznych w miastach województwa śląskiego

Tradycja szkoły chicagowskiej zainspirowała badaczy ze środowiska śląskich socjologów pracujących od końca lat siedemdziesiątych, m.in. pod kierunkiem Jacka Wodza⁹

a następnie zespół badawczy koordynowany przez Krzysztofa Czekaj¹⁰.

Szczególnego znaczenia funkcje **diagnozowania, wyjaśniania, przewidywania i formułowania praktycznych dyrektyw**, nabierają w miastach i gminach polskich, w tym i tych w obrębie województwa śląskiego, które do dziś dnia nie przeprowadziły badań inwentaryzujących i diagnozujących istniejące w ich rzeczywistości społecznej zjawiska dezorganizacji i patologii społecznej. Dogłębne i szczegółowe studia tego typu są potrzebne z wielu przyczyn i powodów, że wymieni się tu choćby wymogi funkcjonowania w ramach Unii Europejskiej i jej budżetu na lata 2015-2020. Proces ten nie jest jednak realny bez profesjonalnego wyznaczenia pozycji wyjściowej niemal każdej z polskich gmin miejskich czy wiejskich. A zatem by sprostać wyzwaniom tak nowym, jak i starym należy nie tylko przeprowadzić wyjściowe badania inwentaryzacyjno-diagnostyczne, ale w ich konsekwencji realizować studia monitorujące rozpoznane kwestie i problemy społeczne.

Perspektywa badawcza szkoły chicagowskiej odnośnie zjawisk i problemów społecznych określiła cele monograficznych studiów w miastach województwa śląskiego na przestrzeni lat 1997 – 2012.¹¹ Realizacja badań pełnych – całościowych sprawia, że choć rodzą się różnego rodzaju metodologicznej i metodycznej natury pytania i wątpliwości badawcze, to jednak nie można im zarzucić, że są bardziej lub mniej fortunnie dobraną próbą badawczą, i to na dodatek dobraną tendencyjnie a pozytywnie tą drogą wyniki mogą być podobnie interpretowane. Monograficzne studia nad zjawiskami i problemami społecznymi w miastach województwa śląskiego, czyli socjografia kwantytatywna, mają jasno określone cele poznawcze oraz praktyczne. Te cele mają charakter poznawczy jak i praktyczny. Poznawczy cel tych badań, to próba zdefiniowania, zinterytoryzowania i rozpoznania przedpola badawczego do pogłębionych studiów tych problemów i to zarówno w sferze faktów, jak i stanów świadomości mieszkańców miasta. Cel praktyczny to autentyczne zapotrzebowanie lokalnych samorządów na profesjonalne, w miarę kompletne diagnozy zjawisk i problemów społecznych w regionie śląskim oraz formułowanie praktycznych dyrektyw do koniecznych, na mocy ustawy, prac nad powiatowymi strategiami ich rozwiązywania.¹² Pierwsze opracowane raporty badawcze i mapy punktowe dotyczące przestępczości i wykroczeń Krzysztof Czekaj opracował w Katowicach w 1986 roku, ale dopiero w dziesięć lat później ukazały się badania diagnostyczne problemów społecznych w miastach: Czeladź i Zabrze (badanie wykonane z A. Niesporkiem). Otworło to okres piętnastu lat badań diagnozujących problemy społeczne zarówno w aspekcie poznawczym, jak i dla potrzeb praktyki społecznej i samorządów miast.¹³ Diagnozy dotyczyły dwunastu zbiorowości miejskich: Katowice, Bielsko-Biała, Częstochowa, Gliwice, Zabrze, Ruda Śląska, Siemianowice Śląskie, Świętochłowice, Tychy, Żory, Tarnowskie Góry, Czeladź.¹⁴ Podstawowe badania opisujące i diagnozujące rozmiary zjawisk i problemów społecznych w miastach województwa oraz otrzymanych w jej efekcie obrazów społeczno-demograficznych objętych problemem, czy też kwestią mieszkańców, składają się ze studiów dokumentów instytucji miejskich, świadczących różne usługi i świadczenia dla mieszkańców: Powiatowe Urzędy Pracy, Miejskie Ośrodki Pomocy Społecznej, Izby Wyrzeźwien; Ośrodki Profilaktyczne dla Uzależnionych i ich Rodzin; Kolegium ds. Wykroczeń, a później Sądy Grodzkie, w ramach Sądów Re-

jonowych; Sądy Rejonowe (obecnie wykroczenia, przestępczość dorosłych i nieletnich). Są to, zatem badania pełne lub innymi słowy całościowe. Równie ważnym zamierzeniem badawczym, co pozyskanie charakterystyk mieszkańców dotkniętych poszczególnymi zjawiskami i problemami społecznymi w mieście było też określenie przestrzennej ich dystrybucji w różnych naturalnych obszarach miast. Ta część procesu badawczego kończyła się konstrukcją map poszczególnych zjawisk i problemów społecznych oraz ich analizami przestrzennymi. Cel prezentowanych badań pierwszego typu sprawił, że przygotowano podstawowe wersje z kilku możliwych rodzajów map problemów społecznych, w szczególności zaś mapy punktowe (kropkowe tzw. „dots map”). Opracowanie tego typu narzędzia analizy przestrzennej wiąże się z naniesieniem na plan miasta każdego przypadku konkretnego typu zjawiska. Uzyskane w drodze badań instytucji społecznych informacje umożliwiły przygotowanie zestawu map punktowych, odnośnie takich kwestii i problemów społecznych, jak: pozostawanie bez pracy, pomoc społeczna (ewentualnie specjalistyczne usługi socjalne), uzależnienia od alkoholu, wykroczenia, przestępczość dorosłych i przestępczość nieletnich.

Lata 2011 – 2012 przynoszą dwa duże badania zjawisk i problemów społecznych w województwie śląskim, które również oprócz odpowiedzi na pytanie kim są, w sensie społeczno-demograficznym dotknęci marginalizacja i samowykluczeniem mieszkańcy dwóch miast o charakterze stolic regionów, wzbogacone zostały o mapy ukazujące rozproszenie tych kwestii społecznych w przestrzeni osiedli i dzielnic. Te dwa ostatnio zdiagnozowane miasta, to niegdyś stolica województwa a obecnie centralny ośrodek Podbeskidzia, czyli Bielsko-Biała oraz stolica województwa śląskiego, tj. Katowice. Każde z tych badań wniosło nowy zakres w diagnozach zjawisk i problemów społecznych w przestrzeni miejskiej. Przeprowadzona w 2011 roku, po raz pierwszy w historii miasta, pełna diagnoza instytucjonalna zjawisk i problemów społecznych w Katowicach, mieście zamieszkiwanym w 2010 roku przez 307 287 mieszkańców przyniosła ogromny kapitał wiedzy umożliwiający już dziś zaprojektowanie istotnych zmian w oparciu o dokumenty programowe samorządu miejskiego.¹⁵ Analizy zasobów dokumentacyjnych instytucji społecznych, tak rządowych, jak i samorządowych pozwoliły na zrekonstruowanie obrazu społeczno-demograficznego 7 680 osób pozostających bez pracy, 10 120 wnioskodawców systemu pomocy społecznej oraz 11 622 członków ich rodzin. Katowicka Izba Wyróżnień, obsłużyła w 2010 roku 4 682 mieszkańców miasta. Natomiast leczenie uzależnień w podjęło 140 osób. Sprawców wykroczeń odnotowano 2 077, dorosłych przestępców skazanych wyrokiem sądu odnotowano 520 oraz 401 nieletnich. Diagnoza dotyczyła populacji mieszkających w mieście i objętych działaniem instytucji społecznych rządowych i samorządowych – jednostek i środowisk rodzinnych zamkniętej liczbą 35 339 osób, co w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców (307 287), stanowi 11,5% jej ogółu. Wyniki badań pozwoliły zbudować strukturę zagrożeń zjawiskami i problemami społecznymi w Katowicach. W wyniku przeprowadzonej analizy komputerowej udało się wytypować pięć najbardziej obciążonych zagrożeniami dzielnic miasta Katowice: 1. Śródmieście (19,2% wszystkich przypadków zjawisk i problemów w mieście), 2. Szopienice-Burowiec (11,1%); 3. Ligota Panewniki (9,3%); 4. Załęże (7,9%); 5. Bogucice



(5,6%); 6. Ochojec-Piotrowice (5,3%); 7. Osiedle Tysiąclecia (4,4%). Socjograficzne opisy wskazują na skupienie przestrzenne wielu zjawisk i problemów społecznych wśród społeczności lokalnych zamieszkujących 22 dzielnice miasta, co ukazuje zbiór map punktowych i odsetkowych. Monografia Katowice po raz pierwszy od zastosowania tej metody poznawania zjawisk i problemów społecznych w rzeczywistości miast województwa śląskiego, ale najprawdopodobniej i w Polsce, ukazała przestrzenie kwestii społecznych zarówno poprzez pryzmat map punktowych, jak też map odsetkowych.

W 2012 roku wykonano kolejną diagnozę głównych problemów miasta województwa śląskiego, tym razem leżącego na południu, czyli **Bielska-Białej**.¹⁶ Pierwsze tego typu badania diagnozujące zjawiska i problemy społeczne w stolicy Podbeskidzia dotyczyły łącznie 22 150 mieszkańców Bielska-Białej, co stanowi 12,7% ogółu tej zbiorowości (174 172). Zgodnie z metodyką badania utworzono społeczno-demograficzną charakterystykę **5 720** bezrobotnych mieszkańców miasta, bezpośrednich i pośrednich beneficjentów Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej: wnioskodawców (3 291 osób) oraz członków ich rodzin (3 672 osoby w tym dzieci) co łącznie czyniło bezpośrednimi lub pośrednimi beneficjentami 3,9% ogółu mieszkańców miasta (6 963 osoby). W świetle wyników diagnozy niepełnosprawność, to istotna kwestia miejska. Miejski Zespół ds. Orzekania o Niepełnosprawności w Bielsku-Białej w 2010 roku objął swym wsparciem łącznie 3434 osób niepełnosprawnych). W 2010 roku w trzech instytucjach społecznych ukierunkowanych na rozwiązywanie problemów uzależnień w Bielsku-Białej udzielono pomocy łącznie 3 141 osobom, które stanowiły 1,8% wszystkich mieszkańców Bielska-Białej (2,1% mieszkańców powyżej 18 roku życia – 145494). Osoby skazane za popełnienie wykroczeń, to zbiorowość 571 mieszkańców Bielska – Białej, którzy stanowią 0,32% ogółu mieszkańców (0,39% jeśli odniesie się je do obywateli miasta powyżej 18 roku życia – 145 494). Skazani za popełnienie przestępstw kryminalnych (1 151), w świetle danych Sądu Rejonowego, to 0,6% ogółu mieszkańców (0,8% jeśli odniesie się je do mieszkańców powyżej 18 roku życia (145 494). Nieletni sprawcy skazani za popełnienie przestępstw kryminalnych, których w aktach Sądu Rejonowego było 101, stanowili 0,05% ogółu mieszkańców (odnosząc dane uzyskane w Sądzie tylko do zbiorowości do 17

roku życia, to nieletni sprawcy stanowili 0,34% tej zbiorowości. Monografii towarzyszy płyta z ośmioma mapami punktowymi zjawisk i problemów społecznych. Wśród nich po raz pierwszy w Polsce opracowana mapa miejsc zamieszkania osób niepełnosprawnych w mieście. Istotna z punktu widzenia poznawczego jest też mapa miejsc zamieszkania rodzin dysfunkcyjnych i problemowych w Bielsku-Białej.

Należy też odnotować, że obydwie monografie po raz pierwszy posiadały tak dogłębną analizę zasobów demograficznych obydwu miast z uwzględnieniem poszczególnych 30 osiedli Bielska-Białej, jak też 22 dzielnic tworzących przestrzeń Katowic, co pozwoliło opracować stosowne mapy zamieszczone ze względu na istotność na okładkach obydwu monografii.

Dokąd zmierzają społeczności lokalne śląskich miast – refleksje zamykające

Na przestrzeni dziesięciu lat jakie upłynęły od czasu wejścia do UE i ostatecznego ukształtowania się nowego podziału administracyjnego, badane miasta jak i pozostałe powiaty gromkie i ziemskie uległy różnego rodzaju przemianom, w tym demograficznym. Badania zjawisk i problemów społecznych w województwie śląskim ukazały ich wysoką przydatność nieomal pod każdym względem. Po pierwsze w wymiarze poznawczym, ponieważ były to pierwsze tak obszerne badania diagnozujące zjawiska i problemy społeczne w miastach województwa śląskiego. Z pewnością były to też badania niezbedne dla praktyki społecznej, czyli dla władz samorządowych, które zamawiały wykonanie diagnoz, a w kilku przypadkach późniejsze prace nad strategiami rozwiązywania problemów społecznych i planami ich wdrażania. Mapy punktowe oraz odsetkowe zjawisk i problemów społecznych zdały swój praktyczny egzamin ilustrując przestrzenną dystrybucję zagrożeń, a zarazem wypełniając swoje nowe role w socjologii wizualnej regionu. Mapy te oraz w odniesieniu do Katowic mapy odsetkowe stały się lub staną się też narzędziem polityki społecznej w mieście oraz w pracy socjalnej, a w szczególności zaś w trzeciej metodzie tj. pracy ze środowiskiem lokalnym, którym pomagały zidentyfikować różnego rodzaju zjawiska i problemy oraz zagrożenia społeczne a także podjąć wspólną pracę nad ich rozwiązywaniem. Jest to szczególnie istotne dla społeczeństw miejskich jak i ich władz samorządowych, dla których rok 2013 wiąże się z przygotowaniem nowych strategii rozwiązywania problemów społecznych, czyli dokumentów obligatoryjnych w planowaniu społecznym związanym z rozwiązywaniem w najbliższych pięciu latach tych wysoce trudnych zagadnień. Wraz z coraz częstszym stosowaniem techniki mapowania danych nie tylko do ilustracji danych ale do ich analizy pojawiła się potrzeba prac nad aspektami metodologicznymi, które to studia trwają obecnie a publikacja danych z badań w Katowicach i Bielsku-Białej przyczynią się do powstania pewnych standardów, które pomogą w przyszłości badaczom stosującym to podejście zarówno do celów poznawczych, jak i praktycznych (współpraca planistów decyzyjnych i samych mieszkańców zorganizowanych w radach dzielnic lub osiedli, które powstały zgodnie z ustawą o samorządzie i wbrew sceptykom tego podejścia zaczynają tworzyć lokalne ugrupowania interesów mieszkańców, stając się partnerami władz samorządowych miast. Mapy i opracowania społeczne przynoszące wiedzę o kwestiach społecznych stają się naturalnym, wiarygodnym i niezbędnym źródłem wiedzy pomagającym organizo-

wać mieszkańców wokół ich własnych spraw, tym samym uprzedmiotowując i urzeczywistniając idee społeczeństwa obywatelskiego.¹⁷

Wyniki analiz wybranych wskaźników i współczynników dotyczących ruchu naturalnego ludności miast województwa nie są niestety korzystne. Już dzisiaj społeczności lokalne żyjące w tych miastach są demograficznie stare i wydaje się to być tendencją coraz bardziej trwałą. W nowym, globalnym, podręczniku *Socjologii* profesor Anthony Giddens, zauważa za Petersonem, zjawisko siwienia populacji. Zjawisko siwienia populacji wynika z 2 trendów długofalowych obecnych w społeczeństwach poprzemysłowych: zmniejszającej się dzietności oraz wydłużającej się średniej długości życia. A przecież jak to wskazują prognozy demograficzne około 2050 w przybliżeniu 1/3 mieszkańców współczesnych społeczeństw będzie miała więcej niż 65 lat.

Jorgen Randers w pracy *Rok 2052. Globalna prognoza na następne czterdzieści lat*, zauważa, że „Liczba ludności na świecie osiągnie wartość maksymalną dużo wcześniej niż w 2052 roku (w istocie dziesięć lat wcześniej) wskutek ciągłego spadku liczby dzieci przypadających na kobietę, ten spadek będzie tylko częściowo zrekompensowany ciągłym wzrostem średniej długości życia.”¹⁸

Z pewnością można podjąć próby stworzenia szerokiej platformy możliwości dla rozwoju tzw. srebrnej ekonomii i gospodarki. Należy zadbać o ludzi starszych, by mieli po pierwsze i miejsca pracy, poprzez wydłużenie wieku aktywności zawodowej do 67 roku oraz konieczności powrotu na rynek pracy

i usług, choćby w ograniczonym zakresie. Po drugie, zaistnieje potrzeba aby część tych osób przyjąć z powrotem na rynek pracy i to nie jest odległą przyszłością, ponieważ trzeba będzie uzupełnić istotne braki w specjalistycznych sektorach rynku pracy, w tym usług, w szczególności w sferze socjalnej. Należy pamiętać, że roczniki wyżu demograficznego z lat pięćdziesiątych, a była ich prawie cała dekada, właśnie wkracza w wiek emerytalny. I to dla nich należy wykreować te nowe, istotne części polityki społecznej, nieomal w każdym z dziesięciu obszarów szczegółowych, wskazanych choćby przez profesora Juliana Auleytnera. Na całym świecie, a w szczególności w starych krajach UE ‘srebrna gospodarka’ jest istotnym modulem gospodarek krajowych i mechanizmów wzrostu gospodarczego. U nas jeszcze tak zintegrowane moduły w gospodarce nie istnieją, choć pojawiły się pierwsze przedsięwzięcia tego typu. Im szybciej zrozumiemy także i w lokalnej skali o potrzebie rozwoju tej sfery, tym mniejsze będą zapóźnienia, straty i szkody – także i te społeczne.

Planowanie dla przyszłości będzie też wiązało się z odkrywaniem nowej jakości i wartości związanych z demograficzną starością oraz aktywnością i powrotem do aktywności, w tym i zawodowej osób starszych w życiu społecznym województwa śląskiego i małopolskiego, które zawarły samorządowe porozumienie w 2013 roku w sprawie zintegrowanego rozwoju i planowania społecznego. Nie należy też zapominać o nowej, groźnej klasie, jak ją określił Guy Standing, czyli prekariacie, która rośnie w szczególności w regio-

nie górnośląskim, siedzibie wielu uczelni i absolutnie rozregulowanego rynku pracy.¹⁹ To młodzi mieszkańcy tych województw, niejednokrotnie dobrze wykształceni, ale bez pewności budowania własnej przyszłości (umowy śmieciowe, zastępstwa, okresowe zatrudnienie itd.), którzy nie zamierzają aktualnie zakładać swoich rodzin i nakierowani są na migrację za pracą i lepszymi warunkami socjalnymi. A bariera znajomości języka obcego w perspektywie kilku lat przestanie istnieć. Należy też wykorzystywać obszar Zagłębia Dąbrowskiego, który ma specyficzną rolę do odegrania w połączeniu województwa śląskiego i małopolskiego. Obszar ten może być tym mostem łączącym, jednak odmienny Śląsk i odmienną Małopolskę, z racji właśnie posiadania części korzeni małopolskich i śląskich tradycji pracy na przykład. Należy, zatem przeorientować działania samorządu, społeczności lokalnych subregionu na przygotowanie zintegrowanej, ewaluowanej i modyfikowanej stosownie do potrzeb polityki społecznej, w tym polityki szczegółowej w zakresie edukacji, właśnie dla wieku starszego – i to szkół, i różnego rodzaju stowarzyszeń, organizacji, pewnego modelu pracy ze środowiskiem osób starszych. Przyszłość bowiem obydwu województw a ich miast w szczególności jest zorientowana na aktywne społeczeństwo seniorów oraz wspólnie żyjącego w tej przestrzeni prekariatu młodych mieszkańców wymienionych regionów (do niego mogą dołączyć także i osoby starsze – zgodnie z definicją G. Standinga).

Krzysztof Czekaj – socjolog, dr hab., profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie, gdzie kieruje Katedrą Socjologii Stosowanej i Dezorganizacji Społecznej w IFiS. Specjalista i praktyk pracy socjalnej (konsultant MOPS-u Siemianowice Śl. od 2000 r.), polityki społecznej, pomocy społecznej. Absolwent i od 1980 do 2009 r. pracownik Instytutu Socjologii US. Autor i współautor 20 książek, m.in. monografii miast: *Ruda Śląska* (współautor, 2009), *Świętochłowice* (współautor, 2006), *Częstochowa* (współautor, 2005), Gliwice (współautor, 2002) oraz ponad 85 publikacji polskich i zagranicznych (m.in. *The Chicago School of Sociology's heritage in Polish sociology. W: The Tradition of the Chicago School of Sociology. Red. Luigi Tomasi.* (Aldershot-Sydney 1999) w zakresie socjologii miasta, socjologii problemów społecznych, pracy socjalnej, polityki społecznej, planowania społecznego, socjologii grup dyspozycyjnych. W swoich badaniach koncentruje się na problemach społecznych w miastach polskich, w szczególności Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, wykorzystując wypracowaną przez siebie unikalną metodę map problemów społecznych wraz z diagnozami zjawisk i problemów społecznych służących wypracowaniu strategii rozwiązywania problemów społecznych i polityki społecznej. W roku 2010 laureat nagrody indywidualnej PAN w zakresie socjologii im. Ludwika Krzywickiego za książkę pt. *Socjologia szkoły chicagowskiej i jej recepcja w Polsce (pierwszej polskiej monografii na ten temat)*. Członek PTS, Polskiego Stowarzyszenia Szkół Pracy Socjalnej, Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej oraz Oddziału Śląskiego PAN w Katowicach.

PRZYPISY:

¹ Na temat koncepcji i teorii kapitałów ludzkich i społecznych zob. dla przykładu: *Aktywizacja kapitału ludzkiego – dylemat teorii a praktyka małych i średnich miast*. Red. A. Bartoszek, K. Czekaj, Wyd. GWSH, Katowice 2010 oraz *Kapitały ludzkie i społeczne a konkurencyjność regionów*. Red. M. S. Szczepaniak, K. Bierwiazczek, T. Nawrocki. Wyd. US. Katowice 2008.

² *Socjotechnika. Praktyczne zastosowania socjologii*. Red.: A. Podgórecki. Warszawa 1968, s. 9-34; oraz A. Podgórecki: *Zasady socjotechniki*. Warszawa 1966.

³ *Socjotechnika. Praktyczne zastosowania socjologii*. Red.: A. Podgórecki. Warszawa 1968, s. 9-10

⁴ Tamże, s. 29.

⁵ Tamże, s. 30.

⁶ Tamże, s. 30.

⁷ *Regiony i regionalizmy w Polsce współczesnej*. Red. W. Świątkiewicz. Katowice 1998.

⁸ T. Nawrocki, 2006, Trwanie i zmiana lokalnej społeczności górnicy na Górnym Śląsku. Na przykładzie Murck. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice

⁹ Zespół badawczy J. Wódza od lat siedemdziesiątych prowadził też systematyczne badania nad zjawiskami dezorganizacji i patologii społecznej, w tym przestępczości. Badania te nabrały szczególnego znaczenia w okresie transformacji systemowej. Zob. np. J. Wódz: *Z zagadnień organizacji życia społecznego w osiedlach*. Patologia społeczna w osiedlach. Katowice 1982; *Patologia społeczna w starych dzielnicach miast Górnego Śląska*. Red. J. Wódz. Katowice 1983; *Normy społeczne. Ład Społeczny. Patologia Społeczna*. Na podstawie badań empirycznych w starych dzielnicach miast Górnego Śląska. Red. J. Wódz. Katowice 1985; *Ład Społeczny w starej dzielnicy mieszkaniowej*. Zagadnienia organizacji i dezorganizacji społecznej. Red. J. Wódz. Katowice, 1986; J. Wódz: *Patologia społeczna w życiu codziennym miasta*. Katowice 1988; K.

Czekaj: *Obszary zagrożone dezorganizacją społeczną w przestrzeni miasta*. Powrót zapomnianej metody. W: *Przestrzeń znacząca*. Studia socjologiczne. Red. J. Wódz. Katowice 1989; J. Wódz: *Problemy patologii społecznej w mieście*. Warszawa 1989; K. Czekaj, J. Wódz, Miasto – ekologia społeczna – patologia społeczna. Katowice 1991; J. Wódz: *Badanie problemów społecznych w mieście*. – Od tradycji chicagowskiej po współczesne inspiracje. W: *Szkola chicagowska w socjologii*. Red. K. Wódz, K. Czekaj. Katowice-Warszawa 1992; czy też J. Wódz, K. Czekaj: *Patologia społeczna w aglomeracji miejskiej regionu Górnego Śląska*. Specyfika zjawiska w regionie poddanym restrukturyzacji gospodarki. Warszawa 1993.

¹⁰ Na przestrzeni dziesięciu lat od 1997 do 2012 zespół prowadzony przez K. Czekaja opracował dwanaście monografii problemów społecznych miast Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego i Częstochowy, których wykaz znajduje się w literaturze przedmiotu obecnego studium. W przygotowaniu znajduje się sześciotomowe opracowanie podsumowujące badania w tych miastach, których poszczególne tomy dotyczą bezrobocia, pomocy społecznej, uzależnień, wykroczeń i przestępczości dorosłych i nieletnich, udokumentowane są mapami punktowymi poszczególnych problemów w tych miastach, ukażą się w latach 2016-2018.

¹¹ Szerzej zobacz w K. Czekaj, *Socjologia szkoły chicagowskiej i jej recepcja w Polsce*, Wyd. GWSH, Katowice 2007.

¹² Do opracowania powiatowej strategii rozwiązywania problemów społecznych zobowiązuje samorząd powiatowy Ustawa o pomocy społecznej z 1989 roku wraz z późniejszymi zmianami z roku 2004;

¹³ Krótka charakterystyka tych badań np. w K. Czekaj, M. Zawartka-Czekaj, *Kształtowanie przestrzeni miejskiej współczesnych śląskich miast przez zjawiska i problemy społeczne w oglądzie map badawczych*

w socjologii. *Silesian Cities Series 1997-2010*. W: *Kształtowanie współczesnej przestrzeni miejskiej*. Red. Mikołaj Madurowicz. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa 2014. [s. 307-336]

¹⁴ Czekaj Krzysztof, Mossakowska Teresa, Niesporek Andrzej, Zawartka Monika. 2002. Gliwice 2001. Kwestie społeczne górnośląskiego miasta u progu XXI wieku. Katowice; Czekaj Krzysztof, Niesporek Andrzej, Piękarowski Marek, Zawartka Monika. 2002. Częstochowa i problemy społeczne jej mieszkańców na przełomie XX i XXI wieku. Katowice; Czekaj Krzysztof, Zawartka Monika. 2005. *Częstochowa. Społeczność lokalna w procesie zmian*. Katowice; Czekaj Krzysztof, Niesporek Andrzej, Zawartka-Czekaj Monika. 2006. *Świętochłowice. Kwestia społeczna – polityka społeczna – planowanie społeczne*. Katowice; Czekaj Krzysztof, Niesporek Andrzej, Zawartka-Czekaj Monika. 2009. *Ruda Śląska*. Od problemów społecznych górnośląskiego miasta do polityki miejskiej. Katowice; Czekaj Krzysztof, Sztumski Janusz, Zawartka-Czekaj Monika. 2012. *Tarnowskie Góry; problemy społeczne – polityka miejska – działanie społeczne*. Katowice (w przygotowaniu wydawniczym).

¹⁵ A. Bartoszek, K. Czekaj, D. Trawkowska (red.), 2012, *Diagnoza problemów społecznych i monitoring polityki społecznej dla aktywizacji zasobów ludzkich w Katowicach*. Wyd. Para, U. Śl. Katowice,

¹⁶ K. Czekaj (red.), 2012, *Bielsko-Biała, Zjawiska i problemy społeczne 2010: fakty i opinie*, Wyd. Para, Bielsko-Biała

¹⁷ Obecnie w przygotowaniu jest socjologiczny podręcznik tego typu K. Czekaj, *Mapy w socjologii wizualnej*. Nowe otwarcie. (w opracowaniu redakcyjnym)

¹⁸ J. Randers, *Rok 2052. Globalna prognoza na następne czterdzieści lat*. WSP Warszawa 2014, s. 95.

¹⁹ G. Standing, *Prekariat: nowa niebezpieczna klasa*, PWN Warszawa 2014.

Z profesorem JULIANEM GEMBALSKIM
rozmawia MAREK LYSZCZYNA



Zdjęcia Zbigniew Sawicz

Renesans muzyki organowej

– Niedawno obchodziliśmy dziesiątą rocznicę powstania Muzeum Organów Śląskich. Jak ocenia pan dekadę działalności tej placówki?

– Przede wszystkim, przez ten czas bardzo się rozwinęło. Po drugie, ciągle wzrasta świadomość, że to muzeum jest ważnym składnikiem kultury nie tylko Śląska, ale również całego kraju. Kiedy mówi się o Akademii Muzycznej w Katowicach, to mówi się także o Muzeum Organów Śląskich, bo jest to nadal jedyne takie muzeum w Europie środkowo-wschodniej. Najbliższe dwa takie muzea mamy w Niemczech, ale pozostałe kraje ościenne, nie mają takich inicjatyw i nie mają takich muzeów.

– **Zatem jest to wyjątkowe muzeum w skali nie tylko kraju, ale też**

tej części Europy. Jaka była historia jego powstania?

– Muzeum powstało jako rezultat moich wieloletnich badań nad organami śląskimi, które prowadziłem w dawnej diecezji katowickiej, sięgającej kiedyś od Lublińca aż po Beskidy. Kiedy zostałem archidiecezjalnym wizytatorem organów, moim obowiązkiem było sprawdzanie tych instrumentów, określanie kierunków ich ochrony i konserwacji. Często wewnątrz organów a także w wieżach kościołów czy w innych pomieszczeniach odnajdowałem elementy stołu gry, włączniki rejestrowe, pojedyncze piszczałki. Szybko sobie zdałem sprawę, że to jest bardzo ważny materiał badawczy oraz świadectwo dawnego budownictwa

organowego, które zasługuje na ochronę i opracowanie naukowe. Bardzo często organy niesprawne, zużyte czy zniszczone przez szkodniki drewna po prostu likwidowano, a ich części łądowały na przykład w kotłowniach lub były rozprasane. W tym momencie powstał pomysł by stworzyć placówkę, która będzie to gromadzić, opracowywać oraz eksponować. Najpierw pojawiła się idea muzeum, następnie, kiedy w 1992 roku zostałem prorektorem Akademii Muzycznej, uzyskałem odpowiednie pomieszczenia, by znalezione elementy gromadzić i opracowywać. Na początku zbierałem wszystko w domu, niektóre większe elementy były zabezpieczane w kościołach. W międzyczasie zostałem rektorem i na koniec mojej kadencji, w 2004 roku, przedstawiłem Senatowi projekt powołania placówki muzealnej, działającej w ramach mojej katedry. Bazą byłyby moje zbiory, które zamierzałem przekazać uczelni. Obecnie muzeum ma status jednostki naukowo-badawczej. Nie jest to więc muzeum oparte o przepisy Ustawy o muzeach i ochronie zabytków, ale ma te same cele, jak każde muzeum. Nam taki status odpowiada, ponieważ posiadanie placówki muzealnej jest dla uczelni bardzo korzystne i wpływa na jej potencjał naukowy. Możemy na przykład pozyskiwać granty i realizować projekty związane z badaniami nad dawnymi organami śląskimi. Mój następcą na stanowisku rektora, profesor Eugeniusz Knapik przyznał mi kolejne pomieszczenia, akurat opuszczone przez bibliotekę (ponieważ wybudowano nową część szkoły) i mogła powstać stała ekspozycja. Taki był początek.

– **Muzeum wyłoniło się z pana badań i zgromadzonych eksponatów. Trudno było przekształcić takie prywatne zbiory w instytucję o charakterze muzealnym?**

– Trudności nie było w znaczeniu merytorycznym, natomiast szybko okazało się, że brakuje miejsca. Kiedy zaczęliśmy, mieliśmy dwa małe pomieszczenia ekspozycyjne oraz moje biuro jako kierownika katedry i magazyn w budynku na ulicy Szafranka. Kiedy muzeum rozpoczęło działalność, zaczęli się zgłaszać proboszczowie i inne osoby, które miały eksponaty do przekazania. Trzeba było zaadaptować korytarz, który w dawnej bibliotece był ciągiem komunikacyjnym, a który obecnie również jest przestrzenią ekspozycyjną. W międzyczasie przejęliśmy bardzo wiele eksponatów, nie tylko ze Śląska. Muzeum specjalizuje się w organologii śląskiej, eksponaty głównie pochodzą z Górnego oraz Dolnego Śląska, ale mamy także instrumenty na przykład z południowo-wschodniej Polski. Obecnie negocjujemy przejęcie

siedemnastowiecznego instrumentu spod Kluczborka, ale nie mamy gdzie go eksponować ze względu na brak miejsca. Ilość eksponatów ciągle wzrasta, a ekspozycja powinna być „drożna” dla zwiedzających. Przychodzi bardzo dużo ludzi, którzy muszą się w muzeum swobodnie poruszać. Możemy przyjmować maksymalnie dwudziestopięcioposobowe grupy, inaczej robi się tłok.

– **Muzeum to także działalność naukowa. Na czym polega ten obszar działalności?**

– Wiąże się on z działalnością mojej katedry. Trzy lata temu wystąpiłem o grant badawczy na stworzenie następnej instytucji, *Archiwum Organologicznego*, która ma wyraźnie cel naukowy i gromadzi wszystko, co dotyczy organów śląskich. Zbieramy dokumenty, archiwalia, nuty muzyki kościelnej, dokumenty życia muzycznego związanego z organami. Początkiem były znowu moje prywatne zbiory, które powstały ponad czterdzieści lat i zawierały także dokumenty, które gromadził mój ojciec. Był on melomanem, chodził na koncerty, zachowywał programy, zbierał wycinki prasowe. W zbiorach, które przekazałem uczelni są unikatowe programy koncertów organowych z lat pięćdziesiątych, także programy przedwojenne. Wtedy to była rzadkość, ale po wojnie uczelnia organizowała poranki muzyki organowej, na które jako chłopak chodziłem z ojcem. W kościołach koncerty organowe odbywały się bardzo rzadko, ze względów ideologicznych działalność muzyczna w kościołach była bardzo ograniczana. Stałe koncerty były jedynie w kościele św. Barbary w Bytomiu, gdzie organistą był Otton Baron. Chodziliśmy z ojcem na te koncerty a ich programy są dziś w zbiorach naszego archiwum.

Działalność badawcza polega przede wszystkim na opracowywaniu zbiorów i publikowaniu zarówno prac badawczych jak i materiałów pokonferencyjnych. Zorganizowałem pięć konferencji naukowych pt. „Organy na Śląsku”, szosta była poświęcona fisharmonii. Ich efektem są książki i artykuły poświęcone organom na Śląsku. Poza tym pracownicy mojej katedry również są zaangażowani w pracę naukową związaną z muzeum i nauczaniem gry organowej. Staramy się podchodzić do problematyki organów i muzyki organowej w sposób integralny. Zajmujemy się więc zarówno historią, w tym badaniami źródłowymi, problematyką konserwatorską, konstrukcją, jak i zagadnieniami nauczania i artystycznego wymiaru muzyki organowej.

– **A mieszkańcy Śląska? Mają świadomość organowego dziedzictwa swojego regionu?**

– Myślę, że coraz większą. Bardzo się z tego cieszę i obserwuję coraz



większe zainteresowanie muzeum nie tylko przez mieszkańców naszego regionu. Na przykład w ostatnich trzech latach pojawiło się wielu słuchaczy *Uniwersytetów Trzeciego Wieku*. Są to duże grupy, interesują się organami i odkrywają ich piękno, historię i skomplikowaną konstrukcję, nadto słuchają muzyki organowej i przekonują się o tym, że organy są ważną częścią dziedzictwa ziemi, na której żyją. Oprawdanie często rozpoczynam od pytania o znajomość instrumentów muzycznych. Okazuje się, że świadomość istnienia np. instrumentów orkiestrowych jest bardzo mała, natomiast o organach każdy coś już wie, a na pewno je słyszał i widział, choćby w kościele, do którego uczęszcza w niedzielę. Wielu zwiedzających kojarzy np. organy w Oliwie, Kamieniu Pomorskim, Fromborku. W świadomości społecznej organy są więc bardzo mocno ugruntowane. Dopiero w muzeum odkrywają, że w tych organach jest tak dużo części, że jest to tak bardzo skomplikowana maszyna, która do tego ma aż tak długą historię: dwadzieścia trzy wieki.... Ekspozujemy w muzeum także materiały pomocnicze w postaci plansz, które może nie są obiektami muzealnymi, ale wyjaśniają, ilustrują zasady funkcjonowania mechanizmów organów, ukazują ich przekrój, budowę itp. To bardzo pomaga w rozumieniu ekspozycji, których są częścią. Mamy duży dział ikonograficzny, w którym znajdują się wydobyte z archiwów rysunki, plany oraz fotografie. Celem archiwum jest również ocalenie od zapomnienia myśli o organach, czyli wszystkiego tego, co towarzyszy projektowaniu i refleksji o tym instrumencie. Zwróciłem się do organmistrzów, żeby swój dorobek w postaci dokumentacji, projektów, przekazywali do muzeum, gdzie zostanie on zachowany i opracowany. Bywały przypadki, że po śmierci organmistrza

czy likwidacji firmy rodzina wyrzuciła wszystko lub też dokumentacja uległa rozproszeniu. Celem muzeum i archiwum jest zabezpieczenie dla potomnych takich właśnie dokumentów a nawet całych zespołów akt, stanowiących spuściznę organmistrza. Jest to tym ważniejsze, że do lat siedemdziesiątych na Górnym Śląsku nie prowadzono żadnych badań na temat organów, uważając ten obszar badawczy za wrogi ideologicznie (dorobek Kościoła), nadto należący w większości do dorobku dawnego państwa niemieckiego. Straty dla nauki i kultury śląskiej były ogromne. Organy przez pierwsze trzydzieści lat po wojnie nie stanowiły przedmiotu badań, a brak ochrony prawnej doprowadził wiele z nich do unicestwienia. Nie było również refleksji naukowej nad muzyką organową i muzyką kościelną, integralnie z nią związaną.

– **Chciałem spytać o to w dalszej części, ale skoro pan przywołał ten temat, to porozmawiajmy chwilę o tych wartościach, które niesie muzyka organowa. Organy są częścią dziedzictwa chrześcijańskiej Europy. Dziedzictwa, które dzisiaj coraz częściej jest atakowane.**

– Widzimy to i myślę, że przypomnienie tego dziedzictwa jest także częścią misji Katedry Organów i Muzyki Kościelnej. Przyznajemy się do tego, że wyrastamy z tradycji chrześcijańskiej i pielęgnujemy ten obszar kultury, który mocno kształtuje osobowość człowieka... Muzyka organowa, niosąca wartości sakralne, związana jest z podstawowym wymiarem człowieka, z jego relacją do Boga, sensem życia i chrześcijańską wizją świata. W tym mieści się także chrześcijańska kultura, której częścią jest muzyka sakralna. Dlatego trzy lata temu otworzyliśmy kolejny kierunek – *Muzyka Kościelna*, żeby kształcić fachowców w tej dziedzinie. Jest to potrzebne z wielu względów. Or-

ganista, zwłaszcza w mniejszym środowisku, jest często jedynym zawodowym muzykiem, który może animować i tworzyć kulturę muzyczną i poprzez nią budować trwałe wartości. Kościół w swej misji wychowawczej, która jest częścią ewangelizacji, również dostrzega konieczność oparcia się na ludziach kompetentnych, potrafiących tworzyć wysoką kulturę muzyczną i dbających o piękno liturgii. Idea powołania takiego kierunku spotkała się z poparciem ówczesnego metropolity, księdza arcybiskupa Damiana Zimonia.

– **Wróćmy do konteksty śląskiego. Czy to, że tu istnieje jedyne w kraju i jedno z nielicznych w Europie takie muzeum wynika z faktu, że Śląsk jest pod tym względem wyjątkowy na tle innych regionów Starego Kontynentu? Czy istniał tu jakiś szczególny ruch, działali sławni budowniczkowie organów?**

– Tak, na pewno. Śląsk jest szczególnym regionem, w którym spotykały się najważniejsze prądy europejskiego budownictwa organowego. Jest konglomeratem kultur, które się przenikały, swoistym „szmaragdem”. Ukazujemy to także w naszych ekspozycjach, w których odnajdziemy dorobek trzech obszarów, tym samym trzech narodów: Polski, Czech i Niemiec. Nurt niemiecki był najsilniejszy, bo wiadomo, że Śląsk przez siedemset lat do Polski nie należał, a budownictwo organowe na tych terenach, zarówno w czasach Habsburgów jak i po wojnach śląskich było tu na najwyższym poziomie. Mówi o tym m.in. ekspozycja stała pt. *Dziedzictwo utracone*, ukazująca archiwalne fotografie cennych organów dawnych wieków, zniszczonych niestety podczas wojny i zaraz po niej. Wrocław był w osiemnastym wieku jednym z największych ośrodków budowy organów w Europie, o czym po wojnie zapomniano. Dziś przypominamy, że to dziedzictwo było porównywalne z dziedzictwem Saksonii, Turynii, a także Francji i Północnej Europy, gdzie były wielkie ośrodki budowy organów. Śląsk był jednym z takich centrów europejskiego budownictwa organowego.

– **Wrocław obecnie przygotowuje się do odbudowy słynnych organów mistrza Englera w kościele św. Elżbiety. Na czym polega taka praca?**

– Idea odbudowy spalonych w 1976 roku organów kościoła św. Elżbiety narodziła się bardzo dawno, jednak unikatowość obecnego projektu polega na stworzeniu repliki dawnego instrumentu w formie oryginalnej, czyli takiego, jaki zbudował w 1761 roku Michael Engler. Moim zadaniem było m.in. opracowanie oceny bogatej dokumentacji archiwalnej istniejącej na temat instrumentu a także stworzenie założeń technologicznych budowy jego repliki.



Zespół, którym kieruje dr Bogdan Tabisz, pracuje już prawie siedem lat. Przedsięwzięcie ma ogromne znaczenie dla europejskiego dziedzictwa kulturowego, jest zadaniem niezwykle trudnym i kosztownym, ale ufamy, że zakończy się powodzeniem.

– **Stworzenie repliki organów historycznych posiada zatem swoją specyfikę. A jak wygląda projektowanie i budowanie nowych instrumentów, takich jak na przykład: oddane w ubiegłym roku organy w Filharmonii Śląskiej zbudowane według pana projektu?**

– Doświadczenie jest ciekawe, każdy instrument projektuje się inaczej, każdy przeznaczony jest do innego wnętrza. Stworzenie idei organów do sali koncertowej, do współpracy z orkiestrą jest pasjonujące, ponieważ mają one zupełnie inną funkcję niż te w kościele. Opracowałem więc założenia brzmieniowe i wstępne założenia techniczne, które umożliwiają realizację bardzo szerokich zadań artystycznych, od wykonywania recitali po akompaniament solistom, chórom i grę z orkiestrą symfoniczną i kameralną. Projekt zrealizowała firma Karl Schuke z Berlina, która wygrała przetarg. Muszę dodać, że pomimo trudności, związanych z kłopotami budowlanymi i szkodami górniczymi, dzieło doprowadzono do szczęśliwego końca i 28 marca 2014 roku mogłem po raz pierwszy organy zaprezentować publiczności. Pojawił się na Śląsku znakomity instrument, który wpisuje się odtąd w jego bogatą kulturę muzyczną. Pod koniec lutego 2016 roku przybędzie nam kolejny wspaniały instrument, tym razem w Akademii Muzycznej. Pozytywny wynik przetargu umożliwił podpisanie umowy ze słoweńską firmą „Skrabl”, która zbuduje 24-głosowe organy w historycznej Auli im. Bolesława Szabelskiego. Organy również za-

projektowałem pod kątem muzyki kameralnej, ale także dydaktyki i interpretacji szerokiego obszaru muzyki wczesnoromantycznej. Ufam, że i w tym wypadku powstanie instrument o najwyższych walorach artystycznych i technicznych.

– **Czy buduje się dzisiaj także instrumenty kameralne, takie jak pozytyw czy regal?**

– Tak. Pozytyw są dziś potrzebne do wykonywania muzyki kameralnej i muzyki oratoryjno-kantatowej, dlatego obok dużych organów w kościołach buduje się różnego typu małe przenośne pozytywy i portatywy. Instrumenty takie towarzyszą zespołowi, kiedy muzyka wykonywana jest w prezbiterium. W czasach Bacha kantaty, oratoria czy muzykę wokalną wykonywano z dużymi organami, a zespół znajdował się na chórze. Dziś, kiedy większość tego typu muzyki wykonuje się w wersji koncertowej, w prezbiterium, potrzebny jest mały instrument współpracujący z zespołem kameralnym. Często na pozytywwie gra dyrygent, który realizuje *basso continuo*. Budowa takich przenośnych organów nie jest prosta, więc budują je w Polsce nieliczni organmistrzowie. Ciekawy pozytyw zbudowała m. in. pani Marta Kogut, która pracuje w muzeum i pierwszy swój instrument zbudowała w ramach pracy dyplomowej. Potem odbyła kilkuletnią praktykę w firmie Karl Schuke w Berlinie, gdzie także zbudowała portatyw, wzorowany na instrumentach średniowiecznych. Trzy pozytywy zbudował już pan Stanisław Pielczyk, także absolwent i pracownik naszej uczelni. Jeden z nich towarzyszy wielu zespołom muzyki dawnej w Polsce, w koncertach i nagraniach muzyki dawnej. Świetny pozytyw zbudował inny śląski organmistrz – pan Henryk Hober z Olesna, zaś pierwszy na Górnym Śląsku pozytyw zbudował dla naszej uczelni – około 2000 roku za-

służony organmistrz katowicki – pan Mieczysław Klonowski. Instrument ten służy koncertom, dydaktyce oraz badaniom, tym bardziej że strojony jest w stroju historycznym, dającym zupełnie inny niż współczesne instrumenty efekt brzmieniowy. Obok służbie muzycy koncertowej pozytywy mogą pełnić funkcję organów akompaniujących w prezbiterium kantorowi lub scholi podczas liturgii.

– **Zapytam teraz o kontekst operowy, w którym też organy się przecież pojawiają. Mam na myśli przypomniane od czasu do czasu pomysły przeniesienia Opery Śląskiej z Bytomia do Katowic. Ten pogląd nie wydaje mi się zbyt fortunny, o wiele lepszą ideą byłby stworzenie opery kameralnej, zwłaszcza że ostatnimi czasy przybywa środków na rozwój infrastruktury kultury.**

– Powiem tak: ten pierwszy pomysł nie jest najlepszy. Historycznie opera bytomska jest budynkiem o wiele lepiej przystosowanym niż teatr w Katowicach. Jednak fuzja dwóch budynków w jednej instytucji była dobra. Jako dziecko z moją mamą chodziłem na operę w Katowicach, to był zawsze poniedziałek. W niedzielę wystawiano opery w Bytomiu, a potem w poniedziałek w Katowicach. Niestety bytomski budynek operowy został zniekształcony poprzez przebudowę. A przecież powstał z myślą o operach Richarda Wagnera! Potem ze względów przeciwpożarowych zlikwidowano skrzynie rezonansowe pod estradą, co z pewnością przyczyniło się do zmiany akustyki. Ta historia została chyba opisana, o ile pamiętam, przez Tadeusza Kijonkę, byłego kierownika literackiego opery. Myślę, że należy zostawić taki układ, w którym jedna instytucja funkcjonuje na dwóch scenach. A jeżeli nie ma przeszkód w porozumieniu z Te-



atrem Śląskim, to niech to tak funkcjonuje nadal. Natomiast drugie pytanie, o operę kameralną... Kiedy byłem prorektorem, (rektorem był profesor Jan Wincenty Hawel), rozbudowywaliśmy budynek przy ulicy Krasińskiego, w którym jest sala teatralna na ok. sto osób. Moim marzeniem było stworzenie tam opery kameralnej. Z różnych powodów do tego nie doszło, czego bardzo żałuję. W późniejszych latach próbowaliśmy zachęcić środowisko do realizacji takiego pomysłu – wówczas już intensywnie wprowadzaliśmy historyczną praktykę wykonawczą. Kupiliśmy pierwszy klawesyn – kopię instrumentu barokowego, zamówiliśmy pozytyw, prowadziłem wykłady z dawnej praktyki wykonawczej, wreszcie zatrudniliśmy wybitnego muzyka zajmującego się muzyką dawną – Marka Toporowskiego. Nie było jednak pomysłu na operę kameralną... Odbyło się co prawda kilka przedstawień, nie powstał jednak stały zespół, który mógłby działać na wzór np. Warszawskiej Opery Kameralnej. Moim marzeniem było stworze-

nie opery kameralnej w typie barokowym, z małym zespołem na scenie czy w prosceum, ale wydaje się, że kształcenie – zwłaszcza śpiewaków, było wówczas mocno osadzone w tradycji romantycznej. Później dokonano pewnych zmian w procesie kształcenia i w działalności koncertowej – np. przy wykonywaniu dzieł Haendla czy Pergolesiego korzystano z akompaniamentu klawesynowego, podczas gdy wcześniej akompaniowano starą muzykę głównie na fortepianie. Sama scena stała się z czasem sceną dydaktyczną, wykorzystywaną właściwie głównie przez kierunek jazzu. Ale pytanie jest zasadne... bo opera kameralna to olbrzymi repertuar i zupełnie inna estetyka, niż wielka opera romantyczna.

– **W świadomości mieszkańców Śląska jest pan nierozwrotnie związany z muzyką organową, który instrument po organach jest panu najbliższy?**

– Fortepian. Od dzieciństwa uczyłem się gry fortepianowej, szkołę średnią (im. M. Karłowicza w Katowicach) ukończyłem w klasie głównego fortepianu, u prof. Wandy Uszak, a później, już na studiach, trzy lata studiowałem fortepian pod kierunkiem prof. Józefa Stompla. Nie ukończyłem go, gdyż poświęciłem się teorii i grze organowej. Fortepianu jednak nie zdradziłem, a po latach wróciłem do czynnego grania, występując jako pianista, zarówno jako solista jak i akompaniator. Od ponad 15 lat występuję ze śpiewaczką, panią prof. Elżbietą Grodzką-Łopuszyńską, więc na koncertach gram na fortepianie, a w kościołach na organach. Dużo też ćwiczę na fortepianie, co pozwala mi utrzymywać dobrą kondycję techniczną i formę, która wymaga stałej pracy. Fortepian jest – moim zdaniem – niezbędny do dobrej gry organowej, dlatego umiejętności gry fortepianowej wymagam także od moich studentów.

– **Dziękuję bardzo za rozmowę.**





Północna i wschodnia pierzeja Rynku. W głębi widoczna sylwetka pierwszego ratusza

150 LAT KATOWIC

Katowice za Diebla

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

W 1865 roku król pruski Wilhelm I Białobrody, na zamku Babelsberg w brandenburskim Poczdamie podpisał „akt urodzenia” miasta Katowice. Ich przyjście na świat przypominało przedwczesny i niechciany pológ. Ciężarną i osamotnioną matką była industrializacja a ojcem samolubny i bezwzględny – grynderski kapitalizm. W roli akuszerów wystąpili: Wilhelm Grundmann i jego zięć Richard Holtze – ludzie zaufania pruskiego junkra Franza Wincklera, pana na okolicznych włościach.

W mieście, które de facto wciąż miało wygląd tylko nieco lepszy od wiejskiego grajdoła, brakowało miejskich instytucji, w jakich bezbronny wcześniak nowych politycznych porządków mógłby wzrastać zdrowo i szczęśliwie. Na starcie liczy-

ło 4815 dusz. Władze municypalne nie miały dachu nad głową a na miejsce zebrań wybierały ciasne kąty domowych pieleszy albo sale restauracyjne. Fantastów, oszustów, karierowiczów, ale też ludzi zdolnych, ambitnych i pracowitych wiązała ze sobą myśl tworzenia nowej, burżuazyjnej wspólnoty. W pośpiesznie „skleconej kołysce” zakładały partie polityczne i organizacje towarzyskie. Spierali się i dogadywali między sobą snując wizję wymyślanych domów, obiektów użyteczności publicznej, ulic i sklepów. Na pierwszych kartach kronik dziś sławnych w świecie industrialnych aglomeracji, zawsze występuje jakaś kryta słomą chata. Pod jej strzechą rodzili się jutrzejsi robotnicy, rzemieślnicy a czasem i trochę zabawni donkiszoci. Wczorajsi junkrzy – posiadacze własności ziemskich aspirowali do kręgu magnatów przemysłowych.

Ich Katowice stawały się jedną z raczkujących osad, wznoszonych z dnia na dzień, naprędce i bez pomysłu na daleką przyszłość. Przez ponad 100 lat nie potrafiły się uporać z prawdziwie miejskim zagospodarowaniem infrastruktury i przestrzeni. Podobne kłopoty miały inne światowej sławy centra wielkiego przemysłu takie jak: Essen i Gelsenkirchen w Niemczech, Manchester i Birmingham na wyspach brytyjskich, Taszkent w Uzbekistanie, Orsk w Rosji czy Donieck albo Dniepropietrowsk na Ukrainie.

W 1865 roku do nadgranicznego kąta, wciśniętego pomiędzy Rosję i Austrię, Prusacy się jeszcze nie garnęli. Nawet ze znalezieniem kandydata na stanowisko burmistrza nie było łatwo. Rada miejska wybrała go dopiero po dziewięciu miesiącach poszukiwań. Gdy został zatrudniony, przez kolejne 7 miesięcy kompletowano skład osobowy magistrata

tu. Brakowało fachowców, ludzi kompetentnych i doświadczonych. Pierwsze posiedzenie zarządu inauguracyjne dzieje katowickiej magistratury odbyło się na początku stycznia 1867 roku.

W granicach administracyjnych nowego miasta znalazły się dawne Katowice wieś i Katowice dwór. Były tu trzy junkierskie folwarki. Najważniejszy to Karbowa (rejon obecnych ulic Francuskiej i Damrota) a także dworek i jeden tartak. Folwarki tworzyły jedno dominium, należące do właścicieli Katowic. Brynów i Załęska Hałda królewskim rozporządzeniem zostały wyłączone z ich obszaru.

Już w chwili nadania praw miejskich, społeczność Katowic była zdecydowanie mniej liczna od otaczającej ją włościńskiej ludności Brynowa, Bogucic, Szopienic, Załęża i Debu. Mieszkało tam kilkanaście tysięcy osób. Trzy razy liczniejsze podmiejskie wioski, od wieków naturalnie integrowane tradycją rodzinną i religijną, nieśpiesznie przeistaczały się w robotnicze przedmieścia. Ciąsnym kordonem opasywały enklawę coraz bogatszych lokali, murowanych domów, willi, stopniowo modernizowanych ulic i kolorowych witryn sklepowych, ostentacyjnie eksponującą zaamożność jego mieszkańców. Katowiccy Niemcy z jakimś klaustrofobicznym zapamiętaniem, nazywali to miasto „bastionem w morzu słowiańskiego żywiołu”.

Administracyjne i handlowe funkcje rodzącego się śródmieścia pełniły obiekty lokowane wokół targowiska stopniowo przekształcanego w małomiasteczkowy rynek, małowniczo usytuowany w pobliżu rozlewiska Rawy zwanego Stawem Hutniczym. Inne zakwaterowa-

no w pobliżu dworca kolejowego, w sąsiedztwie siedziby władz miejskich w okolicy skrzyżowania obecnej Stawowej z 3. Maja a także opodal Zarządu Dóbr Dworskich przy dawnej ulicy Zamkowej. W latach inauguracyjnej magistratury, kocimi łbami po raz pierwszy wybrukowano ulice dziś noszące nazwę: Pocztowa, 3 Maja, Młyńska i św. Jana. Wtedy zbudowano wiadukt nad dzisiejszą ulicą Mikołowską. Za Diebla zrodziły się pierwsze pomysły budowy miejskiego ratusza i gimnazjum.

Huty, kopalnie i fabryki wciskały się niemal do centrum miejscowości: prawie na skraj jarmarcznego placu, na działki przy obecnej ulicy Stawowej i wyżej obok Korfantego. Kominy dymiły na południe od toru kolei żelaznych gdzie kosztem przedmieścia Rolnego, rozrastało się przedmieście Fabryczne. Na północnym brzegu Rawy, obecnie powyżej ulicy Chorzowskiej sterzczały szyby górnicze najstarszych kopalń. Załęskie Przedmieście w zachodniej części miasteczka, nad Rawą i Osiekim, było enklawą pruskich familoków, kwaterujących mężczyzn, kobiety i dzieci zatrudnione w pobliskich hutach i kopalni. Po 1869 roku koloniję przecięły torowiska bocznic kolejowych do hut „Baildon” i „Marta”.

Na przeciwległym krańcu miasta funkcję sypialni i salonu miejscowych elit pełniły posesje w zbiegu dzisiejszej Francuskiej z Warszawską. Tutaj stały dwie większej urody wille. Jedna należała do Hermana Rosse, dyrektora huty „Jakub” a druga do lekarza Richarda Holtzego. Zwracały uwagę wyszukaną architekturą. Tak jak stojący w pobliżu zbór ewangelicki, otaczał je – na dworską modłę pielęgnowany ogród. Kom-

fortem i rangą zbliżyły się do Marienhofu, na przeciwnym brzegu Rawy, który był rezydencją Wincklerów.

Zabudowa stanowiła kontrapunkt dla sąsiadujących z nią, krytych słomą chałup zajmujących parcele po obu stronach dzisiejszej ulicy Starowiejskiej.

Złotousty wydrwigrosz

Poczet tutejszych burmistrzów otwiera Louis Diebel. Był mężczyzną średniego wzrostu o twarzy rumianej i okrągłej. Miał ujmującą powierzchowność. Pięknie przemawiał i kochał pieniądze. Sprawiał wrażenie zdyscyplinowanego pruskiego urzędnika. Katowiczanie przyjęli go jak fachowca z nieposzlakowaną kartoteką. Na salonowych kanapach u Grundmanna i Rossego, panie z towarzysztwa nieśmiało zapytywały czy nowy burmistrz jest potomkiem sławnego sztycharza Eliasza Diebla z Lubeki. Rekomendowały go władze rejencji opolskiej a także bywały w świecie R. Holtze, wtedy członek loży masońskiej w Tarnowskich Górach i mieszkaniec Katowic od 1851 r.

Na burmistrzowskim fotelu Diebel zasiadł 14 maja 1866 r. Miał wtedy 38 lat. Wcześniej, z podobnych obowiązków, wywiązywał się w Krapkowicach na Opolszczyźnie. Po latach wyszło na jaw, że był tam podejrzewany o jakieś machlojki. Pozytywna opinia rejencyjnych notabli była pomyłką a może fałsyfikatem. Nad Rawą kładł podwaliny pruskiej administracji. Włodarzył tu przez cztery lata i kilka miesięcy. Równocześnie z Dieblem przybył do Katowic jego znajomek Karl Bönisch, z za-



Dworzec kolejowy w Katowicach, koniec XIX wieku

wodu mistrz murarski a w magistracie wieloletni skarbnik.

Diebel stał na czele zarządu miasta. Jego zastępcą został wspomniany już Herman Rosse. Izraelitów reprezentowali dr Adolf Goldstein, jeden z najstarszych katowickich lekarzy, Samulel Minzer, kupiec i Karl Sommer, właściciel kuźni a rzemieślników cieśla Schnabel.

Funkcję przewodniczącego 22. osobowej pierwszej Rady Miasta, w której prawie połowa radnych reprezentowała środowisko żydowskie, powierzono Richardowi Holtze. Przez kolejne kadencje, pełnił ją aż do śmierci w 1891 r. Z wykształcenia był lekarzem. Z wyglądu małomiasteczkowym inteligentem w binoklach. Nosił bujną brodę i wąsy. Na zakończenie pierwszej pięciolatki podsumował działalność samorządu; palcem pokazał najliczniejszą grupę katolików przysparzających miastu przysłowiowe grosze i pochwalili liczebnie podobną gromadę żydowskich płatników jako przodujących w uiszczaniu podatku.

W 1869 r. Holtze zainstalował łożo masonską o nazwie „Zum Licht im Osten” („Ku światłu na Wschodzie”). Skupiała prominentów ale także znaczną liczbę rzemieślników, inżynierów, kupców, lekarzy i urzędników. Była jednym z ogniw ogólnoniemieckiej organizacji wolnomularskiej. Wspierała inicjatywy państwa zmierzające do wzbogacania kultury narodowej. Wilhelmiańska masoneria izolowała od jej ideowych braci z innych krajów. Przynależność do niej nobilitowała a dla tuzów burżuazyjnej elity była wręcz obowiązkiem. Pierwszy katowicki burmistrz nie jest wymieniany w spisach członków miejscowego warsztatu sztuki królewskiej.

W tym czasie Louisa Diebla osnuła sława utalentowanego oratora. Aż przed oblicze króla Prus dotarł z supliką i w pięknej mowie uprosił monarchę aby zezwolił na powołanie w Katowicach sądu rejonowego i budowę solidnego więzienia. Od 1866 roku Katowice znajdowały się pod jurysdykcją Deputacji Sądowej dla Mysłowic i okolicy. Krasomówcze wystąpienie miało miejsce 7 listopada 1869 roku, na peronie tutejszego dworca kolei żelaznych. Król Wilhelm I, zarządził krótką przerwę w podróży na polowanie w pszczyńskich lasach aby wysłuchać mandatariuszy magistratu i rady miasta. Diebel wykorzystał okazję dla wręczenia petycji. Władca, tak był wrzuszony powitalną przemową katowickiego burmistrza, że już po kilku chwilach obiecał poparcie. Potem wszystko szło jak z płatka. W następnym roku minister sprawiedliwości wydał odpowiednie zarządzenie a 1 stycznia 1872 Katowice miały już swego pierwszego arbitra w birecie, z łańcuchem i pruskim orłem na piersi.

Od tej pory do Diebla przylgnął przydomek „złotousty” a w niespełna rok później także „wydrwigrosz, defraudant i aferzysta”.



Friedrich Wilhelm Grundmann (1804-1887)

Radni pracowali w sześciu komisjach: szkolnej, budowlanej, lekarskiej, do spraw ubogich oraz rewizyjnej. Katowice były podzielone na 4 okręgi, których przed Radą reprezentowali naczelnicy.

Na magistrackich etatach, burmistrz zatrudniał czterech kancelistów, trzech kasjerów, poborcę podatków, czterech sierżantów policji i czterech nocnych stróżów. Ulice miasta i drogi za rogatkami patrolował żandarm na koniu.

Do Żydów Diebel odnosił się z zawiścią. Wielu zasiadało w radzie miejskiej i w ławach sądowych. Ich głosy miały znaczący wpływ na działalność magistratu. Inwestowali w budowę domów, otwierali fabryki, zakładali warsztaty rzemieślnicze, sklepy i restauracje. W tamtych latach obok istniejącej już synagogi wybudowali łaźnię rytualną i cmentarz przy obecnej ulicy Kozielskiej. Jednym z czołowych przedstawicieli tego środowiska był kupiec i kamienicznik, Emanuel Immerwahr, członek kolegium gminy synagogalnej. To u niego właśnie Diebel wynajął mieszkanie i w tym domu przy obecnej ulicy 3. Maja pod numerem 32, urządził biura pierwszego w mieście magistratu. Tam znajdował się municypalny skarbnic a dwie posesje dalej, przy Stawowej – izba więzienna, potocznie zwana kozą.

W 1965 r. zburzono kamienicę Immerwaha. Dziś pozostał po niej pusty plac przed głównym wejściem do „Galerii Katowickiej”.

Diebel rozpoczął pracę w nader skromnych warunkach. Jako sukcesor swego poprzednika – katowickiego sołtysa Louisa Trola, przejął pusty kałamarz i mocno podniszczoną szafę na dokumenty.

Ludzie, warsztaty i ulice

W 1869 roku w Katowicach zatrzymał się Lucjan Malinowski. W „Listach etnograficznych z podróży

po Górnym Śląsku” pozostawił opis miasteczka nad Rawą.

„Tu, zaraz na wstępie, widać, jak stare porządki ustępują nowym. Budynki nowe i piękne wypychają niskie, drewniane, zapadnięte chaty. Staranny bruk zastępuje stare błoto chroniące się w boczne ulice; i... powiedzmy prawdę, żywiol niemiecki, ze swoją kultur Kohl-sauer-jung-frauen, sztyldami na sposób berliński, rozpościera się kosztem zafocanych chłopków polskich.

Przemówiłem po polsku do jakiejś staruszki. Z radością przystanęła i zaczęła mnie objaśniać: że miasto dopiero się zakłada, niedługo stare chaty z czarnymi dachami ustąpią miejsca pięknym domom. Babka wyszła na ulicę, zawołać swego urwisa wnuka, i zaczęła go łajać po niemiecku, choć chłopak dobrze umiał po polsku. Przypomniały mi się nasze damy i ich francuzczyzna.”

W niespełna siedmiotysięcznym miasteczku nad Rawą nie brakło ludzi żyjących po europejsku. Robert Ollendorf miał własny bocykl – hit tamtych dni. Katowiczanie mieli towarzystwo śpiewacze, a od 1868 – Obywatelski Związek Strzelecki czyli Bractwo Kurkowe. Tam dominowali Niemcy, lansujący ideę niemieckiego zjednoczenia narodowego. Młodzież robotnicza i chłopska zrzeszała się w Związku Czeladników, prowadzącym też dokształcanie zawodowe. Od 1869 robotnicy i rzemieślnicy skupiali się w „Kółku Katolickim” otwartym, tak dla Niemców jak i dla Polaków – co budziło obawy Holtzego.

Wyjątkowym miejscem był dworzec kolei żelaznej z restauracją, bufetem i poczekalniami klasy I, II oraz III. Przeciętnie na dobę, przemieszczało się wtedy ponad 1200 osób. Katowicki terminal mieścił się w neoklasycystycznym gmachu. Jego elewacja zdobiły postacie górnik a hutnika. To tutaj kolejjarze zainstalowali pierwszy w mieście telegraf, którym utrzymywano łączność z Wrocławiem i Berlinem. W 1865 podobny uruchomiono na poczcie. Rozmównica telefoniczna stanęła 30 lat później. Podróżni a nierządki i miejscowi, na ciastko lub kanapkę do herbaty, przyjeżdżali nawet z dalszych okolic aby czas jakiś spędzić na oglądaniu barwnego i egzotycznego tłumu na peronach. Prowadziły stąd szlaki kolejowe do austriackiej Galicji i rosyjskiej Kongresówki. Prócz polskich chłopów i wieśniaczek w strojach regionalnych, do Katowic przybywali rosyjscy Żydzi z Ukrainy, Ormianie a także Rumuni i Chorwaci. Rosjanie stanowili wtedy grupę najliczniejszą.

1865 roku, książę pszczyński Jan Henryk XI, nadworny łowczy pruskiego króla Wilhelma I, w okolicach dzisiejszego wzgórza Wandy, nad strugą o nazwie Dupina (obecnie: Mleczna) ufundował Zwierzyniec Pszczyński („Plessische Tiergarten”) – pierwszy na Śląsku! Wpuścił do niego 4 żubry z Białowieży.

Po upadku powstania styczniowego, bracia Abraham i Józef Goldsteinowie przenieśli się z Królestwa Polskiego do Katowic. W okolicy dzisiejszego placu Wolności uruchomili tartak parowy, zaopatrywany w drewno importowane z dalekiej Ukrainy.

Istniały tu wtedy: trzy kopalnie, cztery huty, cynkownie i kilka innych przedsiębiorstw zatrudniających ponad 500 robotników, w tym także kobiety i dzieci. Pracowało w nich około 50 warsztatów rzemieślniczych, wśród nich dziesięć piekarni i osiem rzeźni.

W tym czasie, przy obecnej ulicy Damrota, otwarto zakład impregnacji drewna należący do spółki („Lauterbach u. Co.”) przez Ślązaków był nazywany „szwelownią”. W latach 70. jego jedynym właścicielem został chemik i przedsiębiorca Julius Rütgers. Katowicki oddział kooperujący z miejscową gazownią Kremskiego, był jednym z 77 podobnych jakie Rütgers posiadał na terenie Niemiec.

Od 1866 r. czynny był tu także młyn parowy Faigego oraz browar Frohlich. W następnym roku, na rogu obecnej 3. Maja i Nawelskiej, żydowski kupiec Dawid Czwiklitzer założył pierwszą fabrykę mydła o nazwie „Savona”. Było także kilka oberży, cztery hotele, lazaret, apteka, lokalny urząd pocztowy a nawet księgarnia, którą jako pierwszą w tym mieście założył Albert Littmann. Kolejną księżnicę w 1869 roku otworzył Rudolf Werner. Redagowała i kolportowała pierwszą katowicką gazetę o tytule: „Der Allgemeine Anzeiger für den Oberschlesien Industriebezirk”. W tym samym roku zadebiutował Gottfried Siwinna, najpierw księgarz i wydawca „Kattowitzer Zeitung” a po latach właściciel potężnego koncernu prasowego.

Jesienią 1869 roku ks. Rudolf Lubecki, w drewnianym kościółku przy dawnej drodze do Załęża – tam gdzie dzisiaj znajduje się gmach Filharmonii – organizował spotkania Kółka Katolickiego, jednego z najstarszych na Śląsku. Wśród animatorów polskiej ferajny znaleźli się katolicycy nauczyciele ze szkoły ludowej przy ulicy Młyńskiej: Urbańczyk, Czech i Kuczer. Wzorowało się na „kasynie”, dopiero co założonym w Królewskiej Hucie przez Karola Miarę i Juliusza Ligonía. Skupiało Polaków i Niemców. Były to najstarsze stowarzyszenia prowadzące programową działalność na rzecz zachowania polskości.

Kulisy „złodziejowego manka”

Jednym z najbardziej ambitnych projektów elity kulturalnej ówczesnych Katowic była budowa gmachu gimnazjum. Inicjatywę popierał Holtze, kupiec Salomon Hammer w imieniu środowiska żydowskiego, a także ks. Schmidt, kuratus Kościoła katolickiego w Kato-



Richard Holtze (1824-1891)

wicach. Stosowną uchwałę rada miejska podjęła w sierpniu 1869. Pomyślny obrót sprawy wzięły dopiero latem następnego roku, lecz wtedy nagle odkryto, że w miejskim skarbcu brakuje kilkunastu tysięcy talarów. Nie można było wątpić, że pieniądze zniknęły wraz z burmistrzem Dieblem. Co kryło się za kulisami skandalu – ciemnej plamy na honorze miasta i aeropagu?

Dr Zdzisław Jedynek, archiwista i historyk, szczegółowo badający poźółkłe akta wielkiej oświatowej inwestycji tamtych czasów ustalił, że burmistrz Diebel na posiedzeniu rady miejskiej po raz ostatni był obecny 8 września 1870 roku.

„Wówczas to podano do wiadomości – pisze dr Jedynek – że magistrat otrzymuje z Pruskiej Centralnej Ziemskiej Spółki Akcyjnej (Preussische Central Boden Credit Aktien Gesellschaft) w Berlinie, za pośrednictwem Prowincjonalnej Kasy Zapomogowej (Provinzial Hilfskasse) kwotę 15 000 tal. przeznaczoną na spłatę długu miasta z tytułu kwoty pobranej przez członka magistratu Hammera (Termin spłaty upływał 1 października), a resztę na pokrycie kosztów budowy gimnazjum dla kasy powiatowej i 1000 tal. na koszty wojenne. Pożyczka miała być zwrócona w ciągu 6 miesięcy.”

Kolejne posiedzenie rady miejskiej odbyło się 3 października 1870 roku. Z jego protokołów wynika, że wcześniej od Diebla zażądano wyjaśnień, bo radni z wiceburmistrzem Rosse na czele rozpatrywali już wniosek o zwolnienie z obowiązków szefa magistratu. On sam był nieobecny. W pisemnym odwołaniu „zaznaczył, że ustąpi, ale pod warunkiem, że jeśli nie stwierdzi się żadnych uchybień finansowych, to ma dostać odszkodowanie wysokości 860 talarów.” Nieobecny i nieusprawiedliwiony na tym posiedzeniu był też skarbnik Bönisch, który zdaniem dr. Jedynaka maczał palce w malwersacji. Jego przekręty wyszły na jaw dopiero w 1882 ro-

ku, kiedy złamany ciężką chorobą przekazał swoje agendy nowemu skarbnikowi.

Tymczasem w budzecie straszyla wielka dziura po 15 tysiącach talarów.

Magistracy urzędnicy i miejscy rajcowie nie mogli dłużej wątpić, że Diebel popełnił nadużycie. Do jego nazwiska i afery przyłgnęło ironiczne określenie: Diebel’scher defekt – złodziejowe manko. Listy gończe rozesłano do zagranicznych czasopism w Europie i Ameryce.

Zapewne na przełomie września i października 1870 roku, na kilka dni przed rozstrzygającym posiedzeniem rady miejskiej, Diebel zagrabiał talary, zdeponowane w magistrackim sejfie. Spakował walizki i cichaczem, nocnym pociągiem via Wrocław, a potem okrętem z Bremy przeszwarcował się za ocean.

Niecałe dwa miesiące później, dzięki listom gończym publikowanym w „New York Times”, policjanci ze stanu Maryland, zatrzymali defraudanta na dworcu kolejowym w Baltimooore. Podczas rewizji w jego walizkach, prócz pieniędzy znaleziono kilka złotych zegarków, kosztowną biżuterię i długi sztylet jakim walczą szkoccy górale. Podawał się za mieszkańca Filadelfii. Występował pod nazwiskiem Duling. Zeznawał, że chciał kupić wiejskie gospodarstwo i pracować na farmie.

Do konsula niemieckiego Dressela w Baltimore, katowiccy rajcy wysłali telegram z prośbą o zwrot łupu pisząc, że „biedna gmina” potrzebuje pieniędzy. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem 1870 roku, Diebla ekstradowano i miał być odstawiony do Katowic.

Trafił do aresztu i tutaj, jak przypuszczają rekonstruktorzy jego biografii, miał stanąć przed sądem. Nie ma jednak archiwaliów ani relacji, które by to potwierdziły. Wiadomo natomiast, że do końca roku 1871 Katowice nie miały jeszcze sędziów ani własnego sądu rejonowego a tymczasowo zatrzymanych osadzano w prowizorycznie zmodernizowanej stajni. Znajdowała się na miejscu dzisiejszej „Galerii” handlowej przy obecnym placu Szewczyka.

Burmistrz wydrwigrosz przeszedł do wciąż animowanej legendy. W listopadzie 2014 roku „złoto Diebla” stało się motywem przewodnim historyczno-muzealnej zabawy zorganizowanej pod egidą władz miejskich Katowic a zainspirowanej przez komedię kryminalną Marty Obuch „Szajba na peronie 5”. Dwa lata wcześniej, spektaklem „Powrót do Lubeki” Marian Sworzeń wprowadził Diebla na scenę katowickiego Teatru Śląskiego.

Zdjęcia pochodzą z publikacji: Georg Hoffmann „Historia Miasta Katowice”, Muzeum Śląskie, Katowice 2003.

Z prof. WST dr. inż. arch. ANDRZEJEM GRZYBOWSKIM architektem i urbanistą, rektorem Wyższej Szkoły Technicznej w Katowicach rozmawia WIESŁAWA KONOPELSKA



Fot. Zbigniew Sawicz

Powroty, czyli renesans życia w mieście

– Wyobraża pan sobie, że w dzisiejszych czasach mogłoby powstać miasto od zera, jak to miało miejsce w początkach industrializacji?

– Jest to możliwe, ale miasto powstaje, jeśli zaistnieją tak zwane czynniki miasto-

twórcze, które są przyczyną tego, że powstaje struktura miejska. W dzisiejszych czasach musiały to być przede wszystkim czynniki gospodarcze – zresztą tak zawsze było. Kiedyś to był też czynnik obronny, położenie na ważnym szlaku han-

dlowym albo potrzeba stworzenia siedziby władzy. Obecnie może to być potrzeba utworzenia na przykład ośrodka naukowego czy uczelnianego, także komunikacyjnego. Dzisiaj właściwie wszystkie te elementy miastotwórcze zostały wykorzystane w istniejących miastach historycznych i nie ma potrzeby tworzenia nowych miast zarówno w Polsce jak i w Europie. Obserwujemy nawet przeciwny trend – zmniejsza się ilość mieszkańców ośrodków miejskich. Kiedy w naszym regionie ustały dawne czynniki miastotwórcze, jakimi były budowa kopalń i całego związanego z nimi przemysłu, to miasto zaczęło się kurczyć. Na naszym terenie ostatnim zbudowanym od podstaw miastem były Tychy. Miało ono być zapleczem dla nowo powstających kopalń, gdzie osiedliliby się ich nowi pracownicy. Wówczas takie miasto – sypialnia było potrzebne. Zmiana polityki gospodarczej sprawiła, że Tychy szybko stały się miastem samodzielnym, wyposażonym we wszystkie niezbędne elementy jak szkolnictwo i inne usługi. Wcześniej, jako nowe miasto powstawała Gdynia, co wynikało z konieczności budowania własnego portu w odrodzonej Polsce.

– Był w najnowszej historii Śląska moment, kiedy scalano w jedno wielkie miasto okoliczne mniejsze miejscowości, nawet wsie. Po latach wiele z nich upomniało się o swoją niezależność i nastąpił powrót do wcześniejszej sytuacji.

– Przykładem jest Ruda Śląska, która powstała przez scalenie administracyjne mniejszych osad i osiedli. Innym przykładem jest Radzionków włączony po wojnie do Bytomia. Ponieważ większość jego mieszkańców czuła się pokrzywdzonych taką decyzją, został od niego w latach 90. oddzielony i stał się ponownie samodzielną gminą.

Jest natomiast inny problem, o którym warto powiedzieć. Otóż w wyniku procesu tworzenia się miast na Górnym Śląsku powstała wielka, specyficzna konurbacja, dla której charakterystyczne jest sąsiedztwo ze sobą dużych miast i brak jednego dominującego ośrodka. W Polsce i na świecie znacznie więcej jest aglomeracji – jak chociażby Kraków, Wrocław, Warszawa czy Poznań z dominującym ośrodkiem, wokół którego skupione są pomniejsze miasta satelitarne, podporządkowane ośrodkowi centralnemu.

Konurbacja górnośląska jest specyficznym tworem, można powiedzieć zlepkiem miast średniej wielkości, charakterystycznym dla dawnych, XVIII i XIX-wiecznych obszarów przemysłowych, których jest jeszcze trochę, także w Europie. Zatem naszym problemem nie jest tworzenie nowych miast, ale doprowadzenie do powstania z owej konurbacji takiej struktury administracyjno-gospodarczo – przestrzennej, która byłaby jednością. Od lat politycy mówią o potrzebie powstania katowickiego zespołu metropolitalnego jako silnej struktury. Na razie są to jednak wyłącznie lekko naszkicowane plany, które w gruncie rzeczy nie funkcjonują. Nie ma czegoś takiego jak jednolity zarząd tej konurbacji – dotyczy to wszystkich spraw: społecznych, politycznych, gospodarczych, także

przestrzennych. Są więc jednostki miejskie z około trzystu tysiącami mieszkańców albo mniejsze i każda z nich rządzi się sama. Jest to anachronizm, bo my, poprzez taką strukturę przegrywamy wobec innych dużych miast. Niezorganizowana grupa średniej wielkości miast lub mniejszych, jak Świętochłowice, Siemianowice, Będzin, nie zawalczy o większe środki czy szczególne przepisy prawa. To jest nasz regionalny problem. Dopóki są takie oddzielne miasta – Katowice czy chociażby Gliwice z pretensjami do liderowania, z pozycji polityków w centrum, osobno nie znamy zbyt wiele.

– Nawet w mediach centralnych nie istnieją poszczególne miasta, mówi się o Śląsku. Rzeczy dzieją się w Poznaniu, Warszawie i ... na Śląsku.

– Pamiętam, jak z zespołem kolegów urbanistów i architektów walczyliśmy o przebieg autostrady A-4. W Warszawie zobaczyłem ze zdziwieniem, że na mapie są duże kółka czerwone – to duże miasta, wyraźne plamy, a tu gdzie my jesteśmy są kółeczka, jest ich dużo, ale są oddzielne. Z pozycji drogowców zarządzających polskimi drogami byliśmy i chyba dalej jesteśmy, dziwnym tworem, który nie ma wspólnego głosu. W ten sposób tracimy wiele szans w sprawach istotnych.

– Czy te małe i średnie śląskie miasta nie tracą jeszcze więcej poprzez nasze myślenie o przebiegu autostrady, obłożonej z obydwu stron drogi ekranami, spoza których już nic nie widać. Czy to pomaga w rozwoju tych miejsc? Omiłane – znikają, nawet z naszej świadomości.

– Tu mam uczucia ambiwalentne. Autostrady i drogi szybkiego ruchu są dla nas niezbędne, można powiedzieć są cywilizacyjnym błogosławieństwem, dają komfort przemieszczania się, ale, z drugiej strony, te autostrady tną struktury historyczne, krajobraz, który ma swoje wartości. Nawet ten specyficzny, górnośląski krajobraz, choć nie wszystkim się podoba, ma swój klimat, do którego jesteśmy przywiązani. Nowe trasy drogowe są to często bolesne operacje na wartościach kulturowych regionu. Masowo buduje się ekrany akustyczne, ale one są też ekranami wizualnymi zasłaniającymi wszystko to, co poza nimi. Tworzą się tunele na powierzchni terenu, które uniemożliwiają percepcję tego co poza drogą. Szkoda, że szybkość przenoszenia się i ułatwienia dojazdu odbywa się kosztem tego, co moglibyśmy nazwać kontemplacją krajobrazu. Często też zdarza się, że ekrany montowane są na wyrost i nie chcą ich ci którzy nagle znikają za ekranami.

– Czy obserwuje pan tendencję powrotu do miast? Jeszcze nie tak dawno temu sporo osób – mieszkańców miast chętnie wyprowadzało się do przysiółkowego domu pod lasem, byle jak najdalej od ruchliwego centrum. Dziś chyba mamy do czynienia z procesem odwrotnym. W miastach powstaje coraz więcej osiedli mieszkaniowych, niedysyjsze mieszczychy powracają.

– To nie jest tylko nasza, lokalna tendencja, ale tendencja europejska i światowa. Pomysł mieszkania poza miastem przyszedł

do nas z Ameryki. To Amerykanie mieszkają na bardzo rozległych przedmieściach, w milionach własnych, wolno stojących domów. Skutkuje to rozlewaniem się aglomeracji z wypowymi centrami, które służą biznesowi, kulturze i reprezentacyjnym obiektom. W ostatnim dwudziestolecu i u nas, zwłaszcza w Warszawie, różne ważne osoby, tak zwani celebryci, zaczęli kupować domy na obrzeżach miasta, bo tam było pięknie, bez hałasu, są ogrody, zieleń i tak dalej. Po jakimś czasie zaczęli wracać z tych przedmieść, bo okazało się, że są kłopoty komunikacyjne. Aby dostać się do centrum tracił wiele czasu i wszystko zaczynało nie mieć sensu. Okazało się, że lepiej wrócić do śródmieścia, a najlepiej do centrum, żeby być blisko swoich spraw. Mieszkając poza centrum nie można było prowadzić życia towarzyskiego, ale było to też niewygodne chociażby ze względu na dzieci i konieczność dowożenia ich do szkół. Okazało się, że mimo amerykanizacji życia, mieszkanie w mieście ma swoje zalety. Obserwujemy zatem renesans życia w mieście. Ja to wiem, bo jestem mieszcuchem, sam mieszkam w centrum Katowic i nigdy nie chciałem się stąd wyprowadzić. Nie przeszkadza mi ruch i gwar uliczny.

– Zachodzi jeszcze jedna zmiana, jeśli chodzi o centra miast i ich historyczną, jak w przypadku Katowic, zabudowę. Dawniej zamieszkiwana była przez ludzi o niskich dochodach, dzisiaj, po renowacji i modernizacji wielu kamienic wprowadzają się do nich ludzie znacznie bardziej zamożni, lepiej sytuowani. Mieszkanie w kamienicy, na przykład secesyjnej czy modernistycznej, staje się modne. Z drugiej strony w miastach buduje się luksusowe osiedla, a centra pustoszeją.

– W przypadku Katowic, mam wrażenie, że brakuje pomysłu na przyszłość miasta. Obym się mylił, bo w gruncie rzeczy chodzi o wszystkie większe miasta Górnośląska. Brak idei, która jest bardzo potrzebna, bo górnictwo i przemysł ciężki przeżywają schyłek, a te miasta powstały w oparciu o istniejące kopalnie, huty i przemysł ciężki. To był ten żywioł miastotwórczy, ale dziś to rozdział zamknięty. Zatem trzeba wymyśleć coś innego. Pracę w kopalniach i ciężkim przemyśle zastępuje zatrudnienie w sektorze usług, także w szkolnictwie. Rozwijają się wyższe uczelnie a Uniwersytet Śląski stał się największym pracodawcą Katowic. Powstają inne wyższe uczelnie, ale generalnie brak konceptu na dalekosiężną przyszłość całej konurbacji. Jeszcze w ubiegłym wieku, śródmieścia wielu śląskich miast zostały spauperyzowane przez brak właścicieli starych kamienic. Ich standard był niski bo brakowało środków na remonty, więc zaczęli uciekać z nich ludzie lepiej sytuowani, a zostawali najbiedniejsi. Bogatsi uciekli poza miasto. Tak działo się w wielu miastach w Europie. Nagle, kiedy możliwe stało się zdobycie środków na rewaloryzację centrów, na przykład w Krakowie, okazało się, że najdroższe mieszkania są w centrum miasta. To samo dzieje się we Wrocławiu czy w Warszawie. W Katowicach i innych miastach konurbacji pojawiły się oznaki powrotu do cen-

trów. Nie dzieje się to jeszcze na tak dużą skalę, ale chcielibyśmy, by ta sytuacja się zmieniła. Centra, które mają swój klimat, dobrą historyczną architekturę, są zażytkowe, powinny znów zostać zamieszkałe przez ludzi mających pieniądze, żeby rozwijało się życie kulturalne i towarzyskie. Wymaga to świadomej, wieloletniej polityki decydentów i władz miasta. Likwidacja przemysłu przyczyniła się także do zaniedbania osiedli robotniczych będących częścią specyficznej kultury i regionalnego krajobrazu. Ludzie zwalniani z zamykanych zakładów pracy pozostawali w swoich dawnych, substandardowych mieszkaniach, bo na inne nie było już ich stać. Niektóre z osiedli robotniczych, te najwartościowsze mają szansę – jak Nikiszowiec, który powoli staje się miejscem artystów i twórców związanych ze Śląskiem. Bardzo często te działania inspirowane są przez młodych ludzi którzy odkrywają Śląsk w odmienny sposób.

Potrzebnych jest szereg pomysłów na przyszłość tego miasta i regionu. Chciałbym, żeby to był region nowoczesnych technologii, żeby zdomował się nowoczesny przemysł maszynowy i elektroniczny na najwyższym poziomie światowym. Oczywiście, łatwo powiedzieć, trudniej to zrobić, bo do tego potrzebne jest ogromne zaplecze organizacyjne, naukowe i pieniądze. Trzeba też mieć takich liderów, którzy będą konsekwentnie dążyć do tego celu, a nie w sposób akcyjny przed kolejnymi wyborami samorządowymi. Musi to być polityka obliczona na dziesięciolecia. Najważniejsza jest jednak świadomość liderów lokalnych. To jest także problem słabości naszych elit i ich świadomości pracy dla regionu.

– Obserwujemy jeszcze inne zjawisko – posłuże się przykładem katowickiego osiedla Tysiąclecie, które zostało zaprojektowane od początku do końca, co dziś ma swą niezwykłą wartość architektoniczną, a od lat jest „oblepiane” dość przypadkowymi blokami mieszkalnymi, jakby z innej bajki. Jakie jest pana zdanie na ten temat?

– Jest to trudny temat. Dotknęła pani dość drażliwego problemu dla środowiska architektów i urbanistów. Dyskutujemy, na ile modernistyczna idea urbanistyczna czy architektoniczna powinna być uszanowana, bo jest wartością przestrzenną i osiedla takie jak Tysiąclecie należy zachować w ich pierwotnym kształcie – mówimy o latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego wieku. Czy należy spetryfikować tę przestrzeń? Ja mam spojrzenie bardziej liberalne. Uważam, że taki twór jak miasto czy duża dzielnica – Tysiąclecie to ponad 40 tysięcy mieszkańców, to średniej wielkości miasto, – trudno jest podporządkować je całkowicie idei urbanistycznej z połowy XX. wieku. Miasto i jego dzielnice są żywymi tworem, muszą się zmieniać. Zmieniają się czasy, potrzeby, możliwości, wobec tego takie duże osiedla też muszą się zmieniać. Chcielibyśmy by odbywało się to w sposób harmonijny, z poszanowaniem tego, co powstało wcześniej. Trzeba też pamiętać, że te osiedla powstawały w czasach, kiedy nie liczone się

kompletnie z wartością rynkową gruntu, teren nie miał wartości, był wspólny, a właścicielem było abstrakcyjne państwo. Nie funkcjonowało prawo własności, które dziś jest jednym z najważniejszych jakiego decydują o przebudowie miast. I jest ono często w kolizji z myśleniem o ładzie przestrzennym, z racjonalną urbanistyką, planowaną na dziesięciolecia. Interesy poszczególnych grup biznesowych, właścicieli, także grup politycznych, które zarabiają na danym terenie, nie idą często w parze z myśleniem o ładzie przestrzennym w danym miejscu. Zatem nie widzę możliwości, by osiedle Tysiąclecia całkowicie ochronić, ale należy brać pod uwagę i uszanować jego najistotniejsze cechy: wolno stojące budynki wśród zieleni osiedlowej czy zasadę funkcjonowania układu komunikacji, ale nie bójmy się tego, że pojawiają się nowe obiekty. Rozrastają się zwłaszcza usługi handlowe, które w chwili powstawania osiedla były co najmniej skromne. Dobrze by było jednak, gdyby ktoś nad tym panował, żeby nie dochodziło do anarchizacji przestrzeni.

– **To rola architekta miejskiego.**

– Chcę zwrócić pani uwagę na to, że Katowice nie mają swojego architekta czy urbanisty miejskiego, który panowałby nad żywiołowymi pomysłami, proponował nowe cele i miał wizję miasta wybiegającą w przyszłość. Każde miasto powinno mieć plan zagospodarowania przestrzennego, nie jest to dokument „święty”, też musi się zmieniać, ale wiele miast nie ma takich planów. Wtedy różne interesy grupowe i pieniądze często biorą górę.

– **Jednakże samorządom zależy na przyciągnięciu inwestorów, zdarza się, że za każdą cenę.**

– Są tu dwie strony: z jednej skuteczność w przyciągnięciu inwestorów, zachęcanie i ułatwianie im rozpoczęcia i prowadzenia inwestycji, co skutkuje tworzeniem nowych miejsc pracy, z drugiej – dbałość o przestrzeń miejską. W tym wszystkim potrzebny jest

rozsądek i chęć kompromisu, a przede wszystkim, posiadanie dobrej koncepcji przestrzennego zagospodarowania miasta i jej konsekwentna realizacja przez wiele lat.

– **Od lat stałym elementem krajobrazu miejskiego są różnorodne markiety – mniejsze i większe, które anektują najczęściej przestrzeń miasta w sposób karygodny, oszpecają ją, wprowadzają obce elementy do jego struktury. Wszelkie tzw. galerie handlowe stają się prawdziwymi centrami. Jak widać inwestorzy nie przejmują się stroną wizualną tych obiektów. Czy jest jeszcze szansa na to, by architekci mieli coś do powiedzenia w tej sprawie?**

– Takie działania zależą także od władarzy miast, którzy powinni mieć swoich dobrych doradców. Ci doradcy powinni im podpowiadać jak zachować cenne elementy miasta, jak pogodzić jego dobre funkcjonowanie z zarabianiem pieniędzy przez inwestorów i płynącymi z tego korzyściami dla miasta. Doradcy powinni tworzyć argumenty do dyskusji z inwestorami.

– **Narzekając na niedostatki tego typu obiektów trzeba jednak przyznać, że w samych Katowicach i na Śląsku, powstało w ostatnim czasie wiele architektonicznie interesujących obiektów, nawet nominowanych do prestiżowych nagród europejskich czy światowych.**

– Przyznaję, mamy na miejscu bardzo dobrych architektów, ale mamy też dobre realizacje architektów spoza Górnego Śląska. Spośród kilku realizacji z naszego regionu nominowanych ostatnio do międzynarodowej nagrody Mies van Der Rohe, chciałbym wymienić jedynie dwa ważne dla kultury regionu obiekty zbudowane w Katowicach. Są to: nowe Muzeum Śląskie projektu spółki austriackich architektów Riegler & Riewe i sala NOSPR Tomasza Koniora i współpracującego z nim japońskiego akustyka, już w tej chwili oceniana jako jedna z najlepszych sal koncertowych na świecie.

Od wielu lat, a właściwie od końca XVIII wieku, przyjeżdżają tu i realizują swoje projekty wybitni architekci z innych, czasem odległych regionów. Nasze miasta intensywnie rozwijały się, tu były pieniądze i powstało wiele bardzo ciekawych obiektów. Działo się tak na początku XX. wieku kiedy powstawały w Katowicach takie dzielnice jak Giszowiec i Nikiszowiec a w Świerklańcu „Śląski Wersal”. Także w międzywojniu po obu stronach granicy działali wybitni architekci, że wspomnę tylko Dominikusa Bohema, Hansa Poeltziga, Ericha Mendelsohna czy Bruno Tauta po stronie niemieckiej. Po polskiej stronie tworzyli architekci: Tadeusz Michejda, Karol Schayer, Tadeusz Kozłowski, Lucjan Sikorski, Stanisław Tabeński i wielu innych wybitnych projektantów. Również po wojnie działali tu i współcześnie pracują znakomici architekci. Natomiast znacznie gorzej jest z urbanistyką. Porównuję tę sytuację do ciasta z rodzynkami – rodzynki to wspaniałe, wartościowe, na światowym poziomie obiekty, natomiast cała struktura urbanistyczna wokół nie przystaje do nich – jest jak zakalec. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź na to pytanie wymagałaby długiego wykładu.

– **O dobre przykłady nietrudno – chociażby kwartał z modernistyczną architekturą. Natomiast w rynku Katowic mamy pojedyncze wartościowe obiekty, które w żaden sposób nie tworzą spójnej całości z zaproponowaną przebudową.**

– W czasie kiedy powstawała katowicka moderna panowano nad przestrzenią, nad układem urbanistycznym. Natomiast to, co stało się w ostatnich dwudziestu pięciu latach pokazuje, że brak samorządowcom dobrych doradców lub niechętnie ich słuchają. W efekcie tego zarządzanie przestrzenią pozostawia wiele do życzenia. Jest to w tej chwili powszechne zjawisko w wielu polskich miastach. Szkoda. ■



• Kryzysy i pandemie

Od wielu lat, ba, nawet stuleci, kolejne pokolenia zmagają z kryzysami i ich różnorodnymi odmianami. Kryzys to zjawisko i jednocześnie proces o uniwersalnym, powszechnym, charakterze. Mówimy bowiem o kryzysach finansowych czy szerzej ekonomicznych, politycznych, militarnych, ekologicznych, społecznych, związanych z ekspansją niektórych chorób, zagrożeniem epidemią czy nawet pandemią. Gorączka krwotoczna i ekspansja wirusa Ebola w Afryce Zachodniej jest tutaj dobrym tego przykładem. Kryzys notowany jest w społecznościach lokalnych, zbiorowościach regionalnych, w skali poszczególnych kontynentów i wreszcie w wymiarze globalnym. Kryzysem dotknięte są tak fundamentalne grupy i instytucje takie jak klasa polityczna, rodzina czy małżeństwo. Nie omija on także instytucji i poszczególnych dyscyplin naukowych, by tylko wspomnieć o kryzysie socjologii czy, szerzej nauk humanistycznych i społecznych. Kryzys nas wszechogarnia chociaż towarzyszą mu niemal zawsze przeciwdziałania społeczne, samorzutne, żywiołowe czy w końcu zorganizowane i lepiej lub gorzej zaplanowane.

• Kryzysowa smuta

Można zatem bez cienia przesady stwierdzić, że żyjemy w społeczeństwach stałego kryzysu, który modyfikuje ich funkcjonowanie a rzadko, na szczęście, je unicestwia. Kryzys społecznie został oswojony choć niektóre jego konsekwencje pozostaną na stałe w zbiorowej, przeszłej i aktualnej, pamięci. Z całą pewnością na kartach wszystkich podręczników historii zagościł największy w minionym stuleciu kryzys gospodarczy zainicjowany krachem na giełdzie nowojorskiej w październiku 1929 roku. Objął on swoim zasięgiem nie tylko Stany Zjednoczone, ale wszystkie niemal państwa świata, międzywojennej Polski nie omijając. Kilka, czy nawet kilkanaście, lat trwała odbudowa rynków pracy, zaufania do instytucji finansowych, w tym banków i giełdy, restytucja dobrych praktyk w państwowych i prywatnych przedsiębiorstwach.



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Udręczony świat?

• Kryzys i frankobiorcy

Wielu badaczy i analityków dostrzega się daleko idących, strukturalnych, podobieństw między kryzysem z 1929 roku, a tymi zjawiskami i procesami mającymi początkowo miejsce w Stanach Zjednoczonych niemal osiemdziesiąt lat później. Symbolicznym i poruszającym aktem tego nowego kryzysu globalnego był upadek czwartego co do wielkości banku inwestycyjnego USA – Lehman Brothers. Skutki tego zdarzenia miały globalny charakter i dotknęły również kredytobiorców w RP, zwłaszcza tych, którzy zaciągnęli kredyty hipoteczne w walutach obcych, głównie we frankach szwajcarskich.

• Ten nieznośny Cameron

Od wielu lat komentowany jest również kryzys w Unii Europejskiej z ważną deklaracją premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona, że jego kraj opuści UE jeśli ta

organizacja nie przeprowadzi radykalnych reform instytucjonalnych, finansowych czy prawnych. Poruszającym jest kryzys syryjski, wyniszczający kraj, stwarzający jednocześnie możliwości ekspansji radykalnych działaczy i bojowników islamskich, usiłujących budować nowe struktury państwowe na terytorium Syrii i Iraku. Od lat głębokie zainteresowanie budzi kryzys koreański i zdumiewa bezkarność rządzącej na północy półwyspu dynastii Kimów i wojskowej kamaryli. Również w transformacyjnej Polsce kryzys w służbie zdrowia czy – *toutes proportions gardées* – kryzys smoleński są przedmiotem wielu politycznych sporów, pikiet i marszów.

• Wentylowany kryzys

Jak więc widać kryzysy mają wielowymiarowy charakter i zasięg. Jedne z nich wpływają na losy systemu światowego, inne mają regionalny czy lokalny charakter, a jeszcze inne – dokonują się na dalekich marginesach systemu. Kryzys, na stałe już wpisany w system światowy i wszystkie jego elementy strukturalne, może mieć nie tylko wielowymiarowe oblicze, ale odegrać korzystną rolę, choćby wentylu bezpieczeństwa, gdyby na chwilę wrócić do koncepcji konfliktu Lewisa A. Cosera. Wedle tego znakomitego socjologa kryzys oczyszcza atmosferę, rozładowuje agresję społeczną i przynosić może chwilowe choćby ukojenie społeczne. Z jednej strony kryzys może rujnować państwo, społeczeństwo, a przykład Iraku jest tutaj poruszającym, z drugiej zaś odgrywa rolę pozytywną. Wielki kryzys naftowy, który rozpoczął się w 1973 roku, zmusił wiele państw i instytucji do poszukiwania alternatywnych źródeł energii, wymusił dystans wobec niektórych państw OPEC i uzmysłowił niebezpieczeństwa uzależnienia energetycznego. Kryzysy pełnią też rolę katarską i kompensacyjną, prowadząc czasami do działań o pojednawczym i koncyliacyjnym charakterze. Okrągły Stół w Polsce, jego dynamika i aktorzy, przy wszelkich zastrzeżeniach, pokazują jak akt trudnej rozmowy budować może nową jakość polityczną oraz społeczną w państwie pogrążonym przez lata w kryzysie.



Andrzej Stasiuk słusznie pisze w swej najnowszej książce *Wschód*, że „wnętrza domów wiejskich czy w małych miasteczkach nigdy nie oddzielały od reszty świata tak jak domy w prawdziwych miastach”. Opisy gospodarstw chociażby w powieściach Wiesława Myślińskiego potwierdzają bezpośredni związek domostw z ich najbliższym otoczeniem. Ma się wręcz wrażenie, że przyroda wrasta w przedsionek, izbę, kuchnię. Mury zaś służą głównie wytyczeniu swojskiej przestrzeni, w której dokonują się sprawy wyjęte spod zbiorowego doświadczenia i zarezerwowane najbliższymi. Obmurowanie akcentuje także związek człowieka z ziemią, świadczy z daleka o tym, kto jest właścicielem gruntu. Dom i ziemia na wsi są zatem jednością. Zupełnie inaczej rzecz ma się w mieście.

Miasto. *The Wall*

KATARZYNA
BERETA

Zwielokrotniona samotność

Gdy spojrzymy na jakąkolwiek współczesną metropolię, to dostrzeżemy w niej przede wszystkim dążność ludzi do ukrywania się w prywatnych i publicznych „klatkach” o coraz wymyślniejszych kształtach, coraz większych gabarytach, położonych na coraz wyższych kondygnacjach. Kwintesencją miasta jest więc nagromadzenie wielorakich form zamknięcia, odciecia się od tego, co na zewnątrz, co nie moje, a w konsekwencji *zwielokrotniona samotność*. Bywa nawet, że stajemy się świadkami osamotnienia owych betonowo-szkłanych boksów, gdy ich okna okrywa czerni pustostanu (czasami przez dziesięciolecia, jak np. w przypadku kompleksu po zakładach Metalplastu w Chorzowie czy budynku po Śląskim Instytucie Naukowym w Katowicach).

Multiplikacja wyizolowania jest paradoksalnie najwyraźniej dostrzegalna w tłumie. Pamiętam, jak podczas ostatniej wizyty w Warszawie przechodziłam w godzinach porannych podziemnym przejściem. Uderzyła mnie wówczas wyjątkowa mechaniczność ruchów, unifikacja mimiki i swego rodzaju automatyzm pozbawiony przeżyć doprowadzone wręcz do rytualnej perfekcji. Pojawiło się nawet przez chwilę w moich myślach skojarzenie z marszem młot-

ków z filmu *The Wall* z muzyką angielskiego zespołu Pink Floyd (oczywiście z pominięciem faszystowskiej wymowy tego fragmentu filmu). Ci wszyscy zakrawatowani warszawiacy, z teczkami w rękę lub pod pachą, ze słuchawkami w uszach lub na nich, wystukujący równy rytm obcasami przypominali tak bardzo produkt masowej kultury i efekt szkolnej standaryzacji. Za ową miejską maską skrywane były jednak jakieś prawdziwe historie, wspomnienia, odczucia, pragnienia, których *nota bene* dobrze byłoby posłuchać. Ten pozornie ujednolicony tłum, wciśnięty w jeden uniform – dla jednych przyciasny, dla innych zbyt obszerny – był w rzeczywistości zbiorowością osób samotnych. Ludzi, których miasto okradło z naturalności, zabrało odwagę bycia sobą, zmusiło do wcielenia się w kreację mieszkańca metropolii.

Nieustanne theatrum

Ini jest to przytyk pod adresem naszej stolicy. Takie jest każde miasto – swoją formą narzuca rytm i styl życia. Jest przestrzenią stworzoną do odgrywania nieustannego *theatrum*. Człowiek staje się tutaj mimowolnym aktorem. Sprzyja temu bycie stale wystawionym na publiczny widok – na ulicy, w urzędach, kościołach, szkołach, sklepach, instytucjach kultury, kawiarniach, bankach itd. Wszędzie jesteśmy

obserwowani, dlatego gramy kogoś, kogo inni chcą widzieć. We wszystkich tych miejscach jesteśmy *ciałem miejskim*, odartym z indywidualności. By zachować więc równowagę pomiędzy *ja publicznym* a *ja prawdziwym*, dążymy do zamykania się, separowania, ukrywania przed wszystkowiedzącym okiem miasta. Człowiek nie jest bowiem w stanie wytrzymać tego społecznego podglądactwa bez psychicznego wentylu bezpieczeństwa. Nie może cały czas grać i stroić się. Kiedyś musi wyjść na antrakt.

Totalna urbanizacja świata jest niemożliwa

Wbrew pozorom nawet sama miejska tkanica nie potrafi długo utrzymać swego *decorum*, dlatego im dalej od centrum, tym bardziej zachowuje się „jak chłop, który wracając do wsi rodzinnej, rozdziewa się po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniając się powoli, w miarę zbliżania się do wsi, w obdarta wiejskiego” (Bruno Schulz *Sklepy cynamonowe*). Ta schulzowska metafora uzmysławia, iż człowiek nie może nadać miejskiej formy całej ziemskiej przestrzeni, gdyż w rzeczywistości o wiele lepiej czuje się w krajobrazie naturalnym czy wiejskim, gdzie widnokrąg daje poczucie łączności nieba z ziemią, spraw do-

czesnych z wiecznymi, skończonego z nieskończonością. Totalną urbanizację świata uniemożliwia również sama natura rzeczy, które stale dążą do chaosu, podlegając zjawisku entropii. Wszelkie zaś porządkowanie materii ma ograniczony w przestrzeni i krótkotrwały sens.

Kumulacja i rozproszenie energii urbanistycznej

Miasto zbudowane jest zatem na podobieństwo skutków detonacji bomby. Największe zniszczenia są zawsze w miejscu eksplozji, im dalej od niego, tym skutki są łagodniejsze i coraz mniej zauważalne. Podobnie energia urbanistyczna niejako kumuluje się w centrum, śródmieściu i otaczających je dzielnicach i stopniowo zanika w miarę zbliżania się do przedmieść i obrzeży miasta, aż do całkowitego zaniknięcia w przestrzeni pozamiejskiej. Odnosi się wręcz wrażenie, że jedynie na tyle wystarczyło potencjału urbanisty, by zorganizować jako taki porządek śródmiejski. Im bliżej opłotków bowiem, tym większa dowolność, a rolę planisty przejmuje przyroda. Taki stan rzeczy sugeruje także zmęczenie samej tkanki miejskiej własną gęstością i intensywnością. Wymusza to na niej pewne rozluźnienie na obrzeżach, pomagające jej nie stracić swej tożsamości jak ów szkolowski chłop, który, chcąc pozostać sobą, gdy tylko nie musiał już utrzymywać się w roli miejskiego gościa, czym prędzej zrzucił odświętne ubranie i powrócił do tego, kim był naprawdę.

Człowiek nie jest więc w swej istocie *homo urbanus*. W raju nie było ulic, domów, płotów, planów, map. Była natura ze swoją wolnością i nieokiełznaniem, dlatego człowiek jest o wiele bardziej *homo naturalis*. Z tego też powodu właśnie w środowisku przyrodniczym odzyskuje utraconą w mieście równowagę psychiczną, powraca do samego siebie i równocześnie otwiera się na innych, odkrywając na nowo wspólnotę ludzi, którą metropolia zamieniła w anonimowy i osamotniony tłum.

Topografia, która rozpląta wyobraźnię

Cechą miasta jest także to, że wciąga ono w „labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza” (*Sklepy...*). Pociągnięci tajemnicą i urokiem tych zakamarków możemy łatwo zapomnieć o celu naszej wędrówki. Porywa nas topografia, której zawiloci, zwłaszcza gdy poznamy ją po raz pierwszy, wydają się nam podobne do meandrów ludzkiej psychiki, dlatego pełni ekscytacji dajemy się ponieść nogom, podobnie jak w myślach puszczamy wodze fantazji. Zresztą sam Zygmunt Freud uważał, że miasto jest obrazem ludzkiej *psyche*, a odkrywanie jego historii przypomina zstępowanie do podświadomości i rekonstruowanie zapisanych w niej wspomnień i przeżyć.

Miasto zbudowane na podobieństwo labiryntu lubi zwodzić, mylić, dostarczać wciąż nowych schematów przestrzennych, chociaż rozum i pamięć wydają się podpowiadać inne, pewne, wyćwiczone, oswojone obrazy. Nocą w „(...) półświatle zwielokrotniają się, płaczą i wymieniają jedno z drugimi ulice. Otwierają się w głębi miasta (...) ulice podwójne, ulice sobotory, ulice kłamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraźnia wytwarza złudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w których te ulice mają swoje miejsce i nazwę, a noc w niewyczerpanej swej płodności nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczać wciąż nowych i urojonych konfiguracji” (*Sklepy...*).

Plodność nocy

Może z tego powodu metropolie ożywają wieczorem i tętnią życiem przez całą noc? Może ten właśnie czas jest najlepszy na doświadczenie miasta jako żywego organizmu? Może tłumy głównie młodych ludzi, które płyną przez katowickie centrum, szczególnie w letnie miesiące, przyciągane są i podniecane ową niewyczerpaną plennością uliczek, deptaków, alei, zaułków, przecznic, perspektyw, które otwierają i zamykają się, rodząc skojarzenia z erotycznymi doznaniem? Pamiętam zwłaszcza jeden taki wieczór, w który wydawało mi się, że do Katowic zjechała młodzież studencka i licealna z całego województwa. Wypełniali każdą wolną przestrzeń i pojawiali się znikąd, tworząc coś w rodzaju wspólnego *ulicznego ciała*.

Zupełnie inaczej funkcjonują małe miasteczka, które raczej wyciszają się wraz z nastaniem godzin nocnych. I jeśli młodzi i starsi też zasiadają tam w kawiarnianych niszach, by snuć długie rozmowy przy papierosowym dymku i lampce wina, to są to raczej imprezy zdecydowanie bardziej kameralne, a dzięki temu bardziej nastrojowe. Duże miasto, a metropolia szczególnie, jest głośnie i jaskrawe, a przez to agresywne i prowokacyjne.

Zmienność miasta, która nie pozwala na życie się z nim

Przebiegłość miasta jako ożywionego tworzy jest tak zmyślna, że potrafi ono zmylić nawet wioletoleżnego mieszkańca. Wystarczy remont przecznicy, wytyczenie objazdu, obejścia, ogrodzenie placu, wykopanie dołu, zburzenie domu, postawienie nowego obiektu, zmiana szyldu, by odebrać pewność ruchów, zburzyć automatyzm wyboru właściwej ścieżki, zrodzić wątpliwości, wytrącić z przyzwyczajenia i schematów.

Odmienne jest doświadczenie mieszkańców wsi, którzy w najgłębszych ciemnościach rozpoznają elementy otoczenia i drogę do domu. Mylą się tylko wtedy, gdy są pijani. A i to nie zawsze. Wiele podobnych opisów można znaleźć w prozie Wiesława Myślińskiego. Ta doskonała orientacja w przestrzeni wynika nade wszystko ze zżycia się człowieka z ziemią. Lektura powieści podwójnego laureata Nike pozwala wręcz wysnuć wniosek, że zrosnąć się można tylko z ziemią, naturą, czyli *de facto* wsią. W mieście jedynie *mieszka się*, co sugeruje zresztą już sama nazwa.

Owszem, można je pokochać, przyzwyczać do niego, ale jego immanentną cechą jest ewolucja, fluktuacja, metamorfoza, a zatem nigdy nie będzie nam dane żyć w *tym samym* mieście. Trwając w nim, jesteśmy skazani na ciągłe zmiany otoczenia, a jakże często i adresu, choć fizycznie tkwimy w tej samej kamienicy czy willi. Przez metropolie i miasteczka stale przechodzą pochody historii, przejeżdżają urbanistyczne walce, wgrzyżają się w ich tkankę sklepikarze, bankowcy, fryzjerzy, restauratorzy, reklamodawcy, którzy zmieniają wystrój ulic, fasad i witryn.

Pomiędzy przyzwyczajaniem a obcością

Ta permanentna ruchliwość, symbolicznie wyobrażana przez *nomen omen* ruch uliczny, nie pozwalała na takie zżycie się, jakie jest możliwe w przypadku wsi. Żagnieżdzenie się w miejscu wymaga bowiem jego stałości, trwałości pewnych cech. Sam proces zadomawiania się petryfikuje w nas pierwotne wrażenie, krajobraz pierwszy, a skoro ten może w jednej chwili zostać zdeformowany administracyjną decyzją, to trudno mówić o prawdzi-

wym oswojeniu. Będzie to zawsze balansowanie na krawędzi, pomiędzy przyzwyczajaniem a obcością.

Jeśli ktoś mimo wszystko twierdzi, że przywiązał się do miasta, to w rzeczywistości nieświadomie komunikuje, że zżył się z krajobrazem pierwotnym, który wywołał w nim uczucie silnie łączące go z określonym miejscem. I ten właśnie pierwotny obraz, jaki zapisał się na kliszy jego serca, będzie całe życie wywoływał w nim tęsknotę. Ale czy zdoła go odnaleźć na mapie po latach, gdy znikną ulice młodości, zasypane zostaną place zabaw, zabetonowane skwery i zapanuje nowa moda?

Wielkomijski pozór

Cechą własną miasta jest także fasadowość, sztuczność, udawanie, imitacja. Doskonale zaobserwował to Bruno Schulz w *Sklepkach cyjankowych*: „(...) cała sceneria wydaje się chwilami fotografią z ilustrowanej gazety, tak szare, tak płaskie są domy, ludzie i pojazdy. Ta rzeczywistość jest cienka jak papier i wszystkimi szparami zdradza swą imitacyjność. Chwilami ma się wrażenie, że tylko na małym skrawku przed nami układa się wszystko przykładowo w ten pointowany obraz bulwaru wielkomijskiego, gdy tymczasem już na bokach rozwiązują się i rozprzeczła za zaimprovizowaną maskaradą i, niezdolna wytrwać w swej roli, rozpada się za nami w gips i pakule (...)”.

Owa iluzoryczność i tandetność powstaje za naszym udziałem i przyzwoleniem. Zgadamy się na wielkomijski pozór, bo uważamy go butnie za cywilizacyjne osiągnięcie. „(...) stać nas (...) na prawdziwą wielkomijską rozpustę” (*Sklepy...*). Jest to rozpusta na pokaz dla sąsiadów. Niech wiedzą, że nas stać! Jest też w niej coś z budowania mitu mieszczańskiego stylu życia, zresztą niezwykle dwulicowego.

Papier maché

Inną kwestią jest, iż wypada, aby miasto było nowoczesne, a nawet rozpasane w swym modernizmie. Gdy nie jest w stanie wytworzyć tego efektu w sposób autentyczny i naturalny, produkuje imitację, *papier maché*, fotomontaż z wycinków skradzionych z gazet ilustrujących inne miasta. Nie wiem dlaczego, ale takie wrażenie robią na mnie Katowice, a dokładniej ich centrum, które obecnie przypomina jakiś żartobliwy kolaż Wisławy Szymborskiej. Wyczuwa się wszakże desperację planistów i władz, by utworzyć światową metropolie. Jednak nie tylko nie czuje się tutaj atmosfery żadnego z zachodnioeuropejskich miast, ale brakuje nawet dynamiki i rozmachu Poznania czy Warszawy. Oczywiście ktoś może być odmiennego zdania, jednak z gustami się nie dyskutuje. A to, co mamy teraz, nie trafia w mój gust.

Stać się zakładnikiem miasta

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o częstym niedostrzeganym niebezpieczeństwie, jakie drzemie w samej istocie miasta. Otóż stopniowo i niepostrzeżenie może ono *zadżumiać*, czyli separować od świata pozamiejskiego, od myślenia innego niż mieszczańskie, może zbudować mur, za którym staniemy się zakładnikami, jak bohaterowie powieści Alberta Camusa (*Dżuma*) czy Joségo Saramago (*Miasto ślepców*). A pewności, że wyleczymy się z tego chorobliwego stanu, nie ma żadnej. Dżuma bowiem nigdy nie umiera i nie znika!

WITOLD TURANT

Z cyklu: *St. Germain-En-Laye*

PIÓROPUSZ KRÓLA HENRYKA

W parku nad rzeką która fantazje nasze
Zabiera do morza i dalej do wymyślonej
Krainy
Przemknął mi pomiędzy drzewami jakby
Polowanie czy wojna miały się rozpocząć
Na nowo
Panache Henryka króla z Béarn.

Wiatr wygrywał w gałęziach cichą melodię
Z dawna zapomnianą jak list do Michała
Z Montaigne
Nieczynna fontanna i dziwny obelisk
Milczą dyskretnie związane tajemnicą
Przez wieki
Sprzysiężenie sekretne.

Teraz daleki Paryż odrzuca koldrę
Z mgły i liście tkwią na swoich miejscach
Nieporuszone
Przysięgam jednak na całą Gaskonię
Że przemknął, jakby spieszył na polowanie
Czy na wojnę
Panache Henryka króla z Béarn.

*st. Germain-En-Laye – Górki Wilekie,
2012-2014*

NAD KIELISZKIEM

Nadchodzi pora, kiedy krzesła stają się ważne.
Także stoliki. Zapada szarość. Nadciąga rozmowa.

Wiele przeżyliśmy, nie o wszystkim się mówi
Nad kieliszkiem z kroplą krwi czy miętowym likierem.

Z oceanu wieczoru wynurza się nawa wiekowego
Kościoła. Zapomniany święty opowiada...

Gwiazdy spomiędzy obłoków to oczy
Jesiennego nieba, uważne i odległe

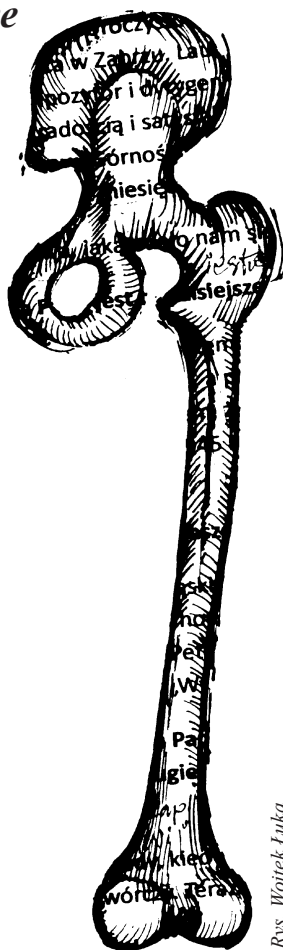
Nasz czas odpływa za horyzont niczym żaglowiec
W poszukiwaniu nowego łądu

Tu i teraz jesteśmy, choć kiedyś i gdzieś byliśmy,
Wędrowcy szlaków domniemanych

Opuszczone miasta z wyludnionymi dworcami
Utraciły aurę tęsknoty i oczekiwania

Daty na lśniących opakowaniach wydarzeń
Dawno się zatarły. Mówmy zatem

Pora zaraz przeminie, krzesła nie będą już ważne
zostaniemy z milczeniem w brudnej popielniczce.



Rys. Wojtek Łuka

NIEPOTRZEBNY WIERSZ

Postanowiłem tego wiersza nie napisać
Próżnia byłaby jego adresatem
Długo błądził po katakumbach myśli
Aż postanowiłem go odesłać tam skąd
Przyszedł

Miał w sobie smutek pochmurnego
Poranka i gorycz oczekiwania
Jego tonacja była dość ciemna
Uginał się pod nadmiarem upartych
Przydawek

Niepotrzebny, zagubiony w czasie
Zbyt osobisty by go zrozumiano
Surowy bez wdzięku i natarczywy
Niby niechciane dziecko pchające się
Na świat

Postanowiłem go nie pisać lecz powiedzieć
Przy okazji, której zapewne nie będzie
By zabrzmiał niczym ostateczne słowo
I zniknął bez śladu jak niepotrzebna
Rzecz.

*St. Germain En-Laye – Górki Wilekie,
2012-2014*

ZBYT KRÓTKO

Paryski błękit i zachodni wiatr,
Więcej nic. Może trochę historii;
Ludzie tańczą jak liście
Na ulicach miasta jak inne
W tej okolicy.

Wiatr igra naszym losem.
Obcy tu i obcy wszędzie
Niczym krople deszczu znad oceanu
Ulice niosą echo naszych kroków
Aż nad rzekę.

Miasto w cieniu miasta to
Człowiek w cieniu człowieka
Muszą się dzielić rzeką i błękitem
Wspartym o wystygłe kominy
Przeszłości.

Wokół drzemią zielone jaszczury
Wzgórz zmęczone upływem czasu.
Nie muszą dociekać, co było kiedyś;
Wiedzą, a nam to obojętne. Jesteśmy
Tu zbyt krótko.

*St. Germain-En-Laye – Górki Wilekie,
2012-2014*

JAK CO DNIA

Dalekie miasta i odległe kraje
To cel wędrówki szarych chmur
Pod ich dachem wypowiadamy
Nie całkiem pobożne życzenia.

Tak więc teraz mieszkasz tu
Za bramą tak solidną i wysoką,
Że nie słyhać gdy starość
Dzwoni jak co dnia.

Chodzimy jeszcze szybkim krokiem
Głośnej słuchamy muzyki, a tamta
Stuka w okiennice jak poiryutowany
Sąsiad z mieszkania obok.

Za murem gdzie nieczytelnie
Zapisano nasze życiorysy
Październikowy witraż ulicy
Sączący światło po kropli.

Wygodna kanapa i stół pod oknem
To wciąż zbyt mało by zaczynać
Na nowo podobnie jak biurko
Przy oknie na kamienistą drogę.

– Co dalej? – pytasz. Chyba nic wielkiego
Jakiś kufelek życia z pianą mgły
Przedwieczornej na stole lampa
Ta co ją przywiozłeś i może słowa okruc.

Dni w sepia zdjęć minionych gdzieś
Się zapodziały krawat koszula i zapas
Sznurówek wciąż to niezbyt wiele
Ale musi jak co dnia wystarczyć.

St. Germain-En-Laye – Górki Wilekie, 2012-2014

NA PRZYSTANKACH I NA STACJACH

Dziwny płomień kołysz się nocą
Ciemną jak przeszłość chłodną
Niczym głos odrzuconej miłości
Płomień bez ciepła nie rozjaśniający
Niczego - zapatrzony w siebie.
Na stacjach kolei losu wyczekujemy
Nienazwanej przyszłości licząc pociągi
Niespełnionych obietnic.
Wierzmy, że to jedynie przepustka
Do jesieni.

Pożółkłe skrawki zapomnianych uczuć
Wiatr roznosi po ogrodach i parkach.
Stoimy na przystankach zdarzeń
Podnosząc kornierze i otulając się
Szalami niepamięci.
Niczym zakłęcie powtarzamy słowa
Jak dawniej jak tamtej jesieni
Nie dociekając co naprawdę znaczą
Nie wierzymy, że to przepustka
Do wieczności.

St. Germain-En-Laye – Górki Wilekie, 2012-2014

RUE DES URSULINES

Ciche kroki, skrzypiąca brama – zbyt mało
By przerwać sen historii.
Pałac zapatrzony w rzekę, niczym *la coquine*
W zwierciadło.
Ogrody i parki jak antykwiariaty
nic nie znaczących wydarzeń
i wyblakłych znakomitych żywotów.
Wstążka ulicy między domami,
Zguba elegantki z dawnych czasów.

Dziś targ wzywa wielkim głosem:
Do ryb, serów i mięs rozmaitych.
Owoce milczą, spoglądając na niebo
W górze, nad domami szykującymi się
Do obiadu.

W cichej uliczce bar z ladą długą
Jak lista pretensji i błyszcząca
Jak Kanał La Manche w księżycową noc.
Angielskie piwo to wyzwanie rzucone
Dziejom; na najwyższej półce butelka
Starej whisky czeka na kogoś, kto odnowi
Auld Alliance.

Kolacja z kozim serem – obraz Braque'a
Rozłożony na stole i plama czerwonego wina,
A potem sen całkiem prywatny
O spotkaniu w odległym kraju,
Który opuściłem żeby posmakować
Rue des Ursulines.

St. Germain-En-Laye – Górki Wilekie, 2012-2014

PARYSKIE OSSARIUM

Pomiędzy placem i ulicą poukładane
Według dzielnic marzenia pokoleń

Osobno czaszki, osobno piszczele,
Oddzielnie przyziemne marzenia

Oddzielnie wzniosłe, niczym echo
Kazań księdza Bossueta

Serowarzy i hrabiowie
Obserwują ciekawskich

Handlarze win i adwokaci,
Poukładani w równe pryzmy

Lekkoduchy i kurtyzany
Nasłuchują wieści z powierzchni.

Na górze ceny gruntów wciąż rosły;
Podziemny Paryż zrozumiał

Potrzebę likwidowania cmentarzy.
Wszyscy, którzy oddali swe kości

Otrzymali nagrodę – poczucie bliskości,
Którego nie zaznali za życia.

St. Germain-En-Laye – Górki Wilekie, 2012-2014



Rys. Wojtek Lutka

ROMAN MACIUSZKIEWICZ

Fantomy

fragment

2. Cecylia

Tak więc do wystawy pozostało mu pięćdziesiąt trzy dni. Teraz naprawdę zaczęło się odliczanie. Kiedy parę dni temu zadzwoniła Pani Cecylia z Galerii z informacją, że z powodów organizacyjnych muszą zmienić termin, ucieszył się, że będzie mógł przed wernisażem jeszcze gdzieś wyjechać. „Ale wystawę robimy wcześniej, dokładnie za dwa miesiące”, zniweczyła nadzieje Artura „i przydałoby się trochę nowych prac, bo zdążyliśmy z remontem trzeciej Sali.” Przypomnił sobie dość wydatny biust Cecylii i jej twarz znaczoną błakającym się uśmiechem. Zawsze lekko się uśmiechała, co, jak dowiedział się, było wywołane skurczem nerwu policzka. Komplikowało to nieco normalną rozmowę, choć po pewnym czasie można było się przyzwyczaić. Cecylia miała ok. 35 lat, ciemne włosy i zgrabne nogi. W Galerii pracowała od dawna, właściwie mógł powiedzieć, że nie znając jej, znał dość dobrze. Na życiu Cecylii zaważyło niezwykle wydarzenie i to ono pozostawiło na jej twarzy ślad w postaci nieznikającego uśmiechu, naczynając na zawsze pozorem wesołości.

Pewnego letniego popołudnia wyszła z domu w nastroju lekkiego podekscytowania, ciekawości i niepokoju. Tę mieszkankę odczuć spowodowała perspektywa bliskiego spotkania, Cecylia bowiem umówiła się z poznanym niedawno mężczyzną. Miała jeszcze sporo czasu, postanowiła więc przejść się. Była godzina 18 i mijając bramę miejskiego parku, Cecylia nie przypuszczała, że wydarzenia tego kończącego się dnia przybiorą tak niezwykle obrót. Usiadła na ławce i, obserwując spod zmrużonych po-

wiek lekko kołysane wiatrem czubki drzew, przypominała sobie niedawne okoliczności poznania J.J.

Było całkowicie przypadkowe. Kiedy, zamyślona jak zwykle, weszła na jezdnię przy czerwonym świetle, usłyszała pisk hamulców, poczuła ostre szarpnięcie do tyłu, a samochód do słownie otarł się o nią.

– Na miłość boską, niechże pani uważa! – męski głos i mocny uścisk przywołały ją do rzeczywistości. – Tak bardzo pani się spieszy?

– Nie... – bąknęła przestraszona i popatrzyła na mężczyznę. Promień słońca przeciął skrawek jego ucha, prześwietlił małżowinę i kiedy przesunęła się nieco, by słońce przestało ją razić, dostrzegła dwa błękitne punkty jakiegoś niezwykle jeziora osoblności, w które wpada się zazwyczaj głęboko. Patrzyła w źrenice oczu nieznanego sobie człowieka i pomyślała o wyspie Korfu, na której była rok temu, pomyślała o pocztówce z błękitnym niebem, którą dostała wczoraj od koleżanki, a także o obrazie, który kiedyś zrobił na niej duże wrażenie. Przedstawiał fragment nieba, oczywiście błękitnego, a na nim ładne, białe obłoczki. Nazywał się *Przekleństwo*, namalował go René Magritte i, choć wyczuwała prowokację w nim zawartą, nie mogła obrazu do końca zrozumieć, a może nie chciała; coś podpowiadało jej, jakieś mgliste i niejasne przeczucie, że powinna go lubić. Tak czasem bywa z obrazami, myślała. Narzucają swoją obecność, odkładają się w naszej głowie, niepokoją nas i domagają się naszych oczu. To *Przekleństwo* tkwiło w niej, przywoływała go w chwilach niepewności. Jego prostota irytowała ją, a równocześnie fascynowała.

– Dobrze się pani czuje? – mężczyzna pochylił się nad Cecylią, jakby chciał zajrzeć do jej środka.

– Tak... dziękuję. Nie zauważyłam samochodu.

– Zdarza się, trzeba uważać – błękit w oczach nieznajomego pociemniał, ale nadal przykuwał uwagę Cecylii. – Może odprowadzę panią kawałek?

– Naprawdę nie trzeba... już dobrze.

– Siądźmy na chwilę.

Usiedli na ławce, Cecylia czuła jeszcze miękkość w nogach, ale już ochłonęła.

– Bardzo panu dziękuję – popatrzyła z uwagą na mężczyznę, który znowu przysłonił jej słońce. Wydało jej się, że skądś go zna. – Czy my się... znamy?

– Nie, ale pani pozwoli: J.J.

Cecylia miała wrażenie, że już gdzieś widziała tę twarz.

– Cecylia C. – odpowiedziała.

– Może wypijemy kawę? Tu w pobliżu jest bistro z niezłym espresso.

– Niestety, spieszę się. Chyba już jestem spóźniona. Ale...

– Ale może innym razem? – wpadł jej w słowo J.J.

– Może...

– Może jutro o 19?

– Jutro nie mogę, a w czwartek? – błękit oczu nieznajomego ustalił za nią dzień spotkania.

– Świetnie. W parku pod pomnikiem marszałka o 19?

– Tak... o 19. Do widzenia. – Cecylia wstała i pobiegła do tramwaju, tym razem uważając na przejściu dla pieszych.

Teraz, mając jeszcze trochę czasu, wspominała tamtą rozmowę. Ciągle miała nieodparte wrażenie, że już gdzieś widziała J.J. Nie potrafiła umiejscowić ani twarzy, ani okoliczności; tym bardziej powiązać ich. Ale nie mogła się mylić – miała doskonałą pamięć do twarzy. Nie pasował jej tylko błękit oczu nieznajomego; był zbyt intensywny, pochłaniał niemal bez reszty, był nadnaturalnie mocny. I piękny. I to było oczywiście najbardziej ekscytujące.

– Dzień dobry. Bardzo się cieszę. – J.J. pojawił się niespodzianie, przysłonił zachodzące słońce i wyjął zza pleców bukiet róż. – Proszę, to dla pani.

– Dziękuję, naprawdę nie trzeba było... – Cecylia zmieszła się; nie dostała od nikogo kwiatów już całe wieki. Męż-

czyn, z którymi się spotykała, traktowała jako całkowicie przelotne znajomości, kończące się zazwyczaj po wyjściu z łóżka; czasem po dwóch, trzech spotkaniach. Przyzwyczała się do tego stanu rzeczy i nie przeszkadzał jej brak kwiatów w wazonie.

Poszli do letniego ogródka pobliskiej kawiarni. Siedzieli przy kawie, jedli lody; najpierw Cecylia opowiadała zdawkowo czym się zajmuje, następnie z umiarkowanym zainteresowaniem słuchała co robi J.J. Nie wiedziała dlaczego, ale nie uwierzyła mu, że jest informatykiem; zaprzętała ją spojrzenie jego błękitnych oczu, które wraz z szarzejącym dniem zmieniało odcień, stawało się coraz głębsze i głębsze. Cały czas myślała, że jednak zna tę twarz. Zrobiło się ciemno, kiedy Cecylia dała do zrozumienia, że chce wracać do domu.

– Mogę panią odprowadzić? – „Rytuałowi staje się za- dość”, pomyślała Cecylia i odrzekła z udawanym waha- niem – tak, chodźmy. – J.J. podobał jej się i właściwie nie miała nic przeciwko temu, żeby spędzili razem noc. Wra- cali przez park, o tej porze już ciemny. Na ławce, którą mi- jali, obściskiwali się para. Poza tym było pusto, coraz bar- dziej pusto i Cecylii zrobiło się trochę nieswojo. J.J. szedł obok niej i nie odzywał się. „Mógłby trochę tokować”, po- myślała Cecylia. I wtedy zauważyła, że idą nieznaną jej dro- gą, park stawał się coraz bardziej obcy. Kontury drzew ciem- no rysowały się na głęboko granatowym niebie. Głucho odezwał się nocny ptak. Pod stopami chrząścił żwir alejki odmierzając ich regularne kroki i ten dźwięk poruszył ją- kąś część w ciele Cecylii. Najpierw raz, potem drugi; aż wreszcie każdy krok był kaskadą szarpiającą jej nerwy. Ten marsz stawał się osobliwy, teraz ją naprawdę przestraszył. Rozglądnęła się raz i drugi, jakby oczekując pomocy. J.J. nagle zatrzymał się.

– Może tutaj? – odezwał się. Głos miał lekko zachrypnię- ty, a błękit jego oczu zmienił się w kolor granatowego, wie- czornego nieba.

– Co tutaj? – I w tym momencie Cecylia przypomniała so- bie. Poznała go. Mrok wydobył kontrasty tej twarzy, uwy- datniając zarazem charakterystyczne rysy. Cecylia gwałtownie odwróciła się i zaczęła uciekać. Ciemne drzewa zastąpiły jej drogę. J. J. dogonił ją, szarpnął gwałtownie i wydyszał w twarz

– Nie wywiniesz się. O nie, to nie takie proste. Myślałaś, że można bezkarnie drwić z obrazów? Że możesz śmiać się ze mnie? Wiesz, co zrobiłem tamtej kobiecie? – J.J. uśmiech- nął się krzywym grymasem.

Cecylia utknęła w nierealnej przestrzeni, zawieszona po- między wspomnieniem i niebezpieczną teraźniejszością. Wi- działa bardzo dokładnie tamten obraz, właściwie ciąg komik- sowych obrazków, który kiedyś rozbawił ją tandetną opowieścią; komiksu oglądanego w poczekalni u dentysty. Teraz sama tkwiła zamknięta w jego kadrach, które przed- stawiały ciemny park, uciekającą kobietę i goniącego ją mę- czyznę o przenikliwych, jarząco błękitnych oczach. Wtedy szczególnie rozbawił ją obrazek przedstawiający zbliżenie twarzy mężczyzny, jej mocne rysy, kwadratowy podbródek, błysk niebieskich oczu i tekst w dymku: „Nie mam nic do stra- cenia, dopadnę cię!” Cecylia nie pamiętała, jak tamta histo- ria się skończyła; rozbawiona odłożyła komiks, bo została poproszona do gabinetu. Za to teraz sprawy przybrały nie- bezpieczny obrót; nie chciała ponosić jakichkolwiek konse- kwencji, tym bardziej z ręki komikсового bohatera. Uśmiechnęła się do niego wymuszonym grymasem.

– Daj spokój. Przecież nie zrobisz mi krzywdy, prawda? Komiksowa twarz stężała, oczy zaświeciły pięknym błę- kitem.

– A dlaczego nie? Przecież zasłużyłaś sobie, Cecylio C. Chciała krzyknąć, ale głos stęzał jej w gardle a uśmiech zam- arł na ustach. Patrzyła przerażona, jak J.J. wyciąga z kie- szeni jakiś przedmiot, zauważyła błysk ostrza. Mężczyzna przyłożył nóż do swojej głowy w okolicach prawego ucha i po-

woli, bardzo powoli rozciął skórę; przez policzek i usta aż do lewego ucha. Nie pojawiła się krew, twarz zniekształci- ła się, jakby zmięła, jej góra część odchyliła się do tyłu, zwi- sając niczym rozcięta, gumowa piłka. W środku była pusta.

Kiedy Cecylia ocknęła się, była sama. Siedziała na ław- ce, obok niej leżał bukiet róż. W parku było pusto, gdzieś w oddali odzywał się głos nocnego ptaka. Jeszcze oszoło- miona, szybkim krokiem poszła w stronę bramy. Wreszcie znalazła się w domu, zrzuciła z siebie ubranie i wzięła prysz- nic. Gorąca woda długo zmywała z niej wieczorny strach; jego błękit, granat i czerni. Owinięta w kąpielowy ręcznik prze- tarła zaparowane lustro. Patrzyła w twarz uśmiechającej się do niej Cecylii C. Po jej policzkach spłynęły łzy, chwilę zat- rzymały się w kącikach wykrzywionych lekkim grymasem uśmiechniętych ust i Cecylia, nadal przestraszona, nie wie- działa, czy śmiejąc się płacze, czy roniąc łzy śmieje się.



Linoryt. Wojtek Łuka

3. Mieszkanie

Artur stał przed bardzo dużych rozmiarów płótnem, które wypełniało część pracowni. Znajdowała się na końcu mieszkania zamykając amfiladę trzech pokoi. Swego czasu przeszklił część pochylego stropu, co oczywiście dawało światło, ale w zimie wychładzało mocno pomieszczenie. Czasami zdarzało mu się malować w wełnianych rękawiczkach z obciętymi końcami palców. Pracownia była duża, jej wysokość pozwoliła na skonstruowanie biegnącej wokół trzech ścian niewysokiej antresoli, którą zapiełniały obrazy. Czwarła ściana, pochyła i przeszklona, pokazywała niebo i siedzące na dachu gołębie.

To mieszkanie na ostatnim piętrze starej kamienicy było nagromadzeniem przedmiotów: brzydkich, nijakich, ale i pięknych. Wszystkie były życiem Artura, wszystkie w jakiś sposób je ilustrowały, wszystkie je dopełniały. Wieleletnia z nimi koegzystencja wytworzyła czułą nić wspólnoty, zależności i zażyłości. Był przyzwyczajony do rzeczy nieprzydatnych niemal w równym stopniu, jak do tych, bez których życia nie mógł sobie wyobrazić; choć, oczywiście, dziwnym może się wydać przyrównanie afektu do wyszczerbionego, posklejanego kubka, którego już dawno nie używał, z XIX-wieczną rzeźbą przedstawiającą chińską kurtyzanę. Albo fascynacja parą zużytych butów, nie noszonych od wielu lat, pozbawionych niemal całkowicie podeszwy; butów przechowywanych w poklejonym taśmą pudełku po damskich szpilkach, z nieustającą fascynacją obrazem René Magritte'a *Przekleństwo*, którego duża, oprawiona w nowoczesną ramę reprodukcja wisiała nad stolikiem z telefonem, pozwalając Arturowi w miarę bezboleśnie przebrnąć przez wiele nudnych rozmów. Mieszkał od lat sam, śledzony jedynie spojrzeniem kobiety, której melancholijnie wyraziste oczy spoglądały łagodnie z kilku fotografii w różnych miejscach mieszkania. Na ścianach wisiały obrazy, w większości jego przyjaciół; zdjęcia ludzi, z których kilkoro już umarło. Długi i dość wąski korytarz, rozświetlony rzędem halogenowych lampek, zamykała ściana i drzwi do pokoju. Korytarz był prawie pusty, jeśli nie liczyć fotela, niewielkiego stolika i wieszaka. Pierwszy pokój był duży, dość jasny, przestronnie umeblowany; Artur często zasłaniał okna kotarami, włączał lampkę przy jednym z wygodnych foteli i zatapiał się w lekturze. Jedną ścianę wypełniała bez reszty biblioteka. Zgromadził przez lata okazały księgozbiór uzupełniany ostatnio filmami. Kupił duży telewizor, odtwarzacz dvd i potrafił, kiedy miał dość malowania, przez wiele godzin oglądać filmy.

W ten, i w podobny sposób, Artur przeganiał z tego mieszkania demony. Przed i w czasie wojny należało do żydowskiej rodziny, potem do wysokiego rangą ubeka, a jeszcze później stało dość długo puste, wypełnione jedynie bólem i śmiercią. Ale Artur o tym nie wiedział. Żył wspomnieniem kilku szczęśliwych lat, gdy po ślubie zamieszkał tu z Anną, której spojrzenie zatrzymało kilka wiszących na ścianach fotografii, lecz życie zabrała nieuleczalna choroba.

Teodor Leskowski, kapitan Urzędu Bezpieczeństwa, dostał z przydziału zapuszczone nieco, lecz duże mieszkanie blisko centrum miasta, blisko parku, w ładnej, zazielenionej dzielnicy. Był sam, nie założył rodziny; jakoś dotychczas nie składało się. Odbierając z kwaterunku klucze pomyślał, że mógłby przecież mieszkać skromnie. Ale co tam, mieszkanie bardzo mu się spodobało, w końcu władza musi dobrze się prezentować. Wprowadził się więc szybko, pomalował i urządził trzy pokoje, kuchnię i łazienkę; zadomowił się, a po kilku popijawach w pełni docenił przestronność mieszkania. Męczyły go nieco schody, nie sądził, że wchodzenie na piąte piętro sprawi mu problemy. Miał 35 lat i sie-

dzący tryb pracy najwyraźniej nie sprzyjał dobrej kondycji. „Muszę coś z tym zrobić”, myślał często przystając na czwartym piętrze i spoglądając przez okrągłe okno na dachy sąsiednich kamienic i wieczorne już, zazwyczaj, niebo. A po wejściu do mieszkania, po wypiciu szklaneczki wódki, zasypiał zmęczony. Czasem tylko rozcierał przed snem prawą dłoń, obolałą od wymierzanych w ciągu pracowitego dnia, ciosów.

Był ciepły, sierpniowy wieczór. Leskowski wracał do domu. Czuł w sobie siłę i energię. Prawdopodobnie czeka go awans i weźmie wreszcie zaległy urlop. Może uda mu się namówić na wspólny wyjazd tę niezłą blondynkę z Trzeciego Wydziału. „Chyba mam u niej szansę”, myślał wchodząc po skrzypiących schodach swojej kamienicy; tym razem nie zatrzymując się na czwartym piętrze. Tym bardziej że stała tam kobieta. Minął ją, ale zawodowa czujność i podejrzliwość kazały mu się odwrócić:

– Mogę w czymś pomóc? Czekają pani na kogoś?

– Tak, Teodorze. Czekam na ciebie.

Leskowski popatrzył uważnie na kobietę. Nie znał jej.

– Ale ja pani nie znam...

– To nie ma znaczenia.

W głowie Leskowskiego zapaliła się czerwona lampka, a serce mocniej zabiło. Powoli wsunął rękę pod marynarkę. „O kurwa!” Kabura była pusta.

– Nie masz broni, Teodorze? – kpiąco zapytała nieznajoma.

– Kim jesteś!?

– Dowiesz się za chwilę – kobieta uśmiechnęła się i wyjęła z torebki pistolet Walther, przydziałową własność Teodora. – Widzisz, nie ma to jak pewność siebie za sprawą takiego żelastwa. Słyszałam, że masz ładne mieszkanie. Nie zaprosisz mnie? – machnęła bronią w stronę schodów.

Leskowski poszedł przodem. Starał się opanować i myśleć racjonalnie, ale nie mógł zrozumieć skąd ta dziwka ma jego pistolet. A może zostawił swój, a ona ma innego Walthera? Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie. Musi coś zrobić. Kątem oka popatrzył, jak ruszyła za nim po schodach. „Mam szansę, jeśli szybko odwinę się teczką, nie zdąży strzelić”.

– Nic nie kombinuj z tą teczką, nie zdążyś nawet odwrócić się – głos kobiety wsunął się w Teodora. Poczuci słabość w nogach.

– To jakaś pomyłka, nie rozumiem...

– Otwieraj Teodorze.

Leskowski szukał nerwowo kluczy, wreszcie otworzył drzwi. Ciemny przedpokój wydał mu się tunelem bez wyjścia.

– Zapal światło i połóż teczkę na podłodze – powiedziała kobieta spokojnym głosem. Teraz dopiero dotarło do niego, że jest niezwykle opanowana, jakby codziennie trzymała na muszce ubeków w ich mieszkaniach. Zrobił co chciała, kobieta podniosła teczkę.

– Idź – powiedziała.

Poszli w głąb mieszkania, drzwi do pokoju były otwarte.

– Siadaj – wskazała mu fotel, sama nadal stała. – Pójdź do łazienki, ale ty się nie ruszysz, dopóki nie wrócę. Obiecujesz, prawda?

Teodor przeknął ślinę.

– Obiecuję – popatrzył na nią i zastygł w bezruchu. Kobieta pewnym krokiem wyszła z pokoju drugimi drzwiami. Poruszała się pewnie, jakby znała rozkład mieszkania. Leskowski siedział nieporuszony, czuł niebywały ciężar ciała i zarazem lekkość myśli. „Co robić!?” Chciał wstać, ale nie mógł. Siedział jak skamieniały. Teodor Leskowski, kapitan Drugiego Wydziału Urzędu Bezpieczeństwa, silny mężczyzna, we własnym mieszkaniu, bez racjonalnej przyczyny, za sprawą kobiety, która wyszła z jego bronią do łazienki, nie potrafił nic zrobić. Nic, poza myśleniem. Myślał więc intensywnie, ale to tylko wzmagало jego bezsilność. Po kilku minutach nieznajoma wróciła. Usiadła w fotelu naprzeciw

Teodora, odłożyła pistolet, założyła nogę na nogę i powiedziała:

– Teraz możemy spokojnie porozmawiać, Teodorze. Możesz wstać, próbować mnie obezwładnić, ale myślę, że lepiej będzie, jak zrobisz herbatę. I nie ruszysz noży w kuchni. Kiedy wrócisz, powiem ci, dlaczego tu jestem.

– Myślałem, że chcesz dokumenty z teczki... – Leskowski wstał z fotela, myśl miał jasną, ale niczego nie rozumiał. Poszedł do kuchni zaparzyć herbatę, nie tknął noży, nawet nie pomyślał o nich, bowiem myślał tylko o dziwnej, młodej kobiecie siedzącej w pokoju jego dużego mieszkania.

– Nie interesują mnie żadne dokumenty – powiedziała, kiedy wrócił do pokoju z dwiema szklankami cienkiej herbaty. – Interesujesz mnie wyłącznie ty i twój brat. Opowiem ci historię małej zydówki Lei i jej rodziny. Mieszkali tutaj. Ładnie, prawda? Ten pokój oczywiście wyglądał inaczej, tamte też... Ostatni zajmowali rodzice, a ich dwie córki twoją sypialnię.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo twój brat, Stefan Leskowski, wieczorem czwartego sierpnia 1943 roku przyprowadził Niemców pod bramę tego domu i powiedział, że mieszkają tu Żydzi. Nie musiał tego robić, ale chciał. Niemcy, wrzeszcząc, kolbami wygonili rodzinę z domu, załadowali na ciężarówkę. Muszę ci mówić o ich okrucieństwie, Teodorze?

– Nie...

– A o okrucieństwie twojego brata?

– Nie...

– Tak, Teodorze. Opowiem ci, opowiem ci beznamietnie, spokojnie; tak, żebyś zapamiętał każdy szczegół. Twój brat już nie żyje, popełnił samobójstwo, prawda? Mam nadzieję, że zanim umarł myślał wyłącznie o małej Lei i o tamtej rodzinie. Jego ofiara nie wyrówna żadnych krzywd, nie przywróci nikomu życia. Twoja także nie. Bo kiedy wyjdę powiesz się, nie wytrzymasz sam ze sobą po tym, co ci opowiem. Twój brat wskazał to mieszkanie jako jedno z niewielu ostatnich, w którym są Żydzi. Śmiał się, kiedy Niemcy ładowali żydowską rodzinę na ciężarówkę. Twój brat wrócił tu wczesnym rankiem. Pewnie przyszedł sądząc, że się obłowi. A może wiedział, że w mieszkaniu została Lea. Ojciec zdążył schować ją do szafy. Miała podwójne dno, taki duży schowek na różne rzeczy. Dziewczynka była mniejsza niż jej siostra Rina; pewnie dlatego to ona w nim się znalazła... Wiesz ile Lea miała lat? Dziesięć. Twój brat znalazł ją śpiącą. Kiedy go zobaczyła ucieszyła się, bo spodziewała się Niemców. Ale ta radość trwała krótko. Wyciągnął ją z szafy i zaczął bawić się nią, jak dużą lalką. Rozebrał, nie miała siły bronić się, krzyczała – ale wiedziała, że nikt jej nie pomoże. Kilka razy uderzył ją i rzucił na łóżko.

Leskowski słuchał przerażony. „Nie, nie chcę”, zakładało mu w głowie. Zobaczył nienaturalnie wykręcone, leżące na trawniku, ciało brata, który pięć lat temu wyskoczył z szóstego piętra swojego domu. Czwartego sierpnia 1949 roku.

– Zgwałcił ją; potem przywiązał ręce i nogi do łóżka jakimiś rzemieniami, zakneblował usta i wyszedł. Po pewnym czasie wrócił i znowu boleśnie ją rozrywał. Wychodził i wracał. Za każdym razem, zaciskając mocniej rzemienie, sapął nad małą Leą nie zważając na jej pełne przerażenia oczy i przepełnione potwornym bólem ciało. Wieczorem leżała na przesiąkniętym krwią łóżku. Kiedy przyszedł ostatni raz, już nie żyła. Nie zdziwił się zbyt. Stanął nad nią, zjął spodnie i wszedł w nią po raz kolejny. Potem usiadł naprzeciw, wyjął z kieszeni złotą papierośnicę jej ojca. Zapalił, starannie zdeptał niedopałek i wyszedł z mieszkania, zamykając dokładnie drzwi.

Kobieta skończyła. Sięgnęła do torebki, wyjęła paczkę papierosów. Była pusta.

– Możesz mnie poczęstować? – zapytała mnąc papier w kulkę, którą rzuciła w mężczyznę.

Leskowski drżącymi dłońmi sięgnął do kieszeni marynarki. Chwilę zawahał się.

– Zdaje się, że nie mam...

– Masz, Teodorze.

Wyjął powoli złotą papierośnicę. Tę, którą bardzo lubił, dostał ją od brata na trzydzieste urodziny. Trzymał ją w drżących dłońiach. Kobieta wstała i już w progu rzuciła od niechcenia:

– Teodorze, przecież dziesięcioletnie dziewczynki nie palą papierosów. – I wyszła z mieszkania, zamykając dokładnie drzwi.

Niespełna dwie godziny później Teodor Leskowski powiesił się na klamce pokoju ojca małej Lei.



Linoryt. Wojtek Łukca

KATARZYNA BERETA

Ja, Gustaw

Sztuka na podstawie życia i twórczości Gustawa Morcinka, napisana w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, przyznanego na II połowę 2014 roku.

(fragment)

AKT I

SCENA 2

Obaj pisarze odchodzą. Światło ponownie skierowane tylko na GUSTAWA.

GUSTAW *(wstaje z krzesła)*
Tymczasem do tak urobionego pisarza podchodzą, podbiegają, dzwonią i piszą zurnaliści, uczeni oraz sekretarki rozmaitych związków twórczych, zbierający materiał do swoich reportaży, wywiadów i rozpraw...

W głębi sceny zostaje podświetlone biurko, przy którym siedzi BADACZ. Na blacie kilka pootwieranych książek i stos dokumentów. Na pościelnicze łożu papierosy, obok stoi lampka gabinetowa. BADACZ ubrany w czarny golf. Na nosie ma druciane okulary. Píše na maszynie.

BADACZ *(mówi jakby sam do siebie)*
Imię i nazwisko...

GUSTAW *(całą scenę stoi tyłem do BADACZA)*
...Augustyn Morcinek.

BADACZ Ranga...

GUSTAW ...porucznik.

BADACZ Przydział w wojsku austriackim...

GUSTAW ...31. pułk strzelców w Cieszynie.

BADACZ Przydział w wojsku polskim...

GUSTAW ...73. pułk piechoty w Katowicach.

BADACZ Rok, miesiąc i dzień urodzenia...

GUSTAW 1891, sierpień, 25...
(sam do siebie)
Podobno dzień wcześniej, na świętego Bartłomieja, było bardzo parno. Zaduch wykańczał wszystkich, zwłaszcza oczekującą na poród Mariannę. Po południu zerwał się w końcu wichur i rozpętała się szalona burza. Niebo rozbłyskało do późnych godzin wieczornych. Potem pozostał tylko deszcz, który strugami spływał z chmur aż do końca miesiąca, a wiatr przywiał chłodne powietrze.
Poranek w dniu moich narodzin był więc deszczowy i zimny. W Głogówku i Pyskowicach od wczesnych godzin rannych rozstawiano budy jarmarczne, które dzień wcześniej sprzątnięto w Mysłowicach, Oleśnie i Ujeździe. Był wtorek, czyli dzień wtóry. W tradycji biblijnej – trzeci, a w łacińskiej – dzień Marsa. I chyba ten ostatni najsilniej zaważył na moim życiu, zwłaszcza późniejszym małżeństwie, również zawartym w *dies Martis*...
(po chwili)
Zaraz... To oznacza, że moje życie od urodzenia było znaczone przez boga wojny...! No, ale był on przecież

i patronem wiosny, a ja tak kocham tę porę roku... Każda wiosna jest dla mnie najpiękniejsza...

BADACZ Miejsce urodzenia...

GUSTAW *milczy. Nie słyszy.*

BADACZ *(z naciskiem)*
Miejsce urodzenia...

GUSTAW *(wyrwany z zamyślenia)*
...Karwina.

BADACZ Powiat...

GUSTAW ...Frysztat.

BADACZ Kraj...

GUSTAW ...Śląsk Cieszyński.
(do siebie)

Mój Boże! Ziemia Cieszyńska! Gdy tylko przymknę powieki, wydobywam z pamięci panoramę, którą widać z Kaplicówki. Horyzont wypełniony szczytami... Skrzyczne, Kotarz, Malinowska Skała, Stary Groń, Równica... U ich stóp Skoczów z czerwonymi dachami domów i dwiema kościelnymi wieżami. Jedną bardziej przysadzistą, późnobarokową, której patronują święci Piotr i Paweł. Drugą młodszą i bardziej strzelistą, należącą do ewangelików. I gdzie nie pojedziesz... do Brennej, Jabłonkowa, Trzyńca, Ustronia czy Karwiny... wszędzie to samo spokojne przeplatanie się krajobrazu miejskiego z górskim, przenikanie się wzniesień i dolin, krętych uliczek i dziko porośniętych ścieżek, to samo zespolenie ludzi i natury, architektury i przyrody. Tak... tu jest mój kraj...

BADACZ Religia...

GUSTAW ...rzymsko-katolicka.

BADACZ Narodowość...

GUSTAW ...polska.

BADACZ Ukończone szkoły...

GUSTAW ...szkoła wydziałowa w Karwinie oraz Prywatne Seminarium Nauczycielskie Męskie Towarzystwa Szkoły Ludowej w Białej.

BADACZ Stan cywilny...

GUSTAW ...nie wiem, jak go określić, bo właściwie byłem żonaty i nie byłem... Skoro stwierdzono nieważność związku, to tak, jakbym nigdy go nie zawarł... Kim zatem jestem? Rozwodnikiem? Kawalerem?
(do siebie)
Kim w ogóle jestem po tej klęsce...? Czy jestem jeszcze..., czy byłem kiedykolwiek mężczyzną?! Kobiety wdychają do moich listów, czyli kochają się w słowach, w wymyślonych przeze mnie światach, ale czy kochają się we mnie? Parę zapewne... Marysia, Zosia, może nawet Zuzanna... Ale też nie mam pewności, czy chodziło im o mnie, czy o fakt, iż byłem nauczycielem i jestem pisarzem... To dobrze brzmi: pani nauczycielowa, prawie jak pani doktorowa. W takiej mieścinie jak Skoczów to nobilitujące... A ja, naiwny!, chciałem spotkać boginię z poematu Słowackiego, chciałem, by wyszła ku mnie z beskidzkich lasów, byśmy mogli połączyć się nawet za cenę grzechu, chciałem wdychać do niej i czuć płomień spalający nasze dusze... Zamiast tego przyszła bezlitosna rzeczywistość. Pierwsza porażka i zawzięte postanowienie, że wbrew rozsądkowi zasłużyć na uznanie tej, która mną wzgardziła jako umazanym hawierzem... Lecz ukończenie seminarium to było wciąż za mało, by ją zdobyć. Wybrałem więc pragmatykę i... znowu poniosłem klęskę... Tym razem wrzało całe miasteczko, a ja z upokorzoną męskością odwróciłem się od ludzkiej miłości.

Mijam ją dzisiaj jak coś, w co nie mam odrobiny wiary. Nie wierzę, by mogła trwać przez całe życie, dlatego nie potrafię i nie chcę budować na niej samego siebie. Znalazłem, jak mi się wydaje, coś dużo pewniejszego... Odnalazłem w sobie pisarza! Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, opętało mnie pragnienie pisania, i to pisania pięknego, głębokiego, mądrego i szczerzego. Odtąd, zamiast gonić za pacholęcymi marzeniami niedowarzonego romantyka, wodzę za nos moich czytelników, wymyślam światy, w których sam chciałbym żyć albo odtwarzam te, które zakorzeniły się we mnie w Karwinie, i chyba sprawiam ludziom odrobinę radości tym swoim gawędzeniem...

BADACZ Znajomość języków...

GUSTAW ...niemiecki.

BADACZ Osobliwe umiejętności...

GUSTAW (*wymienia jakby recytował wyuczoną formułkę, po czym gwałtownie urywa*)
...pisarz na maszynie, pływak, rowerzysta, narciarz, śpiewak, fotograf, kierowca samochodu, zapalony turysta...

SCENA 3

Gaśnie światło nad **BADACZEM**. Pojawia się **MERKURY**.

MERKURY (*rzucając się na GUSTAWA*)

Chciałeś powiedzieć *homo peregrinus*. Skazany na wieczną wędrówkę tułacz, którego niespokojna dusza wciąż szuka nowych podniet. Oto twoje prawdziwe ja! Nie panujesz nad własnymi stopami, umysłem i sercem, bo od dnia twoich narodzin dzierżę je w swojej mocy! Ja, wespół z bogiem wojny!

GUSTAW (*wyrrywając się MERKUREMU z uścisku*)

Niechby i tak było! Czy to szkodzi być tak słodko uzależnionym, gdy wokół tyle piękna?! Czy mi z tym źle, że zwiedziłem pół Europy, a nawet wyjechałem poza jej granice? Nie żałuję! Wszędzie szukałem tylko jednego: prawdy o człowieku i jego ziemi. Męczy mnie ta złożoność ludzkiej natury, jej skłonność do bycia okrutną i miłosierną zarazem. Szukam miejsca nieskażonego tym rozdwojeniem. Szukam ludzi pięknych od początku do końca!

MERKURY Pozwól zatem, że wypomnę ci jeszcze jedno. Z rozbawieniem słuchałem twoich rozważań o tym, jak zawiodłeś się na Erosie. Chcesz poznać prawdę? To nie żaden twój osobisty wybór, nie samodzielna decyzja. To matka i siostra wyrzuciły kobiety z twojego życia! Tak! Nie uciekniesz przed tym, nawet gdy przyjmiesz stypendium w Brazylii, gdy zaszyciesz się w najdalszym zakątku świata. To one uczyniły z ciebie kalekę!

GUSTAW Dość tego! Milcz! Jeśli rzeczywiście masz rację i jestem po części maminsynkiem, to czy grzechem było czcić i kochać nieżyjącą już matkę?! Nie pozwolę jej i Tereski mieszać do mojego męskiego świata! Gdyby nie one, pewno by mnie już nie było wśród żywych! Zamknąłem pistolet na klucz przed sobą samym, bo miałem je ob i e...! Musiałem żyć dla nich! Beze mnie zginęłyby! Byłem im, a Teresce nadal jestem, winien opiekę. W końcu jestem mężczyzną! Głową rodziny w zastępstwie ojca, którego nawet nie pamiętam.

(*po chwili*)

Gdyby nie one, zasnąłbym na wieki nad moją wysłużoną Ericą, zdolny jedynie do wkręcania w nią kolejnych kartek i do odpalania papierosa od papierosa. Komu więc przeszkadza moja samotność?! Chyba tylko bezzębnym dewotkom, przypominającym chłodną i podstępą topiel morską, w której głębinie czai się śmierć. Kogóż unieszczęśliwiam?! Zastępy panien, które chętnie widziałyby się u boku pisarza? Ale kim one byłyby u tego boku?! Czy ta rola na pewno dla nich jest napisana?

Nie! Nazbyt szybko pojawiłaby się zazdrość, ten piołun, który truje smak najwspanialszej nawet potrawy! Zaczęłyby się wyrzuty, kłótnie, ciche dni i cały ten kobiecy repertuar, który czyni mi małżeństwo tak obmierzłym...!

(*obiega scenę jakby w szaleństwie*)

Nie! Żadna żona nie zniesie drugiej niewiasty pod swym dachem! Będzie skakać rywalce do gardła tak długo, aż któraś z nich się podda. Literaturę w życiu mężczyzny może zaakceptować tylko kobieta z nim spokrewniona: matka, siostra, babka, ciotka...! Dlatego tak dobrze było mi w jednym domu z mamą i Tereską...

No, może czasami wieczorem, gdy już zasnęli wszyscy domownicy, kot mrucał mi u stóp, a nowa myśl nie chciała się pojawić... wtedy tęskniłem za dotykiem kobiecej dłoni, która odgarnęłaby z mojego czoła tę chmurę utrudniającą mi myślenie i jednym krótkim: „Pracujesz?” mogła wrócić na właściwe ścieżki...

MERKURY Czyż wy, ludzie, nie nazywacie tego egoizmem? Miłością własną, zamykającą was na drugą osobę? To, co mówisz, to jeden wielki monolog skrzywdzonego! A co ze zranionymi przez ciebie?...

GUSTAW Tak... Jest w tym wiele racji... Ta gorycz zatruwa was, jakie daje mi pisanie...

Czasami nawet myślę, że może by i która wytrzymała godzinę milczącego siedzenia nad kartką, grzebania w książkach i samotnych spacerów, ale chyba sama musiałaby być pisarką i to tak dobrą i szlachetną jak pani Zofia. Skoro zaś nie spotkałem takiej duszy, to po cóż innym mieć serca i oczy? Czyż nie jest to mimo wszystko uczciwe postawienie sprawy z mojej strony?...

Poza tym lubię kobiety smutne i przymglone, takie, które trzeba odczytywać. One rozbudzają moją wyobraźnię. Lubię poszukiwać w nich tej tajemnicy, która pieczętuje im usta i przygasa blask oczu. Gdy ją jednak odnajduję, sama osoba przestaje mnie intrygować, a zaczynam o niej myśleć jak o bohaterce powieści. To chyba też dyskwalifikuje mnie jako męża i kochanka...?

MERKURY Raczej tak!...

GUSTAW (*po chwili*)

Wiesz, kiedy zrozumiałem, że muszę być sam? Gdy rozłożyłem na otomanie 30 egzemplarzy mojej pierwszej książki. Niby nic takiego... Nowelki i tyle! Ale to były moje dzieci, nosiły moje nazwisko, a w środku na każdej stronie były odciski moich palców. To była cząstka mnie! Żaden wyrok sądu nigdy nie unieważni tego, że w mojej głowie dałem początek tym nowym światom! Już na zawsze będę wpisany w każdą linijkę. Krytycy, recenzenci i koledzy mogą drwić ze mnie, szargać i plugawić moje imię. W tamtej intymnej chwili byłem jednak tylko ja i moja literatura... Czulem się szczęśliwy jak nigdy w życiu i wiedziałem, że to dopiero początek. Wtedy zrozumiałem, że nie brakuje mi niczego ani nikogo...

MERKURY Czyli jednak cierpisz?...

GUSTAW Któż nie cierpi?! Pokaż mi człowieka wolnego od tego uczucia!

(*po chwili*)

Gdy ziarno miłości we mnie umarło, zrozumiałem, że to nie koniec, a jedynie pewien etap. Grzebałem więc w ziemi, orałem ją swymi myślami, słowami dobywanymi z zakamarków serca, kopałem własny tunel do wolności... I oto jest! Widzę. Kwiat, który wyrósł z tamtej zniszczonej lupiny. Widzę moje życie na nowo napisane! Jest barwne, promienne, jasne i nie ma już tamtej gradowej chmury zaciemniającej mi sens istnienia, pod którą chciałem sobie przyłożyć pistolet do skroni – ja, porucznik, człowiek honoru! Nie ma już tego śmiechu wokół, który był jak rozżarzone węgle na ciele! Teraz jest jasność, błękit czystego nieba, jest świeżość poranka, który kryje w sobie wszystkie niewiadome dnia! Jest miłe podniecenie przygodą...

(*po chwili*)

Z trudem wydrążyłem w sobie tunel i teraz czuję słodkie zmęczenie jak po całodziennym górskiej wędrówce... Czuję też, że jutro mogę zacząć kolejną powieść!...



Tropami Jana Banasia

MAREK
KOSMA
CIEŚLIŃSKI

W swoich filmach Jan Kidawa-Błoński wielokrotnie podejmował śląskie tematy, najbardziej chyba spektakularnie w „Skazanym na bluesa” – biograficznej powieści o Ryszardzie Riedlu. Obecnie reżyser pracuje nad filmem „Gwiazdy”, którego bohaterem jest Jan Banaś, zasłużony piłkarz bytomskiej Polonii i zabrzańskiego Górnika.

Pomysł na nowy film, jak się wydaje, od wielu lat interesował reżysera. Wyrazisty bohater, pogmatwane losy rodzinne osadzone w realiach polsko-niemieckiego pogranicza, trudna droga do kariery oraz, w końcu, sukces i olbrzymia popularność – wszystko to daje szansę na stworzenie fascynującej, a do tego – bardzo śląskiej historii, w której starsi widzowie odnajdą najpewniej obrazy z własnych wspomnień i postać idola piłkarskich stadionów ery wczesnego Gierka.

Urodzony w 1943 roku Jan Banaś to postać typowa dla wielu górnośląskich życiorysów, które nie doczekały się dotąd należnego miejsca w kinie fabularnym. Urodzony w Berlinie, syn żołnierza niemieckiej armii i Ślązaczki

z Katowic, przez długi czas używał niemieckiego nazwiska. Jako Heinz-Dieter Banas kształcił się na technika górniczego. Sportowe szlify zdobywał w klubach piłkarskich Mikołowa i Katowic, skąd w roku 1962 trafił do Polonii w Bytomiu. Najczęściej rozstawiany był jako prawoskrzydłowy. Jego kariera rozwijała się szybko, ale – do czasu. Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych bytomscy piłkarze wyjechali do Skandynawii, Banaś postanowił za namową ojca pozostać na Zachodzie, co odbiło się sporym środowiskowym skandalem. Pobyt w Niemczech przyniósł jednak rozczarowania, i po roku piłkarz powrócił na Śląsk. Dzięki pomocy ówczesnego wojewody Jerzego Ziętka wrócił do sportu, dołączył do zespołu Górnika Zabrze,

gdzie przyczynił się do największych sukcesów klubu, a z czasem został powołany do reprezentacji narodowej. Niestety, władza nigdy nie wybaczyła mu ucieczki z socjalistycznego kraju, i do końca kariery obowiązywał go zakaz udziału w meczach z reprezentacją RFN. W praktyce oznaczało to m.in. brak zgody na udział w Igrzyskach w roku 1972 i w Mistrzostwach Świata w roku 1974.

Bohater „Gwiazd” jest dziś dla miłośników futbolu postacią niemal legendarną; jego sportowa kariera przypadła na lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Powoływany przez kilka lat do kierowanego przez Kazimierza Górskiego zespołu reprezentacji Polski, najmocniej chyba zapisał się w pamięci kibiców w roku 1973, kiedy na Stadionie Śląskim strzelił bramkę, która zapewniła przewagę podczas meczu z Anglią. W lokalnym kolorycie zapisał się też jako ulubieniec kobiet, ale może bardziej – jako właściciel czerwonego fordka mustanga, obiektu westchnień miłośników motoryzacji, jednego z zaledwie kilku takich aut jeżdżących wówczas po drogach nad Wisłą w czasach, gdy standardem były moskwicze, trabanty i zaporozce. Co oczywiste, zdobycie takiego samochodu było dla polskiego piłkarza wcale nietatwe. Zarobki otrzymywane w klubie piłkarskim, nawet jeśli obficie wspomagane fikcyjnymi etatami dołowymi w kopalni, diety dodawane do sporadycznych wyjazdów zagranicznych, a nawet premie za wygrane mecze nie mogły wystarczyć na zakup luksusowego wozu: jak przyznawał kilka lat temu Banaś, niezbędna okazywała się operatywność przy wywożeniu za granicę kryształów i wódki, które po sprzedaży zasilały portfele zawodników.

Mając tak barwny materiał, z interesującym tłem obyczajowym czasów PRL, Kidawa-Błoński podjął się realizacji filmu, którego akcja toczyć się będzie przez trzy dekady: od urodzin bohatera do zwycięskiego dla Polaków meczu „na wodzie”, rozegranego w Monachium z Brazylią, w ramach Mistrzostw Świata w 1974 roku. Przedsięwzięcie jest trudne, jego historyczny wymiar wymaga stworzenia lub zaadaptowania wielu obiektów zdjęciowych. Za scenografię odpowiada Elwira Pluta (m.in. „Pitbull”, „Bez tajemnic”), autorem zdjęć jest Michał Englert („Bilet na księżyc”, „Pani z przedszkola”). Producentami obrazu są Film Point Group oraz Telewizja Polska S.A. przy dofinansowaniu otrzymanemu z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W obsadzie znaleźli się m.in. grający Banasia Mateusz Kościukiewicz, oraz wcielający się w role rodziców piłkarza Magdalena Cielecka i Paweł Deląg. W dalszych rolach wystąpili Eryk Lubos, Robert Talarczyk, Wojciech Mecwaldowski i Marian Dziędziel.

Jak mówił na konferencji prasowej Kidawa-Błoński, film nie ma być biografią prezentowaną z perspektywy czterech dekad, jakie minęły od sukcesów na boiskach, lecz żywą, emocjonalną opowieścią o pasji, młodości i przewyciężaniu trudności losu. Będzie to też na pewno film o skomplikowanych relacjach syna z ojcem. Zaangażowanie Kościukiewicza, znanego z ról w filmach „Matka Teresa od kotów”, „Wszystko co kocham”, „W imię...”, pozwala spodziewać się kreacji buntownika łapczywie chwytającego życie i grającego z nim *va banque*. Co prawda, aktor występuje obecnie także w poświęconym św. Franciszkowi filmie biograficznym reżyserowanym przez Lilianę Cavani, osiemdziesięcioletnią nestorkę włoskich reżyserów (autorkę głośnego i skandalizującego przed laty „Nocnego portiera”), ale praca przy tej międzynarodowej produkcji dowodzi przede wszystkim coraz wyższych notowań Kościukiewicza.

Jak podkreśla II kierownik produkcji odpowiedzialny za wyszukiwanie obiektów zdjęciowych Adam Łukaszek, film jest zdecydowanie „śląski”. Ekipa pracowała dotąd w Świętochłowicach, Rudzie Śląskiej, na przejściu granicznym w Chałupkach, ale przede wszystkim w Zabrze, gdzie realizowano sceny m.in. na osiedlu Zandka, w kinie Roma, przed halą Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, a także przy ulicy Dworcowej. Życzliwe przyjęcie i pomoc organizacyjna władz miasta, którą podkreśla filmowiec, świadczy niezbieżnie o świadomości samorządów lokalnych na temat wysokich walorów promocyjnych i edukacyjnych, jakie łączą się z powstawaniem obrazów tego rodzaju. W przypadku „Gwiazd” gwarantem zrozumienia specyfiki regionu jest dodatkowo osoba reżysera, który urodził się w Chorzowie, było to 12 lutego 1953 roku, i pierwsze lata życia spędził tamże, mieszkając przy ulicy Truchana.

Po ukończeniu studiów w łódzkiej szkole filmowej zadebiutował obrazem „Trzy stopy nad ziemią” (1984), który od razu wyróżniono drugą nagrodą w sekcji Młodego Kina na festiwalu w Gdańsku. Utrzymana w umownej, magicznej tonacji opowieść była historią ze Śląska rodem: w jednej z kopalń student usunięty z uczelni za brak wyników, dąży do opanowania sztuki lewitacji. W tle przewija się pejzaż regionu z późnej epoki propagandy sukcesu, a emocjonalne i uczuciowe perypetie bohatera przeplatane są kopalnianym strajkiem, scenami z życia hotelu robotniczego i motywem górniczej katastrofy.

Miejszem akcji kolejnego filmu była Wielkopolska. „Męskie sprawy” (1988) odwoływały się do tradycji powstania z 1918 r., gdy kilkunastoletni chłopcy stają do walki z Niemcami, tar-

gani trudnością dokonywanych wyborów i ścieraniem się różnych postaw na sytuację polityczną. Udział w ruchu narodowo-społecznym jest dla nich ważny w wymiarze osobistym, jako przepustka do dorosłości.

Zupełnie inny był „Wirus” (1996), zrealizowana w międzynarodowej koprodukcji próba zmierzenia się z kinem gatunkowym. Utrzymana w klimacie thrillera historia informatyka współpracującego z policją, by rozwikłać sprawę niebezpiecznego terrorysty, grożącego blokadą krajowych systemów bankowych i komunikacyjnych, zapowiadała się na dobre kino akcji. Mimo jednak zaangażowania do głównej roli bardzo wówczas popularnego Cezarego Pazury, tytuł nie stał się frekwencyjnym sukcesem. Podobnie zresztą jak o cztery lata wcześniejszy „Pamiętnik znaleziony w garbie”, rozgrywająca się na przestrzeni półwiecza rodzinna saga przedstawiająca burzliwe i zmienne losy rodziny miotanej od 1939 roku życiowymi wędrówkami na pograniczu polsko-niemieckim. I choć tematyka była ważna, i mało rozpoznana w kinematografii fabularnej, opisane losy Polaków wcielanych niegdyś do Wehrmachtu, a potem kilkakrotnie szukających swojej prawdziwej ojczyzny, nie stały się pretekstem do znaczącej publicznej debaty.

Oba wymienione tytuły wyprodukowała należąca do reżysera firma Gambit Productions, ale dopiero w 2005 roku znaczący sukces rynkowy odniósł kolejny tytuł tej marki – „Skazany na bluesa”, przejmująca pasją i ładunkiem emocjonalnym opowieść o życiu wokalisty *Dżemu* Ryszarda Riedla. Muzyka kultowego zespołu, brawurowa kreacja aktorska Tomasza Kota, świetnie poprowadzone role drugoplanowe, ale przede wszystkim odsłonięcie nieznanych elementów biografii muzyka, którego młode życie przerwał narkotykowy nałóg, uczyniły ze „Skazanego...” przebój sezonu, utrzymując go do tej pory pośród najczęściej przypominanych obrazów. Dla młodej publiczności oraz miłośników bluesa jako gatunku muzyki, historia prostego chłopaka z robotniczego miasta, który poświęca wszystko dla osobistej pasji, okazała się może nie głosem pokolenia, ale z pewnością istotnym punktem odniesienia dla tych, którzy pragną wyrwać się z anonimowego otoczenia współczesności. Sposób, w jaki Kot oddał indywidualne cechy Riedla był wyjątkowy, tym bardziej iż sam Kidawa-Błoński jest krewnym Ryszarda, i przez kilka lat wychowywał się z dużo młodszym od siebie wokalistą.

Przez polskie kina biografia tragicznego bluesmana przetoczyła się z triumfem. Odbyło się kilka efektownych premier, na film przyszły tłumy, ale – co najważniejsze – obraz Kidawy-Błońskiego odnowił na Śląsku dyskusję o regionalnych

walorach kultury, wątkach, które należało by rozwinąć kamerą, a także o kultywowaniu świadomości i wartości „małych ojczyzn”. Dowodem tego jest chociażby przeniesienie filmu w roku 2014, a więc w dekadę po premierze, na deski Teatru Śląskiego, gdzie Robert Talarczyk i Arkadiusz Jakubik umieścili historię w cyklu „Śląsk święty, Śląsk przeklęty”, spotykając się z gorącą reakcją widzów.

Filmem o Riedlu Jan Kidawa-Błoński potwierdził swoją wielogatunkową sprawność reżyserską. Chociaż w dorobku ma pracę przy realizacji kilku seriali telewizyjnych, wyraźnie kontuuje widoczne już od debiutu zamiłowanie do tropienia wątków historycznych. Widać to w „Różycze” (2010), historii biograficznej zainspirowanej postacią Pawła Jasienicy, w której realia życia i tworzenia w czasach PRL ukazane są w połączeniu z niebezpieczeństwem i pokusą poddania się inwigilacji komunistycznej władzy. Mimo niewprowadzenia nazwiska pisarza do filmu, zbieżność z osobą literata wywołała zapalczywe i emocjonalne protesty rodziny autora „Rozważań o wojnie domowej”, dowodząc jednak, że reżyser odważnie sięga po współczesne i nie wyjaśnione do końca przez historyków wątki.

Dwa lata temu powstał poruszający tematykę polsko-żydowską psychologiczny film „W ukryciu”, opowiadający historię destrukcyjnej relacji Polki do Żydówki ukrywanej we własnym mieszkaniu w ostatnich miesiącach wojny. Obecnie reżyser mówi o planach wyreżyserowania serialu o polskim okręcie podwodnym Orzeł, który zatonął w nieznanych okolicznościach wraz z całą załogą podczas II wojny światowej. Jego niezlokalizowanego dotąd wraku do dziś poszukują miłośnicy podwodnych eksploracji, a archiwiści gromadzą rozproszoną po świecie dokumentację.

Na planie filmu o Janie Banasiu trwa właśnie przerwa zdjęciowa. Do tej pory nakręcono połowę materiału. Kolejne sceny będą realizowane wiosną, zaś premiera planowana jest późną jesienią. Najbardziej odpowiednim dla niej miejscem byłby remontowany obecnie stadion Górnika. Na pierwszym pokazie będzie zapewne obecny sam bohater, który po latach spędzonych za granicą, trenuje obecnie zespoły młodych trampkarzy na Śląsku. Być może stanie się dla nich żywą legendą. Jak zapowiada reżyser, tytuł filmu nawiązuje nie tylko do gwiazdorskiego blichtru, jakim cieszyli się przed laty zawodnicy reprezentacji, ale też do marzeń, ku którym przez całe życie podążał bohater. Czy film okaże się wydarzeniem na miarę opowieści o Ryszardzie Riedlu? Miejmy nadzieję, że tak.

Z kompozytorem i kontrabasistą ALEKSANDREM GABRYSIEM
rozmawia MAGDALENA DZIADEK



Fot. © Christoph Bösch

Szwajcarskie Bestiarium i inne utwory

– Dawno pana nie było w Katowicach. Co słyhać?

– Gram, spotykam się, działam... W grudniu miałem sposobność ponownych występów pod batutą Heinza Holligera, m.in. w jego kompozycji *RECICANTO*,

zaś wraz z moim zuryskim zespołem pre-art soloists występowałem w Bazylei, Lucernie, Lozannie, Bernie i Zurychu z całkiem nowym, zamówionym przez nas repertuarem. Prawykonałem osiem nowych kompozycji młodych, ale już wielokrotnie

nagradzanych na konkursach kompozytorskich autorów z Turcji, Armenii, Gruzji, Azerbejdżanu, Szwajcarii, Serbii, Macedonii, itd.

W ostatnich miesiącach brałem również udział w kilku wybitnych nowoczesnych spektaklach operowych. Wymienię tu przede wszystkim *IQ* Enno Poppe, gdzie miałem również sceniczne zadania (trochę aktorstwa i śpiew ćwierćtonowy na scenie, dwa kontrabasy i gitara!) – najpierw na festiwalu w Schwetzingen, a potem na MärzMusik w Berlinie wraz z Klangforum Wien. Ciekawym doświadczeniem było wykonanie we wrześniu w Lille opery ucznia Witolda Szalonka Toshio Hosokawa'y pt. *Matsukaze* z zespołem MusikFabrik z Köln, z niesamowitą sopranistką-aktorką Barbarą Hannigan w tytułowej roli. Z moim bazylejskim zespołem Ensemble Phoenix wykonywałem w tamtejszym teatrze w tym sezonie operę pt. *Föhn* (tytuł oznacza ciepły szwajcarski wiatr halny). Dużą przyjemnością był występ w paryskiej Salle Pleyel – tej samej, w której grywał Chopin! – podczas „Le Festival d'Automne à Paris” 2014 w klasycznym repertuarze współczesnym (Wolfgang Rihm i Luigi Nono). Dzieła Nono wykonuję ze szczególnym upodobaniem, m. in. trzykrotnie grałem *Prometeo* podczas Salzburger Festspiele w kościele Kollegienkirche w Salzburgu wspólnie z Klangforum Wien. Ostatnio wystąpiłem również na festiwalu Giacinto Scelsiego w Bazylei z utworami solo tego włoskiego geniusza i mistyka, jak i w duecie *Dhara* wraz z legendarnym Rohanem de Saram'em, zagrałem także w duecie z 91-letnią słynną i czynną wciąż śpiewaczką z Rzymu Michiko Hirayama – ongiś przyjaciółką księcia d'Ayala Valva-Scelsiego, w ramach cyklu Canti di Capricorno. Wielkim i ważnym także dla mnie przeżyciem jest wykonywanie dzieł Georga Friedricha Haasa, nadzwyczajnie płodnego wizjonera spektralizmu, przez lata związanego z Musikakademie Basel, a dziś profesora Columbia University.

– Pańskie wyliczenie przyprawia o zawrót głowy: wspaniałe miejsca, wspaniałe nazwiska, tworzące kanon muzyki awangardowej. Co prawda, z definicji muzyka awangardowa nie jest kanoniczna, ale przecież z łatwością rozróżniamy w niej przeciętniaków i wielkości. Z tymi ostatnimi jest pan za pan brat... Obawiam się, że nie byłoby to możliwe w Polsce?

– Wymieniając wszystkie te wybitne nazwiska i dzieła po raz kolejny uzmysławiam sobie dlaczego jestem „tam” a nie „tu”: moje potrzeby poznawcze, rozwojowe, w tym także kompozytorskie z pewnością znajdują tam odpowiednią ilość pożywek. Współpraca z Internationale Gesellschaft für Neue Musik w Bernie owocuje od kilku już lat nowymi kompozycjami mojego autorstwa. Ostatnio powstały *Fuga mystica*, *Carrillo N13*; – *Eine transgradiale Musik-Installation/Performance*, we współpracy z Biennale Bern, *Bestiarium* na róg i skrzypce, *Bestiarium* – *Fortune Square Trio Trip SinAct* na skrzypce, róg, kontrabas, orkiestrę symfoniczną i live-electronics, *metAtem* – interaktywny stragan

dźwiękowy podług Dantego Alighieri i *Mikrogramów* Roberta Walsera – akcja muzyczno-plenerowa dla czterech performerów, na instrumenty samogrające, kontrabas, lupofon i elektronikę, wykonywany przez nas w Bern i Basel – to niektóre z tropów wiążących mnie ze stolicą Szwajcarii.

– Co to jest lupofon?

– To obój basowy. Obój, podobnie jak fagot, przeżywają dziś renesans nowych wynalazków w postaci swych następców: lupofonu i kontraforte. To cuda techniki, z niezwykle klarownym, mocnym i bogatym brzmieniem, rezultat doświadczeń i wniosków genialnych budowniczych, którzy ten złożony mechanizm stworzyli kilka ledwie lat temu. Brak tylko literatury na te nowe instrumenty, jesteśmy zatem świadkami narodzin nowego rozdziału w historii muzyki.

– Spodziewam się, że wymienione przez pana przed chwilą autorskie kompozycje nie trafiły do szuflady?

– Na szczęście nie, i to jest kolejny powód, dla którego zachwyłem się Szwajcarią – to doprawdy wymarzony teren dla kogoś, kto pragnie dzielić się z publicznością nietypowymi projektami, wymagającymi np. wyjścia w plener, poza salę koncertową. W minionym roku miałem dwa prawykonania: *Walser Code – Scenario for Violin-Player* oraz trzygodzinną interaktywną akcję muzyczną na otwartych placach w sercu Berna i Bazylei pt.: *metaAtem*. Parę miesięcy wcześniej odbyło się także prawykonanie, a potem kilka wykonań (w Czechach i Szwajcarii) mojego największego obśadowo utworu: *BESTIARIUM Fortune Square TrioTrip SinfAct* dla trojga solistów, orkiestry symfonicznej i elektroniki. Utwór ten, w którym przeprowadzamy różne eksperymenty z przetwarzaniem dźwięku i nagrań live oraz testujemy na scenie własnoręcznie skonstruowane instrumenty jest wersją wcześniejszego duetu na skrzypce, waltornię, głosy i podręczną elektronikę, który był wykonywany w Lucernie, Katowicach, Bytomiu, Brukseli, Londynie, Budapeszcie, Novim Sadzie, Berlinie i licznych miastach szwajcarskich.

– Poruszając się w obszarze twórczości multimedialnej z konieczności pracuje pan w zespole, dzieląc role kompozytora i wykonawcy – o ile można tu w ogóle mówić o „podzielności”...

– Oczywiście, tu zasada jest komunikacja, praca z zespołem. Jeśli chodzi o ten krąg moich działań, dużo satysfakcji przyniosły mi akcje multimedialne *Carrillo N13*, współtworzone w kwintecie z wynalazcą, reżyserem, i dwoma muzykami plus dwóch inżynierów i zaplecze ze strony festiwalu Biennale Bern. W ciągu sześciu tygodni wybudowaliśmy na przestrzonym strychu w centrum stolicy muzyczną maszynę ze stelażem z pięciu ton drewna i „wdmuchanym” w to napompowanym balonem lotniczym, przez którego „służę” publiczność mogła do nas wchodzić. Był to muzyczny interaktywny spektakl trwający non stop 169 godzin, 13 razy 13, a więc jeden tydzień i jedną godzinę. Mieliśmy własny rytm działania, własny język, łożę pośrodku sceny, a nawiązywaliśmy do idei muzyki mi-

krotonowej Juliana Carrillo i Ivana Wyschnegradsky’ego.

Innym sposobem nowej komunikacji z publicznością był „stragan muzyczny” z własnoręcznie zbudowanymi przez nas instrumentami, zapraszającymi publiczność do dźwiękowego wchodzenia w strukturę naszego nieustającego brzmienia. Niczym laboranci wprowadzaliśmy w naszą wystawę grających obiektów przypadkową publiczność na Münsterplatz w Bernie i Theodorskirchplatz w Bazylei. Oprócz instrumentów i planu dramatycznego akcji przygotowałem także trzygodzinną ścieżkę dźwiękową, która przeprowadzała nas przez muzycznie widzianą akcję *Boskiej Komedii* Dantego. Materiał video dokumentujący te działania ukaże się wkrótce w internecie.

– Polskę opuszczał pan jako początkujący kompozytor i dojrzały solista-kontrabasista. Czy jest pan nadal wierny swemu instrumentowi?

– Oczywiście. Miałem ostatnio sporo zadań solistycznych, na przykład wykonanie arcytrudnego *THERAPS* Iannisa Xenakisa w ramach koncertu portretowego tego kompozytora na zaproszenie Ensemble Modern z Frankfurtu nad Menem w wielkiej sali Radia WDR w Kolonii, oraz na zaproszenie IGNM w Bernie. Dokonałem także obrotową kamerą rejestracji muzyki towarzyszącej niemu nagraniu video występu dyrygenta, w ramach projektu Jannika Gigera „Gabrys und Henneberger – Transformation”. Wykonuję również często utwory napisane specjalnie z myślą o mnie jako kontrabasiście, np. w ramach projektów zespołów Thomasa Kesslera (wraz z Collegium Novum Zürich – gram tam wysokie wielodźwięki flażoletowe, specjalne wibracje), Jung-hae Lee, Michela Rotha, Alfreda Knüselä, Helmuta Oehringa i wielu innych. To dowód na to, że solistyczny kontrabas ciąga współczesnych twórców, głównie poprzez masowość swej wibracji we wszystkich rejestrach i również jako instrument harmoniczny – ma często wiodącą rolę w zespole. Tak się dzieje w utworach pisanych od lat dla pre-art soloists. Zasiadałem w jury organizowanego przez ten zespół konkursu kompozytorskiego. Otrzymał miś od jego uczestników wiele oryginalnych i samodzielnych propozycji, świeżych pomysłów muzyki z „przebojową” rolą kontrabasu. Co roku mamy w ramach konkursów zastrzyk nowej kompozytorskiej energii ze Wschodu – krajów nie zrzeszonych w EU, odbyliśmy też kilkakrotnie podróże koncertowe w tamte rejony – Armenia, Azerbejdżan, Gruzja, jak i całe Bałkany, od Słowenii, Chorwacji, Serbii, Bośni i Hercegowiny po Czarnogórę i Macedonię. Podróże te stanowią obustronną wymianę dobrej twórczej energii – miejscowi cieszą się niezwykle goszcząc nasz zespół.

– Chciałabym, żeby pan na koniec krótko opisał dla nas kulturalną stronę Bazylei. Czy są tam widoczni Polacy?

– Bazylea, miejsce nadzwyczajnie zasobne w kulturę, to zbiory sztuki starej i nowej, podziwianej przez kolekcjonerów i słynne np. poprzez swoje targi sztuki ART BASEL, ściągające do miasta co roku najznamienitsze oraz najdroższe galerie z ca-

łego świata. Zresztą i na co dzień nie sposób wręcz ogarnąć propozycji i ekspozycji w galeriach, fundacjach, na scenach muzycznych, teatrach, w muzeach i scenach niezależnych: to nieprzebrane magazyny sztuki, np. Paul Sacher Stiftung, w którego cyklu koncertowym wystąpię w kwietniu, Fondation Beyeler, działania Schaulager, projekty Kunsthalle, Haus der Elektronischen Künste, Gare du Nord – Bahnhof für Neue Musik, Imprimerie Basel, Theater Basel, grupy undergroundowe KLAPPFON i PLATTFON, czy sama Akademia Muzyczna, będąca mocnym silnikiem napędowym kultury miasta. Pulsują wyraziście festiwale muzyczne; ważny jest Festival Rümlingen – rodzaj „pre-festiwalu”, wynajdującego „diamenty” przyszłej kultury, nazwiska kompozytorskie jeszcze nieznane, a które będą głośne za 5–10 lat na największych światowych scenach; tu doniosła rola warszawianki Sylwii Żytyńskiej, perkusistki, performerki, improwizatorki, kompozytorki i nauczycielki, która od ponad dwóch dekad nadaje ton wielu nowatorskim działaniom artystycznym w Szwajcarii. Nie tylko sama tworzy i edukuje, ale również realizuje znakomite serie „pro musica nova”, np. cykl adresowany do dzieci „Gare des Enfants”. W tak potężnym i gęstym od treści kulturowych tygłu jak Bazylea – miasto wiążące trzy ościennne państwa (symbolem jest położone obok jedyne na świecie trójnarodowe lotnisko Basel-Mulhouse-Freiburg) trudno mówić o jakimś wyróżniającym się miejscu polskiej kultury muzycznej. Jest ona składową globalnego nagromadzenia twórców, którym etnologzy przydadli dziś trafną nazwę „transnarodowych”.

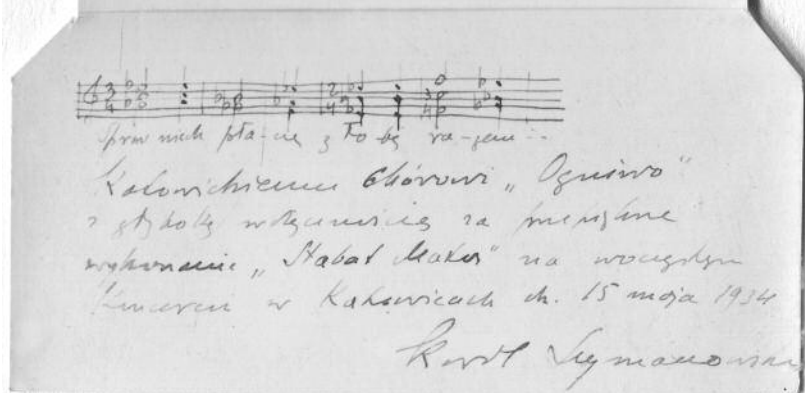
Nie jest chyba nieskromnością przyznanie sobie miejsca w owym szerokim nurcie: świadectwem pozostaje CD *Robert Walser in der schweizer Musik*, gdzie pomieszczono mój utwór *Da ich ein Knabe war*, a także szereg prawykonania mojej muzyki, jakie miały miejsce w Szwajcarii. Kilkakrotnie udzielałem wywiadów dla tutejszego radia i telewizji; wszystko to świadczy zapewne o otwartości Szwajcarów i ich chłonności dla nowatorskich trendów, o starannym wyłapywaniu bodźców kulturowych, płynących zewsząd, także z Polski. To w Bazylei miałem sposobność spotkania się ze Zbigniewem Karkowskim, którego od lat podziwiałem z dala, a tu właśnie miałem okazję prawykonać jego utwór, zaprzyjaźnić się i otrzymać utwór-dedykację na kontrabas solo i elektronikę. Porozumienie to trwało i owocowało do końca życia tego wybitnego twórcy „osobnego”, zamieszkałego w Tokio, ucznia Xenakisa, który odwiedził Katowice i mój dom krótko przed śmiercią.

Dodam również już tylko na marginesie, że miałem kilkakrotnie swój udział w „eksporcje” Szwajcarów do Polski, do Katowic, Krakowa i Warszawy, we współpracy m. in. z Fundacją Pro Helvetia. Śmietanka szwajcarskich muzyków grała tu muzykę swego kraju, a także niemiecką i moje utwory.

– Dziękuję za rozmowę.



KAROL SZYMANOWSKI



Fotografia z odręczną dedykacją K. Szymanowskiego dla chóru „Ogniwo” na pamiątkę wykonania „Stabat Mater” w Katowicach.

Katowice Karolowi Szymanowskiemu

KAROL RAFAŁ BULA

Adres Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego skupiającego uwagę na osobie i twórczości drugiego po Fryderyku Chopinie największego kompozytora polskiego wskazują na Zakopane. To tam znajduje się Muzeum Karola Szymanowskiego w Willi „At-

ma” a ona jest oficjalną siedzibą Towarzystwa. Zmiany, jakich dokonano w Willi od 2012 roku mocno jednak zmieniły sytuację. Wprawdzie Towarzystwo nadal utrzymuje na mocy umowy kontakty z Muzeum Narodowym w Krakowie, gospodarzem obiektu w Zakopanem, lecz re-

mont „Atmy” spowodował szereg niekorzystnych zmian we wzajemnych relacjach: Towarzystwo zostało pozbawione swojego biura usytuowanego w willi, a przechowywane w nim archiwalia przekazane zostały do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, z „Atmy” wyprowadzono będący własnością Towarzystwa fortepian marki Bösendorfer i zastąpiono go zakupionym przez Muzeum Narodowe instrumentem marki Schimmel, co w oczywisty sposób wpłynęło na ograniczenie występów renomowanych pianistów zapraszanych przez Towarzystwo do „Atmy”. Wolą oni grać na bez porównania lepszym Bösendorferze umieszczonym w pięknej Galerii sympatyzującego z Towarzystwem Ryszarda Orskiego. Dodajmy, że zakopiańczy w niczym nie wyróżniają się zainteresowaniem Szymanowskim, na które ten ze wszech miar zasługuje, zważywszy na deklarowaną przez niego przy różnych okazjach, no i uwiecznioną w kompozycjach miłość do Podhala i jego stolicy. O nikłym zainteresowaniu zdaje się świadczyć znikome poparcie działań na rzecz popularyzacji jego postaci i dorobku ze strony władz miejskich Zakopanego i mizerna liczba członków Towarzystwa jego imienia. Dość wspomnieć, że od wielu lat w zarządzie Towarzystwa nie ma jednego zakopiańczyka, a na odbytym w grudniu minionego roku Walnym Zjeździe nie pojawił się żaden z nich. W prezydium zarządu znaleźli się ponownie związani z katowicką Akademią Muzyczną prof. Joanna Domańska (prezes), prof. Eugeniusz Knapik, dr Arkadiusz Kubica (wiceprezesi) oraz warszawiacy prof. Sławomir Czarnecki i skrzypek Kwartetu „Prima Vista” Józef Kolinek. Jeżeli sytuację tę traktować jako dowód społecznej aktywności lub jej braku, to już drugiego faktu tj. wyeksponowania Katowic jako miejsca kilku szczególnie ważnych wydarzeń muzycznych o zasięgu międzynarodowym nie można lekceważyć. To tutaj w listopadzie 2012 roku odbył się I Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski im. Karola Szymanowskiego, na który napłynęło 176 partytur z całego świata, a w 2014 roku I Międzynarodowy Konkurs Kwartetów Smyczkowych im. tego kom-

Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego
ul. Rynek 10
KONCERT FINAŁOWY CYRULU

CZTEROGŁOS

17 maja, godz. 20.00

REKONSTRUKCJA HISTORYCZNEGO
KONCERTU Z 15 MAJA 1934

Stefan Marian Stoiński – WIELKA MODLITWA OP.14
na sopran, baryton, chór mieszany i orkiestrę

Hector Berlioz – REQUIEM OP.5 CZĘŚĆ I
na tenor, chór mieszany i orkiestrę

Karol Szymanowski – STABAT MATER OP.53
na sopran, alt, baryton, chór mieszany i orkiestrę

Wykonawcy
Jerzy Maksymiuk, Maciej Twarek – dyrygenci
Iwona Mossa – sopran, **Ewa Marciniak** – alt,
Adam Kruszyński – tenor
Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia
Chór Filharmonii Śląskiej
Jarosław Wolanin – przygotowanie chóru

Koncertowe Towarzystwo myślowa Złota muzyczne w międzywojennych Katowicach
Kierownik artystyczny: **Justyna Domalańska, Arkadiusz Kubica**
Kierownik administracyjny: **Andrzej Jurek**
Wszystkie szczegóły do udziału w koncercie, tel. 22 719 21 80

Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach

Afisz koncertu finałowego „Czterogłosu”

pozytora. Tu też w ubiegłym roku upamiętniono pobyt Karola Szymanowskiego w Katowicach 3 lata przed śmiercią kompozytora cyklem koncertów z repliką koncertu z 1934 roku, w czasie którego pod dyktando Jerzego Maksymiuka wykonano „Stabat Mater” uważane za najwspanialsze dzieło Szymanowskiego, a w pozostałych koncertach zaprezentowano dzieła jego wybitnych spadkobierców – Bolesława Szabelskiego, Henryka Mikołaja Góreckiego i Eugeniusza Knapika. Wszystkich trzech cieszących się światową sławą kompozytorów łączy profesowanie w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego.

Wpływ na przesunięcie działań artystycznych związanych z wielkim polskim twórcą z Zakopanego do Katowic mają bez wątpienia nieporównywalnie korzystniejsze warunki, jakimi poszczycić mogą się Katowice ze wspianą nową siedzibą Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (tu prawykonano wyróżnione I nagrodą na wspomnianym Konkursie Kompozytorskim dzieło hiszpańskiego kompozytora Oscara Pradosa Sillero), Akademią Muzyczną z jej zapleczem piękną salą koncertową, w której raz za razem rozbrzmiewa muzyka Karola Szymanowskiego, salą kameralną, w której przebiegał wspomniany Konkurs Kwartetów, najwyższej klasy fortepianami itp.). Jakże ograniczone jest w porównaniu z tym pole działania w mieście, w którym sposobność do wykonywania wielkich dzieł Szymanowskiego dają jedynie wnętrza kościołów, a wykorzystywane dla koncertów solistycznych i kameralnych pomieszczenia „Atmy”, Galerii R. Orskiego, Teatru Witkacego, czy Muzeum Etnograficznego są w stanie pomieścić wiele ograniczoną liczbę słuchaczy. Cieszy oczywiście fakt, że kierujące tymi kulturalnymi placówkami osoby wykazują wiele sympatii dla Towarzystwa organizującego tam koncerty, jak i to, że są one doceniane przez renomowanych artystów i melomanów zamieszkujących, bądź przypadkowo przebywających w Zakopanem. Dopóki jednak w Zakopanem nie powstanie sala koncertowa z prawdziwego zdarzenia, dopóki nie zmieni się stosunek władz i mieszkańców miasta do jego Wielkiego Obywatela trzeba będzie pogodzić się z tym, że centrum kultu Karola Szymanowskiego będzie, bo już się nim stała, stolica Górnego Śląska. To tu jest uczelnia i są szkoły średnie jego imienia, tu odbywają się konkursy dla lipcowych Dni Muzyki w Zakopanem Wieczory z Muzyką Karola Szymanowskiego i kompozytorów jego współczesnych, tu obok międzynarodowych konkursów kompozytorskich – kolejny planowany jest w bieżącym roku – kontynuowane będą – po I Międzynarodowym Konkursie Kwartetów Smyczkowych następne międzynarodowe konkursy wykonawcze, tu dzieła Szymanowskiego mają bowiem swych stałych wielbicieli. Wszystko wskazuje na to, że zainteresowanie osobą i twórczością wielkiego polskiego kompozytora zataczać będzie tu coraz szersze kręgi. Pragnie tego środowisko muzyczne, sprzyjają temu władze miasta i sponsorujące działalność na jego rzecz firmy.



Prezes KSSE Piotr Wojacek wręcza dyplomy laureatom Międzynarodowego Konkursu Kwartetów Smyczkowych.

Fot. z arch. Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego



Dr Marcin Krupa (ówczesny wiceprezydent Katowic) wręcza dyplomy laureatom Międzynarodowego Konkursu Kwartetów Smyczkowych.

Fot. z arch. Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego



Muzeum Karola Szymanowskiego w Willi „Atma” w Zakopanem, stan sprzed 2012 r.

Fot. Witold Kocinski



Pszczoly miodne wzbudzają zainteresowanie zarówno najmłodszych jak i dorosłych, a nadleśniczy Tadeusz Norman chętnie wprowadza w tajniki ich życia. Tu, przy ulu pokazowym i tablicy multimedialnej podczas „Ekosongu” w Katowicach – Panewnikach.

By nie mylić skunksa z borsukiem, czyli...

Nauka wychodzi z lasu

Tekst i zdjęcia:
JERZY MACHURA

Nauka poszła w las – zwykle się mówi, gdy edukacja nie przynosi oczekiwanych efektów. Ale może należałoby upowszechnić inne powiedzonko: nauka wychodzi z lasu. Zdziwienie? Pewnie tak, ale ci, którzy choć raz uczestniczyli w którejś z coraz liczniejszych plenerowych imprez organizowanych przez Lasy Państwowe wiedzą,

że „ludzie lasu” nie tylko dbają o kondycję naszych drzewostanów, ale i starają się wpływać na świadomość ekologiczną społeczeństwa.

Temu celowi służą nie tylko okolicznościowe pikniki – z okazji ogólnopolskich jak i leśnych świąt czy jubileuszy, ale i, a właściwie przede wszystkim, szeroko zakrojo-

na akcja edukacyjna prowadzona, rzecz można: na co dzień, wśród dzieci i młodzieży, w myśl założenia, że czym skorupka za młodu nasiąknie... itd. Od razu dodać też trzeba, że edukacja leśna to nie jakiś kaprys czy przelotna zachcianka co niektórych ambitnych nadleśniczych, ale przedsięwzięcie realizowane w całym kraju i mające umocowanie prawne w założeniach Polityki Leśnej Państwa (1997) i Zarządzeniu nr 57 Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych (2003). Tak więc, nie jest to zjawisko żywiołowe – od czasu do czasu, a edukatorzy leśni nie są przypadkowymi ludźmi, którzy akurat edukują, bo zdążyli wcześniej uporać się z obowiązkami z zakresu ochrony, hodowli czy innej dziedziny gospodarki leśnej. Ba, edukatorzy mają już nawet swoje ogólnopolskie stowarzyszenie. A brzmiące niczym klątwa stare powiedzonko: „obyś cudze dzieci uczył?” interpretują li tylko w kategoriach optymistycznych, jako dodatkowy bodziec do tego niewątpliwego wyzwania – nie rzadko bardzo satysfakcjonującego, gdy dostrzeżga się na twarzach dzieci zafascynowanie opowieściami o lesie.

Żubr z reklamy, żyrafa z lasu...

Alte potrzeba edukacji przyrodniczej istnieje nie trzeba chyba o tym nikogo przekonywać. Mającym wątpliwości podaję przykłady z życia wzięte: widok spreparowanego borsuka w gablocie zaskakuje dzieci, nie wiedzą kto zacz, niektóre kojarzą go ze skunksem, znanym z bajek disneyowskich, niektórzy zgadują, że to szop, ale borsuk? Nie, takiego nie znają. Pytanie o największe zwierzę w polskich lasach też jest za trudne. A gdy dla ułatwienia podaje się, że na literkę „ż”, to pada odpowiedź: żyrafa (sic!). Gdy wreszcie edukator „ujawnia”, że to o żubra chodziło, dzieci krzyczą: tak, znamy z telewizji, z reklamy piwa...

Uczniowie z „podstawówek” nie słyszeli też o danielu, a na pytanie o największego kota w naszych kniejach dzieci odpowiadają: tygrys, bo ryś wielu chłopcom i dziewczętom nie jest znany. To nie odosobnione sytuacje z jakimi stykają się leśnicy – edukatorzy. Sam tego byłem świadkiem, niejednokrotnie.

Oczywiście zdarzają się i imponujące przykłady wiedzy, gdy np. uczeń pierwszej klasy pięknie wymienia nazwy kilku gatunków rodzimych drzew leśnych, dzieląc je jeszcze na iglaste i liściaste. Albo przedszkolacy wiedzący, że u reniferów, którymi w grudniu przybywa do nas Mikołaj, w odróżnieniu od naszych jeleni czy saren, nie tylko „panowie”, ale i „panie” mają głowy przyozdobione porożem. Ale to raczej zasługa rodziców, że wpajają swoim milusińskim wiedzę przyrodniczą. Czyli, nie zasługa szkół, bo w podręcznikach szkolnych trudno znaleźć leśne treści. Jeśli więc, rodzice nie zadbają, to dopiero na wycieczce do nadleśnictwa, dzieci stykają się z prawdziwym (a nie tylko obrazkowym z podręcznika) lasem i widzą żywe bądź spreparowane eksponaty rodzimej fauny i flory. A dodatkowo, podczas zajęć z leśnikiem, zachęcająco, podążając wiedzę organizowane przezeń konkursy – element rywalizacji pomaga skupić uwagę bardziej niż sam wykład.

Rodzi się więc pytanie: czy leśnicy wyreczają w ten sposób nauczycieli? Na pewno im dużo pomagają, uczulając młode umy-



Pierwszy raz, oko w oko z borsukiem... Co prawda, tylko spreparowanym i w gablocie Leśnej Sali Edukacyjnej Nadl. Katowice, ale jednak...

sły na zjawiska, które w szkolnych salach są pomijane, lub omawiane ledwie w niewielkim stopniu.

Vivaldi w lesie, czyli przykład z Katowic

Dobrym przykładem leśnej edukacji jest Nadleśnictwo Katowice – obchodzące w tym roku 70-lecie działalności. Dobrym z różnych względów. Już same uwarunkowania geograficzno-administracyjne pretendują tę jednostkę Lasów Państwowych do pokazania jej jako przykład. Bo przecież szukać takiego drugiego nadleśnictwa, na którego obszarze funkcjonowałyby osiem dużych miast (Chorzów, Katowice, Mysłowice, Ruda Śląska, Siemianowice, Świętochłowice, Tychy i Zabrze) oraz sześć mniejszych miast i gmin (Bieruń, Chełm Śląski, Gierałtowiec, Imielin, Łęziny, Mikołów). Takie silne skoncentrowanie ludności i przemysłu nie pozostaje obojętne dla trwałości lasu, a zjawisko wzmoczonej antropopresji przyczynia się do różnych form degeneracji i przekształceń zbiorowisk leśnych. Zarazem jednak właśnie tereny Nadleśnictwa Katowice są niezwykle odpowiednie dla prowadzenia zajęć z zakresu edukacji leśnej. Bo funkcjonuje tu kilkadziesiąt przedszkoli, szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich oraz szkół wyższych, bo notuje się tu wzmocniony ruch turystyczny, bo lasy tu rosnące są dostępne ze względu na rozbudowaną sieć dróg leśnych i lokalnych, bo wiele tu parkingów, miejsc biwakowania i ośrodków wypoczynkowych. I wreszcie: lasy Nadleśnictwa Katowice charakteryzują się bogactwem przyrodniczym wynikającym ze zróżnicowania geomorfologicznego terenu. Dodając do tego dwa rezerваты przyrody (Las Murckowski i Ochojec), wiele pomników przyrody, kilka użytków ekologicznych i zespołów przyrodniczo-krajobrazowych (m. in. Uroczysko Buczyzna, Źródła Kłodnicy czy Dolina Jamny) oraz „Leśne Pogotowie” czyli schronisko dla dzikich zwierząt – można mówić o wymarzonej wręcz bazie edukacyjnej.

Ale i tak, nie koniec to jeszcze atrakcji, jakie czekają na odwiedzających Nadleśnictwo Katowice. Bo w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby leśników, od 2007 r. spacerować tam można po Leśnej Ścieżce Edukacyjnej, z ekspozycją drzew i krzewów, krzewinek i bylin charakterystycznych dla terenów Śląska. Wzdłuż ścieżki, która przystosowana jest dla osób poruszających się na wózkach inwalidzkich, jest również ekspozycja środowisk wodno-błotnych z charakterystycznymi dla wilgotnych łągów i olsów roślinami. Rosną tam także rośliny miododajne, a i jest pasieka z ulem pokazowym, który – nie tylko u dzieci – wzbudza ożywione zainteresowanie. To, rzecz można, „oczko w głowie” nadleśniczego Nadleśnictwa Katowice – **Tadeusza Normana**, pszczelarza co się zowie, którego ta pasja tak pochłonęła, że uczestniczy w konferencjach i seminariach, także międzynarodowych, poświęconych życiu i hodowli pszczół. Nic więc dziwnego, że nadleśniczy, w miarę wolnego od innych obowiązków czasu, wspomaga edukatorów, zajmując przybliżając tę tematykę odwiedzającym stoisko Nadleśnictwa, podczas różnych imprez plenerowych.

Jest jeszcze i innym magnes przyciągający miłośników przyrody do siedziby Nadleśnictwa. To Leśna Sala Edukacyjna,



Las kryje w sobie wiele tajemnic, toteż wykładu leśnika, inżyniera Sławomira Forystka dzieci słuchają z wielką uwagą – tu w Pawilonie Dydaktycznym ZOO w Chorzowie.

gdzie zainstalowano nowoczesny system multimedialny typu „światło i dźwięk”, dzięki czemu można doskonale wczuć się w atmosferę lasu i poznać tajniki otaczającej nas przyrody, jednocześnie podziwiając „leśne prezentacje” obrazujące wiosnę, lato, jesień i zimę. Prezentowane są tam różne scenariusze – dla dzieci, w gwarze śląskiej, a także przy muzyce poważnej.

– Czarowne dźwięki koncertu skrzypcowego „Cztery Pory Roku” Antonia Vivaldiego czy doskonale uchwycony, uchodzący za jeden z najpiękniejszych w muzyce „Poranek” z I suity Peer Gynt Edwarda Griega, ubarwione opowieścią o lesie i jego mieszkańcach wprowadzają gości w niezwykły świat przyrody Górnego Śląska – wyjątnia pomysłodawca, zastępca nadleśniczego **Bolesław Bobrzyk**. – *Kto usłyszy i zobaczy ten spektakl uzna, że nie tylko przyroda jest doskonała, ale że Vivaldi i Grieg genialnie opisali muzyką otaczający nas*

świat. Spektakle ubarwione dźwiękami natury – ulewami, wichurami i burzami, z wylaniającymi się z ciemności leśnymi zwierzętami, budują w wyobraźni każdego z nas niezwykle skojarzenia. Zamysłem stworzenia tej prezentacji była chęć pokazania jak niezwykła jest muzyka, w jaki doskonały sposób jej twórcy poprzez ogromną inwencję melodyczną oddali liryzm i subtelną nastrojowość lasu. Nie ma chyba w kraju podobnego przykładu takiego ukazania świata przyrody.

Bolesław Bobrzyk opracował i reżyserował spektakle, dobierał dźwięki przyrody, wymyślił jak w ciekawy sposób zgrać muzykę z oświetleniem, dopracowywał zgodność tekstu i melodii w akcentach i frazowaniu. Scenariusz, podobnie jak w przypadku spektakli dla dzieci i spektakli śląskich, napisała jego żona **Magdalena Bobrzyk** – z zawodu lekarz, doskonale rozumiejąca prawa rządzące przyrodą. Bez jej zaangażowania



Przedszkolaki poznają gatunki drzew i chętnie chcą przekonać się czy to prawda, że np. przytulając się do brzozy uspokajamy się...

zowania nie udałoby się zakończyć tego dzieła – odpowiednie dostosowanie tempa i rytmu opowieści do prezentowanych obrazów i muzyki to wielkie wyzwanie – wymaga wyczucia i wrażliwości. W nagraniach uczestniczyli też dziennikarze i aktorzy, używając swych głosów, a w oprogramowaniu systemu prezentacyjnego **Leszek Cepiel**, który od początku tworzył elektronikę do systemu sterującego nagłośnieniem i oświetleniem. Z myślą o obcokrajowcach przygotowano również „Cztery Pory Roku” w wersjach angielskiej i niemieckiej, z której niejednokrotnie korzystają uczestnicy różnych międzynarodowych konferencji, a także studenci – obcokrajowcy. Ale to nie koniec twórczej pracy katowickich leśników, bo B. Bobrzyk wspólnie z inżynierem nadzoru **Grzegorzem Skurczakiem** nadal pracują nad udoskonalaniem ekspozycji i dostosowaniem do potrzeb gości LSE. Pojawiają się różne nowe pomysły, ale nie uprzedzamy faktów...

Co mówią liczby?

Odwiedziny w Leśnej Sali Edukacyjnej są bezpłatne, co często zaskakuje odwiedzających, a o satysfakcji z takich odwiedzin niech świadczą liczne wpisy dziękczynne w księdze pamiątkowej. Z roku na rok liczba gości powiększa się. Jak wynika z danych przedstawionych nam przez specjalistę ds. administracji i edukacji przyrodniczo-leśnej **Sławomira Forystka**, w 2013 roku zorganizowano 270 zajęć w LSE, w których uczestniczyło ok. 7 tys. 100 osób, w tym 2 tys. 100 przedszkolaków, 3 tys. uczniów ze szkół podstawowych, 1,5 tys. – z gimnazjów, 250 – młodzież ponadgimnazjalna i 250 – studentów i osób dorosłych. Ale przecież Leśna Sala

70 lat minęło...

W tym roku leśnicy z Nadleśnictwa Katowice obchodzą 70-lecie działalności. Choć w 1945 roku nie powstało nadleśnictwo o takiej nazwie, to jednak utworzone wtedy trzy nadleśnictwa: Panewniki, Murcki i Imielin, stanowią dziś trzy części składowe Nadl. Katowice.

Różna była przeszłość tych lasów. Kiedyś stanowiły one własność: Jana Henryka XV Księcia Pszczyńskiego, hrabiego Thiele-Winclera, hrabiego Hoenckel von Donnersmarka, spółki akcyjnej „Wirek”, „Skarbofermu”, spółki akcyjnej „Gische”, spółki akcyjnej „Godula”, firmy „Słazak”, „Spółki Brackiej”, miasta Katowice, Grunfelda i Wolmana, „Spółnoty Interesów Górniczo-Hutniczych”, spółki akcyjnej „Zakłady Hohenloe” i spółki akcyjnej Kopalń i Hut. Co ciekawe, Książę Pszczyński jeszcze w 1937 r. zrzekł się 56 proc. powierzchni swych dóbr (ok. 21 tys. 602 ha lasów) w zamian za... zaległości podatkowe.

Ciekawa też przeszłość wiąże się z lokalizacją, jak i samymi budynkami stanowiącymi siedzibę Nadleśnictwa. Wcześniej należały one do zarządu Huty „Ida”. Później rezydował tu gospodarz obwodu lasów książęcych Nadleśnictwa Emmanuelsege, leśniczy Adolf Kremmin (stąd nazwa miejsca jako „Kryminówka”).

Nadleśnictwa Katowice w obecnym kształcie powstało 1 stycznia 1974 roku z połączenia wcześniej wymienionych trzech nadleśnictw, mając dziś w zarządzie powierzchnię 14 tys. 400 ha.

Edukacyjna, choć niewątpliwie to wielka atrakcja, jest tylko jednym z elementów polityki edukacyjnej Nadleśnictwa. Bo przecież są też lekcje terenowe i wycieczki, spotkania z leśnikiem w szkołach i innych placówkach (domy kultury, muzea, urzędy gminne itp.), organizowane są także wystawy edukacyjne. I we wszystkich tych zajęciach uczestniczyło w 2013 roku, około 24 tys. 450 osób. Ta liczba może imponować, ale przecież i na tym nie koniec. Bo, jak już wcześniej wspominałem, katowiccy leśnicy uczestniczą, organizując swoje stanowisko edukacyjne, w różnego rodzaju imprezach plenerowych (np. „Wielka Majówka”, „Ekosong”, „Święto Głogów”). I wedle szacunkowych danych, w omawianym roku, w takich festynach z katowickimi leśnikami zetknęło się ok. 20 tys. osób. Wstępn

dane za miniony co dopiero rok są jeszcze bardziej imponujące.

Wszystko to leśnicy czynią bezpłatnie, choć zdają sobie sprawę z tego, że w dzisiejszych czasach to ewenement. I że, są tacy, którzy twierdzą, że jeśli coś nie ma konkretnej ceny, gdy jest za darmo, to wzbudza podejrzenie co do swej wartości. Ale w Lasach Państwowych nie mają takich dylematów, bo podziękowania i satysfakcja uczestników zajęć edukacyjnych to najlepsza zapłata za „bilet wstępu”.

„Gdy dzieci nauczymy kochać przyrodę, będą kochać i ludzi...” – usłyszałem od jednego z edukatorów. Piękne to słowa, a mnie skłaniające do jeszcze jednej refleksji: może by tak do toczącej się (prawie permanentnie) dyskusji o modelu polskiej oświaty zaprośić i leśników...? ■

www.poradniajezykowa.pl

Czuchowie i mojito

Tłumacząc do polskiej Wikipedii artykuł poświęcony Chujom, czyli plemieniu Majów zamieszkującemu Gwatemalę i Meksyk. Nazwę tę nadali hiszpańscy konkwistadorzy i zgodnie z regułami języka hiszpańskiego wymawia się ją [czuh]. Używanie w piśmie hiszpańskiego zapisu budzi jednak co najmniej niepoważne skojarzenia, zwłaszcza w zdaniach takich, jak: „Szacowana liczba Chujów w Los Angeles zbliżona jest do ludności San Sebastián Coatan” lub też „Blisko cztery tysiące mieszkańców Nentón posługuje się chujem”. Czy można zatem spolszczyć tę nazwę, tak jak spolszczono nazwy innych plemion indiańskich? Jaką formę powinno przybrać spolszczenie: *czuh* (dla języka) i *Czuchowie* czy może *czuch* i *Czuchowie*? Jak powinien brzmieć przymiotnik: *chujański* czy *czu (c) hański*?

To fakt, że jeśli przyjmujemy nazwę w postaci oryginalnej, obcej: *Chuj* (polska forma brzmiałaby *Chujowie*), to

z pewnością użytkownicy polszczyzny będą ją odczytywać na sposób polski, a nie hiszpański, bo do takiego sposobu wymawiania jesteśmy przyzwyczajeni. W dodatku plemię to nie jest u nas znane tak dobrze, jak plemiona Indian Ameryki Północnej, albo nie jest znane wcale. Wiemy wprawdzie, że w wyrazach pochodzących z hiszpańskiego, literę *j* mamy odczytywać jako *h*, por. *junta* [hunta], *mojito* [mohito], *Juan* [huan], *pustynia Mojave* [mohave], ale nie są to wyrazy często spotykane. Używano nazwy plemienia w formie oryginalnej byłoby zatem niezręczne i oby tylko takie! Niestety nazwa własna, która jest kojarzona z określeniem wulgarnym, może też deprecjonować, poniżać, ośmieszać osoby, które są nią nazywane. Opracowanie encyklopedyczne nie powinno być powodem takich ocen.

Moim zdaniem powyższe argumenty przemawiają dostatecznie za przyjęciem proponowanej przez Pana formy spolszczonej, nie ma ponadto przeszkód, by ją wprowadzić, ponieważ zarówno w historii naszego języka, jak i współcześnie możemy wskazać liczne przykłady zapo-

życzeń dostosowanych formą zapisu do prawideł polskiej fonetyki, jak choćby dawniejsze *cukier* (niem. Zucker), *szkola* (łac. *schola*), *róż* (fr. *rouge*), *biuro* (fr. *bureau*), *sejf* (ang. *safe*), współcześniejsze *dżinsy* (ang. *jeans*), *czipsy* (ang. *chips*), *dizajn* (ang. *design*), *potoczne mejl* (ang. *mail*) itd. Także wspomniane przez Pana szczepy indiańskie mają w polszczyźnie nazwy spolszczone (w nawiasach podaję formy oryginalne): *Komanczowie* albo *Komancze* (*Comanche*), *Czejenowie* albo *Czejeni* (*Cheyenne*), *Apacze* (*Apache*), *Nawahowie* (*Navajo*) i in.

Jeśli idzie o wybór między literami *h* i *ch*, to warto wziąć za przykład formy będące już w użyciu, takie jak *Nawaho*, *Mohave* czy *marihuana* (oryginalnie: *Navajo*, *Mojave*, *marijuana*). Także nazwa napoju *mojito* bywa już zapisywana jako *mohito*, a rzeczownik *junta* (czytany [hunta]) przyjmie też kiedyś być może (jak w litewskim) fonetyczną pisownię.

Ostatecznie więc można polecić zapis *Czuchowie* dla nazwy plemienia, a *czuh* dla języka. Język można by też określić jako *czuhański*, bo raczej nie *czuhowski* – ten ostatni przymiotnik ma czytelniejsze odniesienia do plemienia. Z punktu widzenia słotwórczego obie formy przymiotników są poprawne.

KATARZYNA WYRWAS

K

arnawał dobiega końca. Kiedy będziecie Państwo czytać ten felieton, zapewne trwać będzie już

Wielki Post. Czy aby na pewno Środa Popielcowa zakończy czas szaleństw i przebieranek? Karnawał, jeśli dobrze się przyjrzeć, to w naszym życiu społecznym, a tym samym w mediach, trwa nieustannie. Niemal co dzień widoczne są objawy jakiegoś szaleństwa, a i przebieranek nie brakuje. Trochę brakuje w nim wesołości, że o nastroju beztroski szampańskiej nie wspomnę, natomiast sporo widać nienawiści, czasem zjadłej. Zacznijmy jednak od szaleństw, albowiem są one widowiskowe, a jak wiadomo, bez elementu widowiskowości żaden karnawał obejść się nie może. Gdyby sięgnąć do historii, to wenecki karnawał w nie tak bardzo zamierzchłej przeszłości kończył się zazwyczaj jakąś porządną egzekucją, ponieważ, jak mówi przysłowie popularne w niektórych kręgach, żeby się zabawić, trzeba kogoś zabić. W naszym karnawale egzekucje wyglądają nieco inaczej; są odrobinę mniej krwawe, choć nie mniej okrutne. Ich dodatkową atrakcją stanowi fakt, iż są wykonywane nie tylko na żyjących, ale także w drogich bądź niekoniecznie drogich nieobecnych. Jak to możliwe? Tak, jak możliwe jest wszystko w Internecie. Rzecz w tym, że od czasu do czasu ten czy inny niewyżyty zawodowo dziennikarz na tym czy innym portalu społecznościowym używa sobie bez opamiętania na jakiejś znanej postaci naszego publicznego, obecnego lub minionego życia, tłumacząc (lub nie), że tzw. mainstreamowi media, tonące w politycznej poprawności, takich rewelacji nie publikują. Ostatnio przedmiotem takich internetowych egzekucji był z żyjących Jerzy Owsiak, a z czasów minionych Czesław Miłosz. Tylko patrzeć, jak wezmą pod obcas zmarłego niedawno Tadeusza Konwickiego. Co do mediów mainstreamowych, to większość z nich ma paskudny zwyczaj oddawania głosu także krytykowanym, co jest oczywiście przeżytkiem i czystym zawracaniem głowy, dobrym dla jakichś tam Rzymian, którzy cierpieć musieli na nadmiar wolnego czasu, skoro przeznaczali go na wysłuchiwanie także drugiej strony. W „sieci” jest to absolutnie zbyt i naruszałoby obowiązującą tu zasadę zwiezłości. Natomiast poprawność polityczna bywa czasem tamą dla pospolitego chamstwa, ale jeśli w „sieci” wszystko jest pospolite, to o cóż chodzi?

Pół biedy, jeśli skazańcami są politycy, bowiem powinni charakteryzować się skórą dorównującą grubo-

Z moich Górek

WITOLD TURANT

Walka karnawału Z... karnawałem

ścią starym nosorożcowi. Niektórzy mają cieńszą? Co za szkoda. Gorzej, że często bywają to artyści, których niekoniecznie musimy akceptować, ale powinniśmy pamiętać, iż cienkość ich skóry zazwyczaj znacznie odbiega od standardów. I nie jest takie ważne, że topór zastąpiony został przez obcas. Nawet jeśli jest on wirtualny, ma jednak sporą siłę unicestwiająca.

Innym przejawem karnawałowego szaleństwa jest okładanie się, po wielu innych akcesoriach, teczkami, przodkami z trumnami włącznie, Lwowem. Na czym to polega? Ktoś pisze, niekoniecznie nawet w Internecie, iż z utratą tego przeuroczego miasta należałoby się, w każdym razie w materialnym sensie pogodzić. Reakcja jest natychmiastowa – sprzyja ów osobnik neobanderowcom i w ogóle jeśli jest dziennikarzem, to co najwyżej polskojęzycznym. Kto inny dla odmiany pisze, iż Lwów jest i będzie zawsze polskim miastem. Sprawa jest jasna – to tzw. troll oplany przez FSB. Ktoś, kto biorąc pod uwagę nieco metafizyczną sytuację tego miasta, podobnie jak i Wilna, uznałby prawdziwość obu tych twierdzeń, zostałyby niechybnie uznany za pomylenca.

A teraz przebieranki. Jako dziecko faworyzowałem najpierw pirata, potem Zorro, a w dalszej kolejności muszkietera. Z rewolwerowcem raczej nie wyszło ze względu na okulary. Potem mnie zaczęto przebierać, niespecjalnie pytając o zgodę, ale to

już inna historia. Natomiast dzisiejsze przebieranki różnych osób, a nawet większych grup, to doprawdy fenomen zasługujący na głębszą analizę socjologiczną, której zapewne kiedyś się doczekają. Dziś raczej odniosę się do tych najbardziej spektakularnych. Zacznijmy może od kiboli, którzy jeszcze jesienią przebierali się za wytrawnych teatromanów. Było na co popatrzeć – taka przemiana! Ale na tym nie koniec. Stadionowa chuliganeria przebrała się następnie w kostiumy Konradów, Kordianów, konfederatów barskich i nie wiem już kogo i wyruszyła może nie całkiem do okopów Świętej Trójcy, ale w tamtym kierunku. Przebrania polityków były równie paradne. Niektórzy, popzebierani za meneli, dla lepszego efektu zaczęli nawet posługiwać się środowiskowym językiem. Najzabawniejsi jednak byli ci przebrani za Europejczyków. Bardzo szybko rozpoznano ich po zaściankowym akcencie, ale mimo to zabawy było co niemiara, jak na karnawał przystało. Pantoflarze przebierali się i zapewne przebierać będą za *macho*, jako że pocziwie latynoskie *machismo* ponoć zawsze się sprawdza, zwłaszcza gdy polityk nie potrafi z siebie wydusić żadnego sensownego programu. Niestety, do przebieranek dołączyli także niektórzy przedstawiciele świata nauki, przyoblekając się w kostiumy ekspertów obcych sobie dziedzin. Efekty nie są zbyt budujące i nie zmieni tego ani fakt, że za granicą także od czasu do czasu to się zdarza, ani też kłopoty, których narobił sobie pewien nieekspert od szczepionek, który z nieznośną lekkością i przedwczesnym triumfem ogłosił w Internecie, iż jedno z największych osiągnięć medycyny, to zwykły humbug. To jednak nie koniec zaobserwowanych przez mnie przebieranek. Jedną z zabawniejszych jest pomysł niektórych artystów rockowych, by przebierać się za ekspertów od polityki i autorytety moralne.

A tak swoją drogą, to zadziwiające, jak wiele z tych moich Górek (zarówno Wielkich, jak i Małych – bo są takie, i takie – o czym nie wszyscy muszą wiedzieć) widać. Oczywiście pod warunkiem, że człowiek się dobrze rozejrzy i uważnie patrzy. Tak więc patrząc na ten nieustający korowód, niezbyt, jak wspomniałem, radosny, ale barwny wszystkimi odcieniami głupoty i małości, zastanawiam się, jak wyglądać będzie Popielec tego karnawału, bo prędzej czy później musi on nadejść, i z czego powstanie popiół, którym posypane zostaną nasze głowy. Oby nie z naszych marzeń o pomyślnej przyszłości.



„Drobna” różnica zdań...

KRZYSZTOF
KOSIŃSKI

Jak wygląda typowa notka w małej lokalnej gazecie np. o otwarciu wyremontowanej drogi w gminie? Najczęstszą tak: *Dzisiaj odbyło się uroczyste otwarcie wyremontowanej drogi nr ... na odcinku... Modernizacja ponad czterokilometrowego odcinka kosztowała 4.626.615 zł. Na uroczyste otwarcie przybyli...*

Kto przybył i przecinał wstęgę, to akurat najmniej ważne... Ale oto pojawia się pytanie, przed którym staje każdy choć odrobinę uważniejszy czytelnik: **dużo to czy mało?** Przy kwotach idących w miliony złotych przestaje działać nasze naturalne doświadczenie pozwalające zastosować proste porównania. Gdyby tak przeprowadzić sondaż i zapytać „na co – Twoim zdaniem – idą największe pieniądze z budżetu Twojego miasta”, co odpowiedziałyby zdecydowana większość ludzi? Ja osobiście (na absolutnie niereprezentatywnej próbie swoich sąsiadów) uzyskałem takie oto odpowiedzi: remonty dróg, budowa nowego basenu (na który czekaliśmy od lat), wywóz śmieci przez cały rok, wymiana kanalizacji (przecież całe miasto przez trzy lata było rozkopane)...

Nikt nie wskazał prawidłowej odpowiedzi. Tymczasem w prawie każdej gminie największą pozycją w wydatkach jest zawsze i wszędzie OŚWIATA. Oczywiście, chodzi o to wszystko, co pod tym pojęciem się kryje: od płac nauczycieli poprzez rachunki za energię i zakup pomocy naukowych aż po remonty szkół. W znakomitej większości gmin to około 40 procent wydatków. Sporo jest takich, w których oświata pochłania połowę wydawanych pieniędzy. Rekordzistą w skali kraju jest Miedźna w naszym województwie, przeznaczająca na oświatę grubo ponad połowę swoich wydatków. Rozmawiamy zatem dzisiaj o naprawdę wielkich pieniądzach. Ba, największych... To pieniądze budzące bardzo duże kontrowersje, czasem społeczne emocje, a czasem falę wzajemnych oskarżeń i przetrzucania się nawet demagogicznymi często argumentami.

Tymczasem sedno problemu wcale nie tkwi w samej tylko wysokości wydatków. A nawet nie przede wszystkim. W końcu edukacja to chyba najbardziej powszech-

na usługa świadczona nam wszystkim z pieniędzy nas wszystkich. Każdy z nas w pewnym wieku trafia do szkoły i spędza w niej sporo lat. To musi kosztować. Problem polega przede wszystkim na tym, kto za co odpowiada, kto o czym decyduje i... *last but not least*, kto za to płaci.

Przypomnijmy rzecz zapewne oczywistą aż do bólu dla każdego samorządowca, ale już chyba nie dla każdego obywatela – skąd pochodzą pieniądze na utrzymanie polskiej oświaty? W 1996 roku prowadzenie szkół administracja rządowa przekazała samorządom. Od tego czasu z budżetu Państwa co roku na konto każdej gminy i każdego powiatu wpływa tzw. subwencja oświatowa. To właśnie ma być podstawowe źródło finansowania. A wszystko to wedle zasady, że jeśli Państwo przekazuje jakieś zadanie samorządom, to – zgodnie z prawem – musi zapewnić ich finansowanie. Z formalnego punktu widzenia, Państwo tego wymogu dopełniło...

Zerknijmy zatem na wybrane przeze mnie zupełnie losowo dane za – również losowo wybrany – 2012 rok:

Katowice: subwencja oświatowa – 265,7 mln zł, wydatki na oświatę – 433,1 mln zł;

Zabrze: subwencja oświatowa – 160,2 mln zł, wydatki na oświatę – 234,4 mln zł;

Bytom: subwencja oświatowa – 153,6 mln zł, wydatki na oświatę – 234,9 mln zł;

Radzionków: subwencja oświatowa – 8,7 mln zł, wydatki na oświatę – 16,3 mln zł;

Miedźna: subwencja oświatowa – 16,0 mln zł, wydatki na oświatę – 26,7 mln zł;

...i tak można w nieskończoność.

Widmo „roku bazowego” krąży nad oświatą...

Diaabeł, jak zwykle tkwi w szczegółach. Tym razem ten „szczegół” pochodzi sprzed mniej więcej dwudziestu lat, a odciska się piętnem do dziś i długo jeszcze będzie się odciskał.

Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową w jednym ze swoich raportów stwierdził wprost, że „*władze centralne, które od roku 1991 wiedziały o zamiarze przekazania szkół podstawowych, drastycznie zmniejszyły inwestycje infrastrukturalne.*

/.../ W 1996 r. większość gmin otrzymała budynki wymagające głębokiej modernizacji i znaczących nakładów inwestycyjnych”.

Drastyczne ograniczenie nakładów na oświatę w latach poprzedzających przekazanie szkół zaowocowało argumentem, że przecież „*przekazujemy wam tyle pieniędzy, ile sami ostatnio wydawaliśmy*”. Ten właśnie „szczegół” niektórzy dosadnie określają mianem oszustwa (takie oskarżenia padają często z ust władz lokalnych), inni twierdzą, że taka była smutna konieczność. – Państwo wtedy budowało dopiero gospodarkę rynkową i powoli wychodziło z wielkiej zapaści gospodarczej lat 80. I teraz, gdy samorządy głośno wołają, że subwencja oświatowa nie wystarcza na utrzymanie szkół, Minister Edukacji może ze spokojem wyjaśniać, iż „*zadania oświatowe finansowane są z dochodów jednostek samorządu terytorialnego. Jednym z dochodów samorządów terytorialnych jest część oświatowa subwencji ogólnej. Wysokość części oświatowej subwencji ogólnej dla wszystkich jednostek samorządu terytorialnego ustala corocznie ustawa budżetowa. Kwotę ustala się w wysokości nie mniejszej niż przyjęta w ustawie budżetowej w roku bazowym*”.

I tak oto pojawia się magiczne określenie „*kwota przyjęta w roku bazowym*”... Wystarczyło, że w owym roku bazowym wspomniana kwota była żałośnie niska. Gdyby dziś na niej poprzestać, większość szkolnych budynków już by się pewnie załamała.

I jeszcze jedno wyjaśnienie dla tych, którzy nie muszą przecież orientować się w dość skomplikowanym systemie prawnym funkcjonowania samorządu lokalnego. Wyjaśnijmy to na przykładzie, np. wydawanie dowodów osobistych czy prowadzenie akt stanu cywilnego to tzw. zadania zlecone. Prawo jasno mówi, że jest to obowiązek Państwa, ale nikt o zdrowych zmysłach przecież nie zażąda, żeby w tym celu budować i organizować osobne urzędy. Na co dzień zajmują się tym gminy, ale Państwo MA OBOWIĄZEK pokryć związane z tym koszty. Wybuchają na tym tle wciąż spory, ale w ostateczności można dochodzić swoich racji na drodze sądowej. Niektóre samorządy idą na tę wojnę. Inne czasem grożą, że ograniczą pracę choćby USC do takiego minimum, na które wystarcza pieniądze od Państwa. W przypadku oświaty sytuacja jest diametralnie inna. Edukację publiczną w ustawie zaliczono do „*zadań własnych*” gminy. W takiej konstrukcji prawnej od razu otwiera się furka w postaci takich oto tłumaczeń: „*w obowiązującym systemie prawnym nie ma przepisu, z którego wynikałoby, iż budżet państwa gwarantuje w ramach subwencji środki na pokrycie wszystkich wydatków na realizację zadań oświatowych*”. Już takie rozumowanie powoduje odruch zgryzania zębami przez samorządowców, ale trudno się dziwić ich wściekłości, gdy w kolejnych wyjaśnieniach ministerstwa czytają np., że lokalne władze mają choćby takie kompetencje, jak „*dokonywanie analizy pod kątem racjonalizacji wyposażenia szkół i placówek oraz bieżących opłat, remontów i inwestycji*”. Jak to ro-

zumieć? Jako sugestię rozrzutności samorządów i nieracjonalnego wyposażania szkół czy prowadzenia remontów?

Do tego doszło nowe zjawisko, o którym chyba wiedzą wszyscy – niż demograficzny. Ale już chyba nie wszyscy wiedzą, że subwencja oświatowa naliczana jest m. in. w zależności od liczby uczniów w danej gminie. A ta maleje. Liczba nauczycieli nie maleje, a przynajmniej nie w takim tempie. Znowu rosną wydatki samorządów. Próby likwidacji lub łączenia szkół najczęściej owocują awanturami i protestami rodziców i samych nauczycieli (zresztą nawet zrozumieliśmy, bo rodzice nie chcą posyłać dzieci do szkoły bardziej oddalonej od domu, a nauczyciele martwią się o swoje miejsca pracy).

Bardzo często pojawiają się wtedy (czasami populistyczne, a czasami wynikające z niewiedzy) postulaty, żeby zamiast likwidować szkoły czy ograniczać liczbę nauczycieli, podnieść komfort nauczania. „Przecież to same korzyści – dzieci lepiej się uczy w malej klasie”. Tylko że kosztuje to tyle samo, a – jak już napisałem – subwencja zależy od liczby uczniów... I dochodzi do zupełnych absurdów, jak choćby taki, że subwencja oświatowa przestaje wystarczać nawet na płace nauczycieli. Każdy wójt czy burmistrz drży, gdy media zaczynają donosić o jakimś kolejnym proteście nauczycielskich związków i o tym, że związkowcy zasiadają z ministrem do negocjacji płacowych. Z doświadczenia już wiedzą, że niedługo pojawi się komunikat o podpisaniu porozumienia np. o 7-procentowej podwyżce od nowego roku. Bo może znowu się okazać, że subwencja w owym nowym roku wzrośnie np. o 3 procent... Samorządowcy twardo stąpający po ziemi wiedzą, że nierealne są marzenia o subwencji, która pokryje koszty utrzymania oświaty. Ale pojawia się wtedy wołanie o tzw. standaryzację: niech wreszcie Państwo ustali przynajmniej minimum tego, co subwencja powinna pokrywać. Tylko że zgoda na nią, to coś podobnego jak osławiony koszyk świadczeń gwarantowanych w ochronie zdrowia. Otworzyłaby drzwi możliwości dochodzenia należnych roszczeń na drodze sądowej.

Organizacje samorządowe apelują, publikują kolejne dokumenty i stanowiska. Dla przykładu jedno z wielu takich zdań, ze stanowiska Śląskiego Związku Gmin i Powiatów jeszcze z zamierzonych czasów 2007 roku: *Niepokój budzi odsuwanie postulatów samorządu lokalnego dotyczących powiązania wielkości subwencji z liczbą nauczycieli w poszczególnych stopniach awansu zawodowego, co uniemożliwia wyliczenie skutków finansowych ministerialnych podwyżek wynagrodzenia zasadniczego nauczycieli.*

A w odpowiedzi administracja centralna potrafi popełniać „drobne” (delikatnie mówiąc) niezręczności i przypomnieć samorządom, że mają przecież „liczne” kompetencje, jak choćby „ustalenie wysokości wynagrodzeń nauczycielskich na poziomie wyższym niż przewidziany w *Karcie Nauczyciela*”. Dziwicie się, że samorządowcy, wzruszeni taką dobrocią „ludzkiego pana”, ów nietakt nazywają dosadnie beczelnością?

W tej grze, w sporze: władze lokalne – władze centralne pojawia się trzeci podmiot, który ma swoje własne (zresztą w pełni zrozumiałe z jego punktu widzenia) interesy. To nauczyciele i ich związki zawodowe. Oni nie palą opon przed Sejmem. Za to niezwykle umiejętnie podtrzymują mit wyjątkowo pokrzywdzonej grupy zawodowej. Nauczycielskie związki wykorzystują zresztą argumenty obu stron sporu o finansowanie oświaty. Samorządowcy podnoszą alarm, że subwencja oświatowa jest drastycznie mała? Związkowcy natychmiast podchwytyją, że oto przecież samorządowcy sami przyznają, iż na oświatę jest za mało pieniędzy! Minister twierdzi, że subwencja wcale nie musi pokrywać wszystkich wydatków? Ten argument związki również podchwycy, przypominając, że samorzady powinny dokładać ze swoich budżetów...

Tymczasem od kilku już lat (co najmniej) nauczyciele wcale nie są tak biedni, jak to się wielu z nas wydaje. **Minimalne wynagrodzenie zasadnicze** nauczyciela wynosi od 2.265,- zł (dla stażysty) do 3.109,- zł (dla nauczyciela dyplomowanego). Jeszcze raz podkreślmy – to minimalna płaca zasadnicza. Średnia jest o wiele wyższa. W nienajbogatszym Bytomiu prawie połowa nauczycieli zarabia ok. 5 tys. zł miesięcznie. W polskich realiach jest to chyba w miarę godna płaca? Gdybym sam chciał uprawiać odrobinę demagogii, przytoczyłbym statystyki krajowe, z których wynika, że w przeliczeniu na głowę pracownika zatrudnionego w edukacji na wynagrodzenia idzie ponad 70 tys. zł rocznie.

Karta Nauczyciela – kość niezgody

ona gwarantuje status quo. Po wszechennie krytykowana przez wszystkich poza samymi zainteresowanymi, co jest raczej oczywiste. Krytycy podkreślają m.in.:

- niskie pensum godzin (to chyba jedyna grupa zawodowa, która samokształcenie się wlicza w wymiar czasu pracy);
- najdłuższe z możliwych urlopy;
- płatne roczne urlopy dla poratowania zdrowia;
- praktyczną niemożliwość zwolnienia z pracy nauczyciela mianowanego;
- stopnie awansu zawodowego (które w założeniach miały być motywacją, a bardzo szybko przekształciły się w formalność zależną praktycznie tylko od stażu pracy);
- i wreszcie największy chyba dziwołąg z 2009 roku, kiedy samorzady stanęły oko w oko z kolejnymi milionami do wydania – w myśl zasady, że jeśli średnia płaca nauczycieli w gminie czy powiecie jest niższa niż średnia krajowa, to... ona nie może być niższa! To naprawdę nie jest żart. Dopłaty wyrównawcze wstrząsnęły budżetami niektórych gmin. Stworzono system, powszechnie nazywany – w nieoficjalnych rozmowach – dodatkiem „za niepracowanie”. Znowu tylko dla przykładu: w pierwszym roku obowiązkowo dopłat wyrównawczych w Rybniku wypłacono dodatkowo 6 mln zł, w Bielsku-Białej – 4 mln zł.

Nie czas i miejsce tutaj na szczegółowe roztrząsanie poszczególnych punktów Karty Nauczyciela. Które z jej zapisów po prostu chronią specyfikę tego szczególnego jednak zawodu, a które są spadkiem po czasach dawno minionych (przeciwnicy Karty zawsze będą podkreślać, że uchwalono ją w styczniu 1982 roku, w mroku stanu wojennego, by zaskarbić sobie przychyłność nauczycieli)? To temat na całkiem inne opowiadanie...

Chciałem tylko ukazać Czytelnikom pewną skalę problemu, coś jakby rząd wielkości, z których niewiele osób zdaje sobie sprawę. Pomyślmy o tym, gdy przeczytamy w jakiejś gazecie, że budżet naszego miasta sięgnął jakiejś tam rekordowej kwoty dzięki przemyślanej, dobrej pracy lokalnych władz. I tak na wszystko poza szkołami pójdzie tylko trochę więcej niż połowa z tych rekordowych kwot...

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że dokonują się minimalne zmiany: troszkę ograniczono ostatnio korzystanie z rocznych urlopów zdrowotnych, troszkę zmieniono zasady obliczania dodatku wyrównawczego (ale tylko zasady, dodatek nadal obowiązuje), urealniono wymiar czasu pracy tzw. nauczycieli „nie tablicowych”. Dało to niektórym gminom i miastom te kilka milionów złotych oszczędności. Ale nikt nie odważył się naruszyć istoty systemu. Dlaczego? Moim zdaniem odpowiedź jest banalnie prosta. Wg ostatnich danych, do których udało mi się dotrzeć, w tzw. edukacji zatrudnionych jest 589.770 osób. Jeśli doliczyć do tego rodziny, to jest to już grupa, która w znaczący sposób może wpłynąć na wynik każdego wyborów...

Każdy artykuł powinien mieć pointę...

Moją pointą jest wołanie o realizm i uczciwość. Państwo nie zacznie nagle wypłacać subwencji oświatowej dwa razy wyższej niż dotychczas. Samorzady nie będą w imię świętego spokoju utrzymywać pustoszących szkół.

Wyjściem minimum – takim uczciwym – byłoby jednak wreszcie określenie pewnego minimum czyli owego standardu. Żeby było wiadomo, kto za co ma obowiązek zapłacić. Takie „nowe otwarcie”, przy wzajemnej szczeroci. Powiedzmy sobie wreszcie szczerą prawdę – to chyba nie jest zbyt idealistyczne marzenie?

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.

Krzysztof Kosiński – dziennikarz radiowy, publicysta, komentator i felietonista. Od lat specjalizuje się w tematyce samorządowej. Autor książki „Dwa światy – samorządowy thriller z elementami horroru” wydanej nakładem ŚZGiP w 2011 roku.



Pozwólmy rosnać drzewom!

W polskich miastach ubywa drzew. Przegrywają z inwestycjami, budownictwem, niedostateczną ochroną, zabójczą pielęgnacją. Znikają masowo z przestrzeni miast i z polskiego krajobrazu. Znikają też z naszej emocjonalnej wyobraźni, która towarzyszyła im od wieków. Dziś nie otaczamy drzew wystarczającym szacunkiem, podziwem dla ich piękna, pożytku, historycznego świadectwa czy kulturowego bogactwa. Nie rozumiemy do końca ich dobroczynnego wpływu na stan środowiska, klimat i nasze zdrowie.

Traktujemy je jak drewno, a nie żywy organizm. Tniemy. Pielęgnujemy nieodpowiedzialnie. Sadzimy byle jak. Złe dobieramy gatunki do nasadzeń w siedlisku miejskim. To wszystko dzieje się na oczach lokalnych samorządów, odpowiedzialnych ustawowo za ich kondycję i ochronę.

Ustawę o ochronie przyrody z dnia 16 kwietnia 2004 roku (rozdz. 4 „Ochrona terenów zieleni i zadrzewień”) uchwalono z lukami prawnymi. Ustawodawca powierzył w niej pieczę nad drzewami miejskimi, wraz z ich wycinką i specjalistyczną pielęgnacją, wyłączanie samorządów. Udział konserwatora przyrody w tej zielonej misji uznał za zbędny!!!

Szybko okazało się, że ta ustawa i samorządy, źle służą drzewostanom. Niedopracowana (celowo czy z niedouczenia!) uruchomiła powszechne zjawisko ich niszczenia, a nawet uśmiercania. Poprzez masowe wycinanie z polskiego krajobrazu drzew przydrożnych i ogławianie ich w miastach.

Na naszych oczach rozpoczęło się okaleczanie drzew piłami spalinowymi, które amputowały ich zdrowe gałęzie, konary, a bywało i całe korony. Mimo protestów ekspertów, dendrologów, przyrodników i pozarządowych organizacji ekologicznych. Konieczność masowych zabiegów pielęgnacyjnych drzew tłumaczono wtedy potrzebą poprawienia ich statyki czyli bezpieczeństwa dla otoczenia, szybszego wzrostu i tańszej pielęgnacji. W praktyce był to dla drzewostanów wyrok śmierci na raty, odroczonej w czasie. Ogłowie drzewa usychały



Rzeź chorzowskich klonów przy ulicy Krzywej trwała kilka godzin...

Fot. M. Karmanski

lub... rosły dalej kalekie, tworząc ponury krajobraz zniszczenia i klęski ekologicznej. I szybko nadawały się do usunięcia!

Przycinano więc drzewa chore i zdrowe. Z urzędową zgodą lub bez niej. Wystarczyło, że blokowały miejsca pod inwestycje, budownictwo mieszkaniowe czy usługi. Cena za wycinkę nie była zbyt wysoka. Kara za ścięte bezprawnie drzewo, w zależności od jego gatunku, sięgała najwyżej kilkuset złotych. Ale już wartość rynkowa tego drewna rosła nierzadko do kilku tysięcy złotych. Interes drzewny, kosztem ochrony przyrody, rozkręcał się na całego. Próbowano ten proceder ukrócić.

Przed czterema laty do ustawy o ochronie przyrody wprowadzono zaostrzone przepisy, dotyczące wycinki drzew, ich zabiegów pielęgnacyjnych oraz wysokości kar za niszczenie drzewostanów. Nie do końca wyeliminowały one zabójczą dla drzew pielęgnację. Dalej jest ona naganym zjawiskiem m.in. w Chorzowie.

W Chorzowie

Można je zobaczyć przy ulicy Krzywej. W styczniu tego roku przed blokami Wspólnoty Mieszkaniowej, w bezpiecznej od nich odległości, obciosano nie topole, lecz cały rząd zdrowych klonów i klonów jaworów.

Ten przykład szczególnie szokuje. Tym razem miejscem kolejnej masakry chorzowskich drzew jest bezpośrednio sąsiedztwo wyjątkowego parku przy osiedlu Różanka. Rosną w nim najdorodniejsze w mieście, wiekowe kasztany, o które dbały pokolenia chorzowian. Rosną w miejscu o wielkim znaczeniu kulturowym, upamiętniającym żydowską społeczność przedwojennego Chorzowa.

Tuż obok straszą upiorne kikuty po zdrowych klonach. Podręcznikowy, żywy przykład rzezi, a nie pielęgnacji, drzew. Tym razem z rażącym złamaniem prawa!!!

Mówi ono aż nazbyt jasno, że zabiegi pielęgnacyjne w obrębie korony drzewa na terenach zieleni lub zadrzewionych mogą obejmować wyłącznie usuwanie gałęzi obumarłych, nadłamanych lub wchodzących w kolizję z obiektami budowlanymi

czy urządzeniami technicznymi. Kształtowanie korony jest dopuszczalne tylko w przypadku drzewa, którego wiek nie przekracza 10 lat. Podczas tego zabiegu musi zostać utrzymany formowany kształt korony drzewa.

Usunięcie drzew lub krzewów liczących powyżej 10 lat (przed zmianami było to 5 lat), wymaga zezwolenia, nawet jeśli są to samosiejki lub drzewa i krzewy obumarłe. Na zabiegi pielęgnacyjne – sanitarne zezwolenie nie jest wymagane, ale zakres ich wykonywania musi być ściśle, zgodnie z prawem, określony.

Wyraźniej zapisać tego prawa nie można. Pytamy więc prezydenta Chorzowa, kto i czy określił zakres wykonywania cięć pielęgnacyjnych na klonach i klonach jaworach przy ulicy Krzywej?

Ochrona drzew w miastach, ich trwanie w dobrej kondycji wymaga szczególnej dbałości. To dobro wspólne. Niezbywalne jak powietrze i woda. Drzewo musi rosnać długo i zdrowo, by dostarczać nam tlen, dawać cień, osłaniać przed zanie-

czyszczeniami, upałem, hałasem, lecząc nasze stesy.

Zdrowych drzew w najbardziej zanieczyszczonych polskich miastach, potrzeba jak najwięcej. A jest ich coraz mniej.... Na dodatek żyją coraz krócej. Chociaż paradoksalnie, polskie tradycje ochrony przyrody i potencjał naukowy w tej dziedzinie mamy imponujące. Nie brakuje nam ekologów, przyrodników, dendrologów, botaników, architektów i urbanistów, doskonale przygotowanych do kształtowania i dbałości o zasoby zielone miast. Jednak nikt ich najczęściej o opinie czy rady nie pyta. To niedouczeni urzędnicy i pilarze decydują o kondycji i trwaniu drzew w miastach.

Potwierdziła to w ubiegłym roku Najwyższa Izba Kontroli. Jej inspektorzy sprawdzili w kilku województwach czy polskie miasta chronią swoje drzewa? Odpowiedź nie pozostawia wątpliwości.

Inwentaryzowanie w Polsce terenów zielonych nie jest wymagane. Dlatego przegrywają z inwestycjami! Samorzady miast odpowiedzialne m.in. za drzewa na swoim terenie, nie bardzo wiedzą ile ich rośnie i jak je należy chronić? Urzędnicy nie posiadają pełnej wiedzy, dotyczącej prawdziwej wartości, sposobów pielęgnowania i skutecznej ochrony drzewostanów. Ich los oddają w ręce przypadkowych

firm, które wygrywają przetargi na zamówienia publiczne, nie dlatego, że są sprawdzonymi profesjonalistami, ale ze względu na zaferowaną najniższą cenę za wykonanie usługi pielęgnacyjnej czy dendrologicznej na terenach zielonych.

Inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli docenili równocześnie obywatelskie postawy mieszkańców, broniących drzew i znikających zielonych połaci w swoim otoczeniu. Wskazali też na zmianę postawy inwestorów budowlanych zabiegających o tzw. zielone certyfikaty. Mieszkania w otoczeniu zieleni sprzedają się lepiej, nawet jeśli więcej kosztują.

To wciąż za mało, by drzewa w miastach były bezpieczne. Obecnie parlamentarzyści pracują nad projektem ustawy o zmianie ustawy o samorządzie gminnym oraz zmianie niektórych innych ustaw. Projekt ten zawiera propozycje zmian do ustawy o ochronie przyrody z 2004 roku. W jej części dotyczącej ochrony terenów zieleni i zadrzewień.

W rytm natury

Wkrótce okaże się czy kolejna regulacja prawna, przygotowana przez ministra administracji i cyfryzacji we współpracy z resortem środowiska, po-

wstrzyma przyczynę masowej rzezi drzew w miastach? Czy będziemy czekać na interwencję Unii Europejskiej, która przypomni nam, że pielęgnowanie drzew poprzez ich ogławianie jest przyrodniczym barbarzyństwem!

W tej kwestii naukowcy, dendrologi, przyrodnicy są wyjątkowo zgodni. Żadne drzewa nie potrzebują cięć z punktu widzenia ich zdrowotności. Cięcia należy ograniczyć do wycinania gałęzi suchych i chorych. Usuwać drzewa można tylko w przypadkach, gdy zagrażają zdrowiu lub mieniu ludzi bądź w sposób ewidentny wchodzą w kolizję z infrastrukturą miejską. Po każdej ściętej gałęzi pozostaje rana, w którą najczęściej wdaje się infekcja. Drzewo zdrowe potrafi z nią walczyć. Całe okaleczone już nie! Żyje krócej lub usycha. Ogłowione drzewa, które stały się niechlubnym symbolem polskiego krajobrazu, bardziej zagrażają bezpieczeństwu otoczenia niż te rosnące bez zbędnych cięć pielęgnacyjnych. Wbrew mitom, mają zaburzoną statykę czyli przesunięty punkt ciężkości.

Przestańmy finansować z naszych podatków proceder ogławiania drzew. Pozwólmy im rosnąć w rytm natury, a nie piły spalinowej.

JOLANTA KARMAŃSKA



Fot. Michał Karmański

O te kasztany w parku na Różance dbały pokolenia



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



ARKADIUSZ GOLA
Dziewczyna z dywanem

Arkadiusz Gola „Dziewczyna z dywanem”. Wernisaż 16 stycznia 2015 roku. Centrum Kultury Katowice. Kurator wystawy: Grażyna Tereszkiwicz.

Metafizyczny Śląsk Arkadiusza Goli

Gdyby Arkadiusz Gola nie pochodził z Rudy Śląskiej i nie mieszkał w Zabrze, czy byłby takim samym fotografem? Z pewnością, byłby równie znakomitym artystą, jakim jest obecnie, ale zapewne innym. Bo Gola jest jak bohaterowie jego obrazów, jest częścią swoich czarno-białych fotoreportaży, jest „człowiekiem z węgla”. Świat Górnego Śląska jest od zawsze jego światem najbliższym, z którego uczynił wielki temat swojej twórczości. Kiedy pokazuje swoje fotografie, zawsze tworzące sugestywne cykle, prowadzi oglądającego za rękę: od sytuacji do sytuacji, od osobistej refleksji po zdystansowane obrazy. On jest w środku zdarzeń, ale nie w chwili największego dziania się, ale chwilę przed lub chwilę po. Bo tylko te sytuacje są źródłem jego fascynacji ludźmi. Nie ma w jego zdjęciach relacji, sensacji, dociekania i drażnienia tematu. Będąc w środku zdania aparat kieruje na okolice, pobocza, na epizody na pierwszy rzut oka mało istotne. Lecz kiedy to wszystko doda do siebie, jeśli poszczególnie obrazy utworzą określoną sekwencję, powstaje całość, jakiej postronni obserwatorzy jego działania z pewnością by się nie spodziewali. Fotografując codzienność, zwykłość, nawet banalność, wyłuskuje z niej niebywały ładunek emocjonalny. Obrazy pozornie uspokojone, wyciszone, nierzadko ziejące pustką, opowiadają o człowieku – najczęściej o takim, którego nie zauważamy, obojętnie mijamy na ulicy czy patrzymy na niego z politowaniem.

Świat Śląska, jego ulic, podwórek, faniłoków, które są nieodłącznym elementem krajobrazu peryferii wielkich miast, ale też ciągle jeszcze występują w roli głównej krajobrazu zwyczajnych miast i miasteczek obok kopalnianych szybów i górników z czarnymi obchodkami wokół oczu lub raz w roku obchodzących w strojach galowych swoje Barbórkowe święto, jest obszarem, po którym z wielkim znanstwem i przenikliwością porusza się Arkadiusz Gola.

Fotoreportaż tego artysty obiektywu to nie tylko mistrzowskie – zarówno w sferze obrazu i warsztatu – dokumentalne zapisy. Jego dzieła wyrastają ponad to, co oglądamy u największych fotoreporterów w dziejach fotografii reportażowej na Śląsku, na pracach których uczył się, poznając tajniki i sztuki tworzenia obrazów niezwykłych. Sztuka Arkadiusza Gola jest fotografem osobnym, rozpoznawalnym. Swoją Śląsk opisuje najczęściej poprzez fotografię czarno-białą, ale nie na sposób czarno-biały. Kiedy używa koloru, powstają malarskie obrazy – nie istotne, czy widzimy na nich scenę przygotowań do procesji Bożego Ciała, czy fedrującego górnika. Wtedy Arkadiusz Gola staje się malarzem. I właśnie ta cecha wyróżnia go spośród grona wielu świetnych fotografów na Śląsku. Lecz niezależnie od tego, czy w czerni i bieli, czy w kolorze, powstają fotografie, które można analizować jak obrazy malarskie.

Stąd już niedaleko było Arkadiuszowi Goli do wzięcia udziału w pewnym plastycznym eksperymencie – swoim najnowszym cyklem fotografii, zatytułowanym „Dziewczyna z dywanem”, odpowiedział na postawiony przed nim, przez kuratora wystawy, problem, który brzmiał: de Chirico i jego obraz z 1914 roku pt. „Tajemnica i melancholia ulicy”. Gola zaproponował kilkanaście fotografii, który rozpoczął „Dziewczyna z dywanem”, a kończy chłopiec biegnący za toczącą się oponą – niczym dziewczynka z kółkiem z obrazu de Chirico. Z jednej strony idąca zdecydowanym krokiem przed siebie z przerzuconym przez ramię dywanem dziewczyna, mająca wyraźnie do spełnienia jakieś zadanie. Na nogach ma ubrane białe skarpetki, wokół pustka wczesnego ranka. To sytuacja budowania ołtarza z okazji święta Bożego Ciała – zdrada Arkadiusza Gola. Ten moment okazał się dla niego kluczowy, bo zawiera tajemnicę, nieokreśloność, a zarazem konkret działania postaci, chociaż ukryty dla obserwatora. Odszyfnowanie

narzuca się poprzez ... biel skarpetek, tak nie pasujących do innych, codziennych, porządkowych zajęć, jak chociażby trzepanie dywanu. A poza tym pora dnia – jeszcze szary świt, więc musi wydarzyć się coś niezwykłego. Oczywiście – trzeba przygotować ołtarz. Ale bez opowiedzianej anegdoty przez autora nie do końca wiemy o co chodzi. Analizując detal po detalu wyczuwamy zaledwie emocje i napięcie niezwyklej sytuacji. Gola po mistrzowsku potrafi budować wewnętrzne napięcia w obrazie, a poprzez jego konstrukcję formalną, skupić uwagę odbiorcy na tym, co dla tej fotografii najważniejsze. Podobnie jest z chłopcem biegnącym za oponą – pusta boczna ściana domu, której zwieńczenie dachu tworzy trójkąt, wzmocniony drugim, narysowanym, jakby powtarzającym krzywiznę dachu trójkątem, powoduje, że skupiamy wzrok na tym, co dzieje się u dołu zdjęcia. Niby nic takiego – chłopiec toczący przed sobą oponę i starszy mężczyzna przyglądający się przypadkiem tej sytuacji. A jak ma się do tych fotografii obraz de Chirico? Geometryczne zabudowania, wykreślony jak od linijki cień rzucany przez przemykającą pustą ulicą postacie. Dziewczyna z kółkiem – realna postać, choć bardziej przypominająca własny cień i druga postać – rzucająca wyłącznie cień, rozświetlone słońce ulicy. Nie analizując dogłębnie symboli zawartych w obrazie de Chirico, a tylko skupiając się na atmosferze tego obrazu łatwo dostrzec paralelę sytuacji w dziele de Chirico i Arkadiusza Goli. Niezwykle jest to, że obrazy Goli nie powstały jako odpowiedź na malarstwo de Chirico. Zrodziły się w innym miejscu, i cały wiek później. Nie starszy miejsca, by opisywać kolejne fotografie z cyklu „Dziewczyna z dywanem”. Te, tak odległe światy – de Chirico i Arkadiusza Goli – nagle stały się spójne, paralelne. Łączy je metafizyczne pojmowanie i widzenie otaczającego świata, dostrzeganie miejsca jako przestrzeni nie tylko mającej swoje tu i teraz, ale jako osobiste doświadczenie ze wszystkimi tego konsekwencjami. I tak, jak poprzez obrazy de Chirico opowiada historię swojego życia, tak Arkadiusz Gola swoje wybory filtruje poprzez wewnętrzną wrażliwość, którą towarzyszy mu od zawsze, poprzez swój wewnętrzny Śląsk.

WIESŁAWA KONOPELSKA

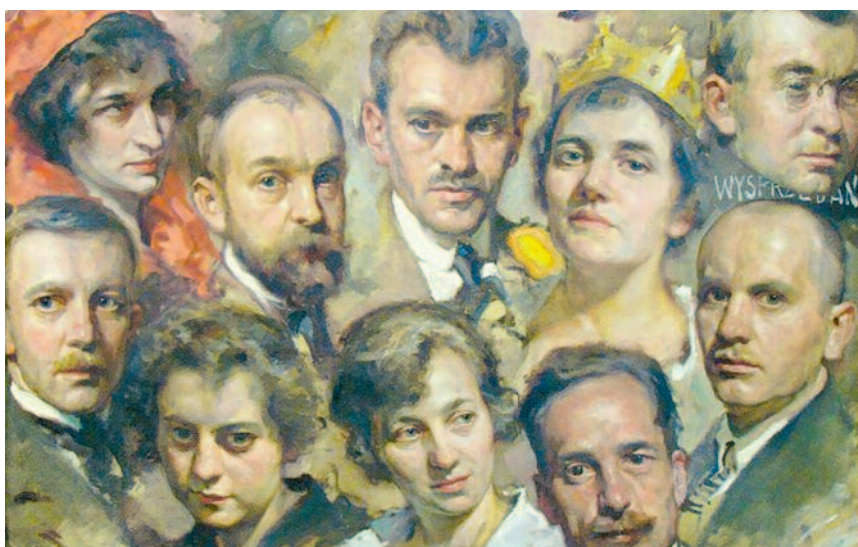
Arkadiusz Gola – rocznik 1972. Doktorant Instytutu Kreatywnej Fotografii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie (Czechy), fotoreporter prasowy związany z „Dziennikiem Zachodnim”. Członek Paf. Zajmuje się fotografią dokumentalną. Rejestruje zmiany zachodzące w społeczeństwie na Górnym Śląsku po 1989 roku. Zdobył nagrody w najważniejszych ogólnopolskich konkursach fotografii prasowej (BZ WBK Pressfoto, Newsreportaż, Grand Press Photo, Śląska Fotografia prasowa). Dziennikarz Roku 2003 „Dziennika Zachodniego”. Zdjęcia w zbiorach Muzeum Śląskiego, Muzeum Historii Katowic, Muzeum Miejskiego w Zabrze, Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze, Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, Muzeum Umeni w Olomuńcu oraz we Francji w regionie Nord Pas de Calais (projekt „Górnicy świata”). Autor albumów: „Ludzie z węgla”, „Nie muszę wracać...”, „Stany graniczne”. Wystawy w kraju i zagranicą (Czechy, Francja, Niemcy, Belgia, Słowacja).



Arkadiusz
GOLA

Dziewczyna
z dywanem

FOTOGRAFIA



Portrety zbiorowe Towarzystwa Dramatycznego w Nowym Sączu, 1920-1922, olej/tektura



Portret Tonusia Jakubika z kotem, 1921, olej/plótno



Biała dama – portret Heleny Jakubik, 1918, olej/plótno



Portret Heleny Jakubik w pomarańczowym zawoju, 1921, olej/plótno

Bolesław Barbacki był znakomitym malarzem, ale można go nazwać artystą totalnym – kochał i uprawiał sztukę niemal we wszystkich jej odmianach. Zarażał swoją pasją znajomych, przyjaciół, rodzinę... Nowy Sącz, któremu poświęcił życie, gdzie tworzył, działał i pracował, stał się dzięki niemu jednym z jaśniejszych punktów na kulturalnej mapie przedwojennej Polski.

Artysta urodził się w Nowym Sączu 10 października 1891 r. Od dziecka przejawiał zadziwiające zdolności plastyczne. Ulubioną zabawą pięcioletniego Bolka było szkicowanie ołówkiem na papierze. Będąc uczniem gimnazjum pobierał dodatkowe lekcje rysunku u znanego sądeckiego pejzażyisty Antoniego Ludwika Broszkiewicza (1872–1936), którego tatrzańskie widoki niezmiennie od tylu już lat zachwycają. Mając 15 lat ze szkolnym kolegą Romualdem Mossoczym założył patriotyczne Koło Filareckie, które *gromadziło uczniów gimnazjum i za cel stawiało sobie przyswajanie równieśnikom wartości patriotycznych*. W tym czasie powstały jego pierwsze obrazy olejne na płótnie, których tematyka ukazywała klasyczne wzorce narodowych zrywów – „Ostatni Rzymianie”, „Powrót Legionów”, „Erynie”.

W latach 1910–1916 Bolesław Barbacki studiował malarstwo w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, m.in. w pracowni wielkiego Teodora Axentowicza, który zaliczał go do swoich ulubionych uczniów i w każdym semestrze, jak to miał w zwyczaju, wyróżniał go I nagrodą. Równolegle studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, początkowo na Wydziale Filozoficznym, a następnie przeniósł się na Wydział Prawa, który ukończył w 1916 r. Po wybuchu I wojny światowej wyjechał na kilka miesięcy z ojcem i rodziną do Ischlu w Tyrolu. Malował alpejskie widoki i portrety oraz poznawał zbiory malarstwa w Monachium i Salzburgu.

Rok 1916 był przełomowy dla kariery artystycznej Barbackiego. Mimo ukończonych studiów prawniczych postanowił poświęcić się całkowicie sztuce. Podjęcie tej decyzji ułatwiła mu pierwsza publiczna wystawa, zorganizowana przez krakowskiego malarza Eugeniusza Grosa w nowosądeckim oddziale Czerwonego Krzyża. Prace młodego artysty spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem. Pospłyły się zamówienia na portrety. Obok malarstwa Barbacki wielką miłością darzył teatr. W 1918 roku zorganizował w Nowym Sączu Towarzystwo Dramatyczne, w którym był aktorem, reżyserem, scenografem, charakteryzatorem i instruktorem aż do wybuchu II wojny światowej. W 1920 r. rozpoczął również pracę w charakterze nauczyciela rysunku w gimnazjum żeńskim. Od października 1924 r. do czerwca roku 1925 przebywał w Paryżu kopiując dzieła klasycznego malarstwa w Luwrze. Założył w Nowym Sączu szkołę zawodową dla ubogich dziewcząt a także Wytwórnictwo Przemysłową Towarzystwa Szkoły Ludowej, gdzie absolwentki mogły podjąć pracę. Barbacki był nie tylko wielkim artystą, ale i w najlepszym tego słowa znaczeniu społecznikiem. Znał wszystkie problemy mieszkańców miasta i starał się je rozwiązywać. W 1932 r. został wybrany prezesem nowosądeckiego Towarzystwa Gimnastycznego Sokół, w którym działał od 1919 roku. Po wybuchu II wojny światowej i wkroczeniu Niemców do Nowego Sącza Barbacki pozostał w mieście, mimo usilnych prośb przyjaciół o to, aby się ukrył. Uważał, że musi zabezpieczyć bibliotekę *Sokoła* oraz wyposażenie Towarzystwa Drama-



Fot. Witold Kociński

Artysta totalny

tycznego. 20 stycznia 1941 r. został po raz pierwszy aresztowany przez gestapo i po miesiącu brutalnych przesłuchań wypuszczony. Nadal nie chciał wyjechać. 2 lipca 1941 r. został ponownie osadzony w areszcie. W hitlerowskim więzieniu po raz ostatni wypełnił misję artysty – na przemycanym papierze narysował około 30 portretów współwięźniów. 21 sierpnia 1941 r. hitlerowcy rozstrzelali go wraz z grupą 45 polskich więźniów w Biegonicach pod Nowym Sączem.

Wiele miejsca poświęciłem biografii mistrza Barbackiego, korzystając z materiałów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu, bo to bohaterski twórca, ceniony i darzony wielką estymą jedynie w rodzinnym mieście i ciągle nie może dostać się na należne mu miejsce w panteonie wielkich luminarzy polskiej sztuki. Być może zaszkodził mu fakt, że nigdy nie uległ wpływowi awangardowych dokonań międzywojnia i całkowicie się odcinał od wszelkiego rodzaju malarskich nowinek. Najwyżej cenil perfekcyjny warsztat. Mam nadzieję, że w czasach wszechogarniającego chaosu, także w sztukach plastycznych, tego typu mistrzostwo zostanie należycie docenione.

14 stycznia w sosnowieckim Muzeum odbył się wernisaż „Bolesław Barbacki (1891–1941). Portrety ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu”.

Jak zawsze proponuję krótki spacer po salach wystawowych Pałacu Schoena. Wszystkie dzieła Bolesława Barbackiego zachwycają doskonałością, do niektórych trzeba wracać wielokrotnie. Postaci z obrazów nie od razu bowiem zdradzają tajemnicę swojego życia... Artysta nie upiększał modeli, ale darzył ogromnym szacunkiem i sympatią. Wnikliwie obserwował i całą prawdę o nich odnajdywał w oczach – one nam dzisiaj mówią niemal wszystko. Jest w nich radość, niepewność, uczciwość, smutek, nadzieja...

Choć sportretowanych osób dawno już nie ma, to jednak żyją na płótnach Barbackiego i bacznie nas obserwują. Malarz nie zaśmiecał tła przegadaną symboliką i być może to zdecydowało, że są nam bliscy. Po wejściu na miarowe wzrok przyciąga dużych rozmiarów obraz „Państwo Urygowie” z 1923 r., cali w zieleni łąki, ona smutna, on

niepewny. Tyle się przecież wydarzyło w ostatnim czasie w Polsce i w ich życiu... Obok siebie dwa portrety Bolesława Kobaka i Stanisławy Kobaki z 1926 r. – on niczym u Maurycyego Gottlieba, zaduma, godność, mądrość, ona z kwiatami i szalem, który nie okrywa ramion, ale jedynie zdobi i te oczy – po prostu piękne. Najsympatyczniejszy na wystawie jest niewątpliwie „Tonuś Jakubik z kotem” (1921 r.) – bohater obrazu to chmurny i dumny, broń Boże nie dumny, gimnazjalista. Zachwycają liczne portrety dzieci. Ż. „Autoportretu” namalowanego w latach 1909–1910 spogląda na nas pełen godności i powagi młodzieniec w drucianych okularach, trochę zarozumiały, ale budzący sympatię. Wzrusza smutna twarz kobiety na obrazie zatytułowanym „Osierocona” (1921 r.), „Babcia” (1921 r.) jest kobietą po przejściach o nieufnym spojrzeniu, to twarza a nie sentymentalna babunia. Obok siebie dwa doskonale portrety inż. Franciszka Jakubika, jeden na przemysłowym tle w pelisie przykrywającej mundur a drugi... isticie Czechowowski. Najradośniejszy na wystawie jest „Portret Heleny Jakubik” (1918 r.), ostre, odważne kolory – czerwień i biel. Najciekawsze są niewątpliwie portrety zbiorowe Towarzystwa Dramatycznego w Nowym Sączu (1920–1922) – stały się doskonałym pomnikiem historii miasta. Są i dwa portrety Józefa Piłsudskiego. Nie wiem, czy był wówczas taki portrecista, który nie malował Marszałka? Trudno nie podziwiać „Portretu Romualda Mossocznego w stroju Mefista” (1917 r.) – to musiały być znakomita aktorska kreacja. Jeszcze jednego dzieła nie mogę pominąć – „Portretu Heleny Jakubik w pomarańczowym zawoju” (1921 r.). Oczy, oczy i jeszcze raz oczy... Wreszcie „Portret Adama hrabiego Deleveau” (1937 r.) – do rodzinnej galerii zamówienie wykonane bez zarzut!

Cieszymy się z pięknej ekspozycji prezentowanej w sosnowieckim Muzeum. Warto dodać, że podczas wernisazu została podpisana umowa o współpracy pomiędzy Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu i Muzeum w Sosnowcu, będą one systematycznie wymieniać się swoimi skarbami ku zadowoleniu zwiedzających...

WITOLD KOCIŃSKI

Design wkracza w miasto

ŁUKASZ
KARKOSZKA

Design jeszcze kilka lat temu kojarzył nam się tylko i wyłącznie z pięknymi przedmiotami użytkowymi. Dziś coraz częściej pojęcie to używane jest w stosunku do dobrze zaprojektowanej przestrzeni publicznej. Coraz powszechniejsze staje się bowiem włączanie projektantów w proces kreowania nowych, jak i przeobrażania już istniejących przestrzeni miejskich: placów, ulic, skwerów, placów zabaw, obiektów użyteczności publicznej czy wręcz całych kwartałów dzielnic. Nic dziwnego. Dobrze zaprojektowana przestrzeń poprawia jakość życia w mieście: staje się przyjazna i bezpieczna, sprzyja integracji i budowaniu poczucia tożsamości miejsca, przyciąga turystów i inwestorów. O ile jednak w państwach Europy Zachodniej proces ten jest standardową procedurą, o tyle w Polsce znajdujemy się na początku tej drogi. Mimo to przykłady skutecznego wykorzystania designu w kształtowaniu miejskich przestrzeni zdarzają się i u nas. Co ciekawe, gros dobrych praktyk znajduje się w województwie śląskim.

Z myślą o odbiorcach

Design w kształtowaniu tkanki miejskiej wykorzystywany jest już od kilkudziesięciu lat. Wystarczy spojrzeć na Kopenhagę, która uchodzi za jedno z najprzyjemniejszych miast dla człowieka. Tylko w ciągu minionego dwudziestolecia projektanci całkowicie przeobrazili w stolicy Danii kilkanaście miejskich placów, pełniących funkcję parkingów, w tętniące życiem centra aktywności mieszkańców. Wygodne meble miejskie, stojaki dla rowerów, chodniki przystosowane do osób w każdym wieku, to tylko niektóre z wprowadzonych udogodnień. Także Berlin, dzięki wprowadzeniu nowatorskich rozwiązań projektowych w zaniedbanych dzielnicach poprzemysłowych, zyskał nowoczesne i przyjazne przestrzenie. Nowa zabudowa przy nabrzeżu Sprewy w miejscu dawnego portu, czy dzielnica Kreuzberg, którą projektanci zamienili w mekkę przemysłu kreatywnego, adaptując dawne magazyny

i hale na nowoczesne miejsca pracy, to tylko niewielki wycinek przeprojektowanych obszarów.

Jak to możliwe, że design okazał się tak skuteczny w przywracaniu do życia obumarłych kwartałów miast?

– Szukając odpowiedzi na to pytanie należy uzmysłowić sobie, że design w kontekście przestrzeni miejskich, należy rozumieć, jako narzędzie służące rozwiązywaniu różnego rodzaju problemów użytkowników danego miejsca (np. komunikacyjnych czy społecznych). Tylko w takim sensie może on odegrać kluczową rolę w tworzeniu przyjaznych człowiekowi przestrzeni publicznych – mówi dr Zofia Osłisło, projektantka, wykładowczyni Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, autorka rozprawy „Nowi Ślązacy. Miasto/dizajn/tożsamość”. – Do zaprojektowania przyjaznej mieszkańcom przestrzeni potrzeba czasem kilku projektantów o różnych specjalnościach. Zanim zaczniemy projektować – warto zapytać ludzi, czego chcą i o czym marzą. Należy przeanalizować, w jaki sposób mieszkańcy dotychczas korzystają z danego fragmentu miasta, trzeba wziąć pod uwagę potrzeby osób w różnym wieku, o różnym statusie materialnym. Przestrzeń publiczna jest bowiem otwarta dla wszystkich. Następnie przystępujemy do projektu samej przestrzeni – tu współpracować będzie architekt z urbanistą i projektantem małej architektury (np. mebli miejskich). Takie kompleksowe działanie daje większą gwarancję, że przyszli użytkownicy przestrzeni publicznej ją polubią, będą się w niej dobrze czuć i chętnie z niej korzystać – przekonuje dr Zofia Osłisło

– Zasada dostępności wydaje się kluczowa. Projektowana przestrzeń, ławki, meble miejskie, systemy komunikacji i informacji powinny odpowiadać potrzebom jak najszerszej grupy użytkowników – nie tylko młodym, silnym, zdrowym, ale także osobom niedowidzącym, o ograniczonej sprawności, osobom starszym, rodzicom pchającym wózki z dziećmi, czy podróżnym z walizkami. Projektanci muszą pamiętać też o tym,

by sięgać po materiały przyjazne środowisku, trwałe, odporne na wandalizm i czynniki atmosferyczne – dodaje Lubomira Trojan, koordynatorka Instytutu Projektowania dla Wszystkich z Zamku Cieszyń.

W procesie projektowym warto wziąć pod uwagę również zasady wprowadzone przez duńskiego architekta Jana Gehla. Na podstawie obserwacji ludzkich zachowań, optował za projektowaniem przestrzeni na tzw. ludzką skalę. W jego zamyśle optymalne byłyby niewysokie budynki i nie za szerokie ulice (pozbawione ruchu samochodowego, a umożliwiające ruch rowerowy), po których można się poruszać z prędkością 5 km/h (prędkość z jaką człowiek porusza się na piechotę).

– Jego zdaniem dobrze zaprojektowana przestrzeń powinna uwzględniać cechy ludzkiego ciała i nasze zmysły. Należy więc ograniczyć ilość produkowanych spalin, dominantą powinny być obszary wypełnione zielenią, które umożliwiają spędzanie wolnego czasu w ogródkach, kawiarniach, placach zabaw w poczuciu bezpieczeństwa – mówi Lubomira Trojan.

Design dla wszystkich

Tyle teorii. Jak jednak wygląda wdrażanie zasad dobrego projektowania w praktyce? Na naszym śląskim podwórku (i to dosłownie!) znaleźć można wiele przykładów przestrzeni miejskich, przy projektowaniu których design odegrał kluczową rolę.

Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów od kilku lat prowadzi projekt „Plac na glanc”, w którym wybrana w drodze konkursu wspólnota mieszkaniowa współpracuje z architektami nad przeobrażeniem własnego „placu”. O tym, że można zmienić przestrzeń i dostosować ją do potrzeb osób, które w niej żyją, przekonali się już m.in. mieszkańcy katowickich kamienic przy ulicy Lompy i Kredytowej. Ich place zamieniły się w kwitnące ogrody, stając się idealnymi miejscami do wypoczynku. Innym przykładem udanej współpracy designerów z użytkownikami miejsca jest Park Matejki w Jaworznie. Architektki Maria Skotnicka i Agnieszka Czachowska z MS Design Pracownia Projektowa, zanim przystąpiły do realizacji projektu modernizacji parku, zapytały jego najmłodszych użytkowników – uczniów pobliskiej szkoły podstawowej o to, co im przeszkadza i czego brakuje w parku, a co jest godne podkreślenia.

– Nad kartką papieru nie odgadniemy bowiem „potrzeb miejsca”. Tylko lokalni użytkownicy tak naprawdę wiedzą o danym terenie najwięcej i tylko oni potrafią zdiagnozować wady i zalety istniejącej przestrzeni – wyjaśnia Maria Skotnicka, architekt



Przebudowany skwer wraz z zagospodarowaniem terenu wokół kościoła św. Jacka w Bytomiu.



System informacji wizualnej dla portu lotniczego w Katowicach-Pyrzowicach

z MS Design Pracownia Projektowa.

W wyniku przeprowadzonych konsultacji społecznych powstał nowatorcki projekt modernizacji zieleńca, „Mój jest ten kawałek parku...”.

– W pierwszej kolejności powstały bezpieczne chodniki, skwer wzbogacił się o nowe nasadzenia kwiatowe, ławki i kosze na śmieci. Zaprojektowane zostały również kurtyny – przepierzynia w postaci gabionów (forma ogrodzenia) wypełnionych naturalnymi materiałami. Zadbaliśmy również o to, aby każdy, niezależnie od wieku znalazł w parku miejsce dla siebie. Jest więc strefa dla dzieci młodszych, starszych, elementy siłowni dla wszystkich oraz miejsca do odpoczynku – opowiada Maria Skotnicka.

Realizacja nagrodzona została tytułem „Śląska Rzecz 2012” w kategorii usługa, przyznawanym przez Zamek Cieszyń.

Dostępność i funkcjonalność

Design swoje zastosowanie znajduje również w rewitalizacji dużych przestrzeni publicznych. Jedną z ciekawszych tego typu realizacji był projekt przebudowy skwera wraz z zagospodarowaniem terenu wokół kościoła św. Jacka w Bytomiu autorstwa Medusa Group, nominowany do prestiżowej Nagrody Unii Europejskiej dla Współczesnej Architektury – Mies van der Rohe Award 2015. Wokół neoromańskiej świątyni powstał prosty w formie, przeszklony budynek przeznaczony na warsztaty muzyczne-teatralne z salą prób. Aby nie zasłaniał bryły kościoła, został częściowo „wkopany” w ziemię. Wystający ukośny dach porasta trawa. Niezwykle widowiskowo, wygląda również ogród różancowy, w którym projektanci umieścili 20 świetlnych kul różnej wielkości. Nawiązują one do legendy, według której św. Jackowi w trakcie modlitwy różancowej rozspalały się paciorki różańca i wpadły do płynącego nieopodal źródła. Wierni jeszcze długo po tym incydencie znajdowali „perły św. Jacka”, czyli niewielkie jasne kamyczki, z których wykonywano paciorki różańca. Ilość umieszczonych w ogrodzie kul też nie jest przypadkowa – symbolizuje dwadzieścia tajemnic różańca. Teren wzbogacono został również w elementy małej architektury (m.in. wyłożone drewnem podesty-siedziska), dzięki czemu miejsce jest chętnie odwiedzane przez mieszkańców. Projekt Medusa Group to przykład harmonijnego połączenia nowoczesności z tradycją i tożsamością miejsca.

Z uznaniem mieszkańców i ekspertów spotkał się również projekt zagospodarowania wschodniego nabrzeża Paprocana w Tychach, autorstwa pracowni RS+ Robert Skitek. Tyska realizacja, podobnie jak bytomski projekt, wyróżniona została nominacją do Nagrody Mies van der Rohe Award 2015. W ramach przedsięwzięcia stworzono widowiskową promenadę złożoną z przepłatających się pod różnym kątem układów desek. Dzięki temu tworzą one podłużne siedziska z widokiem na jezioro. Powstała też nowa plaża i siłownia pod chmurką.



Projekt modernizacji Parku Matejki w Jaworznie.

– Podczas pracy nad nabrzeżem wykorzystaliśmy narzędzia i zasady związane z projektowaniem od kompozycji całego założenia po detal. Skupiliśmy się na stworzeniu atrakcyjnej i przyjaznej przestrzeni starając się w pełni wykorzystać walory miejsca, w którym przyszło nam pracować, pragnąc je jeszcze bardziej wyeksponować. Staraliśmy się być w tym konsekwentni: zasada ta obowiązuje od skali kompozycji promenady (zmieniające się widoki podczas przechodzenia wijącą się i zmieniającą poziom promenadą), po dobrany materiał (odczuwany dotykiem czy zapachem) – wyjaśnia Robert Skitek, architekt i założyciel pracowni RS+ Robert Skitek.

Nadzwyczaj oryginalnie prezentują się również nowe obiekty na terenie dawnej kopalni Katowice – siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, Muzeum Śląskie i Centrum Kongresowe – stanowiące katowicką Strefę Kultury.

– Jest to przykład całościowego myślenia o funkcji i kontekście fragmentu miasta, a nie tylko o poszczególnych budynkach, czy placach. Jako użytkownicy będziemy sprawdzać czy projekt rzeczywiście spełnia swoją funkcję – mówi Lubomira Trojan.

Artystyczne projektowanie

Czasem działania projektantów mają charakter artystyczny, mimo to nie są pozbawione funkcjonalności i dostępności.

– Przykładem takiej realizacji jest akcja „Słodkie Kato” autorstwa Matyldy Sałajewskiej. Artystka zaprojektowała tymczasowe miejskie siedziska, które sezonowo zmieniły oblicze ul. Mariackiej i okolic Ronda, ocieplając tym samym wizerunek tych miejsc. Podobny efekt przyniósł projekt „Superogród” Katarzyny Jendrośki-Goik, zrealizowany Miasto Ogrodów. Mieszkańcom Superjednostki zostały rozdane kwiaty, które mogli zainstalować na swoich balkonach. Poprawiło to wizerunek największego bloku w mie-



System informacji wizualnej w otoczeniu budynku NOSPR.

ście, a także zbliżyło do siebie mieszkańców, którzy dzięki projektowi mieli okazję się spotkać na zorganizowanym dla nich festynie – mówi dr Zofia Oslislo.

Wizualnie dostępne

Design w przestrzeni publicznej to nie tylko obiekty, meble miejskie, ale również komunikacja wizualna i informacja kierunkowa. W województwie śląskim możemy się pochwalić kilkoma interesującymi przykładami dobrze zaprojektowanych systemów komunikacyjnych. Jednym z nich jest system informa-

cji wizualnej dla portu lotniczego w Katowicach-Pyrzowicach, który w 2008 roku został wyróżniony tytułem „Śląska Rzecz”. Współautorką nagrodzonego projektu jest dr Justyna Kucharczyk, która wraz z zespołem stworzyła również systemy informacyjne wizualnej dla katowickiej ASP, Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, budynku NOSPR i kompleksu Euro Centrum.

– Projektując system komunikacji wizualnej zwracam przede wszystkim uwagę na to, żeby był czytelny i zrozumiały, odpowiadała na różne potrzeby odbiorców i docierała do nich z aktualną informacją różnymi kanałami w sposób wizualnie spójny. Liczy się oczywiście również jakość – grafika i materiał, z którego elementy systemu są tworzone. Bardzo lubię realizować projekty uwzględniające charakter instytucji lub miejsca. Często najlepszym rozwiązaniem jest takie, które nie przytłacza nas wizualnie, nie atakuje, a umożliwia skorzystanie w momencie, kiedy tego potrzebujemy i co najważniejsze informuje nas o tym, czego szukamy – mówi dr Justyna Kucharczyk, projektantka, wykładowczyni Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w Pracowni Projektowania Systemów Informacji Wizualnej oraz Komunikacji Społecznej.

Niestety w Polsce projektowanie informacji wizualnej w przestrzeni publicznej wciąż jest jedną z najbardziej zaniedbanych dziedzin grafiki użytkowej. – W naszym kraju wiele instytucji i firm wychodzi z założenia, że mają pilniejsze wydatki, niż tworzenie systemów komunikacji wizualnej. Podmioty odpowiedzialne za tego typu projekty często nie zdają sobie sprawy, że taki system to ważne ogniwo łączące ich instytucje z klientem – użytkownikiem. Nie są świadomi tego, że brak lub niestarannie przygotowana informacja jest wizytówką instytucji, świadczy o zarządzaniu, jakości świadczonych usług i nastawieniu do odbiorcy – wyjaśnia dr Justyna Kucharczyk.

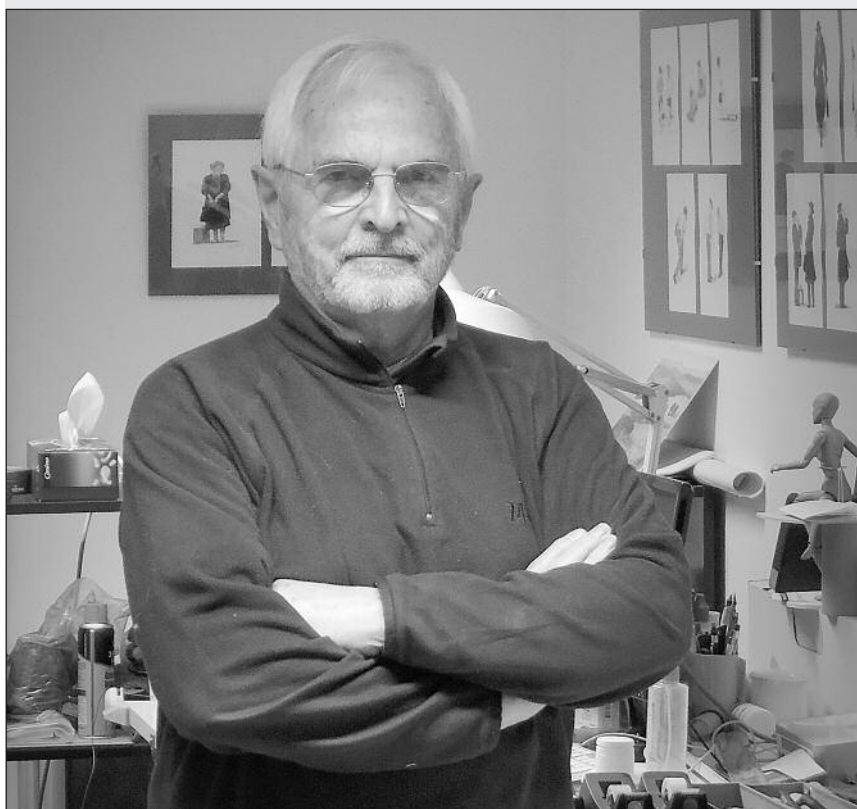
Design zaznacza swoją obecność w przestrzeniach miejskich na różne sposoby. Za każdym razem ma jeden cel: służyć jak najlepiej użytkownikom miejsca. W województwie śląskim wykorzystywanie designu w projektowaniu przestrzeni publicznej powoli staje się popularnym trendem. To dobry prognostyk na przyszłość. Coraz częściej bowiem to właśnie design staje się istotnym wyznacznikiem innowacyjności nowoczesnych ośrodków miejskich.

Fot. Maria Skotnicka

Fot. Krzysztof Szewczyk



Rozmowa z artystą grafikiem Józefem Michalskim



Nie czuję, świadomie, takiego obciążenia...

– Krąży po Domach Kultury Katowice wystawa dzieł polsko-francuskiego grafika Józka Michalskiego. Znam go, studiowaliśmy na tej samej uczelni w małym odstępie czasu... Uznałem to, za wystarczający powód, by z tobą Józku porozmawiać przez internet.

– Z góry zapowiadam, że do Skype'a, ja się absolutnie nie nadaję. Podziwiam wszystkich, którzy potrafią w jednej chwili pobierać swoje myśli i do rzeczy składnie mówić...

– Załapałeś się u nas jeszcze na stan wojenny, nim wybyłeś, istniałeś i tworzyłeś w tych samych warunkach jak wszyscy. Jak odnalazłeś się w wolnym świecie.

– W Polsce niemal automatycznie wszedłem do środowiska zawodowego, nie zaistniałem jako „artysta” ale po prostu jako plastyk. Żeby zacząć nowe życie we Francji, wypadało mieć początkowo stały dochód. Zacząłem więc jako grafik w agencji reklamowej i odszedłem po pięciu latach praktyki jako oblatany ilustrator. Nie bez

znaczenia były w Polsce 3 lata liceum plastycznego, 6 lat ASP i wyniesiona stąd, niemal wszechstronna znajomość technik plastycznych. To była znakomita szkoła.

Wspominam dyskusję w agencji, na temat wchodzących do przedsiębiorstw komputerów. Wtedy nieśmiało też weszły do agencji *Macintosh*, teraz *Apple*. Zastanawiałem się wtedy czy mnie, starucha, w zawodzie grafika i ilustratora te maszyny nie wyprą zanim dochrapię się emerytury. Głośno dzieliłem się swoimi wątpliwościami. Powiedziałem: *Zobaczycie, za dziesięć lat, każdy z nas będzie miał na stole komputer i będziemy razem w sieci*. Zachichotano i zmieniono temat.

Kiedy odchodziłem, agencja liczyła 18 pracowników. W ciągu kolejnych dziesięciu lat, dwa razy przechodziła z rąk do rąk a liczbę zatrudnionych, zredukowano do trzech. Dyrektor, zastępca do spraw handlowych i sekretarka. Wszyscy pracujący w ciągu graficznym wypadli. Graficy pracujący odtąd jako wolni strzelcy na swoich komputerach, zastąpili wszystkich pozostałych.

– **Ja również przypadkiem opanowałem to medium, myślę, że bez tego byłbym uboższy i samotniejszy. A czy jako plastycy jesteście stowarzyszeni?**

– Jest tu coś co przypomina ZPAP – „la Maison des Artistes” stowarzyszenie utworzone w 1952 roku, z inicjatywy artystów, z pomocą prawną, socjalną, informacją i z niezależnym oddziałem kasy ubezpieczeniowej systemu powszechnego, jako oddzielne biuro, przypięte później. Kiedy starałem się o przyjęcie w 1991 r., obowiązywał jeszcze minimalny trzyletni okres dorobku artystycznego tj. pracy i sprzedaży. Dziś można się starać już od pierwszej sprzedanej pracy. Do starań o przyjęcie należy przedstawić prace, wystawy, zamówienia, rachunki księgowo, kontrakty, korespondencję, stronę internetową, itp. Mda zapewnia ubezpieczenia i urlopy chorobowe, pobiera składki ubezpieczeniowe w systemie powszechnych ubezpieczeń, tj. jak dla kogoś pracującego na etacie. Nie pamiętam minimalnej kwoty, od której obliczane są składki. Maksymalna to 37 350 € rocznie. Dochody powyżej nie są brane pod uwagę. Ciekawostka: malarze i ilustratorzy pracujący głównie dla wydawnictw są przyjmowani do równoległego stowarzyszenia, AGESSA, jako autorzy, wspólnie z pisarzami i tłumaczami dzieł literatury.

– **A to interesujące... boczne wejście do literatów.**

– Tu nikt nikogo nie pyta o dyplom. Liczy się dorobek, teczka z pracami, prezentacja komputerowa albo strona internetowa, niemniej dobrze jest się powołać na przebyte studia, zwłaszcza wobec osób nie znających się na rzeczy. Przynależność do Mda też stanowi jakąś rękojmię ale na przykład, powoływanie się na przynależność do jakiegoś związku twórczego za granicą, nie miało wtedy najmniejszego sensu. To się na pewno zmieniło. Tak więc sytuacja artysty we Francji jest dziś porównywalna do polskiej.

– **Tak, w tym zakresie.**

– Egzystencjalne wątpliwości artystów rozstrzygnął w swoim czasie Degas: *Po co malujemy obrazy, jak nie po to żeby je sprzedawać?* Całe szczęście, że to Degas się tak wyraził. Każdemu innemu człowiekowi wytknięto by skrajny oportunizm. Potrzeba



Jean Jaurès



Rue et arbres



Vieille rue

estetyczna jest w ludzkiej naturze, nie wspominając o snobizmie. Nawet nasza wsjońska kultura ludowa na tym wyrosła.

– **Jak żyje się w regionie tak „obmalowanym” i nasączonym plastycznymi peregrynacjami. Mnie także, uderzyło w Prowansji owo inne światło, chyba nie uległem halucynacji, czy tobie nie ciąży deptanie po prawie istniejących śladach impresjonistów?**

– Inne światło, na pewno. Mieszkaliśmy początkowo 5 lat w okolicy Genewy i każdy zjazd na południe, był przekraczaniem granicy, poza którą niebo i światło było inne. Były też domy, z zamkniętymi okiennicami. Miejsowości za miejscowościami, w których żywego ducha. Przejężdżaliśmy przez nie, nie we właściwej porze, jak lunatycy. Około południa, kiedy słońce wydaje się być prosto nad głową, widok kółki na wieży kaplicy w Reillanne, przynosił mi przez chwilę do Afryki. Ale to ulotne wrażenie. W środku dnia, nagle otwarcie okiennic może być autentycznie bolesne ale tutejsi są normalni, takich sensacji unikają. Niektórzy nawet przyznają, że źle znoszą upały. Holendrzy, na przykład, przyjeżdżający na wakacje w środku lata, kiedy w końcu decydują osiedlić się tutaj, z reguły, jak ptaszki, w lecie odlatują na północ. Wielu malarzy maluje tutaj jaskrawo kolorowe knoty i nazywa się to pełnym słońca, szalonym, malarstwem prowansalskim. Nikomu z nich śruba nie odbiła, po prostu komercja... Van Gogh, a tym bardziej impresjoniści nie mają z tym nic wspólnego. Deptanie po śladach jest autentyczne, kiedy mijają się motywy, które nam przypominają, że w podobnym miejscu rozsiadł się ktoś w cieniu ze sztalugą i jego płótno widzieliśmy w muzeum. Ale tutaj można sobie nie tylko przypomnieć impresjonistów, często wystarczy odjechać gdzieś w bok, by w środku Prowansji zobaczyć np. „Corota” albo „Courbeta”.

– **Ciekawym byłoby raz jeszcze rozpoznać własną twórczość w podobnych okolicznościach... choć boję się, że ta widziana tam i zrodzona wcześniej, mogłaby wpływać obciążająco.**

– Wśród pozbiieranych czy niepozbiieranych myśli Colucha jest jedna oklepana, którą warto jednak przytoczyć: *Kiedy artysta mówi, że nie dano mu szansy, powinien policzyć ile razy ta szansa fatygowala się niepotrzebnie.* Żyga, (Dudzik) mówiąc o swojej pracy, powiedział mi kiedyś to samo, ale innymi słowami: *W malarstwie, tak jak w życiu, trzeba umieć wykorzystać nadarżające się przypadki.* Niestety, nie zdążył. Obaj mieli rację, w twórczości ma to wielkie znaczenie, ale mnie osobiście, mniej interesuje co mi wychodzi spod pędzla. Interesuje mnie

dużo bardziej, czy to, co wychodzi, odpowiada mojej, powiedzmy, wizji i nie byłoby to najgorsze, gdyby ta wizja nie była taka konwencjonalna. Może dlatego tutaj, miejscu schodzonemu przez takie znakomitości, nie czuję, przynajmniej świadomie, takiego obciążenia. Rozważę sprawę z punktu widzenia profesora Libeta, o którym ci kiedyś chyba wspominałem. Dla przypomnienia: Libet uważa, że nie mamy wolnej woli, bo intelektualny odbiór reakcji na jakiś bodziec zewnętrzny następuje z opóźnieniem i to co się później dzieje jest tylko konstatacją własnej reakcji a także próbą jej usprawiedliwienia. Jest to doświadczalnie dowiedzione. Szczęśliwi są więc ci, u których spontaniczna reakcja (u artyści w postaci kreski czy plamy) zgadza się z owym postprzemysleniem.

Dlaczego maluję głównie akwarelą? Tak się składało, że pracownię poza domem dzieliłem długo z grafikami i akwarela była techniką, która nie mogła wzbudzać jakichkolwiek niechęci. Godzenie z pracą zarobkową, skutkowało zrywami, stąd kilka tylko wystaw: w Lyonie, Cereste, St. Etienne, Manosque, Mane i tego roku, w Katowicach.

– **Manosque znane z niedugich interesujących festiwali jazzowych... Przed chwilą słyszałem o powodziach w Italii a przecież jesteście bardzo bliscy geograficznie więc pytam jak u was, bo tu niebo wygląda pogodnie.**

– Z Bożej woli rąbie raz po lewicy, raz po prawicy, a my w środku tylko liczymy ilu nieszczęśników woda zabrała. Jakoś szczęśliwie mieszkamy i co roku nieodmiennie, albo na zachód od nas, tj. cały obszar między Rodanem, Masywem Centralnym i podnóżem Pirenejów, albo



Cienie

na wschód od nas, począwszy do Toulonu aż do Nicei i pewnie jeszcze dalej do Italii, gdzie ciasne doliny schodzą do morza. Może nas chroni pasmo Luberon, które staje w poprzek ciepłym wiatrom od południa, od morza. Kiedy wieje od południa, prawie zawsze leje a jak nie leje, to opada na nas kurz z Sahary.

– **Doświadczylem takiej żółtej mgły w Kairze, która unieruchamia camcode-ry i chrześci w potrawach... czy również w kuchni prowansalskiej?**

– Z dań, które z tym kurzem przywiałoby figuruje m. in. kuskus. Tutaj mamy prawie wszystko, nawet maślanekę z arabskimi motywami na opakowaniu. Świeżego twarogu tu nie uświadczysz jak i ogórków kiszonych, które sami robimy w tym roku po raz pierwszy i nie wiem czy się udały. Właśnie sprawdziliśmy. W słojach, pół lodówki zajmowały od końca lata i teraz po zebraniu się na odwagę, otwieramy... jeden, drugi, trzeci, wszystkie trafiają do kubła. Może jakiś francuski urok... W Polsce, mieszkając na Bankowej, postanowiliśmy zakusić kapustę. Znalazłem beczkę, wypożyczyliśmy szatkownicę i deptało się jak trzeba, zgodnie ze sztuką kiszienia. Zwieźliśmy beczkę do piwnicy i po niedługim czasie sąsiadom zaczęła przeszkadzać. Do naszej piwnicy nie dało się podejść.

W domu uprawiana jest kuchnia polsko-francusko-śląska a ponieważ dziadkowie przebywali również w Niemczech, nieobcy mi jest nawet *kartofelsalad*. Moją osobistą, niepodzielną przez zone specjalnością są francuskie sery i one mi się najlepiej udają. Francuzi lubią biesiadować i każdy klub, każde stowarzyszenie, jest ich kilkadziesiąt w Reillanne (1700 mieszkańców) organizuje przynajmniej raz w roku wspólny obiad. Króluje katalońska *paella*, choć lista prowansalskich specjalności, dań, serów, win, różnych napitków, itd. itp. to ponad 160 pozycji!

Mieszkam w Prowansji już ponad 25 lat i przyznaję, że niewiele tę kuchnię znam i zaczęję i to serio jeszcze w tym roku, od trufli.

Grywałem w brydża w brydżowym klubie, dopóki nie zawieszono jego działalności. Grywał w nim także pewien chłopiec roztropek, mający koło nas małą winnicę. Robi z niej wino na własny użytek. Pół żartem, pół serio, ofiarowaliśmy mu butelkę wina pisanego patykami. Później, kiedy poznałem go bliżej, po kilku spotkaniach, zapytałem jak znalazł nasze wino *A, stoi tam jeszcze w szopce przy winnicy. To jest teraz rocznik 1990! 1990 to najlepszy rocznik dla wszystkich francuskich win i na rynku już go nie ma.*



Anna Chojnacka – portret

BOGDAN
WIDERA

W obiektywie Wielkiej Damy

Czas upłynął. Dwa słowa. Proste zdanie oznajmujące. A przecież w zależności od sytuacji może być odczytywane rozmaicie. Ze zgrozą, bo nieodwracalnie się coś straszliwego stało. Ze smutkiem – przemijanie się dokonało. Z ulgą – skończył się jakiś koszmar. Nawet z euforią – horror zafundowany nam przez piłkarzy ręcznych miał w ostatnich sekundach meczu happy end. W dwóch słowach odkryć można poemat. Anna Chojnacka, znakomita fotografa przez większą część swojego życia związana z Katowicami, tym krótkim zdaniem podpisała jedno ze swoich zdjęć z cyklu *Złom*. Na kupie żelastwa widzimy zegar bez wskazówek. Tytuł jest więc dosłowny. Ale w kontekście zdjęcia można go interpretować jako przykład czarnego humoru – „O chronometrze, który zawsze odmierzałeś godziny za wolno albo za szybko, widzisz, i na ciebie przyszła kryśka!” Jednak słowa „czas upłynął” są także podsumowaniem pracy i dzieła fotografa. Utrwalona przez niego w momencie naciśnięcia migawki chwila minęła, świat się zmienił, czas biegnie dalej, choć na papierze został zatrzymany. Nie dziwię się więc, że ten podpis pod konkretną fotografią wybrała Zofia Szota na tytuł całej wystawy do robku Anny Chojnackiej w Muzeum Historii Katowic.

Urodzona w 1914 roku w Sosnowcu Ania ze względu na pracę ojca inżyniera już w dzieciństwie zwiedziła kawał świata. Chciała studiować sztuki piękne, być może dziedzicząc to zainteresowanie po babci, malarce. Rodzice woleli, żeby zdobyła praktyczniejszy zawód, posłali ją więc do szkoły handlowej. Wszystkie plany i całe życie odmieniła wojna. Warto w tym miejscu wspomnieć, że około 130 prac fotograficznych jej brata znalazło się w zbiorach

Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie, co świadczy o tym, że fotografowanie nie było w jej domu niczym niezwykłym. Spotkanie Chojnackiej z Alfredem Ligockim ostatecznie wpłynęło na jej wybór życiowej drogi. Przyszła mistrzyni obiektywu fotografowała „wszystko”. Robiła zdjęcia reklamowe, utrwałała na filmach Śląsk do drukowanych już od lat sześćdziesiątych albumów, zajmowała się portretami, pejzażem, fotoreporterką.

Fotografowała miasto, czy może raczej zmiany zachodzące w krajobrazie miejskim, rejestrowała obiekty przemysłowe. Paradoksalnie tematy realizowane niejako na zamówienie władzy nawet dziś nie wydają się natrętną propagandą sukcesu, czy apologią „jedynie słusznego ustroju”, ponieważ Chojnacka pokazywała miasta i zakłady przemysłowe po swojemu. Owszem, dokumentowała budowę „Zenitu”, czy stanowiącego dziś wizytówkę Katowic „Spodka”, pojawiały się na jej zdjęciach będące dumą tamtych czasów neony, ale zawsze przemawiały do widza ze względu na kompozycję, staranne kadrowanie, wreszcie swoiste „efekty specjalne” – artystka lubiła fotografować nocą albo w czasie deszczu. Wielkie obiekty przemysłowe w obiektywie Chojnackiej często przemieniały się w grafiki. Czasem rezygnowała z ujęć całych obiektów, na przykład kopalnianych wież wyciągowych na rzecz detali, i te fragmenty technicznych urządzeń, konstrukcji, budynków zamieniały zdjęcia w abstrakcyjne obrazy. Przy okazji „portretowania” miejsc pracy „wielkoprzemysłowej klasy robotniczej” artystka odkryła zniszczoną przez przemysł przyrodę. W tamtych czasach niewiele wiedziano (a jeszcze mniej mówiono) o ekologii, sędzę więc, że Chojnackiej nie chodziło o dokumentowanie zniszczenia

środowiska przez industrialną działalność, raczej znalazła w tym księżycowym krajobrazie inspirację do tworzenia artystycznych obrazów. Spękana ziemia przemawia fakturą i na zdjęciu staje się ciekawą grafiką. Wspominałem już, że tworzyła z przemysłowych detali strukturalistyczne abstrakcje, ale w jej pracach można odnaleźć także odniesienia do surrealizmu, a także nawiązania do symbolizmu.

Z czasem zaczęła swoje zdjęcia łączyć w cykle, bo to pozwalało na stworzenie nowego modelu obrazkowej narracji. Najbardziej znanym (i rozpoznawalnym) jest *Złom*, pokazywany także pod tytułem *Nowy wspaniały świat*. Składnice złomu fotografowane przez Chojnacką uświadamiają widzowi, że czas mija, że przedmioty – zdawałoby się niezniszczalne, zwłaszcza w porównaniu z czasem trwania ludzkiego życia – także mają swój kres. Aż żal, że secesyjna figura zakończy swoje istnienie w hutniczym piecu, podobnie jak ów zegar, którego „czas upłynął”, bo przyszłe pokolenia archeologów nie dowiedzą się w jakim otoczeniu żyli ich przodkowie w drugiej połowie XX wieku. Myślę, że podobnych złomowisk już nie ma, łatwiej tam dziś znaleźć skradziony przewód z kolejowej trakcji albo metalową pokrywę studzienki kanalizacyjnej. Na fotografiach Chojnackiej często pojawiają się ludzie. Są obecni także w cyklu *Złom*. Na zdjęciu *Ostatnia podróż* we wraku autobusu siedzi niemłoda para, której stroje wskazują na to, że są przedstawicielami tak zwanych „wykluczonych”. Tania symbolika? Literatura? Może, chociaż dla mnie to obraz przejmujący, zawierający w sobie bez słów historię zarówno pojazdu, z którego został szkielec, jak i tej pary.

Nie udało się Chojnackiej zostać malarką, zajęła się inną, dziś także zaliczaną do sztuki dziedziną. Ale została przyjaciółką śląskich plastyków. Można to wnosić z faktu, że dali się jej fotografować, zapraszali do swoich pracowni. Tak powstał cykl przygotowany na konkurs warszawskiego ZAIKS w 1962 roku, zatytułowany *Wśród plastyków śląskich*. Uzupełniony został późniejszymi portretami wykonywanymi jeszcze na początku lat siedemdziesiątych. Można tu zobaczyć twórców, którzy na trwałe wpisali się do historii sztuki śląskiej. Dołycki, Pomorski, Rak, Dutkiewicz, Malina, Suberlak... Tytuł mistrzów, którzy odeszli. Innym „tematem malarskim” był założyciel Grupy Janowskiej, malarz nieprofesjonalny Teofil Ociepka, fotografowany wśród swoich okultystycznych obrazów.

Rozpisałem się o tematach, cyklach, niektórych zdjęciach, ale to zaledwie cząstka tego, co można zobaczyć na dużej retrospektywnej wystawie przygotowanej w Muzeum Historii Katowic przez kuratorkę ekspozycji Zofię Szotę. Nie jest to pierwsza prezentacja prac Chojnackiej w tej placówce, wystawiała tam bowiem swoje fotografie jeszcze za życia, myślę jednak, że tak szerokiego przeglądu jej dzieła jeszcze nie było. Zachęcam gorąco do obejrzenia tych wspaniałych zdjęć przemawiających do wyobraźni, pamięci, emocji. Dobrze się stało, że katowicka placówka przypominała bogaty dorobek Anny Chojnackiej, jednej z – obok Zofii Rydet i Haliny Idziak – trzech Wielkich Dam śląskiej fotografii.



ZŁOM – ostatni autobus



Wśród plastyków śląskich – Z. Lachur



Zniszczenia przyrody PRZEMYSŁ



ZŁOM – czas upłynął



Katowice

Czas upłynął

Muzeum Historii Katowic

Z profesor HELENĄ SYNOWIEC
rozmawia DANUTA KRZYŻYK



Fot. Lucyna Sadzikowska

Wokół ucznia, szkoły i regionu...

– Rocznicę stają się okazją do pewnych podsumowań. Niedawno obchodziła pani profesor jubileusz 40-lecia swojej pracy naukowej i dydaktycznej. Jakie refleksje, myśli i emocje towarzyszyły pani w tym czasie?

– Takie rocznice skłaniają do wspomnień początków drogi zawodowej („jak to się wszystko zaczęło?”), kolejnych jej etapów i wy-

darzeń. Wspominaniu zaś towarzyszy uczucie wdzięczności wobec osób, które w te wydarzenia się wpięły: tych najbliższych (rodziców, rodzeństwa), moich przewodników naukowych, zwierzchników, koleżanek, kolegów, współpracowników oraz pokolenia studentów – zwłaszcza magistrantów i doktorantów. Z perspektywy czterdziestu lat próbowałam również ocenić mój

wyбір dydaktyczno-naukowych ścieżek, spojrzeć na własną postawę jakby z lotu ptaka i szczerze sobie odpowiedzieć, co mi się udało wykonać lepiej, a co okazało się mniej udane. Ten bilans wypadł niezły.

– **Jakie znaczenie w życiu naukowym pani profesor miało i nadal ma miejsce zatrudnienia – Katedra Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej?**

– Może trudno w to uwierzyć, ale od wczesnych lat szkolnych marzyłam o tym, żeby zostać nauczycielką i uczyć języka polskiego („być panią od polskiego”). Gdy przed ponad 40 laty pan prof. Edward Polański zatrudnił mnie – absolwentkę polonistyki – w Zakładzie Metodyki Literatury i Języka Polskiego (później Katedry Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej), moje plany zaczęły się spełniać w dwójnasób: uczyłam w katowickim liceum języka polskiego w ramach godzin zleconych i równoległe, będąc pracownikiem Katedry, przygotowywałam studentów filologii polskiej (i nadal to czynię) do zawodu nauczyciela polonisty. Tak zaczęła się moja przygoda z dydaktyką. Zatrudnienie w Katedrze z wieloletnimi, obecnie blisko 60-letnimi tradycjami, poczytuję sobie za wyróżnienie i zarazem za wielkie zobowiązanie.

Mam świadomość, że kontynuuję działalność zapoczątkowaną przez dr Janinę Żlabową (współtwórczynię śląskiej polonistyki na WSP w Katowicach), prof. Mieczysławę Miterę-Dobrowską, dr. Jana Cofalika i dr Irenę Tabakowską. W swoich badaniach skupiłam się od początku – zainspirowana publikacjami prof. E. Polańskiego, Marii Zarębiny i innych – na zagadnieniach dotyczących rozwoju językowego dzieci i młodzieży oraz poszukiwaniach skutecznych form kształcenia języka uczniów. Dzięki pracy w Katedrze, ale też we współpracy z Instytutem Języka Polskiego UŚ, wykryły się moje zainteresowania naukowe. Praktyka szkolna spletała się w nich z różnymi dziedzinami językoznawstwa, m.in. socjolingwistyką, dialektologią, leksykologią, kulturą języka. Bliski kontakt ze środowiskiem szkolnym pozwala mi „wylapywać” i opisywać zjawiska językowe, które ujawniają się najsilniej w mowie młodego pokolenia, a są przejawem dokonujących się przemian społecznych, kulturowych i obyczajowych. Co więcej, wyniki swoich badań nad polszczyzną uczniów mogłam i nadal mogę spożytkować w publikacjach dydaktycznych oraz współ-

autorskich podręcznikach szkolnych, a także upowszechniać je wśród polonistów.

Uważam jednak – i to już moja ogólniejsza refleksja – że w kolejnych reformach systemu oświaty coraz mniej są brane pod uwagę (wbrew deklaracjom) potrzeby i trudności językowe uczniów, ustalone w toku badań diagnostycznych, coraz rzadziej też twórcy dokumentów ministerialnych liczą się z uwarunkowaniami rozwojowymi dzieci.

– Nadmienila pani profesor, że na swojej drodze zawodowej spotkała osoby, którym dużo zawdzięcza. Jaką rolę odegrały one w pani formacji naukowo-dydaktycznej?

– Jeszcze w latach studiów polonistycznych w Uniwersytecie Śląskim (1968–1973) miałam szczęście poznać wielu wykładowców, którzy imponowali nam – studentom – nie tylko erudycją, ale i postawą życiową, niezwykłą rzetelnością, uczciwością i odwagą. Byli dla nas autorytetami. Spośród literaturoznawców mam żywo w pamięci profesorów: Zbigniewa Jerzego Nowaka, Stanisława Zabierowskiego i Mieczysława Miterę-Dobrowolską, a spośród językoznawców – prof. Irenę Bajerową. Właśnie pod jej kierunkiem pisałam pracę magisterską. Uczyła nas – magistrantów – dużej samodzielności myślenia i odpowiedzialności. Podpatrywałam umiejętność prowadzenia przez nią zajęć metodą problemową, a potem – pracując już na uczelni – starałam się to wykorzystać na swoich zajęciach. Pani prof. Bajerowa stanowiła dla mnie autorytet moralny – była bezkompromisowa w dążeniu do prawdy, skromna, otwarta i bardzo odważna (co ujawniła zwłaszcza w okresie stanu wojennego).

W rozwijaniu moich śląskoznawczych zainteresowań badawczych wielką rolę odegrała prof. Alina Kowalska, niestrudzona badaczka przeszłości polszczyzny śląskiej, konsultantka i recenzentka moich publikacji. A w dziedzinie dydaktyki języka ojczystego i literatury wiele zawdzięczam dr I. Tabakowskiej, dr J. Cofalikowi i prof. (wówczas doktorowi) Janowi Polakowskiemu. Oni jako pierwsi wprowadzali mnie w problemy nauczania języka polskiego, a także sprawili, że moja wiedza teoretyczna z językoznawstwa i literaturoznawstwa stała się bardziej funkcjonalna. Każda rozmowa z nimi była autentycznym spotkaniem, bo nie tylko chętnie dzielili się swoimi doświadczeniami i rozległą wiedzą, ale potrafili uważnie wsłuchiwać się

w problemy „świeżo upieczonej” polonistki.

Mimo upływu lat i wielu zmian w oświacie ich rady są wciąż aktualne, skupiali bowiem uwagę na osobie ucznia i jego wielostronnym rozwoju. Z kolei mój warsztat naukowo-badawczy kształtował się dzięki prof. E. Polańskiemu. Przez wiele lat był moim zwierzchnikiem, z ojcowską wręcz troską towarzyszył moim naukowym zmaganiom, od doktoratu po profesurę uniwersytecką. Uczyłam się też od niego, jak być wyrozumiałą dla studentów i uwzględniać ich różne zdarzenia losowe. Myślę, że moi nauczyciele uniwersyteccy mieli duży wpływ na to, jakim ja jestem dziś nauczycielem; nieraz zastanawiam się nad tym, ile w moich reakcjach, zachowaniach, decyzjach, a nawet w moim stylu prowadzenia zajęć, pozostało z moich mistrzów.

– Pamięta pani profesor swoje pierwsze artykuły? Jaką drogę przeszła pani – jako naukowiec i nauczyciel akademicki – od początku swojej pracy aż do chwili obecnej?

– Oczywiście, dobrze pamiętam pierwsze moje teksty, a nawet okoliczności, w jakich je pisałam. Wszak trzeba się było zmierzyć i z materiałem badawczym, i z nietrywialnym stylem naukowym (zwłaszcza przezwyciężyć manierę emocjonalności wypowiedzi, tzw. „achów” i „ochów” – jak żartobliwie mawiał prof. Polański, pierwszy czytelnik i niestrudzony adiustator moich artykułów). Pierwsze moje artykuły miały nachylenie dydaktyczne, a ich podstawą były wypracowania uczniowskie, ankiety, nagrania wypowiedzi dziecięcych. Powoli odkrywałam „białe plamy”, czyli niezbadane obszary rozwoju językowego dzieci i młodzieży.

Przez jakiś czas moją pasją były badania i opis leksyki związanej z cechami osobowości w języku przedszkolaków i uczniów. Obserwowałam więc i neologizmy dziecięce (np. mówliwy „gadatliwy”, bojaźnica „bojaźliwa dziewczynka”, mazuś „płaczliwe dziecko”), i kolokwializmy w języku młodzieży (np. obibok, lewus, kreatura), i wyrażenia dialektalne (np. bitny kokot „chłopiec skłonny do bójkii”, zgłobny synek „psotnik”). W dalszych badaniach okazało się, że ważne dla sprawnego posługiwania się polszczyzną jest rozumienie znaczeń słów i związków frazeologicznych oraz świadomość zróżnicowania odmian języka polskiego. Wspólnie z koleżanką, dr Bożeną Czastką-Szymon, prowadziłam przez kilka lat badania nad językiem uczniów ślą-

skich. Ich efektem był cykl artykułów i zbiory ćwiczeń. Równoległe interesowała mnie edukacja regionalna, m.in. śląskie czasopisma szkolne okresu międzywojennego. Nie traciłam z oczu nadrzędnego celu mojej działalności, tj. kształcenia językowego w szkole, dlatego w badaniach zespołowych sporo uwagi poświęcałam podreęcznikom szkolnym, a także kulturze języka we współczesnej szkole.

– Porozmawiajmy o pracy dydaktycznej, o pracy ze studentami...

– Czuję, że bez kontaktu ze studentami byłabym o coś uboższa. Rozmowy ze studentami, nawet jeśli ujawniają oni wtedy braki w swojej wiedzy lub nieporadność w formułowaniu myśli, zmuszają mnie do zastanowienia się, jak dziś skutecznie uczyć o polszczyźnie, jak kształcić piękne i poprawne mówienie i pisanie młodych ludzi, którzy mają być nauczycielami języka polskiego, a przede wszystkim, jak zainteresować problemami językowymi (zawsze było to zadanie trudne!) i jak skłonić ich do pogłębiania wiedzy.

– Czy udało się pani znaleźć na to receptę?

– Nie do końca, ale sukces jest już wtedy, gdy studenci sami zaczynają formułować problemy i pytania językowe, dzielić się wątpliwościami, albo po prostu dziwić się nielogicznościom w języku, odkrywać mechanizmy nieporozumień językowych itp. Moich studentów po prostu lubię. I lubię uczyć. Może do tego uczenia podchodzi nazbyt emocjonalnie i może (a tak przynajmniej wydaje się młodym ludziom) jestem zbyt wymagająca, również wobec języka ich wypowiedzi. „Przy pani to trzeba uważać, jak się mówi” – zauważają w rozmowie.

Trudno mnie jednak posądzać o puryzm językowy, co więcej – przyznaję się do swoich wątpliwości gramatycznych i krytycznie odnoszę się do niektórych reguł ortograficznych (zwłaszcza do niekonsekwencji w obrębie umownej zasady pisowni). W nieoficjalnej rozmowie ze studentami potrafię wejść w konwencję języka młodzieżowego, np. w celach żartobliwych; a na zajęciach dbam o to, by studenci się „naumieili”, więc „wyoślam” trudne kwestie, terminy egzaminów są „doczesne”, czyli do określonego czasu można je zdawać; zdarza mi się prosić „wysokopiennych” studentów lub studentki, by sięgnęły po książkę z najwyższego regału. Owe żarty słowne sprzyjają ożywieniu zajęć, skróceniu dystansu, oczywiście w zdroworozsądkowych granicach.

– **Jest pani profesor mieszkanką Śląska, od urodzenia związaną z tą ziemią. Jaki wpływ na drogę naukową pani profesor oraz podejmowane tematy badawcze miał region, z którego pani pochodzi?**

– Urodziłam się i wychowałam w śląskiej rodzinie, od dzieciństwa mówiłam gwara i poznawałam śląskie tradycje. Ale rodzice, choć byli ludźmi prostymi, dbali o to, byśmy (ja i moje rodzeństwo) równolegle poznawali polszczyznę ogólną, dlatego w szkole nie miałam kłopotu z wypowiedzianiem się „czysto po polsku”. Trafiłam też na takich nauczycieli, którzy mieli przychylny stosunek do gwary i byli życzliwi dla uczniów. Obserwowałam jednak kłopoty moich rówieśników w przestawianiu się z gwary na język ogólny. Nie przypuszczałam, że po latach będę się przyglądać badawczo temu problemowi. Z moim środowiskiem jestem związana do dziś – mieszkam w mojej rodzinnej miejscowości w Chełmie Śląskim, w kontaktach rodzinno-sąsiedzkich i lokalnych mówię gwara i oczywiście z łatwością „przełączam się” na polszczyznę ogólną, jeśli wymaga tego sytuacja. Będąc językoznawcą i dydaktykiem, dysponuję ugruntowaną wiedzą o cechach, przeszłości, zróżnicowaniu i funkcjach dialektu śląskiego oraz innych polskich dialektów.

Niewątpliwie doświadczenia językowo-kulturowe, tj. czynna znajomość kultury i gwary regionu, są mi bardzo pomocne w organizowaniu i prowadzeniu pracy badawczej, gdyż z moimi informatorami (rozmówcami) porozumiewam się tym samym kodem; nie ma więc między nami bariery „swój” – „obcy”. Jeszcze podczas studiów prof. Władysław Lubaś zaangażował mnie i koleżankę Bożenę Cząstkę do nagrywania tekstów do badań nad językiem mieszkańców Katowic (ukazał się potem dwuczęściowy zbiór tekstów mówionych). Poznałam wówczas socjolingwistyczną metodę opisu języka i większą wagę zaczęłam przywiązywać do uwarunkowań zróżnicowania wypowiedzi mieszkańców Śląska.

Podczas studiów, gdy miałam kontakt z koleżankami z innych części regionu (spod Rybnika, z Rudy Śląskiej, Zabrze), przekonałam się, że ich gwara jest nieco inna od mojej, że są różnice słownikowe, fonetyczne. W tajniki dialektologiczne wprowadziły nas wówczas panie: dr Aniela Przybycin i prof. (wówczas doktor) Alina Kowalska. Zdobyta wiedza pogłębiania przez dalsze lata okazała się bardzo przydatna w moich pracach

naukowo-badawczych. Jak już wspomniałam, także znajomość z autopsji problemów językowych uczniów w środowisku gwarowym stała się dla mnie motywacją do podjęcia badań nad ich sprawnością językową, które miały konsekwencje dydaktyczne.

Od lat zajmuję się kształceniem kompetencji językowej: gwarowej i ogólnopolskiej dzieci śląskich, podkreślając przy tym wartość odmiany dialektalnej jako swoistego bogactwa i dążąc do tego, aby oba warianty polszczyzny były przez uczniów wykorzystywane stosownie do uwarunkowań społecznych i sytuacyjnych. Dodam, że – ponieważ znam tradycje dydaktyczne i historię badań gwaroznawczych na Śląsku – czuję się upoważniona do tego, by przeciwstawić się stereotypowym poglądom, iż gwara była traktowana jako gorsza odmiana języka oraz krytycznie oceniać niektóre materiały edukacyjne opracowane przez nieprofesjonalnych autorów. Staram się popularyzować wiedzę na temat dialektu śląskiego nie tylko w szkole, ale również w szerszych kręgach społecznych.

– **Spoglądając z perspektywy lat – które z prac badawczych uważa pani za najważniejsze w życiu zawodowym?**

– Moje prace badawcze – zarówno indywidualne, jak i zespołowe – mieszczą się w kilku obszernych kręgach: wokół ucznia, szkoły i regionu. Wynika to z profilu Katedry, w której pracuję, oraz z poczucia więzi z ziemią, z której się wywodzę i staram się jej służyć. Prace nad sprawnością językową dzieci śląskich uzmysłowiły polonistom rolę gwary (nie tylko śląskiej) w edukacji, a towarzyszące im materiały dydaktyczne – choć z trudem torowały sobie drogę do szkół – miały wspierać nauczycieli w pracy nad językiem uczniów. Współautorski *Mały słownik gwary Górnego Śląska* ukazał leksykalne bogactwo polszczyzny i jego wewnętrzne zróżnicowanie, a badania terenowe nad językiem mieszkańców ziemi pszczyńskiej, Katowic i Starej Wsi koło Wilamowic stały się podstawą rozdziałów prac monograficznych o tych miejscowościach i odzwierciedliły specyfikę językową pogranicza śląsko-małopolskiego i małopolsko-śląskiego. Praktyce szkolnej służy dydaktyczny nurt moich badań, zawsze oparty na teoretycznych, językoznawczych i kulturowych, podstawach.

– **Jest pani członkiem wielu gremiów naukowych. Co oznacza dla pani praca w tych zespołach?**

– Zarówno Komisja do Oceny Podręczników Szkolnych PAU, jak i Rada Języka Polskiego mają charakter opiniotwórczy i opiniodawczy. Przygotowywane w ramach tych gremiów ekspertyzy, m.in. o stanie polszczyzny w szkole, o języku podręczników, o dokumentach ministerialnych, np. o *Podstawie programowej języka polskiego*, stwarzają możliwość, przynajmniej częściowego, oddziaływania na decyzje instytucjonalne. I choć jego skuteczność jest różna, to już sam fakt upominania się o konieczne zmiany, np. wyeliminowanie „testomanii” ze szkół, podniesienie rangi języka ojczystego i wiedzy o nim oraz komunikatywności języka podręczników, jest czymś ważnym.

– **Minęło 40 lat pracy naukowej i dydaktycznej. Czy uważa pani, że zrealizowała wszystkie swoje plany badawcze?**

– Wiele zamierzeń badawczych i wydawniczych jeszcze czeka... Najpilniejsze z nich to współautorskie opracowanie i wydanie drugiej, gwarowo-ogólnopolskiej, części *Małego słownika gwary Górnego Śląska*. Warto też po tylu latach pracy pomyśleć o napisaniu podręcznika akademickiego dydaktyki języka ojczystego.

– **Czego zatem można życzyć nauczycielowi akademickiemu, naukowcowi, który ma za sobą 40 lat aktywnej pracy?**

– Nauczycielowi – by nie wpadł w rutynę, ale był aktywny i poszukiwał nowych sposobów zmotywowania studentów, by poznawali bogactwo języka i sztukę uczenia o języku w szkole. A badaczowi – by odkrywał nowe problemy badawcze, a wyniki jego prac służyły oświacie i regionowi. ■

Prof. Helena Synowiec – językoznawca. Urodziła się w Chełmie Śląskim. Jest pracownikiem Katedry Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się wokół problemów sprawności językowej dzieci i młodzieży, kształcenia językowego w szkole, kultury języka. Ważnym obszarem jej badań są zagadnienia śląskoznawcze. W ubiegłym roku świętowała jubileusz czterdziestolecia pracy naukowo-dydaktycznej.

Dr hab. Danuta Krzyżyk – adiunkt w Katedrze Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego.

Mamo, nie płacz, nie.
Niebios Przechysta Królowo,
Ty zawsze wspieraj mnie.
Zdrowaś Mario.

(Modlitwa znaleziona na ścianie
gestapowskiej celi w Zakopanem,
wykorzystana przez
H.M. Góreckiego w Symfonii
pieśni żalonych)

So-lavie di-le-jo... Malio
(David Bowie: Warszawa)

Już się zmierzcha

Związek między Góreckim i Kronos Quartet miał w sobie ujmującą wyjątkowość. Raz jeszcze Harrington: „[...] po raz pierwszy pracowaliśmy z Henrykiem w Niemczech na początku roku 1989. Pracykonaliśmy *Już się zmierzcha* w Minneapolis, zanim mógł to usłyszeć. Pamiętam intensywność tego doświadczenia, z publicznością siedzącą bardzo blisko nas i wielkimi kontrastami dynamicznymi. Ale dopiero próby z Henrykiem – przeczesaliśmy z nim każdą nutę, a on zagrał nam cały utwór na fortepianie – uświadomiły nam, że znaleźliśmy się w obecności osobowości potężnej, dla której ogromne kontrasty były sposobem życia. Zdawało się, że skupiły się w jednej osobie wymiary późnych kwartetów Beethovena i Schuberta, surowa muzyka polskich gór, cięte rytmy Bartoka, głębocka wiedza płynąca z modlitwy oraz nieustraszone zaufanie w jego własny dźwięk muzyczny. Relacje z Henrykiem wkrótce stały się jedną z najbardziej nas formujących, osobistych, bezcennych znajomości”.

Górecki był i pozostaje fenomenem. Pisał o nim inny wybitny śląski muzyk i uczyony Julian Gembalski: „Górecki – kompozytor, Górecki – człowiek czynu, niespokojny poszukiwacz Prawdy o świecie i sobie samym, Górecki – świadek wiary i służebnik Piękna. A przez tę służbę Pięknu i Dobru, pomocnik w drodze do Zbawienia, na której muzyka jest jednym z największych przyjaciół. A przy tym Górecki – człowiek gwałtowny, szczery aż do bólu, a przez to autentyczny i swojski w swym pojmowaniu świata. Nasz, bliski, bogaty talentem i słaby zdro-

Założyciel Kronos Quartet David Harrington w opublikowanym na stronach pierwszego numeru „Scontri” – czasopisma naukowego Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach – we wspomnieniu o Henryku Mikołaju Góreckim napisał m.in. „*Quasi Una Fantasia* pojawiła się w roku 1990. Jakże nieopisanym wkładem w naszą muzykę był ten utwór i nadal jest. Nigdy nie zapomnę pewnego letniego koncertu plenerowego na rynku europejskiego miasta: kiedy dotarliśmy do końcowych akordów, zaczęły bić kościelne dzwony. Był to moment czystej świętości, bez względu na to, jaką religię wyznajesz czy też jakiej nie wyznajesz. Wszyscy zamarli...”

Momenty czystej świętości...

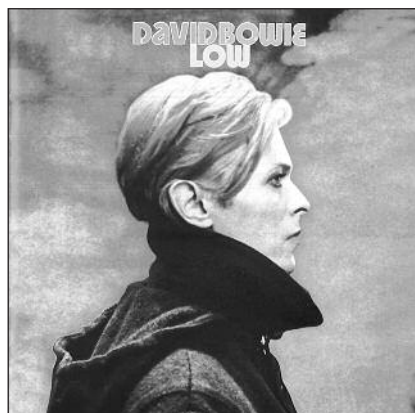
JACEK
KUREK

(Bowie, Hadyna, Górecki, Śląsk)

wiem, łagodny swym kwartetem *Już się zmierzcha* i buntowniczy swoim *Scontri*”.

Górecki na liście przebojów

W październiku 1992 roku ukazała się wydana przez Elektry Nonesuch płyta z jego *III Symfonią* (*Symfonia pieśni żalonych*). Dyrygował David Zinman, a karkołomne dla nieznającej języka polskiego Amerykanki teksty charyzmatycznie



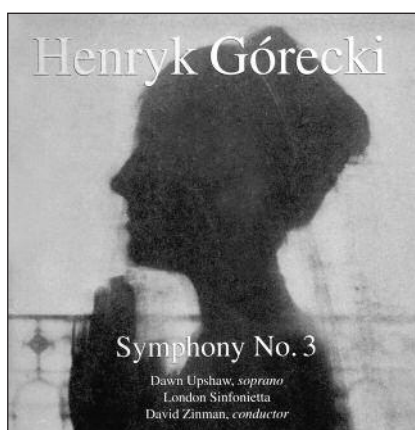
i brawurowo wyśpiewała Dawn Upshaw. Trzecim z nich – przypomnijmy – jest żałobna pieśń z okresu powstań śląskich pochodząca z ziemi opolskiej. Współtwórca amerykańskiego zespołu Talking Heads David Byrne zapytany w jednym z plebiscytów pisma „Rolling Stone” o to, czego słuchał najchętniej w mijającym roku, wskazał właśnie na tę płytę. W superlatywach wypowiadał się o tym albumie także David Bowie (właściwie David Robert Jones)... To sprawiło, że zaczęli jej poszukiwać liczni bardzo miłośnicy twórczości obu artystów. Popularności *III Symfonii* pomógł także koncert, który odbył się trzy lata wcześniej w kościele św. Magnusa w Brunszwiku (1 września 1989 roku) podczas niemieckich obchodów 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Wprawdzie już jesienią 1989 roku wysoko, bo na 3. miejsce najlepiej sprzedających się w Anglii płyt, wspinał się Nigel Kennedy ze swoją ekspresyjną interpretacją *Czterech pór roku* Antonia Vivaldiego i niebawem triumfy zaczęły święcić José Carreras, Plácido Domingo i Lucia-

no Pavarotti, jednak sukces Góreckiego miał odrębne źródła. Grzegorz Brzozowicz i Filip Łobodziński z książki *Sto płyt, które wstrząsnęły światem* pisali: „Nie odmawiając skrzypkowi ani tenorom talentu, warto podkreślić dużą rolę promocji i marketingu. Najpierw wykreowano Kennedy’ego na buntownika w stylu punk (dodajmy, że wypracowane już wtedy metody i zabiegi błyskotliwy – mieszkający w Krakowie – angielski wirtuoz do dzisiaj konsekwentnie i z powodzeniem stosuje na scenie – J.K.), a potem przedstawiono wspólny koncert trzech głosów jako największe muzyczne wydarzenie w muzyce w ogóle. Fenomen płyty z muzyką Góreckiego zasadzał się na trzech odmiennych założeniach. Po pierwsze, była to kompozycja z kręgu muzyki współczesnej, a przy tym nieznaną przeciętnemu odbiorcy. Po wtóre, ani autor, ani wykonawcy symfonii nie zostali poddani akcji promocyjnej, gdzie eksponowano by ich wyjątkowość. Po trzecie wreszcie, sam utwór Góreckiego wpłynął na pojawienie się nowego trendu w muzyce popularnej”.

Album w ciągu dwóch lat sprzedał się w liczbie 800 tysięcy egzemplarzy. Niebawem przekroczyła ona milion. Niektórzy zaczęli żartować, że Górecki ściga się z Madonną. Wzrosło także zainteresowanie utworem w Polsce. Po raz pierwszy jednak wykonano symfonię poza Polską we francuskim Royan, w kwietniu 1977 roku (powstała jesienią i na początku zimy roku poprzedniego), choć bez oszałamiającego rozgłosu. Jeden z kluczowych twórców nurtu drum’n’bass Goldie (właśc. Clifford Price) na swojej drugiej płycie *Saturn Return* (1998) umieścił trwający godzinę utwór *Mother* zainspirowany właśnie tą symfonią. Grupa Lamb nagrała na debiutanckim albumie w roku 1997 delikatną kompozycję *Górecki*, wydaną także na singlu. Dodajmy, że fragment *Symfonii pieśni żalonych* wykorzystano w filmach *Basquiat – Taniec ze śmiercią* (1996), *Złodzieje* (2007) i *Wielkie piękno* (2013). Fenomenem stało się wkroczenie Góreckiego w świat muzyki popularnej.

Owo przenikanie dwóch światów: muzyki pop i klasyki sięga przynajmniej połowy lat sześćdziesiątych i działa także wedle wektora skierowanego w drugą stronę. Nie wnika- jąc w tę ostatnią kwestię wartą osob-



nego potraktowania, dość powiedzieć, że niedługo przed śmiercią Wojciech Kilar w rozmowie z jednym z dziennikarzy ku jego niemiłemu zaskoczeniu przyznał, że zwróciły uwagę kompozytora niektóre rozwiązania rytmiczne w hip-hopie. Właśnie do słuchania takiej muzyki (zwłaszcza w samochodzie) bezpretensjonalnie przyznał się twórca *Siwej mgły*. Dodajmy, że sam Kilar zyskał sławę w szeroko pojętej popkulturze, jeśli przypomnieć sobie chociażby ogromny sukces ścieżki dźwiękowej do hollywoodzkiego filmu Francisa Forda Coppoli *Drakula* a także rozliczne wcześniejsze i późniejsze dokonania na polu muzyki filmowej.

Helokanie

Wspomniany David Bowie bał się latania samolotem. Podobno jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że jeżeli powstrzyma się przed tym do roku 1976, to potem już spokojnie będzie mógł wejść do samolotu. Tymczasem w czerwcu 1973 roku i w kwietniu 1976 roku znalazł się na krótko i prywatnie w Warszawie. Gdy w polskiej stolicy wysiadał z ekspresu transsyberyjskiego jadącego z Moskwy do Londynu, miał czas jedynie na krótki spacer. Fascynowało go to miasto z jego dramatyczną historią (niektórzy obcokrajowcy imputowali Warszawie tłumaczenie jej nazwy jako: miasto, które „widziało wojnę” – „war-saw”) i smutną współczesnością, szare i zdominowane przez socrealistyczną architekturę. Podczas tej drugiej krótkiej wizyty z Dworca Gdańskiego poszedł w stronę placu Komuny Paryskiej, czyli dzisiejszego placu Wilsona. W jednej z księgarni usłyszał polską muzykę ludową i kupił kilka

płyt, wśród których znalazły się nagrania Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Już miesiąc później w studio znajdującym się w podparyskim pałacu Château D’Hérouville zaczynał nagrania do albumu *Low* (kończył je w Monachium i Berlinie). Płyta okazała się jedną z najwybitniejszych w dorobku artysty i rozpoczęła tzw. trylogię berlińską (*Low*, „*Heroes*”, *Lodger*). Znalazł się na niej zainspirowany pobytem w Polsce i muzyką zespołu „Śląsk” przeszło sześciominutowy utwór *Warszawa*. W Château D’Hérouville mieszkali ongiś Fryderyk Chopin i George Sand. Bowie, który nagrywał tam już w 1973 roku, oczywiście o tym wiedział. W słynnym studio powstało zresztą wiele płyt, m.in. *Honky Château* i *Goodbye Yellow Brick Road* Eltona Johna. A pracowali tam także Pink Floyd, Cat Stevens i wielu innych.

Podczas nagrywania i jako współautor współpracował wtedy z Bowiem Brian Eno, który miał niebagatelny wpływ na ostateczny rezultat tego przedsięwzięcia. W utworze *Warszawa* linie wokalne zostały bezpośrednio zainspirowane pieśnią *Helokanie* w wykonaniu „Śląska”. „Helokanie” to śpiewne nawoływanie powszechne wśród górali („helokać” – nawoływać się w górach, ale też śpiewać). Na Śląsku Cieszyńskim dzieci pasące krowy śpiewając „he-elo”, nawiązywały z rodzicami kontakt głosowy, tym samym ich uspokajając, że są na swoim miejscu i nic złego się nie dzieje... No i krowy, gdy im się śpiewało, dawały – jak wtedy wierzono – lepsze mleko. Zgodnie ze słowami Andrzeja Jarczewskiego helokanie wymaga mocnego głosu. Nie szeptu, ale i nie krzyku. Nie wymaga zaś szczególnej modulacji głosu ani jego uszlachetnienia. Trzeba śpiewać nieskażonym głosem białym – bez naddanej interpretacji – nieskrępowanie i naturalnie. Co jednak naturalnie dla pasterzy – stanowi wyzwanie nawet dla profesjonalnego wykonawcy... Pieśń *Helokanie* była jednym ze szczytowych osiągnięć zafascynowanego Śląskiem Cieszyńskim (wszak stamtąd pochodził) Stanisława Hady-ny – twórcy Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Nie zapominają o tym strażnicy jego pamięci. Na koszęcińskiej ławeczce Hady-ny siedzi obok otwartych nut *Helokania*, na nagrobku artysty w Wiśle napisano zaś:

„A świerki będą nadal śpiewały Twoje helokanie”, na co zwrócił uwagę w jednym z artykułów wspomniany Andrzej Jarczewski.

David Bowie oryginalny tekst zastąpił językiem wyimaginowanym. Słowo „Maryjo”, brzmi tu: „Mali-o”. Jednak trudno mieć wątpliwości, gdzie znajdują się jego źródła i z czym się kojarzy. Wzniosła pieśń o ujmującej melodii i głębokiej barwie, w której słysząc i Hadyńę, i Góreckiego, i nawet *Bogurodzicę*, i ten jedynie piękny patos, zatytułowana jest – jak wspomniano – *Warszawa*. Bowie tak o tym mówił w rozmowie z Wiesławem Weissem: „Chciałem, by słuchając «Warszawy», widziało się wspaniały cień, jaki rzucało to miasto, cień który pewnego dnia miał się stać jego rzeczywistością [...]. Próbowałem wyrazić w tym utworze uczucia, jakie towarzyszą ludziom, gdy pragną wolności, czują jej zapach, leżąc w trawie, ale nie mogą jej osiągnąć, nie mogą po nią sięgnąć...”

Do sportretowania stolicy Polski posłużyła Bowiemu muzyka zespołu „Śląsk”, inspirowana folklorem beskidzkim, tym samym, który wybrzmiewa także w wielu utworach Góreckiego, kochającego góry i mieszkającego w dojrzałym okresie życia u stóp Tatr. W *Warszawie* splatają się nuty, nastroje, ścieżki, najrozmaitsze polskie drogi i czasy... Ale nie tylko one. Hadyńa urodził się w miejscowości Karpętna, dziś będącej częścią Trzyńca. Pochodzący z Brixton (część Londynu) Anglik David Jones, znany jako Bowie, na szlaku między ZSRR a Anglią doświadczył, wydawać by się mogło – w przelocie, polskiej kultury i aury, ale jednak w muzyce odnalazł jej istotę, barwę trafną i prawdziwą... A stało się to dzięki temu „koturnowemu”... „Śląskowi”, dzięki Hadyńie. Bowie skromnie przyznawał, że jego utwór to nie wierny portret miasta, a raczej próba opisania ważnej wartości i znaczącego symbolu, dodajmy – ze wszech miar udana.

Utwór Davida Bowiego i Briana Eno *Warszawa*, który tyle zawdzięcza Hadyńie i „Śląskowi”, stał się źródłem rozlicznych inspiracji w świecie zachodniej muzyki rockowej. Pisała o tym w pierwszym numerze pisma „Lizard” Agnieszka Wilczyńska, zwracając uwagę na to, że wykorzystano utwór w filmie z 1981 roku *My, dzieci z dworca ZOO*. W roku wydania płyty *Low* powstał w Anglii

zespół Warsaw Pakt. To sprawiło, że inna grupa o nazwie Warsaw (bepośrednio zaczerpniętej z utworu Bowiego) zmieniła nazwę na Joy Division (to z kolei było nawiązanie do mrocznych losów więźniarek hitlerowskiego obozu Auschwitz-Birkenau zmuszanych przez oprawców do seksualnej uległości). Zdumiewające inspiracje...

...kiedy milczą dźwięki

Górecki urodził się w grudniu 1933 roku na ziemi rybnickiej, w Czernicy. Był uczniem Bolesława Szabelskiego. Ten ostatni z kolei, organista katedry w Płocku, znalazł się na Śląsku zaraz po studiach u Karola Szymanowskiego, patrona Akademii Muzycznej w Katowicach, najstarszej – co wymowne – wyższej uczelni na Górnym Śląsku, której wszak początki wiążą się z powstałym w 1929 roku Państwowym Konserwatorium Muzycznym założonym przez Witolda Friemanna. W lutym 1945 roku Konserwatorium wznowiło działalność, a 1 września tegoż roku przemianowane zostało na Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną, która w 1979 roku zmieniła status i stała się Akademią Muzyczną. Jej rektorem (1975–1979), a potem pierwszym doktorem *honoris causa* (2004) był Henryk Mikołaj Górecki. A pozostając w pewnej bliskości ziemi rybnickiej, trzeba wspomnieć urodzonego w roku 1940 w Gnojniku na Zaolziu absolwenta Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej im. Barci Szafranków w Rybniku jazzmana Adama Makowicza, także studenta katowickiej uczelni muzycznej, pierwszej mającej Wydział Jazzu i Muzyki Rozrywkowej. Wydał on całą konstelację gwiazd, wśród których są m.in. Zbigniew Jakubek, Sławomir Kulpowicz, Ber-

nard Maseli, Marcin Jahr, Marcin Pospieszalski, Krystyna Prońko, Lora Szafran, Jarosław Śmietana, Stanisław Sojka, Jacek (Meira) Niedziela, Piotr Wojtasik i Adam Buczek. Brat Adama, Piotr, absolwent Akademii A.D. 1986 założył w Kanadzie w 1991 roku formację Pendercki String Quartet. To już jednak opowieść na zupełnie inną okazję.

Zamknijmy tych kilka myśli jeszcze jednym cytatem z wypowiedzi Juliana Gembalskiego o Henryku Mikołaju Góreckim: „Pożegnałem go liturgią pogrzebową w Katowickiej Katedrze, muzyczną więzią, która nie ma początku ani końca, która trwa poprzez dźwięki, płynące od naszych zbolawych serc do światłości Nieba. On tam czeka na spotkanie z nami, jeżeli zasłużymy sobie na Niebo. On na pewno na nie sobie zasłużył. Dlatego nie umarł cały, a trwanie przekształcił w muzykę. I w modlitwę, która może nas łączyć z nim nawet wtedy, kiedy milczą dźwięki”.

Fascynujące, jak wiele może wydarzyć się między... jedną i drugą stacją... *Notabene* utwór *Station to Station* stał się punktem wyjścia do albumu *Low*, tego samego, z którego pochodzi *Warszawa*. Fascynujące, gdy zrządenie losu, szczęśliwy przypadek, zmieni na zawsze rzeczywistość. Ile potrzeba wrażliwości, odwagi, by takich podarków nie przeoczyć. Ta wrażliwość, muzyczna „światłoczułość”, otwartość i niezaspokojony głód poznawania to atrybuty, dzięki którym może powstać dzieło wielkie, dzięki którym mogą przenikać się muzyczne światy, krzyżować doświadczenia, w końcu muzyczne gatunki, a granice ich mogą stawać się płynne, przekraczalne i zapraszające. Wielokrotnie twórcy udowadniali, że czas i przestrzeń, że różne pokolenia, różne formy kreacji, kompozycji spotykają się w muzyce będącej swoistym esperanto. Nie ma zatem żadnej przeszkody, by śląski, beskidzki folklor, by dźwięki muzyki poważnej wybrzmiewały w rockowych zachodnioeuropejskich utworach, by muzyka klasyczna w splocie z muzyką popularną kreowała zupełnie nowe światy i odkrywała nieznanie wcześniejszej ścieżki. Piękną bowiem i kunsztowną sztuką jest muzyczna inkrustacja, a uroda jej ma moc prowadzenia wprost do prawdy...



Już nie górnicy, ale bogowie. W tytułach najgłośniejszych filmów śląskich z ostatniego czasu pojawiają się bogowie. Myślę o filmach „Jesteś Bogiem” Leszka Dawida i „Bogowie” Łukasza Palkowskiego. Skłania to do refleksji nad ewolucją bohatera naszego kina.



Tomasz Kot w roli Riedla w „Skazanym na bluesa” Jana Kidawy-Błońskiego.

Bohaterowie naszego kina

JAN F. LEWANDOWSKI

W dawnych filmach z okresu PRL przeważali stereotypowi bohaterowie plebejscy, w tym oczywiście górnicy i hutnicy. Tamte filmy traktowały Górnoszlązków przeważnie z protekcyjną wyższością.

Szukając Pstrowskiego

Znamienne są „Stalowe serca” Stanisława Urbanowicza z 1948 roku (wg scenariusza Gustawa Morcinka), gdzie potraktowano Górnoszlązków jako poczciwych górników i hutników, którzy uczestniczą wprawdzie w ruchu oporu podczas II wojny światowej, lecz za przywódcę mają działacza komunistycznego z Warszawy.

Z kolei w filmach o tematyce współczesnej przez wiele dziesięcioleci PRL dominowała konwencja produkcyjniaka, a w filmach telewizyjnych do lat osiemdziesiątych XX wieku, czyli do kresu komunizmu. Jako dzieło charakterystyczne można przywołać film Jana Rybkowskiego „Autobus odjeżdża 6.20” z 1954 r. Jego zamierzeniem była prezentacja awansu społecznego kobiet w Polsce komunistycznej. To historia młodej fryzjerki z Polski centralnej, która odchodzi od lekceważącego ją męża i wyjeżdża na Górną Śląsk, by zostać przodownicą pracy w hucie. Z jej perspektywy to kraina

awansu (z poręki organizatora społecznej przemiany, czyli partii komunistycznej).

Dopiero po latach Stefan Szlachtycz w filmie telewizyjnym „Kto da więcej co ja” (z 1977 r.) o Wincentym Pstrowskim próbował powiedzieć więcej prawdy o jego losie, a zarazem o modelowej kreacji przodownika pracy jako socrealistycznego bohatera.

Ze zmianami kina śląskiego w czasie zmieniali się oczywiście jego bohaterowie. W latach sześćdziesiątych XX wieku pojawiły się na ekranie nawiązania do powstań śląskich, jak w „Rodzinie Milcarków” Józefa Wyszomirskiego i w „Pięciu” Pawła Komorowskiego, a także nieśmiało sygnały polifoniczności kulturowej Górnego Śląska. W powstańczej „Rodzinie Milcarków” córka polskiego górnikowi wychodzi z niemieckiego sztygara, lecz zostaje za to potępiona przez rodzinę. Film zauważa, że podziały narodowe przebiegały przez rodziny, lecz ostatecznie mierzą do poprawnego politycznie finału. Bo sztygar – Niemiec usiłuje zatopić przynależną Polsce kopalnię, co wyglądało na ekranie zdecydowanie niewiarygodnie. Z tamtego czasu najlepiej broni się film „Pięciu” Pawła Komorowskiego sygnalizujący losy Górnoszlązków wcielonych do Wehrmachtu, co wtedy, w 1964 r., było nowością.

Jednak żaden z bohaterów kina śląskiego tamtego czasu nie zadowolony się w masowej wyobraźni (z wyjątkiem telewizyjnego Ślązaka – Gustlika z serialu „Cztery pancerni i pies”). Nie zadowolony się w niej także inżynierowie i technokraci czasu Gomułki i Gierka (jak np. młody dyrektor kopalni w filmie górniczym „Gorąca linia” Wandy Jakubowskiej z 1965 r.).

W ludycznej tonacji

Zmianę przyniosły filmy Kazimierza Kutza „Sól ziemi czarnej” i „Perła w koronie” (z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku), które jako pierwsze miały inną, górnoszląską perspektywę widzenia. Bohaterowie plebejscy Kutza byli autentyczni, zakorzenieni w znanych autorowi pejzażach z dzieciństwa. Dopiero te filmy wprowadziły udanie bohatera proletariackiego w tonacji ludyczno-romantycznej, szczególnie powstańca Gabriela Basistę w „Soli ziemi czarnej”, a potem górnik Jasia w „Perle w koronie”, co miało rangę przełomową. Potem byli Habrykowie i inni.

Z konwencji opowieści sowizdrzałskiej, a także z ludycznej powieści Janoscha („Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny”), skorzystał Janusz Kidawa w konstrukcji Francika Buły (z wyrazistą kreacją Andrzeja Grabarczyka w roli tytułowej), który – jako bezrobotny – znajduje miejsce w grupie podwórkowych elwów w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego. Z pewnością Francik Buła to jeden z najbardziej zapamiętanych bohaterów dawniejszego, ludycznego kina śląskiego. Do sukcesu przyczyniło się jego zakorzenienie w górnoszląskiej mitologii.

Bohaterowie Kutza i Kidawy byli ponadto zakorzenieni w jakiejś mierze w komiksowych „Przygodach bezrobotnego Froncka” drukowanych na łamach „Polonii” Wojciecha Korfańskiego w latach trzydziestych XX w. Obaj reżyserzy mogli je zapamiętać z dzieciństwa. Po latach Kidawa pragnął skorzystać raz jeszcze z powodzenia Francika Buły w komedii współczesnej „Komedianci z wczorajszej ulicy” (1986), ale już bez powodzenia.

Nieco wcześniej postacią rezolutnego bohatera ludowego posłużono się we wspomnianej kreacji Gustlika w serialu „Cztery pancerni i pies” zrealizowanym przez Konrada Nałęckiego (21 odcinków w latach 1965–1969). Jednak popularność Gustlik zawdzięczał najwięcej wyrazistej kreacji Franciszka Pieczki, aktora pochodzącego z Godowa na Górnym Śląsku, a nie głębszemu zakorzenieniu w górnoszląskiej tradycji.

Z kolei próbę pokazania współczesnego Górnego Śląska podjął Jan Kidawa-Błoński w metaforycznych „Trzech stopach nad ziemią” (1984) o młodych ludziach w górniczym przebraniu w latach siedemdziesiątych XX w. Osobne miejsce zajmuje „Magnat” Filipa Bajona z historią niemieckiego rodu arystokratycznego (tytułową kreacją Jana Nowickiego).

Serialowe kontynuacje

Natomiast stereotypową wizję Górnego Śląska i jego bohaterów podtrzymywały kolejne serie telewizyjne, poczynając od serialu historycznego „Bliśko, coraz bliżej” (pierwsza emisja w 1983 r.). Zamierzeniem reżysera Zbigniewa Chmielewskiego i scenarzysty Albina Siekierskiego było pokazanie drogi Górnoszlązków do Polski poprzez losy rodziny Pasterników, poczynając od połowy XIX wieku aż do 1945 r. Nie było w serialu zrozumienia polifoniczności regionu. Niemniej oglądano go, bo po raz pierwszy dzieje śląskie pokazano w telewizji w tak znacznym



„Grzeszny żywot Franciszka Buły” Janusza Kidawy



„Sól ziemi czarnej” Kazimierza Kutza

rozmiarze. W pamięci zapisała się kreacja Franciszka Pieczki w roli Franciszka Pasternika, patriarchy rodu.

Podobnie stereotypową wizję historii śląskiej prezentowała „Rodzina Kanderów” (z 1988 r.) w reżyserii Chmielewskiego i na podstawie scenariusza Siekierskiego, o czasach po II wojnie światowej. Z formuły sagi rodzinnej próbował skorzystać także Janusz Kidawa w serialu „Budniokowie i inni” w 1986 r.

Z kolei fenomenem telewizji III Rzeczypospolitej stała się komediowa „Święta wojna” Marcina Bieleckiego i Dariusza Goczała z jak najbardziej stereotypowymi bohaterami górnośląskimi. Zderzenie mentalności Hanysa i Gorola było sukcesem, lecz okupionym rażącym skorzystał także Janusz Kidawa w serialu „Budniokowie i inni” w 1986 r.

Odejsie Benka

Tymczasem nowe kino śląskie na przełomie stuleci poszukiwało już nowych bohaterów. Znowu sceneria Górnośląska okazała się dla kina pociągająca (podobnie jak w latach siedemdziesiątych XX stulecia). Jednak autorzy nowego pokolenia nie zwracali się ku przeszłości. Bohaterowie nowego kina śląskiego to bohaterowie zatopieni w nowej górnośląskiej rzeczywistości, czyli bohaterowie okresu kapitalistycznej transformacji.

Pierwszeństwo należy się Michałowi Rosie, który w telewizyjnym „Gorącym czwartku” z 1994 r. rozegrał akcję wśród hałd i familoków, które były już zaznaczeniem Śląska

postindustrialnego. Natomiast w późniejszym filmie „Co słonko widziało” Rosa portretował zwyczajnych bohaterów na tle zwykłego życia miasta, zmierzając w stronę uniwersalnej przypowieści. Za nim poszło wielu filmowców opowiadających w poprzemysłowej scenografii najrozmaitsze historie.

Jak choćby Maciej Pieprzyca, który w „Drzazgach” (2008) opowiadał po prostu o młodych ludziach szukających swego miejsca w realiach Górnośląska, ale bynajmniej nie w kopalni (nieczynna kopalnia pojawia się na ekranie w roli zabytku). Młodzi z „Drzazg” Pieprzycy czy muzycy z Paktofoniki w „Jesteś Bogiem” Dawida, niewiele mają wspólnego z dawnymi bohaterami Kutza i Kidawy.

Jeszcze górnicy pojawili się oczywiście w serialu o katastrofach górniczych, a także w fabularnej „Laurze” Radosława Dunaszewskiego (z 2010 roku), będącej odpryskiem tego paradokumentalnego serialu. Niemniej można powiedzieć, że tak naprawdę ostatnim filmowym górnikiem był „Benek” Roberta Glińskiego z 2007 r. (lecz ze znacznie późniejszą premierą).

Było znamienne, że trzydziestoletni górnik Benek postanawia odejść z kopalni i rozpocząć nowe życie. W końcu znajdzie siłę, by wyrwać się z przypisanego przez tradycję losu. To nieco baśniowa ballada o kimś, kto zmienia swoje życie, o przewrotności losu i sukcesie. W reklamach nazwano bohatera „śląskim Forrestem Gumpem”, co było nawiązaniem do amerykańskiego bohatera, któremu wszystkie udaje się przypadkowo. Znaczenie gorzej powiodło się żonie górnika z „Ewy” Adama Sikory i Ingmara Villqista, która znajduje pracę sprzątaczką w agencji towarzyskiej, a potem zostaje prostytutką.

Nowi bogowie

Jeszcze innych, nowych bohaterów wprowadził nieco wcześniej Lech Majewski „Wojackiem” i „Angelusem”, a w połowie nowej dekady Jan Kidawa-Błoński opowiedział biografie buntownika Ryszarda Riedla w „Skazanym na bluesa”. Dzieło Majewskiego o pocie Wojacku z Mikołowa było dramatem niepokornego artysty, lecz i kreacją świata skłaniającego do buntu. Natomiast zasadnicze partie „Angelusa” rozgrywały się w latach stalinowskich, gdy dla grupy artystów o rodowdziej plebejskim, ale ze skłonnościami do okultyzmu, stało się oczywiste, że wypełnia się proroctwo o rządach bestii.

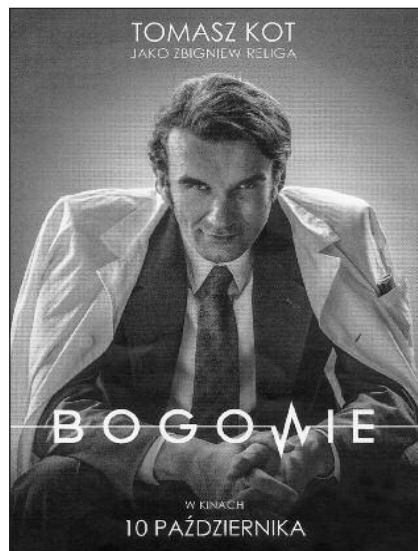
Najbardziej interesujące, że filmy Majewskiego i Kidawy-Błońskiego to portrety artystów, pochodzących wprawdzie z tradycyjnej, plebejskiej społeczności, ale przekraczających jej granice. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby filmy z akcją osadzoną na Górnym Śląsku opowiadały o artystach, a do tego jeszcze zbuntowanych. Na gruncie kina śląskie-

go filmy o artystach były nowością. Zmianę można określić jako rewolucyjną, a tym bardziej że znalazła kontynuację.

W filmie „Jesteś Bogiem” Leszka Dawida (2012) bohaterami są młodzi ze śląskiego blokowiska, którzy zakładają grupę muzyczną (hiphopową) „Paktofonika”. To buntownicy, podobnie jak w filmach Majewskiego i Kidawy-Błońskiego, tyle że z pokolenia kapitalistycznej transformacji. Wyrastający z jej bezładu i chaosu, poszukujący nieco nieudolnie miejsca w tym „nowym, wspaniałym świecie”. Nie poszukują go ani w kopalni, ani w hucie, gdzie pracowali ich ojcowie. To młodzi nowego Śląska, buntownicy nowego czasu.

A teraz zmianę bohatera naszego kina podtrzymują najnowsi „Bogowie” Łukasza Palkowskiego z 2014 r. Tytułowymi bogami są kardiochirurdzy ze Zbigniewem Religą na czele, a przede wszystkim sam Religa w fenomenalnej interpretacji Tomasza Kota (zagrał przed laty Riedla w „Skazanym na bluesa”). Znamienne, że w opowieści o karierze Religi, rozgrywającej się głównie w latach osiemdziesiątych XX w., czyli w okresie PRL, niewiele w gruncie rzeczy przemysłowego Śląska. Jest to także konsekwencją wyboru bohatera z kręgu medycznego, naukowego.

Wprawdzie film Palkowskiego posługuje się formą „bogowie”, lecz przecież skupia się zdecydowanie na samym Relidze. Za to mnoga forma „bogowie” wydaje się dobra dla określenia nowych bohaterów kina w górnośląskiej scenerii. Już nie górnicy, ale bogowie. To nowi bohaterowie śląskiego kina: zbuntowani artyści i medycy, czyli bogowie, którzy nie boją się nowości i zmiany, nawet jeśli ponoszą klęskę. Niezmiernie ciekawa i zastanawiająca zmiana. Czy znajdzie kolejne kontynuacje?



Święto Szkoły w „Karłowiczu”

11 grudnia w katowickiej Państwowej Szkole Muzycznej im. M. Karłowicza odbyło się doroczne Święto Szkoły. W jego ramach przygotowano uroczysty koncert pedagogów, absolwentów i uczniów, wypełniony w całości muzyką Andrzeja Panufnika, który w poprzednich dwunastu miesiącach miał swój rok – Rok Andrzeja Panufnika (z okazji 100-lecia urodzin). Połączono zatem święto szkoły ze świętem nowej muzyki polskiej, zgodnie z tradycją placówki, udzielającą w swym programie artystycznym i edukacyjnym wiele miejsca muzyce współczesnej. Obecnie możemy już mówić o tym, że szkoła ma taki właśnie, indywidualny profil, co dość rzadkie w polskiej rzeczywistości i osiągalne jedynie w oparciu o utrzymywany przez lata bardzo wysoki poziom nauczania. Nie tylko o umiejętności zresztą tu chodzi – wykonywanie muzyki XX i XXI wieku, to przecież – nadal – rodzaj wtajemniczenia. Aby przez nie przejść, trzeba umieć, chcieć – i wierzyć. Z twórczości Andrzeja Panufnika pokazano trzy pozycje z udziałem chóru i/ lub orkiestry: szkolna orkiestra wykonała pod dyktando Wojciecha Szakóła *Suitę staropolską* z 1950 roku, przygotowany przez Joannę Marciniowicz zespół wokalny szkoły II stopnia (wspomagany przez kilku pedagogów instrumentalistów) wykonał pod jej dyktando *Pięć polskich pieśni wiejskich* z 1940 roku, a chór szkoły I stopnia zaprezentował pod tą samą dyktando znaną pieśń *Warszawskie dzieci* z cyklu *Pieśni walki podziemnej* (1943–1944). Z muzyki kameralnej wybrano: *Trio fortepianowe* z 1934 roku (grali Dariusz Zboch, Jan Gorol, Wojciech Skowroński), fragmenty fortepianowego *Kregu kwintowego* z 1947 roku (Szczepan Kończal, Joanna Piszczelok, Mateusz Kawa) oraz III i IV część *Suity polskiej „Homage à Chopin”* na sopran i fortepian z roku 1949 (Marzena Michalczyk, Bogusława Ciesierska). Styl i technika prezentowanych utworów, pochodzących z wczesnego, neoklasycznego okresu twórczości Panufnika, zostały uczniom i gościom przybliżone przez prowadzącą koncert Teresę Michalik i Annę Stachurę-Bogusławską. Omawiany koncert był jednym z ostatnich akcentów Roku Panufnika 2014 i na pewno nie ostatnim pomysłem „Karłowicza”, jeśli idzie o promowanie muzyki współczesnej.

Płyta na Otwarcie

Muzycy Kwartetu Śląskiego zadbali o to, by ich występ na NOSPR-owskim Festiwalu Otwarcia mógł na dłużej pozostać w pamięci słuchaczy. Już latem bieżącego roku przygotowali płytę zawierającą utwory przewidziane do wykonania na koncercie inauguracyjnym serii koncertów kameralnych w nowej siedzibie orkiestry (2 października 2014). Płyta, nagrana pod patronatem NOSPR-u, radiowej „Dwójki” oraz Polskiego Radia Katowice, ukazała się jeszcze w czasie trwania

MIEDZY NUTAMI



festiwalu. Jest ona zatytułowana „Szabelski Górecki Knapik mistrz i uczeń” i zawiera kwartety smyczkowe wymienionych twórców, powstałe w dość znacznych odstępach czasowych, zresztą w innej kolejności, niż by sugerowała przynależność pokoleniowa kompozytorów. *II Kwartet smyczkowy* Bolesława Szabelskiego to utwór z 1956 roku, stylistycznie należący do szeroko rozumianego neoklasycyzmu. *Pięć pieśni kurpiowskich* Henryka Mikołaja Góreckiego to instrumentalna wersja tychże pieśni na chór, które skomponował on w 1999 roku jako hommage dla Karola Szymanowskiego (wersja utworu na kwartet smyczkowy została nagrana po raz pierwszy). Prawykonany niegdyś przez Kwartet Śląski i później wielokrotnie przez nich prezentowany

Kwartet smyczkowy Eugeniusza Knapika powstał w 1980 roku i jest stylistycznie odległy o całe światy zarówno od „swojskiego” neoklasycyzmu Szabelskiego, jak i wysublimowanego, „nieziemskiego” neofolklorizmu Góreckiego. Mieści się w poetyce „noworomantycznej”, kusząc śpiewnymi melodiami i brzmieniowymi efektami. „Zmieniali się style i techniki muzyczne, czasem gwałtownie” – pisze Marcin Trzeziok w boku. „Ale na wyższym piętrze coś łączy wszystkich tych kompozytorów – silna ekspresyjność, kontrastowość (niezwykle sięgająca do korzeni ludowych), rzetelność rzemiosła, szacunek dla tradycji, żywiołowość”. Nielatwo jest zawrzeć w kilku zdaniach fenomen „śląskiej szkoły kompozytorskiej” (bo chyba o to chodziło muzykom, przywołujących w tytule płyty kategorie mistrza i uczniów). Zdaniem Trzezioka, owym mistrzem mogłoby być Szymanowski. Skojarzenie niejako automatyczne, nie przypadkiem przecież katowicka uczelnia muzyczna nosi imię Karola z Atmy. Był on i jest obecny w niej duchem. Jego siostra, Stanisława Korwin Szymanowska zaistniała i duchem, i ciałem, przyjmując tuż przed wojną posadę w klasie śpiewu Śląskiego Konserwatorium Muzycznego. Wspominam o tym, gdyż właśnie ukazała się wspaniała monografia artystki, na-

pisana przez Teresę Chylińską i stanowiąca niejako ciąg dalszy monografii Karola Szymanowskiego tejże autorki, którą poprzedziła edycja listów zebranych kompozytorem. Książkę, która ukazała się w wydawnictwie Musica Iagellonica, prezentowano po raz pierwszy 9 grudnia 2014 w Instytucie Muzykologii UJ podczas uroczystości wręczenia Teresie Chylińskiej nagrody *Plus ratio quam vis*. Podtytuł książki to zdanie wyjęte z listu Stanisławy Szymanowskiej: „Przewadziłam intensywne życie i bardzo moje życie lubiłam”. Mam nadzieję, że zdanie to odnosi się również do katowickiej przygody artystki. Na podstawie książki nie można się niestety o tym przekonać, gdyż brakuje odnośnych dokumentów. Podaje natomiast Chylińska listę uczniów Stanisławy, na której figuruje m.in. Karol Stryja. Otóż i mamy zaczątek nowego wątku „Szymanowscy a Śląsk”...

Karnawał w „Silesii”

Odwieczny zwyczaj muzyków nakazuje witać nowy rok operetką. Zastosowali się do niego muzycy Instytucji „Silesia”, proponując publiczności przekrój operetki Jana Straussa *Baron cygański*, uzupełnionej kilkoma popisowymi ariami z *Zemsty nietoperza*. Z punktu widzenia historii teatru operowego taki zabieg nie jest niczym nowym: wybrane fragmenty przenosili z jednej opery do drugiej już Haendel, czy Cherubini, z tym że wyposażyli je obowiązkowo w nowe teksty, pasujące do akcji nowego utworu (w ten sposób powstawały tzw. kontrafakture). W XIX wieku – wieku operowego wirtuozostwa – śpiewacy bez problemu włączali do spektakli „obce” utwory z ich oryginalnymi tekstami, jako swoje numery popisowe. Czy było to ze szkodą dla koherencji widowiska – o to się nikt nie troszczył, nie po to przecież chodziło się do opery, by poznać kolejną banalną historijkę... Nie po to także odwiedzili 11 stycznia Salę Koncertową katowickiej Akademii Muzycznej stali bywalcy koncertów „Silesii”. W Straussowskiej składance wystąpili: Anna Noworzyn (sopran), Anna Borucka (mezzosopran), Karolina Wieczorek (sopran koloraturowy), Tomasz Urbaniak (tenor), Adam Woźniak (baryton) i Larisa Czaban (akompaniament fortepianowy, kierownictwo artystyczne projektu). Zabrzmiały najbardziej okazałe arie i ansamble z *Barona...*, częściowo w wersji koncertowej, częściowo zaś z „zamarkowaną” akcją sceniczną, oraz wspomniane fragmenty *Zemsty nietoperza*, które wykonała Karolina Wieczorek, imponując koloraturami równie przylegającymi i opływowymi, jak jej piękna „syrenia” suknia. Artyści rozstali się z publicznością proponując jej wspólne wykonanie słynnych kupletów *Wielka sława, to żart*. Nucono je jeszcze w oczekiwaniu w kolejce w szatni – jak zawsze strasznie długiej. Czyżby projektant nowej sali w Akademii sądził, iż nie będzie w niej nigdy kompletów?

MAGDALENA DZIADEK



Przy wagonikach kolejki Balkan ustawiono tablice informacyjne.



Rynek, Europejskie Dni Dziedzictwa – plener Grupy Janowskiej i wystawa starych samochodów.

Zostawić ślad

Spacerując ulicami Nikiszowca, spotykamy w wielu miejscach nazwę Stowarzyszenie *Razem dla Nikiszowca*. Powstałe w 2008 r. jest organizacją non-profit, skupiającą osoby różnych profesji, zatrudnione tym skrawkiem Katowic. Członkowie Stowarzyszenia pracują jako wolontariusze, przy akceptacji społecznej.

Misją Stowarzyszenia jest promocja osiedla, poprawa jakości życia, zachowanie tradycji i kultury miejsca. Chcemy pomóc w przekształceniu Nikiszowca z osady górniczej ery industrialnej w atrakcję turystyczną Śląska XXI wieku.

Na nasz dorobek składa się m.in. utworzenie trasy spacerowej po osiedlu oraz szlaku rowerowego, a także renowacja pomnika z 1835 roku, jedynej pamiątki po pierwszym właścicielu Janowskiej kopalni. Co roku porządkujemy przestrzenie publiczne, dbamy o zieleni Nikiszowca, opiekujemy się zabytkami. Na Skwerze Grupy Janowskiej, pojawił się niezwykle barwny mural nawiązujący do obrazów Erwina Sówki.

Efektorem troski o poprawę jakości życia jest też doprowadzenie do zamontowania bankomatu, który ułatwia życie mieszkańcom a także odwiedzającym to miejsce oraz monitoringu dającego poczucie większego bezpieczeństwa.

Dążymy do ukazywania i przybliżania historii dzielnicy, przykładem jest *Miejsce Pamięci* górników poległych w kopalni Giesche – Wieczorek i obelisk dedykowany mieszkańcom Janowa, którzy zginęli w latach 1914-1918.

Ponadto organizujemy, propagujemy i współuczestniczymy w wydarzeniach kulturalnych Nikiszowca.

Sprzymierzeńców znajdujemy w Urzędzie Miasta Katowice, instytucjach miejskich i firmach. Wspierają nasze poczynania także osoby prywatne, szkoły, administracje budynków oraz parafia św. Anny. Zapraszam do Nikiszowca, gościnnie wszystkich podejmiemy.

ELŻBIETA ZACHER



Więcej o naszym Stowarzyszeniu na
www.razemdlanikiszowca.eu



Kamienie pól górniczych przy ekspozycji kolejki Balkan.



Skwer Zillmannów, odnowiony pomnik ogrodowy z 1835 r. z polską inskrypcją, jedyna pamiątka po ordynacie hr. A. Mioszowskim, pierwszym właścicielu Janowskiej kopalni.



Mural inspirowany obrazami Erwina Sówki.



Zespół kołędniczy „L-R” zdobył II miejsce dla gospodarzy imprezy Lewina Brzeskiego



Zwycięzca „Herodów” w kategorii dorosłych zespół „Faska” z Piotrowki



Zespół „Tradycja” z Technikum Mechanicznego w Głubczycach, wielokrotny laureat imprezy



Ireneusz Zając z zespołu „Faska” laureat nagrody aktorskiej za rolę „Czarownicy”



XXX PRZEGLĄD ZESPOŁÓW KOŁĘDNICZNYCH „HERODY”



Od lewej: Grzegorz Sawicki, członek ZWO i burmistrz Artur Kotara wręczając laureatom Berła Heroda

Od trzydziestu lat Lewin Brzeski w województwie opolskim jest stolicą zespołów kołędniczych, które przyjeżdżają do Miejsko-Gminnego Domu Kultury aby rywalizować przez dwa dni o Berła Heroda. W dotychczasowych edycjach imprezy wzięło udział ponad 520 zespołów i blisko 11 tysięcy kołędników z różnych miejscowości i kręgów kulturowych regionu. Jubileuszowe prezentacje oceniało jury w składzie: prof. dr hab. Teresa Smolińska – Katedra Kulturoznawstwa i Folklorystyki Uniwersytetu Opolskiego, Elżbieta Oficjalna – kustosz Muzeum Wsi Opolskiej i prof. dr hab. Remigiusz Pośpiech – Katedra Muzyki Kościelnej i Wychowania Muzycznego UO. W kategorii dorosłych zwyciężył Zespół Teatralny „Faska” z Piotrowki (wielokrotny laureat Herodów), kolejne miejsca na podium zajęły: Teatr Tradycja z Zespołu Szkół Mechanicznych w Głubczycach oraz Zespół Kołędniczy LR z Lewina Brzeskiego. Wśród zespołów dziecięcych najlepsze były Diabelskie Aniołki z PSP w Mąkoszycach, kolejne miejsca zajęły Jemiołki z Jemielnicy, Kołędziółki z PSP w Kałkowie i Koło Teatralne PG w Kolonowskim. Berła Heroda i nagrody wręczyli laureatom: Grzegorz Sawicki członek Zarządu Województwa Opolskiego oraz Artur Kotara burmistrz Lewina Brzeskiego w asyście jurorów i sponsorów. Z okazji jubileuszu tytułami kołędników 30-lecia uhonorowano zasłużone osoby i firmy, wspierające imprezę m.in.: marszałka województwa, Danutę Bajak (prezes Opolskiego Związku Rolników), Andrzeja Grabnego, Leszka Fornala, Teresę Smolińską, Tadeusza Monkiewicza, Bank Spółdzielczy Grodków-Łosiów, RSP Wydrowice, Halinę Lewczak, Adama Ciepichała, Zdzisława Bartosza, Nadleśnictwo Opole, Barbarę Winiarską i Edwarda Podolskiego. Przegląd Zespołów Kołędniczych należy do najstarszych cyklicznych imprez kulturalnych w regionie. Od wielu lat organizacją „Herodów” sprawnie kieruje Tadeusz Tadla dyrektor MGDK w Lewinie Brzeskim.

Jacek Kurek, Anna Piontek: 85 lat na pograniczu... Z dziejów Kolonii im. Prezydenta Ignacego Mościckiego w Katowicach (1928-2013). Wyd. Stowarzyszenie „Kolonja Mościckiego”, Katowice 2013, s. 88.

Maria Danielska, prezes Stowarzyszenia „Kolonja Mościckiego” ubolewa we wstępie, że z powodu ograniczonych środków finansowych autorzy musieli zrezygnować z zamieszczenia w książce części materiałów uzyskanych w czasie rozmów i dostępnych dokumentów. I zapewne ma słuszną rację, bo już to, co się w publikacji znalazło, pokazuje, że to niewielkie, wybudowane w 1928 roku osiedle, jest przykładem fałszywej historii, takiej na miarę Nikiszowca i Giszowca – miejsc starszych od załaskiej kolonii o w gruncie rzeczy niewiele lat. Mieszkańcy, którzy zaczęli tworzyć tę dziś skonsolidowaną społeczność, przybywali tu z różnych stron. M. in. z niemieckiej części Górnego Śląska, ale też z Zaolzia zaanektowanego przez Czechosłowację. Byli zwolennicy sanacji, ale i „korfiancy”. Międzywojnie, lata okupacji, PRL, czasy najnowsze. Bardzo ciekawa lektura, z bardzo bogatym materiałem ilustracyjnym.

Mariusz Dmetrecki, Józef Żur: Paniowy w 100-lecie urodzin Biskupa Józefa Kurpasa. Wyd. Towarzystwo Historyczne w Mikołowie, Mikołów 2013, s. 326.

Pomysł napisania tej książki zrodził się w czasie prac Komitetu Obchodów Jubileuszu 100-lecia Urodzin Ks. Bpa Józefa Kurpasa. W założeniu miała to być krótka broszura zawierająca biografię jubilata, jednak w miarę gromadzenia materiałów zakres publikacji znacznie się rozszerzył. Poza sylwetką biskupa znalazła się w niej krótka historia miejscowości z której pochodził, dzieje parafii z uwzględnieniem życia lokalnego Kościoła, relacja z jubileuszowych obchodów oraz całe mnóstwo dokumentów a przede wszystkim zdjęć oraz reprodukcji archiwalnych map, pocztówek itp. Jednak główną część pracy stanowi rozdział poświęcony życiu i pracy biskupa pomocniczego diecezji katowickiej. Interesujące są też prezentowane w książce dokumenty, z których część pokazuje, jak paniowski duszpasterz był inwigilowany przez służby (np. stenogram z jego kazania, sporządzony dlatego, że w kościele była „zła akustyka”, przez co nagranie zostało zniekształcone).

Zeszyty chorzowskie. Tom 14. [Red. Jacek Kurek]. Wyd. Muzeum w Chorzowie, Chorzów 2013, s. 312.

Muzealne publikacje tego rodzaju cechuje duże zróżnicowanie tematyczne. Tak więc w chorzowskich *Zeszytach* wśród artykułów znajdziemy m.in. tekst o stalinizacji i sowietyzacji województwa stalnogradzkiego, dwa materiały związane z kinem prezentujące Chorzów na ekranie i w filmie dokumentalnym, wspomnienie pierwszego tytułu mistrzowskiego „Ruchu” Wielkie Hajduki oraz szkic o „Drapaczu chmur” – wspaniałym przykładzie chorzowskiego modernizmu. Z innych tematów – Parafia Ewangelicko-Augsburska w Chorzowie w latach 2007-2012, wojenne losy śląskich uchodźców i turystyka na Górnym Śląsku w połowie XIX wieku. Są w tej edycji *Zeszytów* także recenzje książek, jest i kronika, w której sprawozdanie z działalności Muzeum w roku 2012. W dziale *In memoriam* wspomnienia o osobach związanych z miastem, które odeszły w latach 2012-2013. W tym czasie pożegnaliśmy m.in. poetkę Barbarę Dziekańską, aktora Teatru Rozrywki Jacentego Jędrusika i bramkarza chorzowskiego „Ruchu” Jerzego Wyrobka.

Barbara Maresz, Mateusz Ściążko: Wielka Wojna na słow. Druki ulotne z lat 1914-1918 w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2014, s. 328.

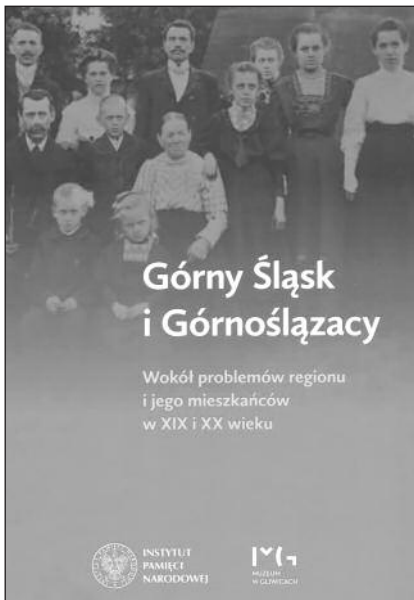
Miałem okazję zwiedzenia wystawy w Bibliotece Śląskiej poświęconej dokumentom (głównie drukom ulotnym właśnie) związanym z I wojną światową. Byłem pod wrażeniem ich wielości i różnorodności zarazem, bo pokazano materiały propagandowe, urzędowe obwieszczenia, nielegalne gazetki, ulotki, pocztówki, nawet „wojenne” modlitewniki i śpiewniki. Ale zaprezentowano na tej ekspozycji materiały to zaledwie część tego, co się w zbiorach naszej księżnicy znajduje, o czym przekonałem się studiując wydany z okazji stulecia wybuchu Wielkiej Wojny katalog. Układ tego wydawnictwa jest chronologiczny (więcej przejrzysty), a na opis każdego dokumentu składają się: tytuł, incipit, oznaczenie odpowiedzialności, nadpis, informacja o treści, adres wydawniczy i opis fizyczny. Ponadto w publikacji znalazły się indeksy: osób, organizacji i instytucji, miejscowości, wreszcie – drukarni i wydawnictw. Katalog zilustrowano reprodukcjami druków.

Gerard Koch. Działalność konserwatorska, rekonstrukcje, kopie oraz realizacje artystyczne. Tekst: Romuald Nowak. Wyd. Niemieckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne we Wrocławiu, Wrocław 2013, s. 76.

Artysta urodził się w miejscowości Zawadzkie na Opolszczyźnie, Liceum Plastyczne ukończył w Bielsku-Białej, dyplom z rzeźby zrobił w krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych pod kierunkiem znakomitego Jacka Pugeta. Potem związał się na stałe z Wrocławiem. Szybko, poza uprawianiem własnej twórczości, zajął się działalnością konserwatorską i rekonstrukcyjną i temu właśnie poświęcona jest omawiana publikacja. Zaslugi Kocha w dziedzinie ratowania zabytków na Dolnym Śląsku są ogromne. Poza pracami konserwatorskimi i rekonstrukcyjnymi artysta wykonywał także (m.in. dla parafii) kopie bezcennych dzieł, których oryginały trafiły do muzeów. Imponuje zakres wykonywanych przez Kocha prac. Zajmował się dziełami sztuki, które powstawały od średniowiecza do wieku XIX, których fotografie możemy podziwiać w katalogu będącym nie tylko rejestracją dokonań, ale i hołdem złożonym wspaniałemu artyście.

7 wymiarów scenografii. Wyd. Muzeum Śląskie, Centrum Scenografii Polskiej – Oddział Muzeum Śląskiego, Katowice 2013, s. 54 plus płytka CD ze zdjęciami.

Pod koniec roku 2013 w Centrum Scenografii Polskiej otwarta została w ramach II Festiwalu Nowej Scenografii wystawa prac młodych scenografów z siedmiu polskich uczelni artystycznych. Temu wydarzeniu towarzyszyła niniejsza publikacja złożona z dwu części. Pierwsza z nich to zapis rozmów ze scenografami, którzy jednocześnie w szkołach wyższych „uczą” studentów zainteresowanych tą dziedziną. Rozmówcy reprezentują uczelnie z Gdańska, Katowic, Krakowa, Łodzi, Warszawy, Wrocławia i Poznania. Na płytce CD znalazły się zdjęcia makiet dekoracji i projekty kostiumów wykonane przez studentów z wymienionych wyżej ośrodków. Są wśród nich prace licencjackie i dyplomowe. Scenografie teatralne jak i filmowe. Byłem na wystawie, z uwagą też przeglądnąłem materiał ilustracyjny utrwalony na płytce. Wiem, że wybrano prace najlepsze, ale jest ich tyle, iż sądzę, że w przyszłości Centrum Scenografii Polskiej nie zabraknie nowych eksponatów.



Górny Śląsk i Górnolązacy. Wokół problemów regionu i jego mieszkańców w XIX i XX wieku. Red. S. Rosenbaum. IPN Oddział w Katowicach, Muzeum w Gliwicach, Katowice-Gliwice, 2014, ss. 390.

Między Niemcami a Polską

Tom zawiera materiały z międzynarodowej konferencji naukowej zorganizowanej przez katowicki IPN i Muzeum w Gliwicach. W konferencji oprócz badaczy krajowych, wywodzących się z różnych ośrodków, udział wzięli również naukowcy z Niemiec oraz – co jest pewnego rodzaju *novum* – autorzy z kręgu anglosaskiego. Choć dominujący głos należał do historyków, swoją obecność zaznaczyli także germaniści, kulturoznawcy czy filmoznawca. Jak nadmienili redaktor tomu, wyjście poza partykularny krąg polskich historyków, dominujących, co oczywiste, pośród piszących o Górnym Śląsku, było jednym z głównych celów organizatorów. Spojrzenie na górnolązkie dzieje z różnorodnych punktów widzenia to nie tylko naukowo ciekawostka. Efektem takiego geograficznego i interdyscyplinarnego poszerzenia ram jest nierzadko ciekawy (także metodologicznie) obraz przeszłości regionu.

Refleksja z perspektywy badacza procesów społecznych zdecydowanie góruje nad wydarzeniowością i historią polityczną. Ta ostatnia stała się jedynie pretekstem, punktem wyjścia do pokazania, jak wydarzenia polityczne wpływały na dokonujące się przemiany narodowościowe oraz społeczne na Górnym Śląsku, począwszy od końca XIX wieku aż po czasy współczesne.

Motywy przewodnim tomu, przewijającym się poprzez niemal wszystkie teksty, jest sprawa nacjonalizacji (unarodowienia) mieszkańców Górnego Śląska. Nie tylko na przełomie XIX i XX stulecia, ale jeszcze przez następne dziesięciolecia Górnolązacy byli grupą narodowościowo labilną, a także w swej trudno policzalnej części indyferentną narodowościowo. Gdy w 1945 roku zmieniła się sytuacja polityczna, na ich tożsamość oraz postawę niewątpliwie wpływało dziedzictwo długotrwałego panowania niemieckiego oraz przynajmniej częściowa językowa i kulturowa germanizacja.

Grzegorz Strauchold podkreślił, że dla komunistów przejmujących władzę nad Wisłą Ślązacy mieszkający na „odzyskanej” części Górnego Śląska byli grupą równocześnie „pożądaną” i „niekochaną”. Stali się pożądanymi jako „Polacy” oraz jako klasowo poprawni robotnicy wielkoprzemysłowi. Z drugiej strony jako dotychczasowi obywatele niemieckich dość powszechnie uważano ich za „Niemców”. Oni sami często wahali się między niemieckością, polskością a śląskością.

Do „oczyszczenia” tzw. Ziemi Odzyskanych z „nalotu niemieckiego” miały się przyczynić masowe wysiedlenia ludności niemieckiej. Natomiast przeprowadzane na szeroką skalę „odniemczanie” oraz (re) polonizacja służyć miały ujednoczeniu pod względem narodowym Ślązaków-Polaków z przybyłymi z Kresów Wschodnich czy z centralnej Polski. Ślązacy niejednokrotnie boleśnie odczuli to na własnej skórze, gdy ścigano ich za posiadanie makatki z niemieckim napisem czy rozmowy prowadzone w tym języku, nawet w czterech ścianach własnego mieszkania. W szybko zmieniającej się sytuacji politycznej tradycyjna religijność śląskich robotników czy chłopów sprawiła, że władze uznały ich za hamulców socjalizmu.

Brytyjski historyk James Bjork, wskazując na znaczącą rolę Kościoła katolickiego w (re) polonizacji Górnego Śląska po II wojnie światowej, zauważył, że w przeciwieństwie do hierarchii kościelnej niewielu przedstawicieli nowych władz państwowych miało wiedzę na temat Górnego Śląska z pierwszej ręki. Żaden z 20 ministrów w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej nie pochodził z Górne-

go Śląska. Rodowitymi Górnolązaczami byli co prawda wicewojewodowie – Jerzy Ziętek i Arka Bożek, ale to były raczej wyjątki od reguły. Synem Górnego Śląska był natomiast prymas Polski August Hlond. Z tego regionu pochodził również biskup Stanisław Adamski. Górnolązkie korzenie miało jeszcze dwóch innych biskupów diecezjalnych oraz dwóch z pięciu administratorów apostolskich na nowych ziemiach zachodnich Polski. W konkluzji Bjork podkreślił, że własne doświadczenie katolickich hierarchów oraz rzesz kleru parafialnego pozwoliło im znaleźć język, który umożliwiał przeprowadzenie procesu tworzenia z „Niemców” z czasów wojny powojennych „Polaków”.

Innym ważnym zagadnieniem poruszonym w tomie jest pamięć i polityka pamięci. Bogusław Tracz, pracownik naukowy w oddziale IPN w Katowicach, zmierzył się z legendą wojewody Jerzego Ziętka. Historyk przyznaje, że Ziętek do dziś pozostaje najbardziej rozpoznawalnym górnolązkim prominentem z czasów PRL. W regionie przez wielu jest wręcz otaczany swoistym kultem. Jego imię noszą ulice, place, szkoły, wyższe uczelnie czy szpitale. W ocenie Tracza tzw. wiedza potoczna o życiu i publicznej działalności Ziętka ogranicza się do stwierdzenia, że był „dobrym gospodarzem”, że gdyby nie on, nie byłoby Wojewódzkiego Parku Kultury i Rozrywki, Stadionu Śląskiego czy „Spodka” oraz mnóstwa innych inwestycji. W przekonaniu historyka brakuje jednak głębszej refleksji nad politycznymi uwarunkowaniami kariery generała-wojewody oraz jego rzeczywistymi dokonaniem.

Niewątpliwie siłą Ziętka była swoista „długowieczność”. Na stanowisku wicewojewody, a następnie przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i wojewody katowickiego zasiadał równo 30 lat. Umiejętnie kreował się też na pragmatyka, człowieka czynu, a nie biurokrata czy ideologa. Nie można mu również odmówić umiejętności kreowania i wykorzystywania społecznej popularności. W spotkaniach z tzw. zwykłymi ludźmi chętnie posługiwał się gwarą, co sprawiło, że mówiono o nim „swój chłop” czy po prostu „nasz Jorg”. W budowaniu Ziętkowej legendy paradoksalnie pomogła jego dymisja w 1975 roku. W społecznej pamięci wojewoda utożsamiany był z okresem względnej prosperity: „Z perspektywy kryzysu lat osiemdziesiątych – podkreślił Tracz – lata rządów Ziętka jawiły się jako epoka przyszłowiowym mlekiem i miodem płynąca”.

To tylko trzy wybrane teksty spośród osiemnastu artykułów składających się na ten ważny i interesujący tom.

Eustachy Ryłski debiutował dzięki swemu dyptykowi powieściowemu *Stankiewicz. Powrót* (1984). Miał wtedy czterdzieści lat, więc jak na debiut literacki to stosunkowo późno. Czytelnik zatem już od pierwszej powieści obcuje ze światem stworzonym przez mężczyznę doświadczonego przez życie, w pełni ukształtowanego, który jak sam zresztą zauważa: „Dużo bardziej interesują mnie zmierzchy niż swity” (rozmowa Katarzyny Janowskiej z Ryłskim w programie *Hala odlotów*, wyemitowanym w TVP Kultura 27 listopada 2014 roku).

To, co zdaje się interesować pisarza najbardziej to ludzkie losy – ich przemijanie i nieprzewidywalność. Osamotnienie człowieka, jego stosunek do innych, jak i do samego siebie. Jego walka z własnymi słabościami, lękami, a przede wszystkim z samym sobą.

Szara lotka (2014) to zbiór dziewięciu opowiadań – trzech nowych i sześciu wcześniej publikowanych. Opowiadań, w których głównym składnikiem budulcowym świata jest zmierzch.

Upadek, samotność i piękno natury – oto słowa, które cisną mi się na usta, kiedy myślę o *Szarej lotce*. Przed czytelnikiem dziewięć opowiadań, z pozoru odmiennych, lecz zarazem tak bardzo sobie bliskich.

Eustachy Ryłski kreuje ludzkie historie, które współlistnieją na płaszczyźnie dwóch światów: realnego i onirycznego. Czasami trudno jest je od siebie oddzielić, odnaleźć znajdującą się między nimi granicę, gdyż jest ona bardzo płynna.

W opowiadaniu tytułowym – *Szara lotka* – czytelnik poznaje historię rodu Skode, którego ostatni żyjący przedstawiciel przemienia się w żurawia. W opowiadaniu *Dziewczynka z hotelu Excelsior* główny bohater spotyka się z dwunastoletnią Intą, która zdaje się być jedynie wytworem jego wyobraźni. To nie fabuła opowiadań jest tu jednak najważniejsza. Staje się ona jedynie tłem, pretekstem do zwrócenia uwagi na to, co najważniejsze, a mianowicie na bohaterów i ich odosobnienie.

Bohaterów opowiadań *Szarej lotki* nie można jednoznacznie określić czy też skategoryzować. Są to postaci, które tak samo jak i świat, w którym żyją, balansują na krawędzi prawdy i fikcji. Kim tak naprawdę jest Monika z opowiadania *Jak Granit* i czy chłopak, którego starała się „ratować” naprawdę towarzyszył jej podczas pobytu w nadmorskim pensjonacie?

Świat, w którym znaleźli się bohaterowie opowiadań, przypomina świat znany z twórczości Alberta Camusa. Tematy, które porusza Ryłski, są silnie związane z egzystencjalizmem – człowiekiem i jego rolą i miejscem w świecie. Autor przedstawia czytelnikowi losy jednostek z pozoru wolnych, podejmujących decyzje, które zależne są je-

dynie od nich samych. Są to indywidualności, które całkowicie decydują o własnym losie i są za niego w pełni odpowiedzialne. Jednostki pozostawione całkowicie sobie samym.

Samotność, to ona zdaje się splateć losy wszystkich bohaterów opowiadań. Samotność, która często doprowadza ich do upadku, od którego nie ma ucieczki.

Bohaterka opowiadania *Rezonans* – Noemi – jest piękną kobietą, która swym zachowaniem i niemalże każdym ruchem kusi oficerów stale ją obserwujących. W momencie, w którym jej dom znajduje się na linii ostrzału i Noemi ma możliwość ocalenia samej siebie, postępuje całkowicie inaczej. Swym postępowaniem skazuje się na pewną śmierć, która staje się dla niej pewnego rodzaju wybawieniem.

Bohaterowie opowiadań są postaciami, z którymi czytelnik czuje się związany, są mu bliskie. Ich losy nie są mu obojętne, gdyż ich niepewność, zwątpienie, strach i przerażenie nie jest mu obce. Zna emocje czy też stany, w które Ryłski odziewa swe postaci, gdyż sam musi się z nimi mierzyć w codziennym życiu.

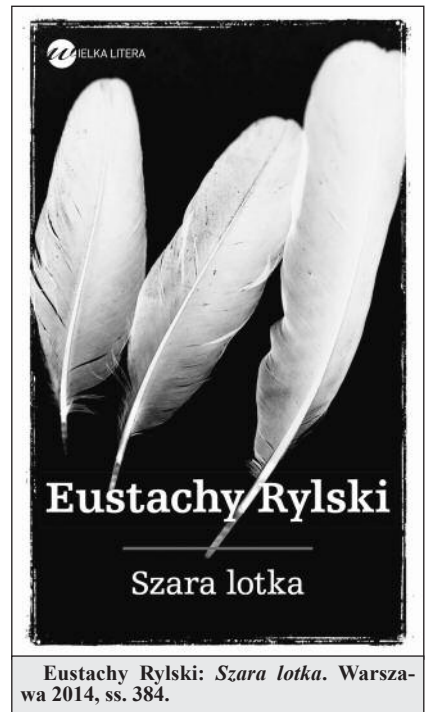
Świadkiem zmierzchu istnienia bohaterów staje się natura, która zdaje się być obojętna na ich losy. Jest ich obserwatorem, lecz nie towarzyszem. Jest piękna i dumna, a przy tym zimna i nieczuła. Jej czas biegnie inaczej, z dala od ludzkich historii i dramatów, „(...) w majestacie leniwych rzek, głębokich niedostępnych jezior, monotonii równin, metalicznej zieleni ugorów, olch i brzezin na bagnach, którym wiatry nie pozwoliły wskoczyć w górę, i dalekich horyzontach pozamykanych ścianami świerkowych i sosnowych lasów” (s. 31).

Natura również jest bohaterem opowiadań *Szarej lotki*. W *Wyspie* wraz z kontrowersyjnym księdzem Konstantym, który to został oddelegowany na wyspę za swe skandaliczne zachowanie, natura żyje własnym, brutalnym rytmem. Obojętna na ludzkie istnienie stara się opanować jak najwięcej przestrzeni, którą mogłaby władać.

Szara lotka prezentuje obraz ludzi zagubionych, często żyjących przeszłością, z którą nie potrafią się rozliczyć, lub też, o której nie potrafią zapomnieć. Ludzi, którzy wciąż czegoś poszukują, którzy wciąż muszą się z czymś mierzyć – najczęściej z samymi sobą.

Eustachy Ryłski buduje historie za pomocą przenikliwego, wyrafinowanego i bardzo obrazowego języka. Czasami są to dokładne, wyczerpujące opisy, a w innym miejscu wręcz krótkie (lecz bardzo dosadne), jakby wyrwane z kontekstu zdania, dzięki którym czytelnik potrafi wyobrazić sobie o wiele więcej.

Autor nie prezentuje nam jednak prostych historii ze szczęśliwym zakończeniem. Nie są one jednoznaczne ani



Zmierzch istnienia

też do końca opowiedziane czy wyjaśnione. Są jak życie każdego z nas – zastanawiające, niemające jednoznacznych, gotowych odpowiedzi.

Dlaczego zmierzch istnienia? Losy bohaterów, z którymi zapoznaje się czytelnik, zmierzają tylko w jednym kierunku. Jest to kierunek, który doprowadza ich do końca drogi, którą sobie obrali w życiu. Na jej krańcu nie ma nic innego, jak tylko śmierć. Książka ta nie należy do łatwych i przyjemnych, nie można jej po prostu czytać. Wymaga zastanowienia, poświęcenia albo też po prostu wyciszenia.

W jednym z wywiadów, Ryłski pytany o kategorię szczęścia w swej twórczości, odpowiedział: „W mojej twórczości pojawia się dużo zadowoleń i przyjemności. (...) Nie ma tam szczęścia, ponieważ ja nie wierzę w szczęście” (rozmowa Katarzyny Janowskiej z Ryłskim w programie *Hala odlotów*, wyemitowanym w TVP Kultura 27 listopada 2014 roku).

PAULINA JANOTA



Grzegorz Kielar: *Skrajem*. Tarnogórskie Centrum Kultury, Tarnowskie Góry, 2014, ss. 54.

Z duszą na uwięzi

W swojej drugiej książce poetyckiej zatytułowanej *Skrajem*, opublikowanej w 2014 roku przez Tarnogórskie Centrum Kultury, Grzegorz Kielar ujawnia własne poetyckie credo od razu w pierwszym wierszu. Rozpoczynający zbiorek utwór *Inaczej* zawiera dość istotne deklaracje otwarcia się na banał codziennego życia oraz skupienie na jego zwykłym przemijaniu.

„może więcej o chwili
mniej
o trwaniu... i nie wchodzić
raz z razem
w zaświaty tylko zając się
banałem”

– pisze poeta. I przyjęcie takiej przyziemnej perspektywy pozwala autorowi dość przekornie zakpić w kolejnym wierszu *Czekadelko* z wiekowego toposu poetyckiego o „duszy która z ciała uleciała”. Bowiem tylko w tym kontekście zrozumieć można rozważania autora o „duszy zbyt płytko i niefachowo umocowanej... która czeka na okazję aby go opuścić”. Czy podmiot liryczny wierzy jeszcze w duszę i jej wędrówkę w zaświaty, trudno wywnioskować z pełnego ironii wiersza. Pewnym jest jedynie świadomość jej istnienia intertekstualnego, do czego Kielar świadomie nawiązuje, kończąc tekst przekorną pentą:

„tej nocy pełnej skarg
pozwolił żeby usiadło

na ramieniu

o świecie wypuścił
jak latawca Maestero
koniec sznurka trzymał
w garści
na wszelki wypadek”.

Zgodnie z enuncjacjami poety bliższe jego koszuli jest ciało niż byty transcendentne. Takie podejście do materii świata poprowadziło jego pióro w stronę wierszy funeralnych, w których więcej rozkładu somatycznego niż metafizycznego. Porażającą brzydotę zejścia z tego świata ukazał poeta w szokującym wierszu *Mrzyk trupnice i zyzus tłuszczoch*. Stopniowa ludzka reifikacja z muchami i pajakiem w tle jakby namalowana pędzlem, a nie opisana słowami, na długo pozostaje w pamięci. Przy czym nawet i w tym mocno fizycznym liryku poeta nie zapomina o kontekście sakralnym reprezentowanym przez „święty obrazek na ścianie”. Ale tak do końca nie wiadomo, ile wiary w tych wersach zostało zawartych, a ile sarkastycznej refleksji o marności życia.

I gdyby szukać jakichś poetyckich powinowactw dla twórczości Kielara, to w pierwszym rzędzie bliska byłaby mu ze swoim egzystencjalnym niepokojem Wisława Szymborska, na co wskazywać by mogły wiersze o kocie. A jest ich w tomiku *Skrajem* kilka. Przy czym kot dla Kielara jest po trosze filozofem, a po części poetą, pozbawionym egoistycznego narcyzmu. Tyle że autor jakby celowo myląc ślady, odwołuje się także bezpośrednio do twórczości jednego z amerykańskich poetów bitników. Poeta jest mu bliski poprzez opis przeżyć kloszardów, dość natrętny erotyzm i chwilami trywialną frazę. Ale to zaledwie literackie odniesienia, będące próbą dopasowania własnych wierszy do tradycji.

Analizując dokładnie teksty Kielara ze zbioru *Skrajem*, można dostrzec, że bliska jest mu różewiczewska poetyka wierszowej wylizanki czy nierymowa nego słupka. Aczkolwiek nadal – podobnie jak w debiutaniczym zbiorze wierszy – chętnie sięga po językowe kalki, obnażając lingwistyczne paradoksy znaczeniowe, choćby takie w wierszu *Sześćdziesiąt dziewięć*:

„dzisiaj noc ma niedbale
postawiony
kołnierz i stosowne
pełnomocnictwa
stanie jak zwykle
na wysokości zadania”.

Nieobca jest mu także tęsknota za wierszem porządkującym rytmami świat, połączona z naiwną wiarą w moc sprawczą poezji. I tej wiary powinien się trzymać.

RYSZARD BEDNARCZYK



Porządkowanie wolności – 25 lat Śląska w mediach. Red. Marek Łuczak, Aleksandra Pethe. Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, Katowice, 2014, ss. 121.

Wolne media o Śląsku

Praca, na którą składa się dziewięć artykułów poświęconych prezentacjom Śląska w mediach na przełomie ostatnich dwudziestu pięciu lat, jest moim zdaniem publikacją, o której myśli się na długo po jej przeczytaniu. Co prawda, o ile zamysł twórców jest zasadny (ponury wizerunek Śląska wymaga weryfikacji), to daleka jestem od stwierdzenia, by tom „uporządkował” śląską rzeczywistość. Prawdopodobnie wynika to z nietawego przedmiotu dyskusji, jakim są media lub ze złożoności i wieloaspektowości regionu.

Badacze sugerują podział mediów na dwie kategorie. Pierwszą stanowią media lokalne, zaangażowane w konflikty tutejszych społeczności i kwestie związane z mieszkańcami regionu. Drugą są ogólnopolskie środki przekazu, przedstawiające wydarzenia na Śląsku w sposób pobieżny i pozbawiony refleksji nad obserwowanymi zjawiskami. Relatywnie niewiele miejsca poświęcono portalom internetowym, których przecież powstało tak wiele ostatnimi laty. Jedynym artykułem odwołującym się do obecności Śląska w internecie jest tekst napisany przez Dorotę Konieczną i Annę Losę-Jonczyk.

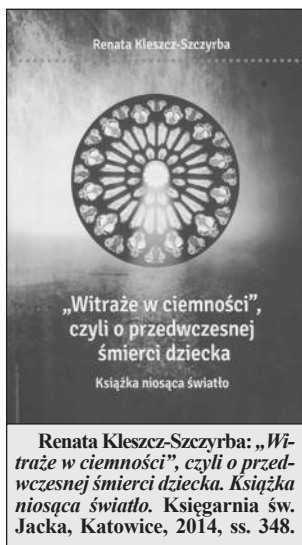
Książce towarzyszy słuszna teza o odpowiedzialności spo-

czywającej na mediach za kompetentne traktowanie materiału i szacunku wobec odbiorcy. Badacze zgodnie przyznają, iż nie można odmówić profesjonalizmu śląskim mediom. Realizują zarówno misję publiczną, jak i ukazują wielowymiarowy portret regionu. Widać to na przykładzie Radia Katowice, o którym pisze Anna Musialik-Chmiel. Instytucja kultowa, którą wraz z biegiem lat stało się Radio Katowice jest obecnie fenomenem wielośrodowiskowym o dużym znaczeniu dla społeczności. Z pewnością region może się poszczycić także znakomitymi czasopismami kulturalnymi. Tytuły jak „Fa-Art” czy „Opcje”, które bada Katarzyna Zdanowicz-Cyganiak, cieszą się renomą ogólnopolską, a ich redaktorzy jak i współpracownicy, jak zauważa autorka, to głównie Ślązacy.

W dyskusji o mediach nie mogło zabraknąć „okna na świat”, którym jest telewizja. Ewenelementem na skalę Polski jest wszak pierwsza telenowela w języku śląskim (autorka Aleksandra Fudala-Barańska mówi o „gwarze”) – *Sobota w Bytkowie*, co świadczy o pewnej wizjonerkiej, lecz także afirmującej tradycję perspektywie regionalnych dziennikarzy i instytucji. Publicyści świadomi swojej roli w życiu odbiorców niejednokrotnie spełniali, i wciąż spełniają, istotne, zwłaszcza w sytuacjach konfliktowych, role mediatorów i moderatorów publicznej debaty. Pisze o tym Sebastian Musioł, którego praca stanowi wartościowy drogowskaz do dalszych badań komparatystycznych. Podejmuje on próbę porównania relacji mediów dotyczących transformacji przemysłowego krajobrazu Śląska. Warto w tym miejscu wspomnieć o innym interesującym momencie w zbiorze, którym jest analiza wizerunku Śląska dokonana przez Jakubą Parnesa. Pisze on o zniekształconym obrazie regionu w mediach ogólnopolskich. Zauważa także trudności w dziennikarskim traktowaniu Śląska, który już na poziomie nomenklatury sprawia komentatorom trudność, gdyż często błędnie utożsamiają go oni z całym obszarem województwa śląskiego.

Autorzy z ogromu możliwych tematów wybrali te najistotniejsze dla obszaru Śląska. Część z nich to studium przypadku, część – analizy mechanizmów rządzących środkami przekazu. Wszystkie stanowią punkt wyjścia do szerszego opisu problemu trudnych zależności między mediami a specyfiką śląskich problemów gospodarczych, społecznych i kulturowych.

EWA WYŁĘŻEK



Renata Kleszcz-Szczyrba: „Witraże w ciemności”, czyli o przedwczesnej śmierci dziecka. Książka niosąca światło. Księgarnia św. Jacka, Katowice, 2014, ss. 348.

Witraże w ciemności, czyli o przedwczesnej śmierci dziecka

Nie jest łatwo sięgnąć po książkę, która podejmuje tak bolesny temat. Jeszcze trudniejsze jest znalezienie słów pocieszenia dla rodziców, których dotknęła ta wielka i niepowetowana strata. Prawdziwym dramatem jest jednak bycie taką mamą i takim tatą, których los (?), Bóg (?) doświadczył przedwczesną śmiercią dziecka. Z uczuciami towarzyszącymi tym tragicznym sytuacjom mierzy się Renata Kleszcz-Szczyrba, doktor psychologii i autorka książki „Witraże w ciemności”, czyli o przedwczesnej śmierci dziecka.

Podtytuł tej publikacji brzmi *Książka niosąca światło*. To światło wpadające przez witraż niewidoczny w ciemności, będący alegorią dzieci, które nie zdążyły doczekać światła. „Każdy, komu kiedykolwiek udało się dostrzec piękno witraży w ciemności wie, że możliwe jest to tylko i wyłącznie wtedy, gdy stoi się na zewnątrz rozświetlonego w swym wnętrzu budynku. Wówczas światło rozświetlające wnętrze daje witrażom swoisty blask istnienia, i ci, którzy stoją na zewnątrz mogą je zobaczyć... I choć nigdy ten widok nie dorówna temu, który dają promienie słońca, to i tak najważniejsze wydaje się być to, że ciemność nie jest w stanie całkowicie pozbawić możliwości zauważenia witrażu. Trzeba tylko

rozświetlić budynek, wyjść na zewnątrz, patrzeć i widzieć...” – wyraża we wstępie autorka.

Książka Renaty Kleszcz-Szczyrby niesie światło na dwa sposoby. Pierwszy wynika z jej duchowych i religijnych przemyśleń, którym poświęciła w książce bardzo dużo miejsca. Drugi jest ściśle związany z psychologiczną wiedzą autorki, jest zbiorem faktów i przemyśleń zrodzonych na bazie jej zawodowych zainteresowań skoncentrowanych wokół psychologicznej problematyki żałoby oraz z doświadczeń, zdobytych m.in. w Zakładzie Psychologii Zdrowia i Jakości Życia Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Mówi o tym, w jaki sposób próbować uporać się z przedwczesną śmiercią dziecka, jak pożegnać się z nim i znaleźć pocieszenie.

W książce znajdziemy historie ludzi, którzy musieli zmierzyć się z żałobą. Ich emocje bywają różne, podobnie jak sposoby uporania się z nimi. Inne też w takich sytuacjach są reakcje mężczyzn, a inne kobiet. Wokół nich kręci się bliski – choć w tym tragicznym momencie ich życia obcy – świat rodziny i przyjaciół, którzy dzięki tej książce mają szansę zrozumieć ciemny szlak, jakim idą osamotnieni rodzice.

Innym problemem omówionym w „Witrażach ciemności”, wykraczającym znacznie poza problem rodziców, którzy stracili dziecko, jest udział postępu technologicznego w procesie powołania nowego życia. Dzięki niemu możliwe jest podglądanie człowieka niemal od chwili poczęcia. Jednak zdobycie medycyny pokazane zostały przez autorkę nie tylko w pozytywnym kontekście. Jej zdaniem, coraz większy wpływ człowieka na naturę skutkuje czasem pozbawioną humanitarnych wartości kontrolą urodzin, a nawet wyborem płci dziecka, które ma się narodzić. Brak etyki w tej bodaj najważniejszej roli człowieka, jaką jest rodzicielstwo, przeciwstawiony został cierpieniu tych rodzin, którym nie dane jest poczuć radości rodzicielstwa bądź którzy stracili potomstwo.

Ze względu na trudny temat nie jest to książka dla każdego. Nie każdy też zgodzi się z dość radykalnymi poglądami autorki na sprawy znajdujące się na pograniczu medycyny i wiary. Jest to jednak z pewnością pozycja oczekiwana przez rodziców, których dotyczą omówione w niej zagadnienia. O tym, jak potrzebne są „Witraże w ciemności” przekonałam się, przeszukując strony internetowe portale i blogów, często niezwykle przejmujących, prowadzonych przez rodziców, którzy utracili dziecko. Im właśnie, z całym przekonaniem, polecam „Witraże...”.

ADRIANA
URGACZ-KUŹNIAK



Opowieść o wodzisławsko- rydułtowskim harcerstwie

To już trzecia część *Harcerskich zbliżeń*, opracowania hm. Błażeja Adamczyka, opowiadającego o dziejach harcerstwa rydułtowskiego i wodzisławskiego. Otrzymujemy w ten sposób kolejny fragment historii harcerstwa, spisany ręką wytrawnego znawcy i pracowitego kronikarza. Autor związany ze skautową służbą „całym życiem”, sam jest najcenniejszym świadkiem tej historii. Mocno wrosnięty w swoje środowisko, świadom wartości dokumentów, fotografii, wspomnień, kreśli słowa rzetelne i konkretne, choć całość nie jest wolna od emocji.

Wybitna znawczyni zagadnienia dr hab. Joanna Januszewska-Jurkiewicz w postłowie napisała: „Wielkim walorem tej książki jest osadzenie w lokalnych realiach, autentyzm wypowiedzi przywoływanych świadków historii, język bliski temu, którym mówi się tu na co dzień. To nie historia opisana w myśl z góry płynących wytycznych, a młodość pokolenia powojennego widziana przez pryzmat zebranych z wielką sumiennością i z pietyzmem rekonstruowanych przeżyć, wzruszeń, emocji,

opowiedziana na tle wydarzeń – codziennych i tych niezwykłych, czasem dramatycznych” (s. 106).

I tak przed oczami czytelnika przewijają się kolejno nadzieje związane z zakończeniem wojny, rok 1945 i odrodzenie harcerstwa, szukanie nowych form pracy w trudnych powojennych warunkach. Przeżywa my pełne zapału lata 1946–1947 w hufcach wodzisławskich, a potem już wkrótce widzimy manipulowanie harcerstwem, przekształcanie go w organizację pionierską, tym boleśniejsze, że ledwo z wielkim trudem podniesiono się ze spustoszeń wojennych, zrekonstruowano kadrę, a już „nowe wytyczne” zaczęły swe niszczące działanie. Pięknie została pokazana postać dh. Innocentego Libury, protestującego z wielką godnością, smutek starej kadry instruktorskiej i rozczarowanie młodzieży. Autor określa to dramatycznie „umiaraniem harcerstwa” i jest w tym wielki ból.

W przytoczonym wierszu Wiktora Bugła *Drużna* jest taka zwrotka, którą tutaj należy przywołać:

„Pewnego razu wieczorem,
Gdy zapłonęło ognisko,
Nadszedł nasz drużynowy,
Smutno pochylił się nisko.
Na krajce miał czerń żałoby,
W oczach zagasło mu

męstwo
Ktoś spytał szeptem – Kto
umarł?

Powiedział krótko
– Harcerstwo” (s. 64).

Tę część opracowania zamyka interesująca refleksja o bł. ks. Franciszku Blachnickim, duchownym o dramatycznym życiorysie, który wypełniał posługę wikarego w roku 1953 w Rydułtowach. Kapłan w młodości sam był harcerzem i dobrze znał metodykę pracy skautowej, wykorzystał to teraz przy tworzeniu przykościelnych grup dziecięco-młodzieżowych, co wypełniło pustkę, która powstała po likwidacji ZHP. Takie były początki Ruchu Światło-Życie i tzw. „Oaz”, które mimo wielu sztykan z Rydułtów rozprzestrzeniły się na całą Polskę.

Na tym zamyka się opracowanie. Drugą część książki wypełniają wspomnienia, utwory wierszowane i biografie. Dzięki nim całość jest żywa i stanowi barwną, rozpisaną na wiele głosów opowieść, o sporych walorach czytelniczych. Teraz czekamy na ciąg dalszy harcerskiej wędrówki przez dzieje, aż do chwili obecnej, by można było stwierdzić, iż harcerstwo wodzisławsko-rydułtowskie doczekało się swej monografii.

KRYSZYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ

W październiku 2014 r. dobiegła końca realizacja projektu *Biblioteka+ – modernizacja i doposażenie zabytkowego budynku Biblioteki Miejskiej w Cieszynie* (w ramach Programu Wieloletniego Kultura+ Priorytet Biblioteka+ Infrastruktura bibliotek) ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz gminy Cieszyn. Prace budowlano-remontowe przebiegały w XIX-wiecznej kamienicy, znanej jako tzw. Dom Niemiecki, w której przed stu laty oprócz Czytelni Niemieckiej miały swoje siedziby inne cieszyńskie organizacje i stowarzyszenia, zaś w piwnicach mieściła się legendarna łoża masońska.

Ta największa wówczas (ośmiokondygnacyjna) kamienica została zaadaptowana na potrzeby Biblioteki Miejskiej w 1946 r. Naszym głównym celem była likwidacja barier architektonicznych utrudniających specjalnym grupom użytkowników – osobom niepełnosprawnym, starszym czy schorowanym – korzystanie ze zbiorów bibliotecznych i oferty kulturalnej instytucji, czyli: budowa windy osobowej, podjazdów i dostosowanie toalet do potrzeb osób na wózkach inwalidzkich. Spora część środków przeznaczono na termomodernizację obiektu (budowę kotłowni gazowej, wymianę centralnego ogrzewania, stylowych okien budynku, instalację klimatyzacji oraz ocieplenie strychu). Dzięki temu zarówno bibliotekarze, jak i czytelnicy mogą pracować w komfortowych warunkach. Budowlano-remontową część projektu zwiększyło przywrócenie historycznych i estetycznych walorów obiektu (renowacja zabytkowych stiuków i sztukaterii, parkietów, oryginalnych, stylowych drzwi oraz prace tynkarskie i malarskie).

Kolejnym etapem było wyposażenie pomieszczeń bibliotecznych w meble i sprzęt oraz wprowadzenie spójnej identyfikacji wizualnej. Po konsultacjach z zespołem projektowym, architektami wnętrz, użytkownikami i pracownikami instytucji zdecydowano, że wystrój cieszyńskiej biblioteki będzie miał nowoczesną aranżację. W ten sposób powstała zupełnie nowa przestrzeń, będąca połączeniem tradycyjnej wyposażalni zbiorów z medioteką. Na wyposażenie złożyły się m.in.: metalowe regały, nowoczesne lamy biblioteczne, biurka dla pracowników, czytelników i użytkowników czytelni internetowych, ergonomiczne krzesła, oryginalne drzewa-półki na audiobooki, stoły i sprzęt audio-wizualny do sali konferencyjnej, sprzęt komputerowy, tablice informacyjne, kierunkowskazy i nowe rozdzielacze do księgozbiorów.

Warunkiem uzyskania dofinansowania było przygotowanie nowej oferty edukacyjno-kulturalnej skierowanej do dzieci, młodzieży i seniorów. Cieszyńska biblioteka od lat może szczycić się wieloma osiągnięciami w upowszechnianiu czytelnictwa wśród najmłodszych, o czym świadczą – oprócz frekwencji dziecięcej publiczności, uznania rodziców i nauczycieli – medal i trzy statuetki zdobyte w konkursach na najlepiej przeprowadzoną kampanię społeczną „Cała Polska czyta dzieciom” (2009–2012). Także propozycje skierowane do dorosłych (m.in.: kursy komputerowe dla seniorów, spotkania autorskie, konferencje tematyczne) zyskały aprobatę lokalnej społeczności i uznanie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich – II miejsce w ogólnopolskim konkursie Mistrz Promocji Czytelnictwa



Neorenesansowa kamienica z 1898 r. – siedziba Biblioteki Miejskiej w Cieszynie

Biblioteka Miejska w Cieszynie

Zabytkowa siedziba w nowej odsłonie

w 2011 r. Zmiany w dotychczasowej ofercie obejmują przede wszystkim intensyfikację edukacji medialnej, niezbędnej w czasach społeczeństwa informacyjnego.

Nowe propozycje kierujemy przede wszystkim do młodzieży, jako grupy najmniej aktywnej pod względem czytelnictwa i uczestnictwa w kulturze. W 2010 r. młodzież do lat 19 stanowiła 18,05% ogółu czytelników zarejestrowanych w bibliotece, a w kolejnych latach liczba ta malała (2011 – 16,9%, 2012 – 16,7%, 2013 – 16,2%). Jak wynika z obserwacji bibliotekarzy, głównym powodem wizyt nastolatków w bibliotece jest konieczność wypożyczenia obowiązkowej lektury bądź skorzystania z gotowych zestawień bibliograficznych. Ze względu na brak odpowiedniego miejsca przeznaczonego dla tej grupy użytkowników i sprzętu multimedialnego oferta dla młodzieży była najslabszym punktem cieszyńskiej biblioteki.

W wyniku realizacji projektu uruchomiona została pracownia multimedialna YOURmedia@TWOJEmedia (YM@TM) – nowa przestrzeń biblioteczna, której gospodarzem jest młodzież. Na wspólnej powierzchni zgromadziliśmy książki i cyfrowe urządzenia: aparaty, kamery, tablety, telewizor 3D, a także 12 kompu-

terów z dotykowymi ekranami i z oprogramowaniem do obróbki dźwięku oraz obrazu. Opiekunami młodzieży (tzw. mentorami) w YM@TM są instruktorzy oraz przeszkoleni bibliotekarze. System organizacji YM@TM zakłada działanie mechanizmów merytokracyjnych – każdy młody użytkownik po nabyciu odpowiednich kompetencji będzie mógł stać się ekspertem-przewodnikiem (*Junior Mentor*), uczącym mniej zaawansowanych kolegów. Członkiem YM@TM może być każdy, kto posiada aktywną kartę biblioteczną. Założeniem przedsięwzięcia jest przyciągnięcie młodych ludzi do biblioteki możliwościami rozrywki. Ostatecznym celem ma być kształtowanie postaw oraz społecznej i obywatelskiej odpowiedzialności młodzieży.

Dlatego od listopada ubiegłego roku w YM@TM pojawiła się (oprócz bieżącego udostępniania młodzieży mediów) nowa oferta edukacji medialnej i czytelniczej, zgodna z propozycjami skierowanymi do seniorów. Użytkownicy biblioteki korzystają z kursu fotografii cyfrowej pn. FOTOMedia, który obejmuje m. in. naukę obsługi aparatu fotograficznego i podstawy obróbki cyfrowej zdjęć. Pod koniec 2014 r. odbyły się bezpłatne pilotażowe warsztaty programowania w języku Scratch z udziałem uczniów cieszyńskich gimnazjów. Zajęcia poprowadzili członkowie Fundacji CoderDojo. Dzięki współpracy z Alternatywną Szkołą Podstawową cieszyńska biblioteka została beneficjentem ogólnopolskiego programu Mistrzowie Kodowania – projektu edukacyjnego upowszechniającego naukę programowania w szkołach. Młodzi ludzie często traktują YM@TM jako gościnną przystań – organizują tu turnieje popularnej gry komputerowej. Seniorzy natomiast systematycznie korzystają z porad dotyczących obsługi nowych mediów, których udzielają nie tylko pracownicy biblioteki, ale przede wszystkim młodzi członkowie społeczności YM@TM.

W 2015 r. planujemy wprowadzenie nowych propozycji z zakresu edukacji medialnej dla wszystkich grup wiekowych, m.in. warsztaty filmowe VIDEOMedia, cykliczne zajęcia z kodowania w języku Scratch i dla początkujących dyskdżokejów oraz warsztaty TRAVELMedia dla osób poszukujących takich sposobów podróżowania.

Wierzymy, że realizacja zadania przyczyni się do radykalnego podniesienia standardu Biblioteki Miejskiej w Cieszynie. Nowoczesne, funkcjonalne i estetyczne wyposażenie wpłynie na podwyższenie komfortu oraz na jakość i poszerzenie zakresu usług. Natomiast zwiększenie wydatków na zakup nowości wydawniczych (w tym audiobooków) oraz zapewnienie bezpłatnego dostępu do publikacji na platformie IBOOK Libra przyczynią się do wzrostu czytelnictwa.

Pragniemy, by cieszyńska biblioteka stała się odpowiadającym współczesnym standardom, wielofunkcyjnym centrum informacyjnym, z bogatą ofertą edukacji czytelniczej i medialnej. Instytucją działającą dla wszystkich mieszkańców – otwartą na ambicje i umysły ludzi młodych, będącą jednocześnie przewodnikiem osób starszych w świecie nowych mediów.

IZABELA KULA
dyrektorka Biblioteki Miejskiej w Cieszynie

Niniejsza publikacja obejmuje swym zasięgiem trzy gminy powiatu kluczborskiego, które leżą w dolinie Stobrawy. To Kluczbork, Lasowice Wielkie oraz Wołczyn – czytam w wstępie bardzo atrakcyjnej edytorsko książki „W dolinie Stobrawy. Historia. Ludzie. Zdarzenia” napisanej przez Milenę Zatylną przy współudziale Kazimierza Stefańczyka (autora pięknych rysunków), wydanej w roku 2014 w Kluczborku przez Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Dolina Stobrawy”.

Rozdział pierwszy przynosi wiadomości ogólne o ziemi kluczborskiej, drugi, trzeci i czwarty natomiast poświęcone są miejscowościom wymienionych wyżej gmin; rozdział piąty to wykaz nazw miejscowych doliny Stobrawy, a jego uzupełnieniem są mniej lub bardziej przybliżone daty powstania wszystkich opisanych w książce miejscowości, ich stan liczebny, opis drewnianego szlaku kościółków na terenie doliny Stobrawy oraz dzieje Kluczborka w skrócie. Pracę wieńczy szczegółowa bibliografia.

Mnie, językoznawcę, najbardziej zainteresowały nazwy poszczególnych miejscowości – z *Kluczborkiem* na czele. Pamiętam, że w pierwszych latach powojennych słyszało się jeszcze wariantywny, wyraźnie spolonizowane brzmienie *Kluczborek*, wywołujące etymologicznie fałszywe skojarzenia z *kluczem* i *borkiem* (słynna scena z „Rejsu” Marka Piwowskiego), ale Komisja Urzędu Rady Ministrów decydująca o postaciach nazewniczych na obszarach, które znalazły się w roku 1945 w granicach Polski, opowiedziała się ostatecznie za wariantem *Kluczbork*, dziś już powszechnie utrwalonym. Uczyniła tak w imię konsekwencji morfologicznej w relacjach nazewniczych niemiecko-polskich: skoro substytutami form *Marienburg* („Zamek Maryi”), *Frauenburg* („Zamek Naszej Pani”) są *Malbork* i *Frombork*, to niech odpowiednikiem prymarnego brzmienia *Kreuzburg* („Gród Krzyżowców”) będzie *Kluczbork*.

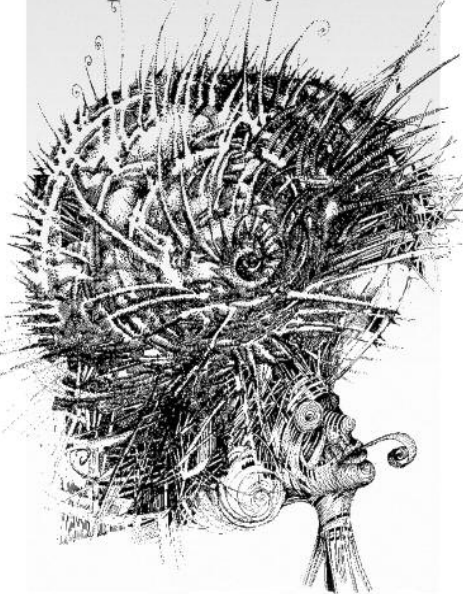
W polskich wariantach *Malbork*, *Kluczbork* doszło ponadto do rozpodobnienia (dysymilacji) jednakowych głosek pierwowzoru nazewniczego *r – r* (*MaRienbuRg*, *KReuzbuRg*) na *l – r* (tak jak np. polskimi odpowiednikami przejętych z niemieckiego wyrazów *Vorwerk*, *Rotgiesser* czy *Barbier* są *folwark*, *ludwisarz* i *balwierz* (wyparty przez pochodzącego z języka francuskiego *fryzjera*).

Fonetyczne przekształcenia naszej nazwy doskonale oddają historyczne zapisy: *Cruceborch* 1252, *Cruczburch* 1257, *Kluczbork*, *Kruciborek* XVII w., *Kluczborek*, *Kluczbork* 1883.

Z nazw miejscowości gminy Kluczbork warto też przywołać *Ligoty – Dolną*, *Górną* i *Zamecką* (z gminy Wołczyn – *Ligotę Wołczyńską*), by uświadomić sobie, że wraz z innymi *Ligotami* i *Lgotami* są one śląskimi odpowiednikami znaczeniowymi ogólnopolskich *Wól*, *Wólek* i *Wolic*.

Wola oznaczała czasowe uwolnienie osadników zakładających nową miejscowość od czynszów i robocizny, jeśli była

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

W dolinie Stobrawy

ona zastrzeżona dla pana wsi, albo często też i od dziesięciny kościelnej. To uwolnienie zwano w dokumentach lokacyjnych *libertas* – po polsku *wola*. Pierwsze wiadomości o *Wolach* pochodzą z lat 1254, 1257 i 1262, co pozwala na połączenie ich w pierwotnym okresie z osadnictwem na prawie polskim. Powstawanie *Wól*, *Wólek*, *Wolic* nabrało jednak masowego charakteru dopiero w XV, a szczególnie w XVI wieku i przeciągnęło się w czasy nowożytne, nie tracąc wiele na intensywności, bo mamy ich – samodzielnych i z przydawkami określającymi – ponad 1500.

To samo znaczenie co *wola* ma *Igota*, czyli „ulżenie ciężaru osadnikom” (ten sam rdzeń co w wyrazie *ulga*). Nawiązują do niej śląskie *Lgoty*, *Ligoty*, najliczniej występujące na ziemi opolskiej, sporadycznie trafiające się też w przyległych do Śląska powiatach Wielko- i Małopolski. W sumie jest ich 75 – na Śląsku 59, w Małopolsce 10, w Wielkopolsce 6. Tak jak na Śląsku nie ma *Wól* w Czechach. Wy-

stępują tam wyłącznie *Lhoty*, co wskazuje, że te dwa obszary – śląski i czeski – są ze sobą językowo i kulturowo związane.

Z podkluczborskich Łowkowic pochodził i tam jest pochowany ks. Jan Dzierżon (Dzierżoń), wybitny znawca pszczół, w roku 1872 wyróżniony tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Monachijskiego, rok później ekskomunikowany za kwestionowanie dogmatu o nieomyślności papieża. Autorzy „W dolinie Stobrawy” słusznie wiążą nazwę *Łowkowice z łowczymi i łowiectwem* (*Lofskowitz* 1253), informując ponadto o innych zapisach: *Irschotnin*, *Rengoczin*, *Vloscha*, *Dittmarsdorf*, a od r. 1936 – *Bienendorf* „wieś pszczół” (wyraźne nawiązanie do działalności światowej sławy pszczelarza).

Pogardliwym określeniem oracza, chłopca był w staropolszczyźnie *smard* (od czasownika *śmierdzieć*). Z formą tą związane są etymologicznie położone blisko Kluczborka *Smardy*, wzmiankowane już w drugiej połowie XII wieku.

Do otaczających lasów albo do ludzi zamieszkujących te lesne obszary nawiązuje *Lasowice Małe* i *Duże* oraz *Laskowice* – znaczeniowo odpowiadające, oczywiście, *Lasowicom* i *Laskowicom* innych rejonów.

Kiedy zaś czytam o *Chudobie* należącej do gminy Lasowice Wielkie i etymologicznie znaczącej tyle, co „chuda, nieurodzajna ziemia”, to natychmiast kojarzę ją ze znanym dolnośląskim uzdrowiskiem *Kudowa*, która też się najpierw nazywała *Chudoba*. Wtórnie nagłosowe „k”, silniejsze artykulacyjnie, bo zwarte, a nie szczelinowe jak „ch”, pojawiło się w substytucie niemieckim, a wspomniana wyżej Komisja Urzędu Rady Ministrów postanowiła je po roku 1945 utrzymać (choć pojawiały się i warianty typu *Chudobowice!*).

Brynicy z gminy Wołczyn trudno nie skojarzyć z nazwą rzeczną *Brynica*. Oczywiście jest tutaj etymologiczny związek z prasłowiańskim pniem *brnje* – „błoto” (por. też nazwę miejscową *Brenna*).

Typową nazwą służebną są także *Swinia-ry* (*Małe* i *Wielkie*) – pierwotne określenie ludzi-hodowców świń (por. *Piekary*, *Miedary* – „producenci miodu, późn. miodu”, *Psary*, *Winiary*, *Bobrowniki*, *Mydlniki*, *Łągiewniki* – „producenci łągwi – pojemników na płyny”, *Skotniki* – od *skot* „bydło”, *Szczytniki* – „producenci szczytów – tarcz”, *Żerniki* – z dawn. *Żerdniki* – „producenci żerdzi”).

Prawa miejskie otrzymał już w roku 1216 Wołczyn. Ale że niemiecki osadzca nazywał się *Kunzo Wilrych*, był to najpierw *Kunzenstadt*, a potem *Konstadt*. Nazwa polska pojawiła się dopiero w latach 1783 i 1845: *Walczyn*, *Walczyn* – od nazwiska *Walcza*, *Walek*. Ostatecznie po wojnie przyjęto wariant *Wołczyn* – z „a” zwężonym do brzmienia „o”.

Autorom i wydawcom gratuluję ambitnego dokonania, jakim jest niewątpliwie przywołane opracowanie. Polecam je więc z pełnym przekonaniem czytelnikom „Śląska”.

Dumne, muzyczne Katowice

Przeczytałam niedawno w „Gazecie Wyborczej” (31 stycznia – 1 lutego 2015) zdanie wypowiedziane przez Krzesimira Dębskiego w rozmowie z Anną S. Dębowską: „Miesiąc temu miałem koncert w sławnym Auditorio Nacional w Madrycie. Po Katowicach czułem się w nim jak w okręgowym domu kultury. Boazeria, proszę pana...”. I to nie koniec słów zachwytu tego dyrygenta i kompozytora nad katowickim NOSPR. Zachwycają się śląskimi salami koncertowymi najznakomitsi artyści – przywołują nie tylko tę owianą już międzynarodową sławą, ale także salę „Symfonia” Akademii Muzycznej w Katowicach – dzieło tego samego architekta Tomasza Koniora. Pisząc o NOSPR przywołują nazwisko japońskiego akustyka Yasuhide Toyotę, przypominają, że budowa obiektu trwała znacznie krócej aniżeli jej perfekcyjne „strojenie”. I jeszcze w kontekście tego mistrza dźwięku pojawia się nazwisko Krystiana Zimmermana, który lobbował w sprawie budowy nowej siedziby NOSPR. Wszyscy zgodnie mówią, że to jedna z najlepszych w świecie sal koncertowych. Znakomity program z udziałem wybitnych wykonawców muzyki różnego gatunku gwarantuje tej instytucji powodzenie – tak wśród artystów jak i melomanów. NOSPR stał się katowicką Mekką dla tych, którzy chcą się na własne oczy i uszy przekonać o niezwykłości tego miejsca.

W tej samej wspomnianej „Gazecie Wyborczej” jest jeszcze tekst analizujący najlepsze sale koncertowe w Polsce. Katowice wiodą zdecydowany prym w tym względzie – nie zapomniano o oddanej w minionym roku po trwającej kilka lat modernizacji i rozbudowie Filharmonii Śląskiej. To jeszcze jedna wienienka na polskim muzycznym torcie. A do tego jeszcze dojdzie niebawem sala w budującym się Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Na dobrym poziomie wybudowano salę koncertową przy Szkole Muzycznej w Sosnowcu, a także Dąbrowa Górnicza odzyskała po remoncie Pałacu Kultury salę teatralno-koncertową. Żory też wzbogaciły się o swoje muzyczne centrum.

O tym, że Śląsk muzyką stoi wiadomo od dziesięcioleci. Solą tego zjawiska są jednak odbiorcy muzyki. O stałych bywalców nie muszą niepokoić się muzyczne instytucje, także bilety zostają wyprzedane na długo przed koncertem wielkich artystów. Są wśród tych wiernych melomanów tacy, o jakich wspominała niedawno w rozmowie ze mną Agnieszka Młynarczyk – szefowa promocji Filharmonii Śląskiej – kilkadziesiąt lat na jednym fotelu! O wierność tych bywalców nie trzeba się niepokoić. Niepokój dotyczyć może młodego pokolenia, które wiedzy o muzyce i potrzeby bywania na koncertach nie wyniesie ze szkoły podstawowej czy gimnazjum. Niewiele jest skorupiek, które muzyką proponowaną przez NOSPR czy Filharmonię Śląską nie nasiąkną. Nawet często nie wiedzą dlaczego. O nich trzeba powalczyc. Przyzwyczajenie, potrzeba poznania i pozytywny snobizm są najskuteczniejszymi środkami do zapelniania tych dopracowanych pod każdym względem sal. Kiedy przed laty edukację muzyczną zaczynało się przy Plebiscytowej 3 (dawna siedziba WOSPR – dziś NOSPR) nie sposób omijać te nowe adresy. Przyzwyczajenie i potrzeba bycia, nic więcej.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Plakat z Teatru Śląskiego na wystawie w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Plakaty ze zbiorów Muzeum Plakatu w Warszawie, ze Starego Teatru w Krakowie oraz Teatru Śląskiego zostaną pokazane na wystawie w przestrzeni ministerstwa. Wśród wybranych 40 prac znajdują się m.in. historyczna praca Stanisława Wyspiańskiego z 1899 roku, plakaty takich twórców polskiej szkoły plakatu jak Henryk Tomaszewski, Waldemar Świerzy czy Andrzej Pągowski, po współczesne propozycje Grzegorza Laszuka czy studia Homework. Na wystawie m.in. prezentowany będzie plakat do „Śmierci na gruszy” autorstwa Daniela Mroza do sztuki realizowanej w Teatrze Śląskim w Katowicach (1970).

Wernisaż „40/250” odbył się 29 stycznia 2015 r. Wystawa w gmachu MKiDN będzie prezentowana do końca grudnia 2015.

Paszport Polityki dla Jakuba Woynarowskiego

Jakub Woynarowski wykładowca na studiach doktoranckich ASP w Katowicach został laureatem w kategorii Sztuki wizualne za „oryginalne łączenie badań nad historią sztuki i kultury z artystyczną praktyką”.

13 stycznia w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie miała miejsce uroczysta gala wręczenia Paszportów Polityki. Paszporty Polityki przyznano w pięciu głównych kategoriach: Film, Muzyka popularna, Literatura, Muzyka poważna, Teatr i Sztuki wizualne.

Jakub Woynarowski urodził się w 1982 r. w Stalowej Woli. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki oraz w Międzywydziałowej Pracowni Intermediów. Prowadzi zajęcia na macierzystej uczelni oraz na studiach trzeciego stopnia – środowiskowych studiach doktoranckich w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. To



Fot. internet

Jednym zdaniem

■ W galerii Foyer Teatru Śląskiego odbyła się wystawa malarstwa Ewy Kuternak-Madej absolutnie a obecnie pracownica dydaktycznego krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, profesora sztuk plastycznych, uczestniczki wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych, uhonorowanej przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego medalem honorowym Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”.

■ Również sosnowiecka Miejska Biblioteka Publiczna zaprasza do wzięcia udziału w wystawie „Piękno Ziemi Gorlickiej”.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu odbyło się spotkanie autorskie z Łuka-

artysta wszechstronny: rysownik, grafik, twórca komiksów, artbooków, atlasów, filmów, instalacji, inicjator działań w przestrzeni publicznej, kurator wystaw, autor esejów. Cechą charakterystyczną jego twórczości jest łączenie teoretycznej refleksji z działaniami z zakresu sztuk wizualnych. Jakub Woynarowski zwrócił na siebie uwagę projektem artystycznym polskiej ekspozycji na Biennale Architektury w Wenecji (powstał w współpracy z zespołem kuratorskim z Instytutu Architektury), gdzie pod lupę wziął symbolikę baldachimu nagrobka Józefa Piłsudskiego.

Japońskie militaria po konserwacji

Japońskie militaria, pochodzące z XVIII i XIX wieku – broń i broń sieczna oraz drzeworyty z początku ubiegłego stulecia, przedstawiające sceny z wojny chińsko-japońskiej i epizody średniowiecznej legendy o Heike – to jedne z najciekawszych i najcenniejszych zabytków, jakie w swoich zbiorach posiada Muzeum w Gliwicach. W związku z planowaną w przyszłym roku wystawą część wschodniej kolekcji – o największej wartości historycznej i artystycznej – poddana została gruntownej konserwacji. Projekt był realizowany przez cały 2014 rok i zakończył się w styczniu 2015 roku. Prace dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Muzeum w Chorzowie zaprasza

W lutym można oglądać wystawę grafiki – mistrza Jana Szmatocha zatytułowaną „Jan Szmatoch. Grafoteka”. Ponadto Muzeum zaprasza do obejrzenia wystawy „Hutnictwo w Polsce” oraz „Konserwacja-ratunek dla zabytków. Prezentacja zbiorów Działu Etnografii”.

Wśród stałych propozycji Muzeum jest wystawa numizmatyczna: „Z dziejów pieniądza. Polska – Śląsk”. Natomiast w cyklu wykładów „Granice historii – Historia bez granic” będzie można wziąć udział w wykładzie „Dandys w Warszawie. Polska w twórczości zachodnich muzyków”, który poprowadzi dr Jacek Kurek.

Gliwicki biedermeier w Pałacu Mieroszewskich

Biedermeierowskie meble ze zbiorów Muzeum w Gliwicach zobaczyć można w Pałacu Mieroszewskich – jednym z Oddziałów Muzeum Zagłębia w Będzinie. Owalny stół, krzesła i kanapa fornirowane jasnym drewnem, unikatowa kołyska dziecięca pochodząca z około 1820 roku o zaokrąglonym dnie, fotel do czytania z wygodnym siedziskiem zwany uszakiem, niaćki – mały stolicek z szufladą na ozdobnej podporze w kształcie liry... Wizyta w salonie zacnego pana Meiera przynosi zwiedzającym w świat kultury mieszczańskiej, w którym ceniono szczęście rodzinne, bezpieczeństwo i dostatek. Meble pozostaną w Pałacu Mieroszewskich przez najbliższe 3 lata.

Nazwa stylu biedermeier wywodzi się od dwóch słów: „bieder” – czyli „zaczny”, ale również i w innym, pejoratywnym znaczeniu – „zwyczajny”, nawet „zaściankowy” oraz „Meier” – popularnego w krajach niemieckojęzycznych nazwiska. Twórcami tego określenia było dwóch Niemców, którzy wspólnie

szem Orbitowskim autorem książki „Zapiski nosorożca”, laureatem licznych nagród literackich, nominowanym za książkę „Szczęśliwa ziemia” do Nagrody Literackiej Nike.

■ W koncercie „Karnawał z Piazzolą” zorganizowanym przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w MDK „Koszutka”, wystąpili: Marek Andrysek – akordeon, Marek Nosal – gitara, Kazimierz Skowronek – skrzypce, Piotr Kopiński – fortepian, Aleksander Mazanek – kontrabas.

■ Koncertową wersję operetki Johanna Straussa „Baron cygański” wykonał podczas koncertu w Akademii Muzycznej w Katowicach

stworzyli postać Weilanda Gottlieba Biedermeiera, rzekomego autora poematów zamieszczanych w czasopiśmie „Fliegende Blätter” w latach 1855-1857. Biedermeier, czyli „Zanny Pan Meier” uosabiał ówczesnego przeciętnego, zubożającego po wojnach przedstawiciela niemieckiego



mieszczństwa, ale wciąż płacącego solidnie podatki i pielęgnującego życie rodzinne.

Określenie stylu Biedermeier powstało więc w zasadzie nieco później i odnosi się do malarstwa, literatury, muzyki, a także architektury wnętrz, mody na określone ubiory w krajach Europy Środkowej w latach 1815-1848. Można przyjąć, że w wystroju wnętrz mieszkalnych styl nazwany biedermeierowski był schyłkową, bardzo skromną fazą nurtu klasycyzującego, jego znacznym uproszczeniem z dodaniem wątków romantycznych oraz sentymentalnych. Korpusy mebli były wykonywane z taniego drewna, następnie pokrywane forniarami ze szlachetniejszych i bardziej dekoracyjnych gatunków. Meble były lżejsze, wygodniejsze i tańsze a ich dekoracja bardzo oszczędna, stosowano jedynie skromne intarsje. Jednym z ulubionych mebli w tym czasie był stojący niemal w każdym gabinecie biedermeierowski sekretarzyk z opuszczonym blatem. Do Pałacu Mieroszewskich trafił również mebel zwany etażerą, czyli regał o otwartych półkach, o pięknych esowatych kształtach, na którym ówczesni domownicy prezentowali bibeloty, porcelanę i szkło. Warto także wspomnieć o wyjątkowym ekspozycie, jakim jest fortepian-piramida. To jeden z niewielu zachowanych fortepianów tego typu w Europie.

Fotograficznie w Chwałowicach

Dom Kultury w Rybniku-Chwałowicach zaprasza na dwie wystawy fotografii krakowskich fotografów: „Podróżni” Artura Rychlickiego w Galerii Fotografii DeKa oraz „Remuh” Adama Gryczyńskiego w Galerii Drugiego Planu. Artur Rychlicki to krakowski fotograf, pedagog, filozof, twórca autorskich warsztatów fo-



Podróżni

tografii. Swoje prace prezentował w Polsce, Wielkiej Brytanii, Danii, gdzie prowadził również warsztaty fotograficzne. Współpracował w projektach artystycznych m.in. z Richardem Demarco oraz Andrea Cusumano. Specjalizuje się w fotografii analogowej (techniki srebrnej) oraz technikach szlachetnych (m.in. guma chromianowa). Na zajęciach warsztatowych prowadzi również wykłady z historii fotografii, sztuki oraz z zagadnień związanych z estetyką.

Adam Gryczyński jest pedagogiem, artystą-fotografikiem, animatorem kultury, redaktorem. Urodzony w 1957 r. w Krakowie. Ukończył pedagogikę i wyższy kurs fotograficzny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1983 roku jest kierownikiem działu fotograficzno-filmowego w Nowohuckim Centrum Kultury. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików – Okręg Świętokrzyski, Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego oraz Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Na swoim koncie ma kilkadziesiąt własnych wystaw indywidualnych prezentowanych w Polsce i zagranicą. W Amatorskim Klubie Filmowym „Nowa Huta” zrealizował cztery filmy, m.in. „Remuh”. Pod jego redakcją ukazują się książki z serii „Czas zatrzymany”, albumy i broszury.



„Remuh”

Fot. Adam Gryczyński

The Wall. Art w Mediolanie

Wystawa The Wall. Art Face To Face With Borders podejmuje temat granic w sztukach wizualnych w ujęciu społeczno-politycznym, ekonomicznym, historycznym i egzystencjalnym. Tytuł nawiązuje do Muru Berlińskiego, będącego przez kilka dekad kluczowym punktem zagranicznej polityki krajów po obu stronach „żelaznej kurtyny”, a dziś stanowiącego popularny na Zachodzie Europy wzór „Ost-algicznej” pamiątki z podróży. Z drugiej zaś strony, odnosi się do pop-kultury i legendarnego albumu grupy Pink Floyd. Berliński Mur przez lata zimnej wojny ucieleśniał stałą konstrukcję polityki zagranicznej wielu krajów, swojego i obcego, przyjaciela i wroga, wolnego i uciśnionego.

Nowe granice i ich planowanie powstają w oparciu o dziedzictwo kulturowe czy religijne, bazując najczęściej na wyobrażeniu stałego konfliktu, np. koncepcja starcia cywilizacji Samuela Huntingtona postulowana w polityce USA lub odnawiane myśli o zmierzchu Zachodu. Niektóre są symptomem lęku przed nowym Innym, będącym raczej rezultatem kolonialnego dziedzictwa, skutkującym wzrostem populistycznych wypowiedzi ksenofobicznych, aż po restrykcje dla nielegalnych imigrantów.

Wystawie towarzyszy publikacja z tekstami pisarzy i teoretyków sztuki oraz dokumentacją prac. W kolejnych odsłonach wystawa będzie się powiększać o dzieła artystów pokazujących zagadnienie granic w globalizacyjnym ujęciu danego miejsca.

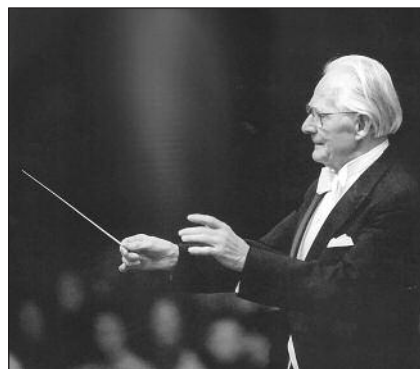
Wystawa jest współorganizowana przez Fundację Imago Mundi i CSW Kronika w Bytomiu. Projekt powstał dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, i Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Mediolanie. Kuratorem wystawy jest Stanisław Ruksza.

W stulecie urodzin Karola Stryji

2 lutego 2015 roku minęła setna rocznica urodzin prof. Karola Stryji (1915-1998), spośród dyrektorów Filharmonii Śląskiej uważanego za najbardziej dla niej zasłużonego. 25 stycznia 2002 roku filharmoniczną salę koncertową nazwano Jego imieniem. W bezprecedensowej 37-letniej kadencji kierownika artystycznego i dyrektora zbudował prof. Karola Stryja markę Filharmonii Śląskiej jako jednej z najlepszych w kraju i Europie. W 1973 roku utworzył profesjonalny filharmoniczny chór, a w 1981 r. dzisiejszą Śląską Orkiestrę Kameralną. Był cenionym promotorem nowych utworów Bolesława Szabelskiego, Wojciecha Kilara, Henryka Mikołaja Góreckiego i innych kompozytorów. Po zorganizowaniu dwóch krajowych, w roku 1979 zainicjował Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach i prowadził kolejne aż do śmierci. Dziesiąty odezł się w 2017 roku. Od szesnastu lat na przełomie stycznia i lutego wyrazem pamięci o Profesorze są koncerty „Karol Stryja in Memoriam”.

Programem koncertów wychowanek Profesora, Mirosław Jacek Błaszczyk tradycyjnie już nawiązuje do idei Karola Stryji prezentowania największych muzycznych dokonań klasyki światowej i polskiej oraz dzieł naszych czasów.

W tym roku były to utwory Hectora Berliozy i Karola Szymanowskiego oraz zaprzyjaźnionego z Filharmonią Śląską Piotra Mossa. Solistą koncertu był wybitny skrzypek Roman Lasocki.



Fot. Filharmonia Śląska

Setna rocznica urodzin Profesora była także okazją do przygotowania przez Filharmonię Śląską wystawy, na którą złożyły się fotografie przedstawiające osobę i działalność Karola Stryji w służbie muzyki. Poza planszami z bardziej i mniej znanymi fotografiami Profesora i przywołującymi niektóre z prasowych doniesień i relacji, prezentowane są osobiste pamiątki po Mistrzu – partytury z jego notatkami i uwagami, Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski – drugie po Orderze Orła Białego najwyższe polskie państwowe odznaczenie cywilne, jakim odznaczony został w 1995 roku.

zorganizowanego przez IPiUM „Silesia” Anna Nowoczyn – sopran, Karolina Wiczorek – sopran, Anna Borucka – mezzosopran, Tomasz Urbaniak – tenor, Adam Woźniak – baryton.

■ Tytuł profesora honorowego Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach otrzymał prof. Kazimierz Zarast.

■ Do 26 kwietnia w Muzeum Miejskim w Zabrze można oglądać wystawę pt. „Górnoślązacy w polskiej i niemieckiej reprezentacji narodowej w pilce nożnej – wczoraj i dziś. Sport i polityka na Górnym Śląsku w XX wieku.”

■ W Studiu Koncertowym Polskiego Radia Katowice koncertowali laureaci Międzynarodowego Kon-

kursu Muzycznego im. Michała Spisaka w Dąbrowie Górniczej: Izabela Berdy – obój, Magdalena Wojciechowska – wiolonczela, Katarzyna Makowska – fortepian i Michał Gajda – akordeon.

■ W Muzeum Miejskim w Tychach otwarta została wystawa „Tychy oczywiste i nieoczywiste”, której patronował miesięcznik „Śląsk” (więcej o wystawie w najbliższym wydaniu).

■ Malarstwo Wiesława Ochmana – światowej sławy tenora, solisty nowojorskiej Metropolitan Opera ale także i twórcy obrazów, gościło w Stajniach Książęcych w Pszcznie.

■ W galerii Art. Nova2 ZPAP w Katowicach gościła wystawa „12345678”.

■ W Instytucie Mikołowskim otwarto wystawę malarstwa Moniki Ślósarczyk – absolwentki ASP w Krakowie w pracowni Jana Szancenbacha, zatytułowaną „Pugilares przyjemności”.

■ Miasto Katowice oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszały do Galerii Katowice na wystawę zbiorową fotografii „Katowice w obiektywie 2014”.

■ Na wystawę „6 x Botor” zapraszała Miejska Galeria Sztuki „Obok” w Tychach.

■ Dział Teatralno-Filmowy Muzeum Historii Katowic zaprasza na XV spotkanie z cyklu „Przyjaciele Barbary i Stanisława” oraz wystawę Moniki Hartman „Trancendencje”.

Fot. Artur Rychlicki

Mistrz greckiego nieba

Józefa Holarda (22 III 1957 – 19 I 2015) pochowaliśmy 22 stycznia na cmentarzu we Włosienicy nieopodal Oświęcimia. W liczonym gronie przyjaciół i znajomych ze Śląska i Małopolski byli rodzice artysty. Książd spieszył się z ceremoniałem, jakby zmarły był jeszcze niemowlakiem bez życiorysu, a nie zasłużonym twórcą, profesorem.

Tymczasem Józek od 30 lat był jednym z najbardziej rozpoznawalnych beskidzkich artystów. Po raz pierwszy usłyszałem o nim w Warszawie. Była połowa lat 80. Komuna trzymała się jeszcze mocno. Poszliśmy z Tadekiem Mocarskim na obiad do Domu Literatów. Za chwilę przybył tam także Tadeusz Kijonka. Gdy dowiedział się, że mieszkam w Bielsku-Białej, od razu zapytał o Józefa Holarda. To ktoś młody, zdolny. Było mi wstyd. On już go znał, ja jeszcze nie. Zaległości nadrobiłem po paru latach, gdy wróciłem do dziennikarstwa. Początkowo spotykałem go głównie na wernisażach; później także na uczelni czy na wódce.

Agata Smalcerz powiada, że łączył symbolikę z ekspresją. Wydawało mi się, że jego niektóre obrazy, pełne drapieżnych ognistych form, oscyływały w kierunku abstrakcji, choć zapewne nigdy nie namalował abstrakcyjnego obrazu. Wszystko dla niego miało bowiem istotne znaczenie, nawet barwy, które wybierał, a które przypominały mu ulubione greckie niebo i wyspy. Nic dziwnego także w tym, że duży cykl dzieł malarskich poświęcił Umberto Eco. W okolicach Apeninów i Peloponezu były źródła jego twórczych mocy.

Myślę, że z tamtych źródeł czerpał siłę życia. Spod ciemnego kapelusza z szerokim rondem spoglądały dobre oczy i ciepły uśmiech. Dobrze utrzymana broda dopełniała wizerunku profesora – mędrca, przewodnika po świecie sztuki. Znacząca postura dodawała akademickiej powagi. Chyba tak też postrzegać go będą studenci cieszyńskiej uczelni artystycznej, dla których był duchowym drogowskazem. Jego uczniowie wspominają, że był emanacją dobra, choć nie zawsze rozumieli, co do nich mówił w czasie akademickiej korekty. – Prawdziwy Izraelita, w którym nie było podstępny – biblijną frazą określił go inny bielski profesor Ernest Zawada.

O takich ludziach jak on mówi się, że żyją pełnią życia. Do końca. Jeszcze kilka dni przed śmiercią snuł plany, dzwonił do wielu ludzi i pytał o zdrowie, umawiał na spotkania, wystawy, zamartwiał się chorobami kolegów. Zadbął o nas nawet po śmierci – żebyśmy się z nami nie rozstać. Wypiliśmy w drodze na jego pogrzeb flaszczykę belwederskiej mioduli, którą zostawił Ernestowi po swoim ostatnim bielskim wernisażu w zeszłym roku. Wiedział co dobre. Miał świetny gust.

JAN PICHETA

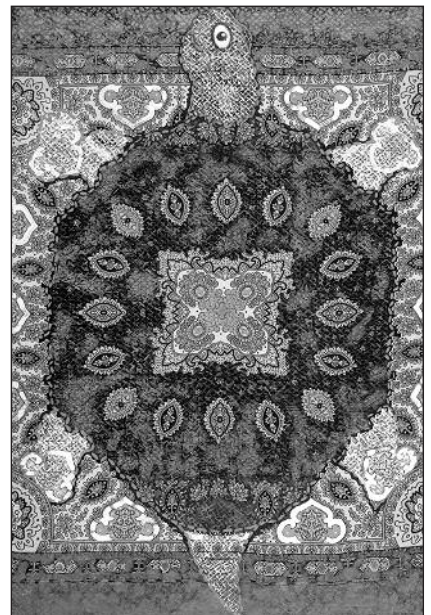
BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Prezentacje Kalendarza Beskidzkiego

Wydawany przez Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia Kalendarz Beskidzki ukazał się w tym roku po raz 49. W styczniu odbyły się trzy promocje rocznika, połączone z lokalnymi wydarzeniami kulturalnymi. W Starym Zamku w Żywcu gościem spotkania był m.in. obchodzący 50. rocznicę pracy artystycznej folklorysta, muzyk i muzykolog Jan Brodka, nb. ojciec słynnej piosenkarki Moniki. W kinie Beskid w Szczyrku goszczono znanego w Karpatach i Apeninach muzykującego górala z Krawcowego Wierchu Szymona Kreczmera oraz artystyczny klan Walczaków – rzeźbiarzy i muzyków z Podmagury. Biblioteka Miejska w Ustroniu gościła natomiast głównie bohaterów Kalendarza Beskidzkiego – skrzypaczkę Joannę Franciszkową i jej mamę Krystynę Fuczik. Ta ostatnia zaprezentowała m.in. piosenki z najnowszej płyty „Olsnienie” z własnymi kompozycjami do tekstów Juliusza Wątroby i Miecysława Stanlika. Juliusz Wątroba przy pomocy ciepłego głosu aktorki Krystyny Pryszczak prezentował także wiersze ze swego nowego, 35. już tomu „Turkucie spod ładki” ilustrowanego rysunkami Andrzeja Czeczota. Wystąpili też świetni miejscowi muzycy Maciej Rosenberg i Marcin Cieślak oraz ustronscy twórcy galerii – Beata i Andrzej Malcowie, którzy z kości wołu wyczarowują niezwykle zgrabne bibeloty, od grzebyków przez breloki po łyżki do butów.

Trzy wystawy dwóch artystek

Bielszczanka Karina Czernek prezentuje w lutym w Galerii Bielskiej BWA dwie wystawy. O pierwszej z nich „Szepem widzenie” dyrektorka placówki Agata Smalcerz powiada, że uwodzi niezwyczajną techniką i subtelną grą z widzem. Obrazy wymagają uważnego patrzenia, wydobywania z wzorzystych tkanin niuansów, kształtów przypominających zarys kobiecego ciała. Namalowane białą sylwetki, zaledwie sugerujące podpatrzonej gest lub pozę, wyrażają zachwyty autorki nad ulotnym pięknem.



Karina Czernek, „Żółw” z cyklu „Ukryte zwierzaki”, 2013, technika własna

Druga ekspozycja nosi tytuł „Ukryte zwierzaki” i prezentuje ilustracje do jej autorskiej książki dla dzieci. W BWA można ponadto oglądać na wystawie pt. „Rosarium” prace fotograficzne o charakterze intermedialnym autorstwa prof. zw. UMCS w Lublinie Ireny Nawrot, która określa swoje dzieła jako „najprawdziwsze zmyślenia”. Lublinianka jest mistrzynią fotografii inscenizowanej. Wystawy trwać będą do 11 marca 2015 r.

Dzień Judaizmu

17 stycznia na starym cmentarzu żydowskim w Cieszynie odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą ponad 80 osobom zamordowanym przez hitlerowców w latach 1944-45. Przewodnicząca Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Bielsku-Białej Dorota Wiewióra uznała odtworzenie skradzionej przed laty tablicy pamiątkowej za cenną inicjatywę cieszyńskich władz. Burmistrz Cieszyna Ryszard Macura stwierdził, że cieszyńscy oddają cześć i szacunek nie tylko Żydom pomordowanym w czasie okupacji, ale również tym, którzy tworzyli Cieszyn i stanowili o kulturze miasta. Tego dnia w Domu Narodowym otwarto wystawę pn. „Znane postacie Żydów Śląska Cieszyńskiego”. Odbył się też koncert „Pytania o sens” Gangu Marcela. To wszystko w ramach XVIII Ogólnopolskiego Dnia Judaizmu, który zainicjował Episkopat Polski. Polska była drugim po Włoszech krajem na świecie, w którym zaczęto organizować Dni Judaizmu.

Jednym zdaniem

■ W rankingu polskich galerii Piotra Sarzyńskiego z tygodnika „Polityka” Galeria Bielska BWA zajęła 12 miejsce, o sześć miejsc wyżej niż w r. 2013.

■ Teatrolog Magdalena Legendź oraz kompozytor i muzyk Krzysztof Maciejowski zostali laureatami „Ikarów 2014”, nagród prezidenta Bielska-Białej za szczególne osiągnięcia w roku minionym (w pierwszym przypadku) i za dotychczasowy dorobek kulturalny (w drugim).

■ 9 stycznia w galerii ATH otwarto wystawę grafiki prof. US Ryszarda Pielesza „Moje góry”.

■ 18 stycznia na scenie Teatru Komedii Kuby Abrahamowicza zaprezentowano monodram

Piotra Bulki „Poczekalnia” w reż. Joanny Zdrady, w którym wystąpiła matka autora, rudochwiczanka Grażyna Bulkowa.

■ 23 stycznia w bielskim klubie Ruche Boy koncertował z okazji 20 rocznicy istnienia zespół Akurat.

■ Od 15 stycznia do 10 lutego w DK Włóknarzy wystawia swój „Pejzaż abstrakcyjny” artysta pochodzący z Koniakowa prof. dr hab. Ernest Zawada.

■ 29 stycznia w DK im. Wiktorii Kubisz otwarto wystawę twórczości zmarłego w 2013 r. filmowca, malarza i fotografa Franciszka Dzidy.

Jazzowe rytmy Częstochowy

Związki naszego miasta z jazzem mają dość długą historię. Przed laty Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski założył zespół Five O'Clock Orchestra (1969), a po latach zainicjował festiwal Hot Jazz Spring. Obecnie pojawiła się nadzieja na kolejne ważne jazzowe wydarzenie. OPK „Gaude Mater”, którego dyrektorem od marca zeszłego roku jest Tadeusz Pierśniak, oraz Filharmonia Częstochowska zaproponowały festiwal JAZZtochowa, nad którym opiekę sprawować będzie zespół Tie Break, w 2014 roku świętujący 35-lecie istnienia. Zgodnie z zapowiedziami, co roku inny muzyk grupy będzie dyrektorem festiwalu. Wprawdzie impreza oficjalnie ruszy dopiero w 2015, ale pierwsze koncerty mamy już za sobą.

W listopadzie w OPK „Gaude Mater” zagrała polsko-francusko-amerykańska grupa Magic Hands kierowana przez jednego z założycieli Tie Breaku, Krzysztofa Majchrzaka. Potem w ramach Ars Cameralis wystąpiła angielska grupa GoGO Penguin, w grudniu (znów w OPK „Gaude Mater”) New Bone, kiedyś w składzie z Arkiem Skolikiem, a na finał odbył się w Filharmonii koncert jubileuszowy Tie Break. Pod koniec stycznia zapowiadany jest natomiast występ Artur Dukiewicz Trio z utworami z najnowszej płyty Prana.

Ostatni raz Tie Break zagrał w Częstochowie w marcu 2013 roku, także z okazji jubileuszu, choć nieco spóźnionego. Zwielokrotnione świętowanie wynika z historii grupy. Czesław Łęk (perkusja), Janusz „Yanina” Iwański (gitara), Krzysztof Majchrzak (bas) zaczęli grać od 1977, ale zespołem Tie Break zostali dopiero jesienią 1979, gdy ówczesny menadżer, Marek Górniak, zgłosił zespół na Jazz Juniors '80. Potem nastąpiły zmiany w składzie osobowym, repertuarze, muzycznych inspiracjach – free, funk, muzyka świata, rock. Jednocześnie członkowie zespołu współtworzyli inne formacje muzyczne, m. in. Free Cooperation, Young Power, Voo Voo, Universal Supersession czy Woo Boo Doo.

Na koncercie 28 grudnia Tie Break wystąpił w składzie: Janusz „Yanina” Iwański (gitara, wokal), Antoni „Ziut” Gralak (trąbki, tuba, wokal), Marcin Pospieszalski (kontrabas, gitara basowa, wokal), Mateusz Pospieszalski (saksofony, wokal), Frank Parker (perkusja). Oprócz znanych przebojów (a z okazji jubileuszu przygotowano box zawierający wszystkie wydane krążki) muzycy zaprezentowali też kompozycje z przygotowywanej płyty, której premiera zapowiadana jest w lutym br. Na jubileuszu nie mogło zabraknąć gości; zagrali: Zbigniew „Uhuru” Brysiak (instrumenty perkusyjne), Włodzimierz Kiniorski (saksofony), Aleksander Korecki (saksofony), Stanisław Soyka (wokal), ale również Dzieci Tie Breaku: Cecylia i Marysia Gralak, Zuzanna Iwańska, Szczepan, Mikołaj, Nikodem, Marek i Łukasz Pospieszalscy (Pospieszalscy w projekcie Santa Barbara). W chórkach wystąpił też Kuba Soyka, a akustyką zajmował się Antek Soyka.

Czterogodzinny koncert poprowadził Piotr Metz, dziennikarz radiowej Trójki, i było to prawdziwe święto muzyki. O scenografię zadbał Jarosław Koziara, a o efekty multimedialne Dorota Jabłońska-Gralak. Historię zespołu przypominała także wystawa fotografii Anety Zaleskiej i Adama Krauzego.

Te wszystkie wydarzenia upowszechniły już nazwę JAZZtochowa. Pozostaje więc mieć nadzieję, że organizatorom starczy zapalu, a kolejne imprezy będą równie udane.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Muniek w Muzeum

Niemal od początku roku szkolnego w Gabinetie Wybitnych Częstochowian w Ratuszu (Muzeum Częstochowskim) można odwiedzać wystawę *Muniek story* (kuratorka Katarzyna Ozimek), by po raz kolejny przepowiedzieć sobie biografii chłopaka z Ostatniego Grosza. Pierwszy zespół powstał w stanie wojennym i tworzyli go: Darek Zając, Jarosław Woszczyzna, Janusz Janek Knorowski i Jacek Wudecki. Później debiut na studiówce w IV LO im. H. Sienkiewicza 4 lutego 1982, zakończonej o 22.00, po maturze wyjazd do Warszawy, a potem jeszcze dalej. Tak można by streścić biografię chłopaka, który jednak raz po raz powracał do „miasta świętej wieży”.

„Gabinet Muńka” to brzmi chyba zbyt poważnie, dlatego salki wystylizowano na rock'n'rollową knajpę. W takiej scenografii chętnie pojawia się sam bohater, zeszlóroczny zwycięzca plebiscytu „Człowiek 25-lecia” zorganizowanego przez lokalne wydanie „Gazety Wyborczej”. 8 listopada rozpoczął w Ratuszu promocję płyty *Prymityw: Reedycja*, która ukazała się 20 lat po premierze, by potem zagrać koncert w Teatrze from Poland. Ostatnio wspólnie z przyjaciółmi i fanami obejrzał tu dokumentalny film o sobie i T. Love Łukasza Wyleżałka *Śmierć leżaczom* (1993), a w lutym zapowiada spotkanie połączone z emisją filmu Kamila Brzóska *Nienawidzę rock'n'rolla* (2005).

Ekspozyty i materiały zgromadzone na wystawie pochodzą z archiwum Muńka oraz jego przyjaciół, m. in. Jacka Konia Śliwczyńskiego, basisty zespołu Shamboo oraz Szwagierkolska. Pamiątki otaczają zwiedzających, są na ścianach, na kolumnach, wiszą z sufitu. To zdjęcia, rękopisy, plakaty, identyfikatory, kasety, płyty, instrumenty, pałeczka perkusisty, a także książki o zespole (np. opublikowana praca magisterska Staszczyka), magnetofony jednokasetowe i, oczywiście, ciemne okulary. Przede wszystkim jednak są tu wzruszające dokumenty z życia rodzinnego Muńka: zdjęcia z rodzicami, z żoną Martą i dziećmi – Marysią i Jankiem, świadectwa szkolne, laurka narysowana przez syna... Całość uzupełniają teledyski na ekranie i muzyka z głośników.

Piękno Żeromskiego

O pięknej książce, swojej kolekcji dzieł Stefana Żeromskiego, ale także ich poprzednich właścicieli i wydawnictwach z przeszłości opowiadał 22 grudnia w OPK „Gaude Mater” Juliusz Sętowski, znany historyk Częstochowy.

Spotkanie zatytułowane *Żeromskiemu na urodziny* wpiśwało się w obchodzoną w październiku 2014 r. 150. rocznicę urodzin autora *Szyfowych prac* i było kolejnym z cyklu *Kolekcjonerskie*

rarytasy. Juliusz Sętowski podkreślał troskę autora o szatę graficzną książek, ale również opowiadał o podejmowanych przez Żeromskiego działaniach obrony przed nieuczciwymi wydawcami, czyli o tzw. markach ochronnych, przygotowywanych m.in. przez Kazimierza Młodziańskiego (do *Sulkowskiego*) czy Edwarda Okunia (do *Dumy o hetmanie*). Pokazywał też piękne wydania *Popiołów* przygotowane w drukarni Jakuba Mortkowicza w 1928 r. z 16 akwarelami Michała Borucińskiego i rysunkami Edmunda Bartłomiejczyka, *Powieść o udłym Walgerzu* (1906) opracowana przez Jana Stanisławskiego i Franciszka Wojtałę, *Puszczę jodlową* z grafikami m.in. Władysława Skoczylasa, *Rozdziobią nas kruki, wrony* (1905) z pracami Stanisława Janowskiego, *Echa leśne* (1905) z grafikami Jana Bukowskiego i chromotypią Jacka Malczewskiego, *Wierną rzekę* z ilustracjami Anny Zawadzkiej, a także powojenne *Szyfowe prace*, które dla Czytelni opracowała graficznie Monika Żeromska.

Sętowski w swojej pasji bibliofilskiej kontynuuje zainteresowania dziadka z Radomia. Posiada także zbiór dotyczący powstania styczniowego, druki socjalistyczne oraz kolekcję książek dla dzieci wydanych do 1939 roku, w czym wspiera go żona Małgorzata.

Świąteczna atmosfera

Jak przedłużyć świąteczną atmosferę, na którą czeka się cały rok? Na szczęście, zgodnie z polskim obyczajem jeszcze w styczniu można cieszyć się pięknymi dekoracjami, szopkami. Ważnym wydarzeniem jest również organizowany od kilku lat Orszak Trzech Króli. Oczywiście, główny szlak świąteczny w Częstochowie prowadzi Alejami na Jasną Górę.

Jeszcze przed świętami to właśnie tutaj odbywały się VIII Targi Bożonarodzeniowe *Gwiazdkowa Aleja*, a wśród stoisk z przysmakami (miody, oscypki, regionalne potrawy) oraz prezentami świątecznymi pojawiły się Herody z Dąbrowy Zielonej, czyli Herod, Anioł, Diabeł, Żyd, Turek i Śmierć. Działała też Poczta św. Mikołaja, która balony z życzeniami wysyłała prosto do nieba, a u harcerzy ZHP można było otrzymać światło betlejemskie. Poza tym licytowano bombki z autografami znanych osób – Muńka Staszczyka, Marii Seweryn, Grzegorza Małeckiego, Katarzyny Skrzyneckiej, a nawet św. Mikołaja.

W styczniu Alejami przeszedł Orszak Trzech Króli, odbywający się pod patronatem archidiecezji Wacława Dępy. Mędrcami ze Wschodu zostali w tym roku rektorzy częstochowskich uczelni: dr hab. inż. Zygmunt Bąk (rektor Akademii im. Jana Długosza), prof. dr hab. Zygmunt Nitkiewicz (prorektor Politechniki Częstochowskiej) oraz ks. dr Andrzej Przybylski (rektor Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Częstochowskiej).

A na Jasnej Górze wciąż można oglądać szopkę pod hasłem: „Nawróćcie się i wiercie w Ewangelię”, przygotowaną pod kierunkiem o. Bronisława Kraszewskiego. Tym razem zawisły tu lustra i różnokolorowe zegary – symbole wanitatywne, by zachęcić odwiedzających do zastanowienia się nad sobą i nad upływającym czasem. W Wieczerniku natomiast już po raz siódmy wystawiono 40 choinek przystrojonych przez dzieci własnoręcznie wykonanymi ozdobami.

Jednym zdaniem

- Zagrali: Teatr from Poland – Rażeni Piorunem; Klub Rura – Mes, Novika oraz Mr. Lex; Filharmonia Częstochowska – Zakopower; Klub Muzyczny „Klimaty” – Śląska Grupa Bluesowa; plac Biegalskiego – Varius Manx, Agata Dziarmagowska.
- Wystawy: Konduktorownia – *Camp ist Maine Kampf* Pauliny Penc; Galeria „Wejściówka” – Kamil Bartyzel; OPK „Gaude Mater” – malarstwo Jacka Paluchy.
- W OPK „Gaude Mater” Szopka Noworoczna Zbislawa Janikowskiego.

- Spotkanie z Wojciechem Prażmowskim w Galerii ART-FOTO w ROK-u w cyklu *Fotografia od podstaw do profesjonalizmu*.
- Kolekcjonerska opowieść o akordeonach Romana Krysta, animatora kultury, i jego żony Grażyny Łoś; podczas wernisażu w OPK „Gaude Mater” wystąpił akordeonista Paweł Janas.
- W CPM-ie powstała pierwsza w regionie czytelnia komiksów z inicjatywą grafika Marcina Koziarkiewicza; organizowane są także warsztaty komiksowe i opowieści o komiksach...

Opolski piewca Lwowa

Ile wypowiedziano słów o Lwowie z uniesieniem, miłością i nostalgią, ile razy sławiono w strofach wierszy i prozą, któż zdola policzyć? I choć dawnego Leopoldis już nie ma, to genius loci wciąż trwa i urzeka nowe pokolenia. Zarówno tych, co potargani wichrami dziejów pozostali w miejscu urodzenia jak i goście z oddali, którzy nie znali oblicza magicznego miasta, ale kiedy przyjechali doń i ujrzeli – pokochali od pierwszego spojrzenia. Tak było z młodym historykiem z Opola, który przegodnie trafił do Lwowa (jeszcze w czasach radzieckich w 1977 r.) i przeskoczył mur cmentarza na Lyczakowie, wyruszając na spotkanie z cieniami wielkich postaci polskiej kultury, nauki i sztuki. Lwów był miastem wyjątkowym w biografii Stanisława Sławomira Nicieji, dawał natchnienie i skłaniał do podejmowania naukowych wyzwań. W zamian pisarz oddzielił się hojnie, ocalał pamięć o przedwojennym Lwowie i jego mieszkańcach, składając cierpliwie rozbity witraż z okrucich wspomnień, pozólkich zdjęć i archiwaliów. Sprzyjała mu Fortuna, zdążył zapisać świadectwo odchodzącej diaspory i zaskarbił sobie przyjaźń wielu lwowian. Niezapomniany Jerzy Janicki (1928–2007) wybitny twórca radiowy, filmowy i telewizyjny, uhonorował opolanina mianem najmłodszego dziecka miasta Lwowa i przekazał na jego ręce, w sztafecie pokoleń, testament kresowej pamięci. Rok wcześniej rozgłos i uznanie prof. Nicieji przyniosła książka – „Cmentarz Lyczakowski we Lwowie 1786–1986” (Ossolineum, Wrocław 1988). Trzy edycje osiągnęły rekordowy nakład ćwierć miliona egzemplarzy. Na wrocławskim rynku przed oficyną wydawnictwa ustawiały się wówczas długie kolejki czytelników. Wrócić sukcesem wydawniczym okazał się również „Cmentarz Obrońców Lwowa” ...ale minęło już ponad ćwierć wieku od pierwszego spotkania Stanisława Nicieji z Jerzym Janickim w lwowskiej kawiarni. Czas zatoczył pętlę jak w wersach Janicjusza: „Jak szybko toczy się ta obręcz, dzieci! Tak samo pędzi czas i wasze życie./Upadła obręcz! I znów się podrywa! A pory, kiedy miną, już nie wrócą”. Młody historyk powrócił po latach do Lwowa z tytułem profesora i w tożde rektora, powrócił wypełnił testament Mistrza Jerzego, jako kustosz pamięci ponad dwustu miast i miasteczek kresowych, które stale upamiętnia w cyklu „Kresowa Atlantyda”. W sali lustrzanej Pałacu Potockich pod koniec stycznia, na prezentację V tomu, przybyli przedstawiciele polskiej i co godne podkreślenia, ukraińskiej inteligencji: korpus dyplomatyczny z Konsulem Generalnym RP Jarosławem Drodzem, profesorowie Uniwersytetu Lwowskiego im. Iwana Franki z Markijanem Malskim (byłym ambasadorem Ukrainy w Polsce), dziennikarze, historycy, aktorzy, nauczyciele i przewodnicy turystyczni. Wieczór prowadziła Beata Kost z-ca redaktora naczelnego „Kurieru Galicyjskiego”, który informował, że już na kilka dni przed spotkaniem wzbudziło ono wielkie zainteresowanie. Aby pomieścić wszystkich chętnych, organizatorzy musieli otworzyć sąsiednią salę i zorganizować dostawki. Dochód ze sprzedaży tomów „Kresowej Atlantydy” (100 hrywien) przeznaczono na pomoc ofiarom wojny na wschodzie Ukrainy. Kiedy w zaciszu domowej biblioteki ponownie przeglądałem publikację prof. S. Nicieji – nie mogłem się oprzeć refleksji, że mam do czynienia z fenomenem nowego piewcy Leopoldis, nawiązującego do najpiękniejszych kresowych tradycji literackich – Stanisława Wasylewskiego (seria Cuda Polski – Lwów), spoczywającego na opolskiej Półwsi i Jerzego Janickiego (Nima jak Lwów), wyróżnionego doktoratem honoris causa Uniwersytetu Opolskiego. Przeniesienie powiązało już na zawsze losy tych pisarzy z dziejami dwóch kresowych miast – Opola i Lwowa.

JANUSZ WÓJCİK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Malarstwo Krzysztofa Buckiego

W Muzeum Śląska Opolskiego zaprezentowano wystawę malarstwa Krzysztofa Buckiego (1936–1983), uznawanego przez krytykę za jednego z najwybitniejszych artystów jaki tworzył w Opolu po 1945 r. Urodził się w Pińczowie, tam też spędził dzieciństwo. Po ukończeniu ASP w Krakowie pracował jako nauczyciel w opolskim Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych a także jako docent w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, aktywnie działał w Opolskim Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. W 1974 r. otrzymał prestiżową nagrodę im. Jana Cybisa. Kurator dr Joanna Filipczyk postanowiła nadać wystawie charakter retrospektywny, ukazując najważniejsze akcenty twórczości artysty, przypominając jednocześnie fragmenty jego biografii utrwalonej na fotografiach, w dokumentach oraz archiwalnych nagraniach. Oprócz znanych obrazów (ze zbiorów prywatnych, własnych oraz wielu innych polskich muzeów), po raz pierwszy pokazano nieznane prace Buckiego (blisko 80 wczesnych plócien, głównie z czasów akademickich). Muzeum Śląska Opolskiego przekazała je w darze wdowa po artyście. Pozwijane i przechowywane w rulonach uległy wielu uszkodzeniom. Publiczność mogła ponownie obejrzeć te prace dzięki kunsztowi Pracowni Konserwacji Zabytków, którą kieruje dr Beata Wewiórka (znakomita malarzka i konserwator sztuki w jednej osobie). Warto również podkreślić, że oprócz walorów artystycznych prace Krzysztofa Buckiego mają cechy dokumentalne, sportretowały on bowiem znane postaci opolskiego środowiska kultury. Niejednokrotnie w sposób ironiczny, groteskowy, umieszczone w określonym kontekście. Na obrazach odnajdujemy pisarza i myśliciela Rafała Urbana z Głogówka (jako św. Sebastiana), opolskiego fotografa Kazimierza Nowakowskiego, kustosz tutejszego muzeum Kazimierz Lejman. Innych opolskich artystów Bucki upamiętnił także w scenie „Ostatniej Wieczery”.

Wspominali Tragedię Górnosłąską

Wydział Teologiczny Uniwersytetu Opolskiego, Instytut Historii Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO oraz burmistrz Prószkowa Róża Malik zorganizowali konferencję popularno-naukową na temat „Tragedii Górnosłąskiej”. Zgromadzona w auli Wyższego Semi-

narium Duchownego publiczność wysłuchała referatów przedstawiających realia na Śląsku w czasie panowania III Rzeszy (relacje państwo – Kościół), a także opisujących działania wojenne związane z ofensywą wojsk radzieckich w 1945 r. na Śląsku Opolskim, w wyniku których dotkliwie ucierpiała ludność cywilna i duchowieństwo. W sesji uczestniczyło liczne grono historyków związanych z Uniwersytetem Opolskim m. in. ks. bp prof. Jan Kopiec, ks. dr Piotr Górecki, dr Mariusz Patelcki, dr Adriana Dawid, ks. prof. Józef Mikołajec, prof. Marek Masnyk, prof. Barbara Kubis, dr Antoni Maziarz. Na zakończenie odbyła się dyskusja panelowa z udziałem przedstawicieli środowiska akademickiego, samorządowego i mniejszości niemieckiej. Kolejnym ważnym akcentem obchodów 70. rocznicy Tragedii Górnosłąskiej było spotkanie na cmentarzu ofiar powojennego obozu pracy w Łambinowicach, gdzie złożyli kwiaty i zapalili znicze: konsul RFN w Opolu Sabine Haake, wicemarszałkowie województwa Antoni Konopka i Roman Kolek oraz członek zarządu Grzegorz Sawicki, a także liczni przedstawiciele mniejszości niemieckiej na czele z Bernardem Gaidą przewodniczącym Związku Niemieckich Stowarzyszeń w Polsce. Dla upamiętnienia tragicznych wydarzeń ze stycznia 1945 r. na trasie z Folwarku do Zimnic Wielkich odprawiono nabożeństwo Drogi Krzyżowej. Wierni, którym przewodniczył ks. Krystian Ziąja, proboszcz parafii Chrząszczyce modlili się w intencji cywilnych ofiar tragicznych wydarzeń w okolicznych wsiach, za poległych żołnierzy z obu stron a także o pokój na świecie.

Polsko-niemiecka orkiestra młodzieżowa

Współpraca pomiędzy województwem opolskim i Nadrenią-Palatynatem (RFN) ma już długoletnią tradycję, która zaowocowała wieloma udanymi przedsięwzięciami. Jednym z przykładów tego partnerstwa jest trwająca już od 25 lat współpraca Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu z Willigis Gymnasium Mainz (Moguncja). Młodzi polscy i niemieccy muzycy wspólnie występują na koncertach poprzedzonych warsztatami muzycznymi, które są okazją do wzbogacenia umiejętności muzycznych i wzajemnego poznania oraz popularyzacji muzyki polskich i niemieckich kompozytorów. Stałym miejscem tych spotkań w naszym regionie są Głucholazy i Opole. Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna Willigis Gymnasium Mainz i PSM w Opolu uczestniczyły w koncercie noworocznym, nad którym patronat objęli konsul RFN w Opolu i marszałek województwa opolskiego. W auli koncertowej opolskiej szkoły młodzi muzycy zaprezentowali ciekawy program zdominowany przez znane utwory muzyki filmowej (Leroy Anderson, James Horner, Bob Lowden, Leonard Bernstein, Menry Mancini, Howard Shore). Orkiestry wystąpiły pod dyrekcją Huberta Prochota (dyrygent opolskiej PSM) i Hannelore Swartman z Moguncji.

Jednym zdaniem

■ Muzeum Piastów Śląskich w Brzeguzystało do realizacji ministerialnego programu „Kultura dostępna”, dzięki któremu będzie można skorzystać z bezpłatnych lekcji muzealnych, natomiast uczniowie i studenci po okazaniu legitymacji będą mogli zwiedzać wszystkie wystawy za symboliczną złotówkę.

■ Na zaproszenie Niemodlińskiego Towarzystwa Regionalnego ks. prof. Andrzej Hanich spotkał się z czytelnikami w sali konferencyjnej Niemodlińskiego Domu Kultury, tym razem historyk Kościoła zaprezentował książkę pt. „Smaki polskie i opolskie” zawierającą blisko 2500 zbranych przez siebie przepisów kulinarnych.

■ Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu wydało kolejny Rocznik Kulturalny pt. „Piosenka” pod redakcją Jana Poprawy. W obszernym wydawnictwie zamieszczono m.in.: szkice o piosenkach, informacje o festiwalach i ciekawych wydawnictwach muzycznych, teksty wierszy

i piosenek, wspomnienia o wybitnych artystach. Publikacja jest dostępna nieodpłatnie w wersji elektronicznej na stronie internetowej instytucji.

■ W rankingu tygodnika „Polityka” wśród najlepszych krajowych instytucji wystawienniczych znalazła się Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu, instytucję doceniono za harmonijną działalność na rzecz prezentacji lokalnego środowiska artystycznego i wydarzeń o zasięgu ogólnopolskim.

■ Przedsiębiorca z województwa dolnośląskiego, nowy właściciel biurowca dawnego Porcelitu oraz willi rodowej Schlegelmilchów w Tulowicach zamierza na bazie tych obiektów utworzyć prywatne Muzeum Śląskiej Porcelany.

■ Roman Sękowski, historyk i bibliotekarz, autor *Herbarza szlachty śląskiej* w ramach Śląskiego Forum Krajoznawców opowiadał o bibliotece hrabiów Prószkowskich na spotkaniu w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu.

Koncerty dla katedry

Minęło już ponad trzy miesiące od dramatycznych wydarzeń w nocy 28 na 29 października ubiegłego roku, kiedy to pożar strawił dach sosnowieckiej katedry i zdawało się wówczas bezpowrotnie uszkodził unikatowe polichromie wykonane przez Włodzimierza Tetmajera i Henryka Uziembłę. Do świadomości wielu Polaków dotarło wówczas, że jest to jedyny w Polsce kościół w całości wymalowany przez tych krakowskich twórców. Kiedy pisaliśmy o tym tuż po pożarze, zewsząd rozlegały się głosy wielkiego ubolewania ale także zapowiedzi wsparcia finansowego, choć szczegółowego stanu zniszczenia nikt wtedy nie potrafił ocenić. W końcu października, u progu nadchodzącej zimy pierwszym niezbędnym zabiegiem było zabezpieczenie uszkodzonego niemal doszczętnie dachu przed deszczami i śniegiem. Jak informuje proboszcz katedry ks. Jan Gaik straty okazały się znacznie większe, oprócz bezcennych malowideł zniszczeniu uległy także witraże a szkody poczynione przez użytą do gaszenia ognia wodę spowodowały niemal doszczętne zniszczenie sceny koronacji Maryi z transeptu. Odbudowę katedry wspierają nie tylko mieszkańcy miasta, których strata dotknęła najdotkliwiej, to bowiem najcenniejszy zabytek stolicy Zagłębia. Książę Gaik ze wzruszeniem mówi o wsparciu, które płynie zarówno od osób prywatnych (są to często nawet niewielkie kwoty) nie pozostali obojętni także władarze miasta, liczne instytucje. 300 tys. zł przekazało miasto, 100 tys. zł marszałek województwa. Ogromną pomoc okazały także inne diecezje, 402 tys. zł przekazali wierni archidiecezji katowickiej. Nikt nie jest w stanie podać ostatecznej kwoty za wszystkie prace – mówi ks. J. Gaik w wywiadzie zamieszczonym na stronie internetowej sosnowieckiej diecezji. – Koszt odbudowy dachu to niespełna 2 miliony (1 970 000). Odnowienie samego sklepienia nawy głównej (od ołtarza do chóru) to koszt 4 miliona. Około miliona pochłonie renowacja ołtarza głównego. Najpierw odnawiana będzie kaplica Matki Bożej Różańcowej (na lewo od ołtarza), gdzie chciałbym rozpocząć wieczystą adorację jako wyraz wdzięczności za ocalenie Katedry.

Mieszkańcy miasta nie poprzestali na jednorazowej zbiórce. Wciąż pojawiają się nowe inicjatywy ratowania zabytku. Sosnowiecka rada Rycerzy Kolumba jest organizatorem koncertów charytatywnych na rzecz odbudowy katedry. 21 lutego o godzinie 18.00 w sali koncertowej sosnowieckiej Szkoły Muzycznej wystąpi wokalista jazzowy, pianista i kompozytor Stanisław Sojka, tydzień później zagości na tej scenie Elżbieta Adamiak, której miejsce w czołówce twórców poezji śpiewanej jest niekwestionowane. Cegielki rozprowadzane na koncerty wspomogą konto odbudowy katedry. Czy powróci do pierwotnej świetności? Wszyscy głęboko wierzą, że tak. Z pewnością nie stanie się to jednak szybko. Żmudne odtwarzanie polichromii może potrwać wiele lat, ale nikt nie ma wątpliwości, że należy zrobić wszystko, aby to unikatowe dziedzictwo historyczne i narodowe znów mogło zachwycić.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Legends Czeladzi

W 2005 r. ukazała się książka „Wspomnienie o Stanisławie Jędrzejku”. Ta niewielka praca zbiorowa ocalała od zapomnienia człowieka, którego pasją było zbieranie legend i opowieści o zagłębiowskich grodach. Był nie tylko piewca i popularyzatorem kultury regionu, tworzył także poezję, pisał fraszki, drukował w prasie przed i powojennej, m. in. w dzienniku „Iskra”, „Kurierze Zagłębia”, „Pogładach”, „Ślasku”, „Wiadomościach Zagłębia”, „Katoliku”, „Gościu Niedzielnym”... Zgromadzone historie utrwalił w dwóch zbiorach: „Nad Brynicą i dwoma Przemszami” oraz „Sosnowiec. Opowiadania i legendy”. Spod jego pióra wyszły także m.in. „Poważne przysłowia w mniej poważnych fraszkach”, opowieść „O rycerzu Tomaszu z Sielca, strażniku czarnych diamentów”. Jak się jednak okazuje pasjonat i miłośnik Zagłębia Dąbrowskiego pozostawił wiele materiałów, które m. in. wykorzystało Muzeum Saturn w Czeladzi, publikując kolejne dzieło historyka-amatora, tym razem jest to „Miasto Czeladź w opowieściach legendarnych i historycznych”. Publikacja składa się z siedmiu legend i opowiadań znakomicie zilustrowanych przez Teresę Strojniak. 22 stycznia w siedzibie muzeum odbyła się uroczysta promocja książki, w spotkaniu uczestniczyła żona zmarłego w 2001 r. zagłębiowskiego gawędziarza Michałina Borowczyk-Jędrzejek. Fragmentów czeladzkich legend można było wysłuchać w mistrzowskiej interpretacji Dariusza Wiktorowicza.

Wenecja w Będzinie

Ponieważ Wenecja w tym roku nie zachęca do odwiedzin a anomalia pogodowe nie sprzyjają karnawałowym szaleństwom, namiastkę magicznej zabawy można odnaleźć w Muzeum Zagłębia w Będzinie, gdzie zagościły przepiękne kostiumy nie tylko weneckich dam i dożów autorstwa Beaty i Bożeny Wielopolskich. Prezentacja obejmuje 36 kostiumów zainspirowanych współczesnym karnawalem weneckim, pochodzą-

cych z pięciokrotnie większej prywatnej kolekcji obu autorek. Jedną z sal wypełnia „Świat okiem Arlekina. Komedia nie-ludzka”, w której autorki prezentują swoją wizję postaci pierwotnie wywodzącej się z *commedia dell'arte*. Historia tej kolekcji sięga roku 1996, kiedy to Beata i Bożena Wielopolskie po raz pierwszy uczestniczyły w karnawale weneckim. Wystawę można podziwiać do 14 marca.

Svalbard w obiektywie Anny Pasek

Wystawa „Svalbard – subiektywnie” autorstwa Anny Pasek, po Krakowie i Będzinie zagościła w Dąbrowie Górniczej na zaproszenie muzeum „SztYGarka”. W styczniu można było podziwiać niezwykle fotografie Arktyki, będące wspomnieniem naukowej i artystycznej działalności doktorantki w Instytucie Geografii i Gospodarki Przemysłowej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Anny Pasek, która w ramach międzynarodowego programu stypendialnego Socrates/Erasmus, tworzyła i uczestniczyła w życiu akademickim Centrum Uniwersyteckiego na Svalbardzie (UNIS). Geograf, studentka geologii w Instytucie Nauk Geologicznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, podróżnik i fotograf była organizatorką i współorganizatorką wielu wypraw naukowych i turystyczno-poznawczych. Odwiedziła m.in. dzikie zakątki Norwegii, Islandii, Rosji, Indii, Bhutan. W 2007 r. nie powróciła z ostatniej swojej wyprawy, wspinaczki na Mont Blanc.

Pozdrowienia z Sosnowca

Ta wystawa to niezwykle karnawałowy prezent nie tylko dla mieszkańców grodu nad Przemszą. W Sosnowieckim Centrum Sztuki Zamek Sielecki można podziwiać widokówki z kolekcji Pawła Ptaka. Kolekcjoner zafascynowany swoim miastem gromadził od 1997 r. wszystko, co ilustruje jego przeszłość i teraźniejszość. Na ekspozycji można prześledzić kolejne etapy stale przeobrażającego się miasta, przywołać w pamięci miejsca znane czasami tylko z opowieści, bywa że zapomniane, ale jakże piękne, ożywione przechadzającymi się po rozkwieconych deptakach miejscowymi arystokratkami. Sentymentalne powroty do pejzaży sprzed „kapitałnego remontu”, czyli do czasów kiedy na kawę wpadało się do „Savoyu” a przed zabytkowym dworcem oczekiwały dorożki chłodząc się pod strze-listą fontanną, to niezwykle miła i przyjemna wyprawa w czasie. Można się na nią wybrać do 22 lutego.

Jednym zdaniem

■ Od 13 stycznia w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu można oglądać wystawę zatytułowaną „Piękno ziemi gorlickiej”. Wernisażowi towarzyszyła prezentacja multimedialna „Ziemia gorlicka”.

■ 16 stycznia dyrektorzy Muzeum w Sosnowcu Zbigniew Studencki i Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu Robert Slusarek podpisali umowę o współpracy. Pierwszym jej efektem był wernisaż „Bolesław Barbacki (1891-1941). Portrety” ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu.

■ 19 stycznia w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu w programie zatytułowanym „ZOO z piosenkami Agnieszki Osieckiej” koncertowała Katarzyna Groniec

■ 21 stycznia z okazji 152. rocznicy Powstania Styczniowego w sali koncertowej przy Szkole Muzycznej w Sosnowcu odbył się koncert w wykonaniu Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej z Nowego Sącza.

■ Od 21 do 22 stycznia w Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki odbywały się Dni Fotografii pod hasłem „Fotografia jako fascynujący dokument”.

■ We wszystkie środy stycznia w kinie MBP w Sosnowcu odbywały się specjalne pokazy najśłynniejszych filmów Woody Allena.

■ 27 stycznia w muzeum „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej z miłośnikami górskich wypraw spotkał się Krzysztof Wielicki, zdobywca Korony Himalajów.

Pożegnaliśmy Antoniego Szpyrcy

W ostatni poniedziałek grudnia zaskoczyła nas smutna wiadomość. Rano zmarł Antoni Szpyrc, znany twórca ludowy, autor obrazów na szkle, znawca folkloru i tradycji górali beskidzkich, a przede wszystkim historii swojego rodzinnego miasta, Jabłonkowa. W czwartek 1 stycznia obchodziliby 65. urodziny...

Chociaż mieszkał w Wędryni-Zaolziu, urodził się w Jabłonkowie. To właśnie historia tego miasta i losy jego mieszkańców stały się jego życiową pasją. Napisał zresztą o tym mieście kilka książek. Wiedziałem, że jeśli będę robił artykuł o Jabłonkowie, wystarczy podnieść słuchawkę telefonu i wykręcić numer Antka. Po raz ostatni napisałem o Nim pod koniec listopada w związku z wystawą Jego obrazów w czeskokieszyńskiej Galerii MOST. Nie spotkaliśmy się osobiście. Antek nie dotarł na wernisaż, jak zawsze był zabiegany. Przewadził w tym czasie kolejną ze swoich licznych prelekcji. Nawet na myśl by mi nie przyszło, że już nigdy się nie spotkamy. O śmierci Antka poinformowali nas Jego żona i brat. – Położył się normalnie wieczorem, rano już się nie obudził – powiedział Władysław Szpyrc, też plastyk.

W poniedziałek 5 stycznia kościół parafialny pw. Bożego Ciała w Jabłonkowie zapelniony był do ostatniego miejsca. Przed trumną ustawila się długa kolejka przyjaciół Antoniego Szpyrcy z obu brzegów Olzy. Przyszli się z Nim pożegnać przedstawiciele władz rodzinnego miasta, gmin z całej podgórskiej części regionu, organizacji społecznych, instytucji kulturalnych, zarówno polskich, jak i czeskich.

– Stajemy tu jako świadkowie tej uroczystości pogrzebowej. A także jako ludzie, którzy z głębi serca przyszli podziękować modlitwą śp. Antoniemu za to wszystko, co uczynił dla każdego z nas, dla swego rodzinnego miasta, swojej ziemi. Chcemy podziękować Mu za Jego ogromne, kochające serce, które było dla wszystkich i chciało otoczyć miłością każdego – mówił w kazaniu ks. proboszcz Janusz Kiwak. Wspominał o ostatnim przedświadczeniowym spotkaniu ze Szpyrcem, podczas wernisażu o Legionach Polskich w Jabłonkowskiem. – Wtedy doszliśmy do wniosku, że warto by wreszcie wydać książkę o historii jabłonkowskiej parafii. Mieliszy się spotkanie i porozmawiać na ten temat tuż po Nowym Roku. Niestety, Pan Bóg chciał inaczej i zabrał Antka do siebie... Ale Antoni Szpyrc nigdy na tej ziemi nie zostanie zapomniany. Dzięki swojemu bogatemu dziełu życia będzie nadal wśród nas – podkreślił proboszcz Kiwak.

Na czele konduktu pogrzebowego kroczyła trójka górali w strojach ze sztandarem Związku Podhalan, przyjaciele z chóru „Gorol”. Kondukt był długi. Kiedy samochód z trumną skręcał na cmentarz, ostatni uczestnicy pogrzebu mijali stary budynek ratusza. Nad grobem zabrzmiała modlitwa i pieśni. Pierwszą zaśpiewali chórzyci z „Gorola”, drugą członkowie Blafu, ulubionej kapeli śp. Antoniego Szpyrcy.

Na złożoną w świeżej mogile trumnę spadły grube platy śniegu...

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Książnica wzięła na warsztat Szersznika

W poniedziałek 19 stycznia w sali konferencyjnej Książnicy Cieszyńskiej odbyła się prezentacja nowego tomu serii „Bibliotheca Tessinensis” zatytułowanego „Malo invidiam quam misericordiam. Wybór pism i dokumentów dotyczących Leopolda Jana Szersznika”. Wzięli w niej udział autorzy edycji prof. Janusz Spyra i dr Grzegorz Chromik oraz recenzent tomu prof. Dan Gawrecki.

– Niemal przed rokiem, 20 stycznia 2014 r., otwieraliśmy w Książnicy wystawę poświęconą ks. Leopoldowi Janowi Szersznikowi i jego epoce. Dzień później odbyło się u nas seminarium naukowe poświęcone roli historyka na prowincji w okresie nowożytnym. W ten sposób uczciliśmy 200-lecie śmierci ks. Szersznika, natomiast w środę będziemy obchodzili 201. rocznicę śmierci cieszyńskiego ex-jezuity. Z tej okazji oddajemy w państwa ręce obszerny, liczący ponad 600 stron, zbiór zawierający 87 różnorodnych źródeł – mówił podczas promocji publikacji Krzysztof Szelong, dyrektor Książnicy Cieszyńskiej. – Przez szacunek dla tej książki nie będziemy jej jednak polewać ani winem, ani wodą – dodał.

Zaprezentowany w poniedziałek tom obejmujący źródła dotyczące biografii oraz dorobku ks. Leopolda Jana Szersznika. Znalazły się wśród nich materiały o charakterze biograficznym, w tym m. in. autobiografia ex-jezuity, testament, prywatna korespondencja oraz pisma urzędowe w głównej mierze odnoszące się do starań mających na celu założenie biblioteki i muzeum. Drugą istotną część edycji zajmują pozostawione przez cieszyńskiego prefekta opracowania naukowe, a także wszelkiego rodzaju materiały warsztatowe, notatki z prowadzonych obserwacji czy projekty planowanych badań.

Michała Febera „On My Own”

„On My Own”, czyli „Na własną rękę” – tak nazwał swoją pierwszą solową płytę Michał Feber, lider hawierzowskiej kapeli rockowej Apatheia. Płyta EP z czterema utworami pojawiła się 15 stycznia w internecie, a można ją znaleźć na tak samo świeżej stronie Michała: michalfeber.com.

To już trzecia płyta, na której pojawiają się utwory z muzyką i tekstami, jak zwykle anglojęzycznymi, mieszkającego w Olbrachcicach Michała Febera. Wcześniej mogliśmy ich posłuchać na koncertach Apatheii oraz dwóch płytach hawierzowskiej formacji: „Apatheia” (2006) i „Elevating Moments” (2011). Teraz obchodzący w tym roku 30. urodziny Michał sam zasiadł w studio i nagrał swój solowy projekt, „On My Own”.

– Chodzi o projekt studyjny, bo na razie nie myślałem o tym, żeby wyjechać z tymi piosenkami do klubów rockowych – powiedział Michał. – Nagrałem tę płytę zupełnie sam, z gitarą, dograłem też jakieś instrumenty perkusyjne, klawisze. Wspomogła mnie tylko w jednym utworze, „Simple misunderstanding”, głosem Noemi Bocek. Pomógł mi też przy nagrywaniu i miksowaniu materiału mój kolega Tomáš Špirka z Czeskiego Cieszyna, na co dzień akustyk ostrawskiego teatru Aréna, a kiedyś pracował też w trzynieckim studiu nagraniowym – uściślił.

Seminarium po zbójnicku

W Mostach koło Jabłonkowa odbyła się w sobotę 10 stycznia doroczna trzydniowa impreza góralska, 37. Bał Gorolski. Rozpoczęła ją w piątek w Drzewionce „Na Fojstwiu” seminarium popularno-naukowe poświęcone jednemu z fenomenów Karpat – zbójnictwu.

Wprowadzeniem w temat był wernisaż 27 portretów legendarnych zbójników karpaccich, namalowanych w naturalnej wielkości przez polskich artystów na zamówienie Jana Kukuczki, właściciela galerii w Jasnowicach, który – jak powiedział – postanowił opracować pierwszą ikonografię tej tematyki. Efektem jest wydany przez niego album „Harnasie, legendy zbójnictwa karpacciego”, który zaprezentował uczestnikom piątkowej imprezy w Drzewionce. Jej organizatorami byli Miejscowe Koło PZKO w Mostach, zespół „Górole” oraz Gorolski Centrum Informacji Turystycznej GOTIC.

Bohaterami seminarium, na które złożyły się wykłady Renaty Putzlacher-Buchty, prof. Daniela Kadłubca oraz Bartłomieja Koszarka, byli, oczywiście, zbójnicy. Ta pierwsza przedstawiła sylwetkę Ondraszka, starając się oddzielić prawdę historyczną od legendy, a także pokazać relacje i podobieństwa zachodzące między śląskim zbójnikiem Ondraszkiem a jego druhem i zabójcą, Jurazkiem, oraz Janosikiem ze słowackiej Tierchowej. Prof. Daniel Kadłubiec pokusił się natomiast o zdefiniowanie znaków zbójnika, określając go jako osobę społecznie wyalienowaną, poruszającą się w świecie magii i czarów oraz działającą pod płaszczykiem nocy. Ostatni protagonistą seminarium, Bartłomiej Koszarak z Bukowiny Tatrzańskiej, zaprezentował zbójnictwo w tańcu, poezji i muzyce.

Jednym zdaniem

■ Rok 2015 Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie otworzyła premierą spektaklu „Tajemniczy ogród” w reżyserii Bogdana Kokotka. Powieść Frances Hodgson Burnett zaliczana jest do klasyki literatury dziecięcej.

■ O tym, jak blisko mają do siebie leżący po czechkiej stronie granicy Bogumini oraz polskie Chałupki, opowiada wystawa pn. „Sąsiedzi na Odrze”, przygotowana przez Stowarzyszenie Przyjaciół Historii Bogumina oraz stowarzyszenie obywatelskie „Maryska”. Wystawę o rozdzielonych granicą sąsiadach na Odrze można odwiedzać do 12 lutego.

■ Członkowie Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego „Beskid Śląski” 18 stycznia spotkali się w Olbrachcicach. W tamtejszym Domu PZKO odbyło się doroczne zebranie członkowskie organizacji.

■ Polska społeczność w Republice Czeskiej ma swojego przedstawiciela w Radzie Oświaty Polonijnej przy Ministerstwie Edukacji Narodowej RP. Szefer resortu, Joanna Kluzik-Rostkowska, powołała do tego organu doradcę ministerstwa Andrzeja Russa, prezesa Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej w RC.

■ Styczińskie spotkanie Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, które odbyło się 15 stycznia w auli Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie, poświę-

cone było jeszcze Świętom Godowym i związanym z nimi zwyczajom ludowym. Wykład na ten temat wygłosił Robert Garstka, pracownik Regionalnego Ośrodka Kultury w Katowicach.

■ Jeden z najwybitniejszych współczesnych pianistów, Rafał Blechacz, dołączył do grona gwiazd muzycznego festiwalu Maj Janáčka (Janáčkův máj), który 24 maja – 8 czerwca zagości w województwie morawsko-śląskim.

■ W ostatnią niedzielę grudnia czeskokieszyński chór mieszany „Harfa” zaprosił melomanów do kościoła ewangelickiego Na Niwach. Koncert jubileuszowy z okazji 65-lecia działalności chóru oraz 120. rocznicy urodzin założyciela zespołu, prof. Karola Hławiczki, był pożegnaniem śpiewaków z publicznością. Zapadła bowiem decyzja o zawieszeniu działalności chóru.

■ W Nawsiu spotkali się 30 stycznia rekonstruktorzy skupieni wokół Muzeum 4. Pułku Strzelców Podhalańskich oraz aktorzy Sceny Polskiej Teatru w Czeskim Cieszynie, by przypomnieć słynną Wigilię roku 1914 z udziałem legionistów Józefa Piłsudskiego. Przygotowali pierwszy etap rekonstrukcji tych wydarzeń, wszystko filmując.

■ Popołudnie na weselo zafundowali widzom zebranych w pierwszą sobotę stycznia w Domu PZKO w Nydku członkowie miejscowego Klubu Młodych. Działający przy Kole PZKO zespół teatralny, złożony z członków Klubu Młodych, wystawił sztukę „Solo na triangu”.

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Kazimierza Mozdzierza [1918-1997]. Wspominam jako rzetelnego grafika i wielce lubianego kolegę, który potrafił przyjść na zebranie by z okazji świąt obdarowywać nas swymi grafikami wykonanymi z wielką starannością i precyzją.

W latach siedemdziesiątych powożeni „Syreną” przez Jurka Sajdaka mknęliśmy na Walny Zjazd ZPAP do Lublina, z przodu obok kierowcy Kazik, z tyłu ja i ktoś kto już zdążył umknąć mej pamięci.

Zatrzymaliśmy się po raz pierwszy w Jędrzejowie dla zwiedzenia Muzeum im. Przytkowskich i uzupełnienia zapasów. Na tylnym siedzeniu – piwko, na przednim markotny Jurek, że nie może i Kazik pilnujący drogi do celu.

Kielce minęliśmy niezauważalnie, za to zwiedziliśmy ruiny w Szydłowcu a potem w restauracji próbowaliśmy zjeść obiad. Kotlet „na stanie” był tylko jeden, to też solidarnie odmówiliśmy jego konsumpcji zadowalając się bigosem.

Przed Kazimierzem Dolnym, Kazik:

– *Ta stój Jurka...* Wsiadł, stanął przed sztydem miasta i o fotkę prosi, mały był i nie dobrane się z napisem komponował, no to podsadzić go było trzeba.



Dorota Adamiec malarka z Bytomia tak pewną rozmowę o tworzeniu z tym mistrzem drzeworytu stworzowego i twórcą wielu ex librisów wspomina:

... – „*Grafika, to nie jest tak napluć, namalować, ta mnie ryłec źle pójdzi, ta ja wszystko od nowa*” – Kaziu – powiedziałam – *a namaluj obraz.*

– „*A namaluj!*”...

Po paru dniach spotyka Mozdzierza, a ten: – „*Dorotka, ta wiesz, ta malarstwo też jest trudne*”...

Kazio przyjechał do Bytomia w 1945 r razem z Operą Lwowską, z którą współpracował...

W Bytomiu wśród wielu swoich było mu dobrze, prawie zawsze i wszędzie chodził ze swoim pieskiem „Fudzi”... więź była ogromna, Fudzi wykonywał różne sztuki na hasło podane przez pana...

Kazio pracował po nocach... o 2. w nocy budził żonę: „*Jadzia, ta zrób mi herbaty*”... gdy zatelefonowałam do Niego o godzinie 13., usłyszałam... „*ta co ty mnie budzisz?*”

...o pewnej koleżance... „*Elzbieta, by się mogła gola położyć na parapecu... ja by jej nie ruszył, nie jest w moim typi*”.

Kazio był skromnym człowiekiem, nie chwalił się swoimi zasługami i osiągnięciami... choć otrzymał... Złotą Odznakę ZPAP, Złoty Krzyż Zasługi dla woj katowickiego, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” za ratowanie swoich żydowskich Przyjaciół we Lwowie, którzy dzięki niemu przeżyli wojnę.

Kazio nie żyje już 17 lat, a przy różnych okazjach ciągle się go wspomina i przypomina je-

go zachowania i powiedzonka, był świetnym artystą, a przy tym niezwykle skromnym, życzliwym kolegą i kolorową postacią... „*ta kolezdy mają do mnie zaufani, od kilku kadencji zasiadam w Sądzi Koleżeńskim*” – miał to sobie za wielki honor.

Bywał na plenerach, na jednym z nich odwiedził ich miejscowy sekretarz ówczesnej partii, siedząc przy wspólnym stole Kazik powiedział: „*... teraz to rządzą takie zgnilki, co jak wysypiesz kartofle z worka, to one na wierzchu*”... został kopnięty pod stołem, dyskretnie przez koleżkę... „*ta co ty mnie kopiesz, ta ja prawdy nie mówię?*”...

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych na Śląsku i w Zagłębiu padł strach na ludzi w związku z pojawieniem się „wampira z Zagłębia”.

Pisze w katalogu wspomnianym w poprzedniej anegdocie – Jerzy Miciak, zanim jednak pozwolę mu kontynuować – wspomnę o podobnej historii w owym czasie, z mego życia w Chorzowie.

Zaczęto przesłuchiwać samotnych mężczyzn, więc padło i na mnie, zostałem wezwany na Milicję.

Godzina oczekiwania na niewygodnym krześle w ciemnym korytarzu, dla „zmięczenia delikwenta” – jak się kiedyś po tym chyba w Szwejku doczytałem.

– Kiedy byliście ostatni raz w Zagłębiu – zapytał miejscowy Sherlock Holmes. – O, miesiąc temu, spotkałem się z dziewczyną i kupiłem te buty...

– Aaaa... spotykacie się z nią jeszcze?

– Nie, rozstałem się...

I tu chyba wdepnąłem- to mógł być dla sierżanta motyw.

Zeszliśmy do piwnicy, siadłem na fotelu, przede mną numerki i pstryk... potem sierżant pociągnął wajchę a mnie obróciło profilem do aparatu. Ta technika obracania podejrzanych, wprowadziła mnie w pełną podziwu zadumę – takie to proste a genialne. Potem musiałem ubrać płaszcz, do ręki dano mi rurkę, pod nogi numer i pstryk po raz kolejny.

Powiedziano że jestem wolny, zapytałem jeszcze kiedy będą gotowe zdjęcia?

– Nie dla was...

Kiedy ujęto wampira Zagłębia poczułem się naprawdę wolny, wolny od podejrzeń...

A Miciak, tak pisze dalej:

W tym czasie milicja zaczynała dopiero typowanie sprawcy. Szło jej, jak zwykle. Intensyfikacja śledztwa narastała wraz z pojawieniem się kolejnych ofiar.

Pewnego razu, w holu katowickiej ASP usłyszałem głos naszego dziekana, Stanisława Krzysztalowskiego, skierowany do stojącego obok studenta:

– Panie Ogiewa, miałem pana za porządnego człowieka a tu słyszę, że zatrzymała pana milicja...

– Ależ, panie dziekanie, ja...

– I jest pan na tyle beczczelny, że przerywa, kiedy mówią starsi. Podobno mieszka pan w jakiejś szopie i drzwi otwiera ł mem.

Achim, jak go nazywaliśmy, stracił miejsce w akademiku na skutek trudnego charakteru i pomieszkiwał gdzie się dało. Z wampirem kojarzyć go jednak mogła tylko ówczesna milicja.

– Nie wiem, co ja z panem mam począć. Co za wstyd dla naszej uczelni! Porozmawiam o tym z kierownikiem akademika.

– Panie dziekanie, nazywam się Zbigniew Pieczykolan.

– Bardzo pana przepraszam! Dlaczego pan od razu tego nie powiedział?

– Bo pan nie pozwolił, panie dziekanie.



Naukowy traktat o odkurzaczach

JAROSŁAW STARZYK

– ...dwóch, trzech, czasem pięciu. I zawsze zastanawiam się, skąd wiedzą gdzie i kiedy – opowiadał profesor.

– Może z Internetu? – podsunąłem.

– Widywałem ich już przed nastaniem tego wynalazku. Byli odkąd pamiętam.

Siedzieliśmy w nowo otwartej osiedlowej kawiarni, która nas zachwycała. Po pierwsze, jedna z sal przeznaczona była dla palących, po drugie, nad barem wywieszono „REGULAMIN KORZYSTANIA Z KAWIARNI”, który składał się z jednego punktu: „W lokalu zabrania się rozmów o polityce”. Właścicielem tej niezwyklej placówki był pan nazywany Dżonym. Nie wiemy z jakiego powodu. Osobiście piekł rozmaite ciasta, myślę, że bardzo dobre, bo kupowały je panie z całego naszego osiedla, które też zamawiały konkretne wypieki na rozmaite uroczyste okazje.

Profesor, który jest moim sąsiadem, uczestniczy, z racji tego, że jest prawdziwym humanistą w wielu wydarzeniach kulturalnych. Żartuje, że to dlatego, iż w czasach jego edukacji nie uczono asertywności, przez co nie umie odmówić, kiedy go gdzieś zapraszają. Tego przedpołudnia rozmawialiśmy sobie o pewnej specjalnej grupie odbiorców kultury.

– Znajoma, która pracuje w muzeum, poinformowała mnie, że personel nazywa ich „odkurzaczami”, bo kiedy już jakaś wystawa zostanie otwarta, do czysta wymiatają wystawiony dla gości poczęstunek – kontynuował osiedlowy naukowiec. – Rozumiem, że mogą się dowiedzieć o terminie wernisażu, premiery, spotkania autorskiego. Ale w jaki sposób trafiają na niereklamowane w mediach konferencje, na których podczas przerwy też się podaje coś do przekąszenia – nie pojmuję. W każdym razie zacząłem ich tak dla siebie, prywatnie studiować. I zadziwiłem się. Potrafią obejrzeć wystawę jakiegoś eksperymentującego plastyka, wysłuchać nowoczesnej muzyki nie do słuchania, dotrzeć do końca bardzo specjalistycznego referatu naukowego, żeby tylko potem zyskać prawo do podejścia do stołu, na którym są czasem jedynie słone paluszki i kwaśne czerwone wino. Oczywiście trafiają im się także wykwintne cateringi...

– Te potrawy wyglądają niezłe, ale to wszystko chemia – odezwał się mój drugi sąsiad, biznesmen, który właśnie do nas dobiegł. Właśnie tak. Biega, bo żona go odchudza. Obrzucił tęsknym wzrokiem stojące na kontuarze ciasta, zamówił piwo z jakiegoś małego, ale podobno świetnego browaru. – Niby ładne, sama świeżość, kolory jak z obrazy, ale to same konserwanty.

– W każdym razie odkryłem – profesor kontynuował swój wywód – że ci mężczyźni nazywani odkurzaczami bardzo solidnie zapracowują na swój pokarm i napitek. Są wytrwali i cierpliwi, przez cały okres moich obserwacji tylko raz byłem świadkiem drobnego incydentu. Otóż jeden z tego grona odbiorców zwrócił się z reklamacją do kierownika obiektu, że zabrakło dla niego zasłużonej lampki wina.

– I co? Wywalczył? – zapytałem.

– Żeby pan wiedział.

– Do placówki kulturalnej się idzie po coś dla ducha – stwierdził biznesmen. – Zdobyłem bilet na inauguracyjny koncert NOSPR, na którym „byli wszyscy” i tam po muzyce nikt jakoś gości paluszkami nie faszerował.

Zapłaciliśmy i ruszyli w kierunku naszego bloku. Po drodze biznesmen wyjął z kieszeni marchewkę (żona oskrobała) i zaczął chrupać.

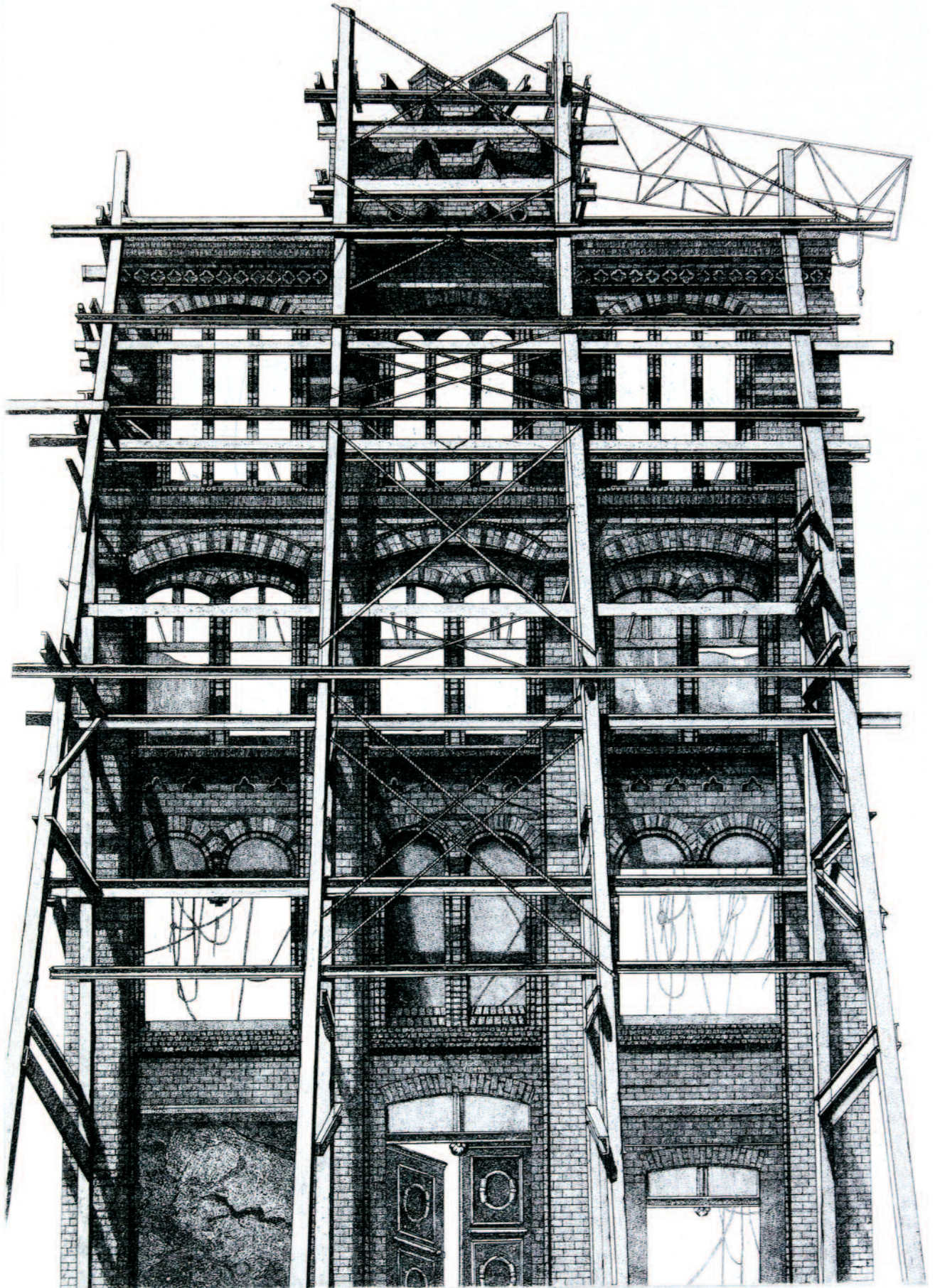
Redakcja miesięcznika „Śląsk” wkraczając w 20. rok istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Weronika Siupka

Urodzona w 1977 w Katowicach. W 2003 r. uzyskała dyplom Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Od tego roku pracuje w macierzystej uczelni jako wykładowca rysunku i malarstwa. Obecnie doktor w Katedrze Projektowania Graficznego Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Prace prezentowała na wielu wystawach indywidualnych w kraju oraz zbiorowych w kraju i zagranicą. Stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2007 oraz w 2009 roku. W 2008 roku uzyskała stypendium Marszałka Województwa Śląskiego. Wyróżniana i nagradzana w konkursach m.in.: I nagroda oraz nagroda honorowa ZPAP/O Katowice w konkursie „Praca Roku 2007” w 2009 oraz 2011 roku uzyskała wyróżnienie na Ogólnopolskiej Wystawie Twórczości Pedagogów Plastyki w Rzeszowie, wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Graficznym im. Meidnera w Oleśnicy w 2010 i 2012 roku, nagroda Prezesa ZPAP/O Katowice w Konkursie Ogólnopolskim „Praca Roku 2013”. Członek Fyns Grafiske Værksted. Od osmiu lat zajmuje się tworzeniem cyklu „Fragmenty świata” inspirowanego architekturą miejską i postindustrialną Górnego Śląska.



Weronika Siupka, *Fasada II*, akwaforta, 49/34,5 cm, 2013

70.

jubileuszowy
sezon
artystyczny



NADCHODZI

IV SYMFONIA

HENRYK MIKOŁAJ GÓRECKI

Tansman Epizody

ORKIESTRA SYMFONICZNA
FILHARMONII ŚLĄSKIEJ

MIROSLAW JACEK BŁASZCZYK
dyrygent

15.02 ŁÓDŹ Filharmonia Łódzka

TANS
MAN
FESTIVAL

27.02 KATOWICE Filharmonia Śląska

POLSKIE PRAWYKONANIE

Pierwsi w Polsce gramy Czwartą

Po Londynie, Los Angeles i Amsterdamie

IV Symfonia *Tansman Epizody* Henryka Mikołaja Góreckiego po raz pierwszy wykonana zostanie w Polsce. Filharmonicy śląscy pod batutą Mirosława Jacka Błaszczyka przedstawiają dzieło swego patrona 15 lutego w Łodzi – jako Specjalne wydarzenie *Tansman Festival 2015* – oraz 27 lutego w Katowicach.

Niebywały sukces III Symfonii *Symfonii pieśni żalonych* (na angielskich i amerykańskich listach przebojów notowana była wyżej niż utwory rozrywkowe, sprzedano grubo ponad milion płyt) zmarłego w 2010 roku, od 2011 r. patrona Filharmonii Śląskiej przyczynił się do tego, że IV Symfonia stała się jednym z najbardziej oczekiwanych utworów na świecie.

Powstała na wspólne zamówienie London Philharmonic Orchestra, Los Angeles Philharmonic i koncertowej serii *ZaterdagMatinee* amsterdamskiego Concertgebouw, ale impuls do powstania utworu dał Andrzej Wendland, muzykolog i organizator życia muzycznego, który od 1996 r. organizuje w Łodzi Festiwal im. Aleksandra Tansmana. Prawykonanie zaplanowano pierwotnie na 17 kwietnia 2010 roku w Royal Festival Hall w ramach Polska! Year, ale nie doszło ono do skutku, bowiem z powodów zdrowotnych kompozytor nie ukończył dzieła. Ostatecznie napisany utwór zinstrumentował według sugestii ojca i pozostawionych w nutach wskazówek syn kompozytora, Mikołaj Górecki.

Cykl światowej prezentacji IV Symfonii Henryka Mikołaja Góreckiego rozpoczęto w londyńskiej Royal Festival Hall 12 kwietnia ubiegłego roku. Grała London Philharmonic Orchestra pod batutą Andrzeja Borejki. Wydarzenie to komentowały najbardziej prestiżowe media całego świata, jak *The Times*, *Daily Telegraph*, *The Guardian*.

Andrzej Borejko poprowadził też pierwsze prezentacje utworu przez Los Angeles Philharmonic Orchestra (Los Angeles 16-18 stycznia br.). Termin polskiego prawykonania ustalono na pierwszy możliwy – nazajutrz po Amsterdamie (w Concertgebouw IV Symfonię 14 lutego br. zagra Radio Filharmonisch Orkest pod batutą Reinberda de Leeuw). W Łodzi prawykonanie *Czwartej* poprzedzi prezentacja orkiestrowych utworów Aleksandra Tansmana – IV *Tańców* polskich i IV *Movements*. Śląskie prawykonanie w Katowicach damy 27 lutego, poprzedzając je *Małą suitą* Witolda Lutosławskiego oraz *Fantazją polską* op. 19 Ignacego Jana Paderewskiego, której partię fortepianową wykona Beata Bilińska.

FILHARMONIA ŚLĄSKA
IM. HENRYKA MIKOŁAJA
GÓRECKIEGO

www.filharmonia-slaska.eu

Bilety: tel. 32 351 17 13, 503 774 949
kasa@filharmonia-slaska.eu
Katowice, ul. Sokolska 2